

SIMON SEBAG
MONTEFIORE

CZERWONE NIEBO

ROSJA 1942: WOJNA, MIŁOŚĆ I DESPERACKI WYŚCIG O ŻYCIE

WYDAWNICTWO
MAGNUM

SIMON SEBAG
MONTEFIORE

CZERWONE
NIEBO

PRZEKŁAD
Władysław Jeżewski

WYDAWNICTWO
MAGNUM

MOJEMU SYNOWI,

SASHY

CZERWONE NIEBO

NAZWY CHUTORÓW
W KSIĄŻCE
SĄ FIKCYJNE

U K R A I N A

Z S R S

*Kierunki natarcia sił niemieckich
lipiec-sierpień 1942*



ODESSA

Morze
Azowskie

KRYM

Morze Czarne

• WORONEŻ

• CHARKÓW

• SIERAFIMOWICZ

Bitwa
w łuku Donu

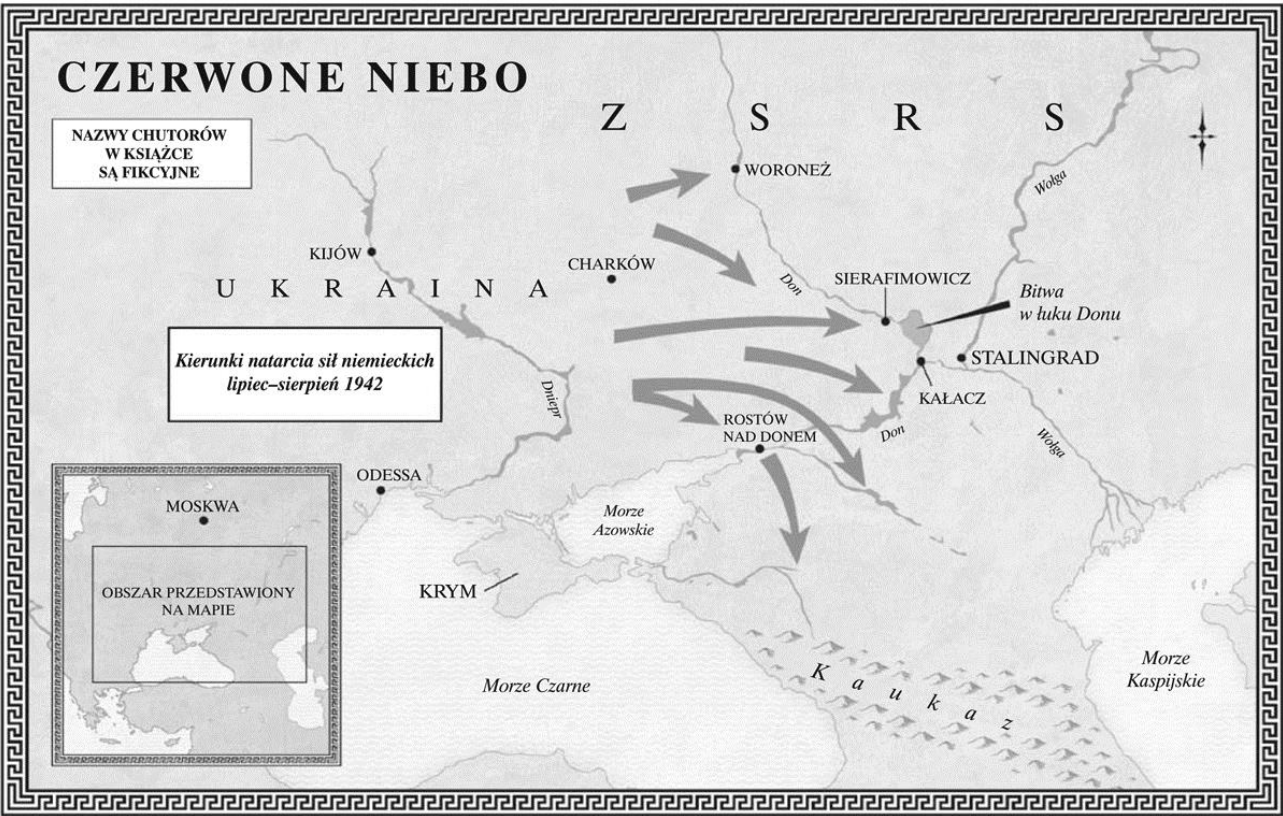
• STALINGRAD

• KAŁACZ

• ROSTÓW
NAD DONEM

Morze
Kaspijskie

K a u k a z



Przedmowa

Dwudziestego drugiego czerwca 1941 roku rozpoczęła się operacja „Barbarossa” – inwazja Hitlera na Związek Sowiecki, rządzony przez dyktatora Iosifa Stalina. Miała to być najokrutniejsza wojna w dziejach. W pierwszych miesiącach Rosjanie, całkowicie zaskoczeni atakiem, stracili mnóstwo żołnierzy, czołgów i samolotów, a Niemcy szybko posuwali się w kierunku Moskwy. We wrześniu nawet stolica Związku Sowieckiego znalazła się w niebezpieczeństwie. W grudniu jednak wojska Stalina przeprowadziły kontratak i Niemcy zostali odrzuceni spod Moskwy.

Na początku 1942 roku Hitler zaplanował nowe druzgocące uderzenie. Stalin spodziewał się następnego natarcia na Moskwę, ale Niemcy rozpoczęli operację „Blau”: ofensywę przez rozległe obszary stepowe południowej Rosji w kierunku Donu i Wołgi, a potem na południe, w celu opanowania zagłębia naftowego na Kaukazie. Nazistów wspierali sojusznicy. W natarciu brały udział wojska włoskie w sile 235 000 żołnierzy, przysłane przez faszystowskiego dyktatora Włoch, Benita Mussoliniego. Obu stronom brakowało czołgów, więc na krótki czas rzuciły do walki oddziały kawalerii. Doszło wtedy do ostatnich wielkich szarż kawaleryjskich w historii.

Latem front sowiecki załamał się. Dziesiątki tysięcy żołnierzy zostało okrążonych lub poddało się, a wielu rosyjskich i kozackich antykomunistów podjęło kolaborację z nazistami. Wojska niemieckie parły niepowstrzymanie i wydawało się, że terytorium Rosji zostanie przecięte na pół. Niemcy nacierali również w Afryce Północnej. Gdyby przebili się do Kaukazu, mogliby połączyć się ze swoimi siłami na Bliskim Wschodzie i mieliby szansę wygrać wojnę. Hitler czuł już zapach zwycięstwa, Stalin był bliski paniki. Rozpoczął się największy kryzys w czasie drugiej wojny światowej.

Potężny Don stał się jedyną zaporą dzielącą przetrwanie od klęski. Za nim leżało miasto nad Wołgą, zwane Miastem Stalina.

Stalingrad.

W tej krytycznej chwili bohaterowie powieści znaleźli się na polu walki...

„Moje imię Nic, nazwisko Nikt”.
Powiedzenie więźniów Gułagu

Rozkaz nr 227

„Pora skończyć z wycofywaniem się. Ani kroku wstecz!... Z panikarzami i tchórzami należy rozprawiać się na miejscu!... Taki jest nakaz naszej ojczyzny... Rozkazuję: Sformować w obrębie każdego frontu od jednego do trzech batalionów karnych po ośmiuset ludzi. Oficerowie i żołnierze winni złamania dyscypliny lub szerzenia paniki zostaną wcieleni do tych batalionów i skierowani na najtrudniejsze odcinki frontu, aby odkupić krwią swoje winy wobec ojczyzny...”

Iosif Stalin, ludowy komisarz obrony

Moskwa, 28 lipca 1942

Pojechał raz Kozak do obcej krainy
Na dobrym swym koniu, czarniejszym niż kruk,
Na wieki zostawić miał chutor rodzinny,
Już nigdy nie wróci na ojców swych próg.

Pieśń kozacka^[1]

Prolog

Słońce dopiero wschodziło, gdy wsiedli na konie i ruszyli przez step w stronę łuny widocznej na horyzoncie. Bywają w życiu chwile, kiedy żyje się od oddechu do oddechu, od skoku do skoku, nie patrząc przed siebie ani za siebie, kiedy każde doznanie jest wyjątkowo intensywne. Była to właśnie taka chwila.

Wyjechali z kępy topoli, w której spędzili noc, śpiąc na derkach, z jukami pod głową, z palcami zaciśniętymi na rękojeściach pistoletów, położywszy obok siodła i karabiny. Konie stały nad nimi, wciągając powietrze przez aksamitne chrapy i brązowymi oczami obserwując swoich panów, których tak dobrze znali.

Rotmistrz zbudził ich jednego po drugim. Osiodłali konie, ściągnęli popręgi, sprawdzili podkowy i pęciny, pogłaskali swe rumaki po szyjach, tkliwie do nich przemawiając. Zwierzęta rzucały łbami, oganiając się od uprzykrzonych gzów, machały ogonami i przewracały oczami, niespokojne przed drogą.

Jeźdźcy z obawą rozglądali się po stepie. Ich przyszłość była tak samo najeżona pułapkami, jak ta bezkresna równina. Walka w palącym słońcu nie miała większego sensu – ścigali nieprzyjaciela i on ich ścigał – ale nie tracili nadziei, bo każdy z nich już wiedział, czym jest prawdziwa beznadzieja, a ich obecne położenie było wszak znacznie lepsze. Tu mogli odkupić krwią swoje winy: wierzyli w to z całym fatalizmem i dla niektórych była to pierwsza przyzwoita rzecz, jaką zrobili w życiu...

Z siatek przytroczonych do siodła dali koniom siana. Wierzchowce, które kochali ponad wszystko, były zdenerwowane, ale oporzędzanie, czuła troskliwość, codzienny poranny rytuał uspokajały je.

Rąbek wschodzącego słońca zabarwił niebo na różowo-żółto, lecz widnokraj

wciąż był czarny jak atrament. Na jego tle powoli pęczniały kłęby dymu, tak jednolite, że przypominały kopuły pogrążonego w ciemności soboru. Z oddali dobiegały głębokie grzmoty wybuchów, ale nie zwracali na nie uwagi. Było już gorąco, piekielnie gorąco. Na nosie i górnej wardze perliły im się krople potu. Wiał wiatr, lecz jego poddmuchy też były gorące, niosły szerniałą słomę z rżysk i pszeniczne plewy. W złotych ukośnych promieniach niewyciężonego lata trawa była zupełnie płowa.

Pantalejmon, najstarszy z oddziału, zgasił ognisko, wdeptując żar w ziemię, i włożył dzbanek od kawy do juków, które były istną jaskinią Aladyna, pełną prowiantu, narzędzi i innych potrzebnych rzeczy. „Nigdy niczego nie wyrzucaj – mawiał. – Wszystko ma swój czas, bracie, wszystko kiedyś się w końcu przydaje”.

Kozacy mówili do siebie „bracie”, tak jak członkowie partii komunistycznej nazywali jeden drugiego „towarzyszem”. Pantalejmon, zwany „Panką”, ścisnął Benię Goldenę za ramię.

– Nie smuć się, Golden. Na stepie zawsze świeci słońce.

Potem sprawdzili, czy szable są w pochwach, broń na ramieniu, blaszane pudełka z amunicją spakowane do skórzanych ładownic, suszone mięso i chleb w sakwach, zrolowane derki za siodłami. Nie zostawili niczego... to znaczy niczego z wyjątkiem trupa, który leżał niżej na zboczu, z czerniejącą kreską zakrzepłej krwi na gardle, wyglądającą jak zgrubiała smuga smoły. Benia spojrział w tamtą stronę, ale tylko przelotnie; przywykł już do widoku trupów.

– Chyba nie będzie mu nas brakowało, co? – powiedział Mamełka swoim dyszkantem. Był niziutki – mierzył ponoć półtora metra – miał różane usta fauna i dziewczęcy głos, a oczy tak dziecięco ufne, że w łagrze kryminaliści przewalili go „Bette Davis”.

Znajdowali się na tyłach nieprzyjaciela i Benia Golden miał wrażenie, że zostali sami na całym świecie. Ale ich mały oddziałek nie należał do typowych jednostek Armii Czerwonej. Byli skazańcami, reszta armii nazywała ich *smiertniki*, jak w Rosji mówi się o ludziach z wyrokiem śmierci. Jednak w pamięci Beni ludzie ci mieli nigdy nie umrzeć. Przekonał się później, że są zawsze w jego snach – i byli w nich tacy, jak owego dnia. Jedni siedzieli wcześniej w więzieniu za zabójstwo lub napad na bank, inni za kradzież jednego kłosa z pola, a wielu tylko za to, że mieli nieszczęście znaleźć się w niemieckim okrążeniu. Jedyne on, Benia, był polityczny, co znaczyło, że musi jeszcze bardziej uważać: „Moje imię Nic, nazwisko Nikt” – brzmiała jego dewiza. Kiedyś ten nakaz ostrożności bardzo mu ciążył; teraz nie musiał się już pilnować, bo znajdowali się poza zasięgiem Organów, a nawet dowództwa wojskowego.

Był lipiec 1942 roku i Armia Czerwona szła w rozsypkę. Stalinowska Rosja stała u progu klęski, ale łagrowa nieufność i obsesyjny lęk wciąż tkwiły w każdym z nich. Przebiwszy się przez linie nieprzyjaciela, brodząc po bezkresnym morzu traw, mieli jeszcze jedno zadanie do wykonania.

Benia sprawdził popręg pod brzuchem swojej klaczy, Srebrnych Skarpetek: „Lepiej zapomnieć gaci i jechać na golasa niż zapomnieć o popręgu – uczył go stary Panka. – Z luźnym popręgiem daleko nie zajedziesz!”.

Byli gotowi. Rotmistrz Żurko dał im znak nieznacznym ruchem głowy.

– Na koń. Czas ruszać.

Pryszczepa, z włosami lśniącymi w słońcu jak złoty hełm, nie tracił swej beztrudnej, dzikiej radości życia. Pobrzękując ostrogami, ze śmiechem wskoczył na siodło, a jego klacz, Esperanza, równie śmiała i swawolna jak jej pan, zadarła łeb z zadowoleniem. Benia zdumiewał się, że nawet tu Pryszczepa potrafi być szczęśliwy. Jaki jest największy dar pod słońcem? Być szczęśliwym wszędzie, gdziekolwiek się jest.

Panka, który musiał mieć co najmniej sześćdziesiątkę, położył chudą rękę na kłębie swojego Ałmaza i nie wkładając nawet stopy w strzemię, dosiadł go. Miał niewielki brzusek, ale był żyłasty, krzepki i wszystko przychodziło mu bez wysiłku. Nie każdy delikatnie obchodził się z koniem i było to widać. Kiedy Haranza podszedł do swojej Pięknej, ta położyła uszy po sobie i przewróciła oczami. Wszystkie konie bały się „Pajaka” Haranzy i trudno było się im dziwić. Benia też się go bał. Jego bryłowata, bezkształtna głowa wyglądała tak, jakby szalony ślepiec wyciosał ją z drewnianego kłosa; usta miały wygląd czerwonej jamy z małutkimi zębami, a cały, od stóp do głów, obrośnięty był prostymi czarnymi włosami. Nigdy się nie spieszył, poruszał się z niezdatną powolnością, zachowując energię, która gromadziła się w nim i w każdej chwili mogła znaleźć ujście w gwałtownym wybuchu. Był jeszcze „Uśmiechnięty”, Czeczeniec o szczupłej sylwetce i szlachetnych rysach twarzy, a także przedwcześnie posiwiiałych włosach, czyniących mężczyzn z Kaukazu tak przystojnymi – o ile nie cieszył się jak dziecko albo nie gniewał, bo wtedy, myślał Benia Golden, wiadomo...

Benia był ostatni, zawsze ostatni. Od ciągłego siedzenia w siodle tułów boleśnie mu zeszywniał, uda miał poobcierane, a zadek w sińcach. Nauczył się jeździć konno jak należy dopiero podczas krótkiego szkolenia. Włożył obutą lewą stopę w strzemię i z głośnym sapaniem podciągnął się do góry.

– Uważaj, dziadku! – młody Pryszczepa chwycił go za ramię i przytrzymał swoim żelaznym uściskiem, dopóki Benia nie usadowił się w siodle.

Panka, którego siwe bokobrody i włosy uczesane w czub świadczyły o tym, że młodość przypadła mu na czasy przed pierwszą wojną światową, zuł prymkę i energicznie ssal wąsy. Zwykle była to u niego oznaka rozbawienia.

Jeździli konno tak różnie, jak w różny sposób chodzili piechotą. Ich wierzchowce miały swoje życiorysy, swoją historię szarż i odwrotów, klęsk i zwycięstw. Jeźdźcy znali je i rozumieli, jakby to były ich dzieci. Kiedy ruszali, każdy przemawiał do konia po swojemu.

– *Kłop, kłop*, malutki – mówił Panka do Ałmaza, swojego deresza, a Pryszczepa nachylił się do Esperanzy, która zastrzygła białe zakończone uszami, a potem zadowolona położyła je. Moskwianin Benia wyrecytował Srebrnym Skarpetkom litanie pochwał, niczym rabbi odmawiający swoje hipnotyczne modlitwy. Jego ciemnokasztanowa klacz znad Donu miała arogancki charakter, białą strzałkę na czole i białe przednie nogi, którym zawdzięczała swoje imię. Srebrne Skarpetki odwróciła lśniącą szyję w stronę Beni, a on pochylił się do przodu i obiema rękami objął ją. Kochał tę klacz nie mniej niż ludzi, których zdarzyło mu się w życiu kochać. A poza tym nikogo nie potrzebował nigdy tak bardzo, jak teraz jej.

Rotmistrz Żurko podniósł rękę. Letnią czapkę z daszkiem miał zsuniętą na okulary,

a jego koszula była już przepocona.

– Jak się boicie, zrezygnujcie – zawołał do swoich ludzi. – Skoro nie rezygnujecie, nie bójcie się!

Cała siódemka patrzyła przez chwilę na spalony słońcem step. Ich twarze były już pokryte kurzem. Mieli kurz w oczach, ustach i nozdrzach, we wszystkich fałdach ubrań. Ostry, powodujący łzawienie pył wisiał w powietrzu, gdy jechali po równinie porośniętej koniczyną, lawendą i trawą.

Rotmistrz Żurko przetarł okulary i wpatrzył się w dal.

– Myślałem o synu – powiedział do Beni, z którym najwięcej go łączyło. – Jego matka mówi mi, że nie musi przykładać się do nauki. Nie mogę jej darować...

Rozmowa o zwykłych, codziennych sprawach zabrzmiała dziwnie w uszach Beni, bo wokół szalało piekło.

On sam myślał o trupie. Wszyscy go widzieli, ale nikt nie powiedział słowa, nie zdziwił się, nie zadawał pytań. A przecież znali go dobrze. Śmierć jednak też znali nie gorzej. W łagrach śmierć przychodziła szybko, jak tchnienie. W czasie odwilży spod śniegu wyłaniały się ciała zmarłych – wszędzie tam, gdzie padli z wycieńczenia albo zostali zabici przez strażników strzałem w tył głowy. Niektórzy więźniowie przez wiele dni chodzili z piętnem śmierci na twarzach: mieli szkliste oczy, nosy ostre i wydatne jak u ptaków i zapadnięte policzki. Rano znajdowano ich martwych na pryzkach, z szeroko otwartymi ustami. Widok trupa ze smugą zakrzepłej krwi nie mógł rozstroić towarzyszy Beni ani odwrócić ich uwagi od zadania, które mieli wykonać.

Żurko wciąż narzekał na syna: nie chce mu się uczyć, pali jak komin i ciągle się masturbuje. Benia rozejrzył się. Jego towarzysze pewnie nigdy nie czuliby się tak swojsko w gronie rodzinnym jak w tym oddziale. Wyrzutki społeczne po obu stronach frontu znalazły swoje miejsce w hierarchii tego okrutnego chaosu. Benia zastanawiał się, czy w historii świata były kiedyś straszniejsze czasy. Żurko jako jedyny z całej grupy miał czystą kartotekę i mógł po wojnie wrócić do normalnej pracy, oczywiście gdyby przeżył. Był księgowym czy kierownikiem, w każdym razie jednym z tych, których widuje się w moskiewskim metrze w garniturach i z teczkami. Podwładnych traktował sprawiedliwie, a ostrzał nie robił na nim wrażenia. Miarą jego opanowania i spokoju było to, że nie opowiadał o tym, co widział.

Równina była prawie zupełnie płaska. Tu i ówdzie rosły kępy wierzb i topoli, ale na ogół nie było na niej nic prócz wysokiej, kołysanej wiatrem trawy, gęsto przetykanej słonecznikami o żółtych główkach i czarnych twarzach. Ciągnęła się po horyzont i spotykała się tam z jaśniejącym, mętnym niebem, które szybko zmieniało barwę: od szkarłatnej do żółtej i liliowej. Wśród tego zachwycająco pięknego bezkresu Benia miał poczucie, że unosi się jak łupina na wzburzonych falach miotana siłami, na które nie ma wpływu. Był zmęczonym człowiekiem, żył chwilą i interesowało go tylko to, żeby przeżyć jeszcze jeden szalony dzień.

W oddali szwadrony czołgów wyglądających jak stalowe karaluchy orały ziemny pył o barwie kawy. Sunęły w stronę Donu i leżącego sto kilometrów dalej Stalingradu.

Samoloty śmigły po niebie, rozdzierając poranną mgiełkę. Sowieckie jak i toczyły powietrzne pojedynki z messerschmittami. Niedaleko krążył niemiecki storch,

obserwując ruchy oddziałów rosyjskich. Jego sylwetka przypominała Beni niezdarne pterodaktyla. Przez ostatnie kilka tygodni wojska hitlerowskie posuwały się bardzo szybko i sytuacja na stepach była niezmiernie zagmatwana. Całe armie sowieckie zostały zamknięte w okrążeniu; wielu zdrajców uciekło na stronę niemiecką, a inni pozostali na stepie, by czekać na Niemców. W tym krwawym kotle walczyli nie tylko Niemcy z Rosjanami i hitlerowcy z komunistami, ale także Rosjanie z Rosjanami, Kozacy z Kozakami, Ukraińcy ze wszystkimi, a wszyscy z Żydami...

Drogami i przez otwarty step, z wozami załadowanymi nędznym dobytkiem, ciągnęli zmęczeni chłopcy, ze stoickim spokojem przyjmując swój los. Zdezorientowani ciągłymi natarciami i odwrotami swoich wojsk, podążali to w jedną, to w drugą stronę. A we wsiach, po lasach i w wysokiej trawie ukrywali się Żydzi. Byli to ludzie straceni, którzy na własne oczy widzieli rzeczy zbyt potworne, aby można było dać im wiarę. Zabłąkali się tutaj ze swoich biednych besarabskich wiosek albo wielkoruskich miast Odessy i Dniepropietrowska. Uciekali w pojedynkę, szukając schronienia po stogach i stodołach.

– No dobra, szwadron, naprzód! – zakomenderował rotmistrz Żurko. Tak jakby stanowili cały szwadron, jakby nie zostało ich raptem siedmiu, a nad trupem ósmego nie krążyły roje much. – Trzeba przejechać kawałek drogi, zanim zrobi się upał nie do wytrzymania. Jazda, bandyci!

Ruszyli stępa. Na czele rotmistrz Żurko, za nim Mały Mamek na swoim kucyku, który według Beni nie był wiele większy od dużego psa, a potem Panka na Ałmazie i „Pająk” Haranza. Reszta zamykała pochód.

Jechali przez pole słoneczników, atakowanych przez chmury wróbli. Pryszczepa schylał się i zrywał szerokie, roześmiane twarze kwiatów. Wyrząsał ziarna i wsypywał je sobie do ust, jakby był na wycieczce z kumplami. Kiedy płaski teren obniżył się nieco, schodząc do strumienia, który połyskiwał przed nimi w słońcu jak struga rtęci, daleko we wsi dostrzegli błysk odbitego światła. Przez lornetkę Żurko zobaczył konie, żołnierzy w szarych mundurach i pojazdy w kolorze khaki.

Sprawdzili broń, dla pewności dwa razy. Panka jechał teraz obok Beni. Żując bokobrody, położył mu na ramieniu wielką rękę, ciemną i spękaną jak kora.

– To wielki kraj – powiedział. – Trzeba się dobrze wysilić, żeby mu sprostać.

Benia spojrzał w wąskie oczy Panki, które nie różniły się wiele od połyskujących zmarszczek na tej ogorzalej, lisiej twarzy, ale obdarzone były niemal nadludzką zdolnością widzenia. Panka nieustannie badał wzrokiem step, nasłuchiwał odgłosów ptaków, porykiwania jeleni, warkotu silników. „To jaskółka” – mówił. Albo: „To gwizd byka w czasie godów”. Pokazywał jakiś punkt i wołał: „Uwaga! Tam jest nora bobaka”. Rozróżniał też samoloty: „To nasz, *szturmowik*”, i działa: „To osiemdziesiątkaósemka”. Nigdy się nie mylił.

Benia poczuł zastrzyk adrenaliny. Dłonie mu zwilgotniały, żołądek podszedł do gardła i na chwilę zakręciło mu się w głowie z gorąca. Jego rodzice byli gdzieś tam, daleko. Czasami godził się z myślą, że nie żyją, i pragnął być z nimi, ale dziś znów odżyła w nim nadzieja i był pewien, że ich odnajdzie. Na moment przypomniała mu się kobieta, którą kochał w Moskwie. Poczł zapach skóry na szyi Saszeńki, ujrzał jej szare oczy

i żyły na jej szyi, nabrzmiałe, gdy się kochali. Doznanie było tak żywe, że aż bolesne. Po ich romansie życie Beni właściwie się skończyło. Potem był już tylko proces i łagry. Już od miesięcy był na wojnie, ale z jakiegoś powodu to proste życie, śmiertelna walka, towarzystwo Kozaków i ich koni w tej krainie słoneczników i trawy, w tym imperium kurzu, końskiego potu i oliwy karabinowej sprawiły, iż nigdy dotąd nie czuł tak mocno, że żyje. Gdybyście zapytali go później, czy się bał, odpowiedziałby: „Czy się bałem? Byłem bardziej przerażony niż można to sobie wyobrazić”. A przecież nie zwracał uwagi na strach. „Szaleństwu odważnych śpiewamy pieśń” – napisał Maksim Gorki, wielki pisarz, który swego czasu okazał Beni taką życzliwość. Benia jechał, by zabić człowieka, być może wielu ludzi, i miał niewielkie szanse wyjść z tego cało. Nadal jednak wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Nie miał innego wyjścia. Tak jak oni wszyscy.

Rozgarniając piersią słoneczniki, Srebrne Skarpetki zwróciła łeb w prawo, zastrzygła uszami i Benia Golden poczuł, że zwolniła kroku. Chciała mu coś powiedzieć. Panka i Pyszczepea zsiadali już z koni i odbezpieczali broń. Benia położył rękę na PPSz, pistolecie maszynowym przewieszonym przez ramię.

Jeśli teraz umrzesz, powiedział sobie, umarłeś dawno temu...

Dzień pierwszy

I

– Oskarżony Golden, powstańcie!

Benia wstał, czując, że nogi uginają się pod nim. Było to przed dwoma laty, zimą 1940 roku. Trzech sędziów weszło do sali w więzieniu specjalnym Suchanowka. Za stołem sędziowskim zasiadło dwóch grubych, szarych na twarzy mężczyzn w mundurach oraz trzeci, którego Benia znał nie tylko z gazet, ale osobiście. Faworyt Stalina i członek Politbiura, towarzysz Herkules Satinow, zajął krzesło z prawej strony. Miał orli nos, szpakowate włosy obcięte na jeża i wyglądał szczupło w swojej bluzie stalince i wysokich butach. Kiedyś Benia chlubił się, że zna takich dygnitarzy, był dumny, że Stalin wie, kim jest. Cóż za irytująca głupota, przypadłość młodych, beztroskich lat! Teraz nie mógł odżałować, że ci ludzie w ogóle dowiedzieli się o jego istnieniu.

Benia rozpoznał też przewodniczącego, ogolonego na łyso mężczyznę o twarzy buldoga, z małym wąsikiem pod sino-czerwonym nosem, chropowatym jak pumeks. Był to Wasilij Ulrich, stalinowski „Wieszatelnik”.

– Ja, W.S. Ulrich – zaczął monotonnym głosem – przewodniczący składu sędziowskiego, otwieram niniejszym posiedzenie Trybunału Wojskowego w Obiekcie Specjalnym nr 110. – Tak brzmiała oficjalna nazwa Suchanowki. – Jest czwarta trzydzieści 21 stycznia 1940 roku. Porządek dzienny: sprawa Golden, Beniamina.

Czyżby naprawdę był środek nocy? Benia spojrzał najpierw na pokrytą bliznami twarz Ulricha, wciąż nie dowierzając, że mogą go uznać za winnego, skoro zgrzeszył tylko zbyt dużą ciekawością – i romansem z niewłaściwą kobietą. Ale w wodnistych, przepitych oczach przewodniczącego zobaczył jedynie zmęczenie i niesmak. Z dreszczem zgrozy przypomniał sobie, że Ulrich podobno nie tylko asystuje przy egzekucjach, ale czasem nawet sam je przeprowadza.

Benia wdychał znajomy zapach papierosów, wódki, kawy i marynowanych ogórków, który szedł od sędziów; tak pachniał zaduch niewietrzonych pomieszczeń, w których dorośli mężczyźni pracownicy spędzali bezsenne noce. Przypomniały mu się długie, szczęśliwe wieczory z pisarzami w moskiewskich kuchniach i dyskusje o tym czy owym popularnym poecie, najlepszym filmie albo najnowszym skandalu... Bezwrotnie minione życie.

Zerkając na leżące przed nim dokumenty i ocierając sino-czerwone powieki, Ulrich czytał: „Golden, Beniamin podpisał zeznanie, w którym przyznaje się do swoich zbrodni i na podstawie artykułu 58 paragraf 8 zostaje niniejszym uznany za winnego działalności terrorystycznej, spisku na życie towarzyszy Stalina, Mołotowa, Kaganowicza i Satinowa (który zasiada w tym trybunale) oraz przynależności do kontrrewolucyjnej organizacji trockistowskiej, powiązanej z białogwardzistami i wykonującej rozkazy japońskiej i francuskiej służby wywiadowczej”.

– Nie, nie! – dobiegł jakby z daleka piskliwy głos i dopiero po chwili Benia uświadomił sobie, że to on krzyczy.

Ulrich obrócił głowę w prawo.

– Towarzyszu Satinow, proszę odczytać wyrok.

Satinow nie zdradzał żadnych emocji, ale stalinowscy dostojnicy jak nikt inny potrafili zachować zimną krew. Była to dla nich życiowa konieczność.

Satinow chłodno spojrzął na Benię.

– W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich Trybunał Wojskowy Sądu Najwyższego po rozpatrzeniu waszej sprawy skazuje was na najwyższy wymiar kary, czyli rozstrzelanie.

Beni zrobiło się gorąco. Poczul nagle, że brak mu tchu, i rozpaczliwie zaczął chwytać ustami powietrze. Stał tak blisko stołu sędziowskiego, że widział, jak Ulrich wpisuje do protokołu fatalny skrót: „W.M.N.”, *Wysszaja Miera Nakazaniya*, potocznie „wyszka”. W sowieckiej Rosji każdy departament i każde przedsiębiorstwo, a nawet każdy wyrok miały swój złowieszczco zgrabny akronim. Ale to była pomyłka, straszliwa pomyłka! Potworne słowa wyroku tłukły się w głowie Beni. Wiedział, jak wykonuje się wyszkę, bo będąc pisarzem, zawsze ciekawym wszystkiego, zapytał kiedyś wysokiej rangi czekistę o przebieg egzekucji. Zadał to pytanie w naiwnym przekonaniu, że jego samego nigdy nie spotka taki los. Prowadzimy skazańca do celi, objaśniał czekista, znajdującej się głęboko pod ulicami miasta. Dwóch strażników trzyma go za ręce, a trzeci, szybko, zanim więzień się domyśli, co go czeka, pakuje mu z nagana osiem gramów ołowiu w miejsce, w którym kark łączy się z głową. Na koniec oddaje się „strzał kontrolny” w skroń.

– Nie przyznałem się przecież. Nigdy! Nie...

Ulrich westchnął, szepnął coś Satinowowi i pokazał Beni leżący na stole plik papierów.

– Mam przed sobą podpisane przez was zeznanie, oskarżony Golden.

– To fałszerstwo! Nie zrobiłem nic złego!

– Milczeć! – krzyknął Ulrich i walnął pięścią w stół.

– Podpisaliście to zeznanie czy nie? – zapytał Satinow ze swoim gruzińskim akcentem.

– Nie! Wiecie przecież, nie miałem wyboru, bito mnie. Moje zeznanie zostało wymuszone. Wszystkiemu zaprzeczam, byłem torturowany...

Ulrich otarł płaską twarz dłonią upstrzoną plamami wątrobowymi. Miał za sobą długą noc wyszek – skazywał więźniów i uczestniczył w egzekucjach, w przerwach pokrzepiając się wódką. Było widać, że marzy tylko o tym, by przesłać swój raport towarzyszowi Stalinowi i pójść spać.

– Podpisane zeznanie jest w świetle prawa obowiązujące – oznajmił Ulrich gniewnym, a jednocześnie obojętnym głosem. – Orzeczenie sądu pozostaje w mocy, wyrok jest ostateczny i zostanie niezwłocznie wykonany...

Benia miał wrażenie, jakby otwarła się pod nim zapadnia szubienicy. Oblał się potem i chwyciły go straszliwe mdłości. Strażnicy złapali ślaniającego się więźnia i trzymali go jak bezwładną kukłę.

Satinow nachylił się do ucha Ulricha i coś mu szepnął. Był najwyższym rangą funkcjonariuszem w składzie sędziowskim, towarzyszem broni wielkiego Stalina i nie był zawodowym sędzią. Znalazł się tu z innego powodu. Stalin mianował go „kuratorem”

tego procesu, bo Satinow przyjaźnił się z ludźmi, których miał skazać na śmierć. Była to stalinowska próba wierności.

Ulrich wzruszył ramionami i Satinow odchrząknął.

– Oskarżony Golden, wyrok śmierci na was zostaje uchylony. W zamian zostajecie skazani na dziesięć lat...

Reszta słów utonęła w zgiełku ulgi, jaki rozszalał się w uszach Beni. Czy naprawdę to usłyszał? Tak. A więc dziesięć lat! Co za radość – a wszystko dzięki Satinowowi!

– Dziękuję – wyszeptał Benia w stronę sędziów, lecz ci nie patrzyli już na niego. Wstali i zbierali ze stołu dokumenty. Benia rzucił się naprzód, ale strażnicy chwycili go i przytrzymali.

– Niech wam Bóg wynagrodzi! – krzyknął jeszcze.

– Milczeć! – krzyknął strażnik i uderzył go w bok kolbą. – Ani słowa, więźniu!

Człowiek, który usłyszał wyrok śmierci, przeżył więcej niż inni i dla Beni Goldena nic nie miało być już takie samo. Mógł teraz żyć pełną piersią, namiętnie, z rozmachem. Mógł znowu kochać. Och, jakże kochał życie. Prawie nie zauważył, jak sędziowie jeden za drugim wyszli z sali.

Potem poprowadzono go korytarzami i odwieziono karetką więzienną. W celi uporządkował sobie w myślach wszystko, co się wydarzyło. Wiedział, że całe jego życie do dnia aresztowania się skończyło. Był właściwie martwy, choć jego ciało nie rozkładało się. Został uwięziony w piekle wiecznej terażniejszości. Przypomniawszy sobie rzymskich galerników: miał być teraz jak jeden z nich, zaharować się na śmierć za drutami łagrów. Ale potem pomyślał: dziesięć lat! To przecież nie na zawsze. Mogę przeżyć te dziesięć lat i wrócić do życia, prawda?

Tygodnie i miesiące 1940 roku mijały Beni w celi. Przywykł do więziennego życia, chociaż wiedział, że niebawem się ono skończy, a każdy więzień nienawidzi wszelkich zmian, bo zmiana to niebezpieczeństwo. Benia jednak był świadom, co go czeka: transport, zwany etapem, do jednego z obozów Gułagu.

I któregoś dnia o czwartej rano strażnicy przyszli do jego celi.

– Pobudka! Wychodzić z rzeczami! *Dawaj, dawaj!* Jazda!

Benia nie wiedział, dokąd go wiozą. Jechał na wschód bydłęcym wagonem, który przemierzał powoli bezkresne połacie Uralu i Syberii. Pociągi pełne były brudnych, zawszonych więźniów (wśród nich, jak dowiedział się Benia, znajdowało się wielu Polaków, ofiar ostatnich podbojów Stalina), a w śmierdzących kubłach przelewała się uryna i zakażone dyzenterią odchody. Benia rozmawiał czasem z towarzyszami podróży o zdumiewającym sojuszu Stalina z Hitlerem, którzy podzielili między siebie Polskę. Niemcy niedawno zdobyli Paryż. Jak długo Wielka Brytania będzie się opierać Hitlerowi? Przeważnie jednak leżał w swoim kącie, oszczędzając siły; uczył się słuchać i nie mówić. Jako „polityczny” stał najniżej w hierarchii więźniów. Nawet mordercy i złodzieje znajdowali się wyżej od niego, a najwyższą pozycję zajmowali recydywiści, którzy rządili w bydłęcym wagonie, dostawali najlepsze jedzenie i zabierali wszystko, co im się spodobało. Krótka szarpanina w mroku wagonu wśród zbitych w gromadkę więźniów i jeden z nich zginął, bo miał nieszczęście nosić nowe buty. Potem szybko zabrano mu odzież, czapkę, prowiant. Drzwi wagonu odsunęły się i na tle prostokąta oślepiającego

światła Benia ujrzał taniec bezwładnych rąk i nóg nagiego ciała, wyrzucanego na tory. Po sekundzie drzwi zostały zamknięte i Benia nie był pewien, czy naprawdę widział to wszystko. Wydarzenie dawniej niezwykle i pamiętne, o którym można opowiadać rodzinie, przeczytać w gazecie albo rozmawiać z przyjacielem, stało się tutaj jednym z wielu incydentów, szybko zapominanym w monotonnym potoku dni. Wszy zjadające go żywcem doprowadzały Benię do szału, ale całymi dniami łapał je i rozgniatał, co sprawiało mu rzadkie zadowolenie. Dzięki temu nauczył się, że drobne przyjemności mogą uczynić życie prawie znośnym. Czasami miał wrażenie, że stał się mistrzem w czerpaniu radości z drobiazgów. Na tym polegała sztuka życia w łagrach.

W każdym etapowym więzieniu spędził po kilka tygodni, a każde było odrębnym światem, rządzącym się własnymi prawami. Mijał kolejne miasta: Pietropawłowsk, Nowosybirsk, Irkuck. Wszędzie towarzysze z celi mówili Beni: „Módl się, żebyś nie trafił na Kołymę...”. Ale kiedy ujrzał błękitne wody jeziora Bajkał, wiedział już, że tam właśnie go wiozą.

Wciąż oszołomieni po makabrycznym rejsie statkiem piekłem przez Morze Ochockie, przybyli do Magadanu. Znaleźli się w innym świecie: ośnieżone góry, rześkie powietrze i księżycowy krajobraz kopalń złota. Benia wyobrażał sobie, że Magadan będzie wyglądał jak miasta z czasów gorączki złota, o których czytał w powieściach swego ukochanego pisarza Jacka Londona. Że będzie jak Dziki Zachód z *Ostatniego Mohikanina*, z jego rewolwerowcami, traperami i Indianami. Był jeszcze wrzesień, ostatnie tygodnie, gdy Morze Ochockie pozostawało wolne od lodu. Niebawem Kołyma miała zostać odcięta od kontynentu na wiele miesięcy.

Konwojenci poprowadzili ich grupami błotnistą drogą, która wiodła pod górę i zwana była szosą kołymską. W obozie Benia i jego towarzysze zostali rozebrani, umyjni i ogoleni, a ich ubrania odwszono. Benia widział, jak pod prysznicami mężczyźni, jedni na klęczkach, drudzy nachyleni, spółkują gorączkowo, czerpiąc z kielicha rozkoszy garściami o białych knykciach. Nazajutrz stanął nago przed komisją lekarską, złożoną z lekarza i czekisty. Starał się wyglądać na słabowitego starca, ale lekarz, który sam był więźniem, przybił na jego aktach pieczętkę jak wyrok: „KOŁYMA – TFT. Zdolny do Ciężkiej Pracy Fizycznej”.

– Ale ja jestem za słaby – zaprotestował Benia.

– Stul pysk, ścierwo – warknął strażnik. – Za symulowanie choroby możesz zarobić osiem gramów w łeb. Za skargi karcer. Jazda!

Nazajutrz został obudzony o czwartej rano.

– *Dawaj, dawaj!* Wychodzić z rzeczami!

Ciężarówka z silnikiem nie na benzynę, lecz na gaz drzewny zawiozła Benię szosą kołymską na górskie pustkowie, między rwące potoki, stada reniferów i urwiste wąwozy. Potem ukazały się druty kolczaste i wieże wartownicze, drewniane baraki, a w końcu brama obozu Madiak-7.

Wielki napis głosił:

CHWAŁA GENIALNEMU STALINOWI

CHWAŁA STALINOWI, NASZEMU UKOCHANEMU PRZYWÓDCY

CHWAŁA STALINOWI, PRZYJACIELOWI KLASY ROBOTNICZEJ

I OJCU DZIECI SOWIECKICH

A u dołu:

WIĘCEJ ZŁOTA DLA NASZEGO SOCJALISTYCZNEGO RAJU!

Nazajutrz wczesnym rankiem, podczas pierwszego apelu, setki mężczyzn stało na baczność we mgle. Więźniowie funkcyjni formowali z nich brygady robocze, wymachując pałkami i nahajkami. Brygadierzy składali meldunki komendantowi.

– Brygada liczy dwudziestu ośmiu więźniów – raportował kierownik brygady Beni, kryminalny zwany Szurikiem. – Jeden zmarł wczoraj w kopalni, jeden został rozstrzelany za niesubordynację. Jeden umarł rano w baraku, dwóch chorych pozostało w baraku, jeden samookaleczony w karcerze. Pięciu nowych. Stan: dwudziestu siedmiu!

Poprowadził ich do kopalni.

– Pracujecie, jecie. Nie pracujecie, umieracie – ostrzegł Szurik Benię i jego kolegów zeków, jak w łagrach nazywano więźniów.

Przed Benią piętrzyła się ogromna hałda błota i kamieni wydrążona ze zbocza góry. Było to prawdziwe mrowisko, rojące się od robotników i uzbrojonych strażników, pełzających po drewnianych kładkach albo ryjących głębokie wąwozy. Wyglądali jak małe figurki na tle krajobrazu, który więźniowie zdążyli już nazwać ciemną stroną księżyca.

II

– No, bandyci, koniec na dzisiaj – oznajmił pułkownik Meliszko, dowódca batalionu karnego. Benia sam nie wiedział, jak przeżył Kołymę. W każdym razie półtora roku później, w lipcu 1942 roku, znalazł się w południowej Rosji, niedaleko od Stalingradu.

O zachodzie słońca tego upalnego, letniego dnia stali półkolem wokół Meliszki w maneżu stadniny nr 9 imienia marszałka Siemiona Budionnego nad Donem. Była to kraina koni, ziemia rodzinna Kozaków dońskich. Szkolili się od siedmiu miesięcy.

– Jesteście gotowi, żeby wykonać swoje pierwsze zadanie. Będziecie potrzebni szybciej, niż ktokolwiek z nas przypuszczał. Ojczyzna w niebezpieczeństwie! – zakrzyknął Meliszko.

Benia uchwycił spojrzenie swego przyjaciela Pyszczepty, który stał obok niego. Pyszczepta uśmiechnął się szeroko, ale szorstka pewność siebie Meliszki nie mogła zamaskować popłochu malującego się na twarzach pozostałych oficerów. Kiedy w grudniu 1941 roku Benia rozpoczął szkolenie, front znajdował się daleko, a Niemcy zostali pokonani na przedpolach Moskwy. Teraz wojna przyszła do nich; od wczoraj słyszeli nawet huk artylerii niemieckiej, bo Niemcy zbliżali się do Donu.

– Wy bandyci macie szczególny powód, żeby walczyć zażarcie za ojczyznę! Kiedy dostaliście się pod moją komendę, byliście zwykłymi szumowinami. Teraz jesteście

gotowi do walki jak wojska regularne, jesteście dobrymi żołnierzami i świetnymi jeźdźcami – spod półkolistych brwi wyglądających jak skrzydła Meliszko spojrzał ciepło na Benię – i nawet największy fajtlapa potrafi utrzymać się siodle.

Pryszczepa otarł łzy, które płynęły po jego młodych policzkach. Był zawsze skory do płaczu i do śmiechu. Szedł przez życie radosny jak ptaszek i nic nie mąciło jego pogody ducha – ani pobyt w łagrach, ani dzisiejsza parada, ani jutrzejsza bitwa. „Życie jest łatwe dla takich prostych ludzi jak ja – mawiał. – Wystarczy po prostu żyć”. Benia lubił przyglądać się Pryszczepie. Nigdy nie przestał interesować się naturą ludzką, a nie było bardziej fascynującego laboratorium do takich badań niż łagry czy oddział zatwardziałych przestępców i żołnierzy skazanych przez sąd wojenny.

Benia i Meliszko odbywali karę w tym samym obozie na Kołymie. Po swoim aresztowaniu generał Meliszko był wyjątkowo okrutnie torturowany: stracił wszystkie zęby i paznokcie. Tylko jego wąsy, gęste, siwe i sztywne jak stary pędzel, pozostały te same. Ale kiedy zaczęła się wojna, został jednym z pierwszych oficerów powołanych znów do szeregów, choć zamiast dywizji albo korpusu dostał tę hałastrę i stopień pułkownika. Wszyscy jednak nadal tytułowali go generałem i Benia cieszył się, że Meliszko nic się nie zmienił. Był taki sam, gdy przemawiał teraz do żołnierzy, jak wtedy, kiedy stał w kolejce po zupę na Kołymie.

W podobnym do stodoły maneżu, przeznaczonym do szkolenia wierzchowców, Meliszko stanął samotnie z przodu, a za nim zajęli miejsca kapitan Ganakowicz, ich politruk, czyli oficer polityczny, i Paweł Mogilczuk, szef oddziału specjalnego tajnej policji.

Benia nie znał szczegółów – prawda była zawsze „ściśle tajna” – ale wiedział, że wojska sowieckie szybko się cofają i nowa klęska wisi w powietrzu. Ganakowiczowi nerwy odmawiały posłuszeństwa, Mogilczuk trząsał się. Po każdym wybuchu niemieckich dział strach ściskający żołądek Beni osiągał wyższy stopień nasilenia.

– Pamiętajcie, co wam zawsze powtarzałem – grzmiał Meliszko. Z powodu sztucznej szczęki głos mu się łamał na samogłoskach. – Nie dostaniecie mnie!

Była to fraza zapożyczona z jego ulubionego filmu i żołnierze uwielbiali ją.

– Urrraaa! – krzyknęli, ale wtem rozległ się tupot nóg. Do maneżu wbiegł rotmistrz Żurko i podał Meliszce jakąś kartkę.

– Zostać na miejscach – polecił Meliszko. – Czekamy na ważny rozkaz ze Stawki.

„Stawka” była kwaterą główną naczelnego dowództwa w Moskwie. Benia i Pryszczepa wymienili spojrzenia. Pryszczepa zaczął nucić pod nosem: *Nie krąż nade mną, czarny kruku...*

III

Znacznie dalej na północ, w Moskwie, starszy mężczyzna w wojskowej bluzie i workowatych szarych spodniach wpuszczonych w buty z kozłej skóry siedział za wielkim biurkiem w obszernym gabinecie. Jego ospowata, ziemista twarz naznaczona była zmęczeniem.

Zabudowania Kremla przykryte zostały siatką maskującą, a nad miastem unosiły się balony zaporowe, mające dezorientować niemieckie bombowce. Wewnątrz jednak nic

się nie zmieniło: długi stół, biurko z dostawką w kształcie litery „T” i rzędem bakelitowych telefonów, ponure zasłony w oknach i podświetlana maska pośmiertna Lenina na ścianie. Niedawno jednak do twórcy państwa sowieckiego dołączyły portrety olejne carskich paladynów: Suworowa i Kutuzowa. Gabinet ten, zwany przez bywalców „Kącikiem”, był sztabem wojsk sowieckich. Linie telefoniczne i telegraficzne, znajdujące się w sąsiednim pokoju, zapewniały gospodarzowi gabinetu łączność z niezmiernym, często nieprzewidywalnym i niemożliwym do opanowania światem okrutnej wojny milionów ludzi.

– Zostaliśmy wyprowadzeni w pole – powiedział cicho Stalin. – Cały południowy front załamuje się. Nasi dowódcy to durnie i sługusy. Brak nam zdolnych ludzi. I ciągle czekamy na główną ofensywę w kierunku Moskwy.

Przy bliższym końcu długiego stołu siedziało trzech ludzi. Mołotow, krępy, grubo ciosany, o okrągłej czaszce i w binoklach, kiwał głową. Jako jedyny był ubrany po cywilnemu: popielaty garnitur, szary krawat i koszula ze sztywnym białym kołnierzykiem. Odznaczał się lepką bladeścią biurokraty, który nigdy nie widywał światła słonecznego. W kręgu Stalina nazywano ją „kremłowską opalenizną”.

– Macie słuszość, towarzyszu Stalin – przytaknął Ławrientij Beria, ludowy komisarz spraw wewnętrznych, szef tajnej policji. Ubrany w enkawudowski mundur, miał szerokie plecy i szarą twarz, ale tryskał pomysłami, zawsze czujny i bezwzględny.

Trzeci z gości, Herkules Satinow, odziany w mundur generała pułkownika, zabrał głos:

– Towarzyszu Stalin, jestem przekonany, że *to* jest główna ofensywa niemiecka. Rzucają wszystkie siły na Don i Kaukaz. Nasza ocena była mylna. Nie ma ofensywy na Moskwę. Ja sam się pomyliłem i chętnie poniosę odpowiedzialność. Jeśli uważacie to za konieczne, gotów jestem stanąć przed sądem. Nabrali nas...

Przez dłuższą chwilę Stalin patrzył z pogardą na Satinowa. Mógł nazywać go głupcem, zdrajcą, może nawet kazać go aresztować, ale Satinow, jego faworyt i Gruzin, tak jak on, zawsze mówił mu prawdę. A w tej chwili Stalin potrzebował prawdy, całej prawdy. Przed sześcioma tygodniami, 19 czerwca, niemiecki storch rozbił się pod Charkowem za sowieckimi liniami. Leciał nim oficer sztabowy, major Reichel, wiozący w teczce plany południowej ofensywy Hitlera o kryptonimie „Blau”. Kilka godzin później Stalin przeglądał te plany w swoim gabinecie w towarzystwie chóru greckiego w tym samym składzie: Mołotow, Beria i Satinow.

– To podstęp – oznajmił wtedy Stalin. – To klasyczna dezinformacja. Czy te łajdaki sądzą, że damy się na to nabrać? Południowa ofensywa ma odciągnąć nasze siły od głównego kierunku. Wielka ofensywa pójdzie na Moskwę.

Trzej członkowie Politbiura jak zawsze zgodzili się z nim. Teraz jednak było już jasne, że popełnili błąd i czołgi Hitlera nacierają przez południowe równiny w kierunku Stalingradu. Powstało niebezpieczeństwo, że terytorium Rosji zostanie przecięte na pół.

Stalin ominął wzrokiem członków Politbiura i spojrzał na jeszcze jednego gościa. Szef sztabu, generał Aleksandr Wasilewski, pochylał się nad mapą południowego teatru działań wojennych, upstrzoną strzałkami i symbolami.

– Towarzyszu Wasilewski?

Generał, wyglądający jak zawodowy oficer carski, wyprężył się.

– Satinow ma rację, towarzyszu Stalin. To właśnie jest główna ofensywa niemiecka.

Stalin skinął głową, pocierając twarz obiema rękami. Wydawało się, jakby rozsiewał wokół aurę zmęczenia. Satinow mógł tylko podziwiać jego samoopanowanie, stalowy, inteligentny chłód, którym wciąż tchnął mimo popełnienia tylu kardynalnych błędów. Ale w ostatnim roku wyraźnie się postarzał; ubranie wisiało na nim w fałdach.

Obite wołokiem drzwi uchyliły się bezgłośnie i stanęła w nich karła postać Aleksandra Poskriobyszewa, również w mundurze i butach z cholewami.

– Już są, towarzyszu Stalin.

Stalin kiwnął ręką. Do pokoju weszło dwóch kawalerzystów i stanęło przed nim na baczność. Obaj przylecieli właśnie z frontu i zostali zawiezieni prosto na Kreml. Twarze wciąż mieli pokryte bitewnym kurzem. Satinow czuł ich pot i rozpacz.

– Meldujcie, towarzyszu Budionny – rozkazał Stalin swoim lekkim tenorem.

– Niemiecka Grupa Armii A przełamała pozycje Frontu Północnokaukaskiego – raportował marszałek Budionny. Jego wydatny tors, krzywe nogi jeźdźca w butach z cholewami i bryczesach z czerwonym lampasem, a nawet wspaniałe napomadowane wąsy zdawały się mniejsze w chwili klęski. – Nasze wojska są w odwrocie. Nieprzyjaciel osiągnął linię Donu i próbuje przebić się na Kaukaz, aby opanować pola naftowe. Staramy się przegrupować siły. Rostów padł.

– Rostów? – powtórzył Stalin z niedowierzaniem.

– To kłamstwo! Siejecie panikę – krzyknął Beria. – Meldujcie zgodnie z prawdą!

Ale Budionny nie słuchał. Kiedy w 1937 roku, w czasach wielkiego terroru, przyszli go aresztować, wyjął pistolet i zagroził, że zabije ich i siebie, krzyżąc: „Dajcie mi Stalina do telefonu!”. Stalin uchylił nakaz aresztowania marszałka.

– Nasi żołnierze wycofali się z Rostowa – ciągnął Budionny. – Zrobili w tył zwrot i uciekli. Zwyczajnie pierzchli jak zające! Przyznaję, że wystąpiły przejawy tchórzostwa i niekompetencji. Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność.

– A wy, towarzyszu Timoszenko? – zwrócił się Stalin do drugiego kawalerzysty. – Jaką dobrą nowinę nam przywozicie?

Timoszenko pokręcił lśniąca w elektrycznym świetle łysą głową.

– Front Stalingradzki rozpada się. Wojska niemieckie dotarły do Donu i opór stawiają im już tylko dwie armie, broniące wielkiego łuku rzeki. Nie jesteśmy w stanie utrzymać Woroneża. Powiedziałbym nawet... – zająknął się.

– Mówcie prawdę towarzyszowi Stalinowi! – groźnie ostrzegł Beria.

– Moim zdaniem sam Stalingrad jest w niebezpieczeństwie.

Stalingrad! Miasto noszące imię wodza, który odznaczył się tam podczas wojny domowej. Satinowowi zaparło dech, nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– To łgarstwo! Stalingrad nigdy nie padnie – obwieścił Beria ze swoim twardym megrelskim akcentem. – Panikarzy należy rozstrzeliwać! Niemcy są setki kilometrów od Stalingradu.

Spojrzenie piwnych oczu Stalina spoczęło na Wasilewskim, który nanosił nowe informacje na rozłożone na stole mapy. Ufał Wasilewskiemu.

– Co sądzicie?

Wasilewski nieśpiesznie ważył słowa.

– Zatrzymamy Niemców w łuku Donu, ale należy pilnie przygotować się do obrony Stalingradu oraz opracować plan ewakuacji fabryk czołgów. Proponuję radykalną odbudowę frontów południowych i już ich powiadomiłem, że mają się spodziewać nowych rozkazów ze Stawki.

Stalin zapalił papierosa marki Hercegowina Flor i na chwilę pograżył się w zadumie. W pokoju panowało głucho milczenie, a każdy obłok papierosowego dymu zdawał się ciężki od skupionego namysłu. Dwaj marszałkowie wciąż stali wyprężeni na baczność, Wasilewski wrócił do swoich map, a trzech najbliższych współpracowników wodza czekało w napięciu na jego opinię.

– Timoszenko i Budionny, poczekajcie za drzwiami – rozkazał w końcu Stalin.

Marszałkowie zaszalutowali i wyszli.

– Oczywiście Stalingrad nie jest zagrożony, jeszcze nie. Ale nie będę tolerował ani jednego kroku wstecz. Ani kroku wstecz... – powtórzył, aby to hasło zapadło obecnym w pamięć.

– Towarzyszu Stalin – rzekł Satinow po krótkiej pauzie. – Hitlerowcy z powodzeniem używają batalionów karnych złożonych z kryminalistów i żołnierzy skazanych przez sądy wojenne. Szkolimy już oddziały karne tchórzy i przestępców, częściowo werbowanych w łagrach. Proponuję jednak, żebyśmy nadali im formalny charakter, utworzyli bataliony karne na każdym froncie i rzucili je do walki...

– Ludzie nie mający wyjścia walczą jak diabły – zgodził się Stalin. – Bardzo dobrze.

Podniósł słuchawkę jednego z bakelitowych aparatów i powiedział:

– Przyjdźcie tutaj.

Poskriobyszew stanął w drzwiach z notatnikiem i ołówkiem w ręku.

– Zapiszcie – polecił mu Stalin. – Rozkaz nr 227 ludowego komisarza obrony.

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Kiedy zaciągał się papierosem, ręka mu drżała.

– Nadajcie go telegraficznie do wszystkich frontów. Jeszcze dziś wieczorem ma zostać odczytany we wszystkich oddziałach... Nieprzyjaciel rzuca przeciwko nam nowe siły... Niemieccy najeżdżcy prą na Stalingrad... zajęli już Nowoczerkask, Rostów nad Donem, pół Woroneża... Nasi żołnierze, podjudzani przez panikarzy, haniebnie opuścili Rostów... Rozkazuję: Ani kroku wstecz...

IV

– Ani kroku wstecz! Oto nasze hasło!

W nagrzanym, parnym wnętrzu ujeżdżalni Meliszko odczytywał otrzymany właśnie z Moskwy rozkaz Stalina. Benia poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Zaczynał się nowy, groźny etap w jego życiu.

– Stawka rozkazuje: „Każda armia ma utworzyć dobrze uzbrojone oddziały zaporowe (po dwustu ludzi) i rozmieścić je na tyłach wszystkich niepewnych dywizji. W razie jakiegokolwiek odwrotu mają one rozstrzeliwać na miejscu panikarzy i tchórzy...

Ani kroku wstecz... Szkolimy już jednostki karne złożone z więźniów. – Benia i jego towarzysze broni słuchali w skupieniu. Sam Stalin miał zdecydować o ich losie. – Rozkazuję sformować przy każdym froncie bataliony karne – *sztrafnyje batalony* – złożone z ludzi winnych przestępstw i złamania dyscypliny z powodu tchórzostwa lub dezorientacji. Mają być oni rzućani na najtrudniejsze odcinki, aby mieli szansę odkupić swoje grzechy przeciwko ojczyźnie, przelewając krew... Taki jest rozkaz naszej ojczyzny. Ma on zostać odczytany we wszystkich kompaniach, szwadronach kawalerii, bateriach i sztabach. Ludowy komisarz obrony, I. Stalin”.

Meliszko złożył kartkę i spojrzał ponuro na swoich „bandytów”.

– Towarzysz Stalin przemówił i...

– Proszę o pozwolenie na zadanie pytania! – rozległ się jakiś głos. Meliszko kiwnął głową.

– Co oznacza „odkupienie grzechów przez przelanie krwi”? – zapytał Pryszczepa. Tylko on mógł ośmielić się o to zapytać.

Meliszko otarł pot z czoła, wcierając go w kosmyki rzadkich rudawych włosów. Jego podwładni zamarli w oczekiwaniu, niecierpliwie wyciągając szyje.

– Towarzysz Stalin ma na myśli to, że są tylko dwa sposoby odzyskania przez was wolności. Śmierć albo odniesienie rany w bitwie.

Żołnierze wstrzymali na chwilę oddech, uświadamiając sobie, jak okrutnie proste jest ich dalsze życie.

– Rozumiecie, bandyci? – zapytał Meliszko. – Macie szansę odzyskać wolność w bitwie. Niebawem zostaniecie skierowani na pole walki. Dobrze się dziś wyśpijcie... Słucham, towarzyszu?

Ganakowicz szepnął coś Meliszce na ucho.

– Słusznie – odparł Meliszko. – Towarzysz Ganakowicz wyjaśni wam wszystko dokładniej.

Kapitan Ganakowicz chwiejnym krokiem wystąpił naprzód.

– Chłopcy, towarzysze, koledzy, *sztrafniki* – zaczął głębokim, spiżowym głosem, który rezerwował na takie podniosłe okazje. – Nosicie piętno obcych elementów, morderców, wykołajeńców, burżuazyjnych nieuków, kontrrewolucyjnych przestępców, ale odbyliście reedukację, przeszkolenie i macie zaszczyt walczyć za socjalistyczną ojczyznę i wielkiego genialnego Stalina – a ja będę tam z wami, ramię przy ramieniu! – Jak przystało na stalinowskiego komisarza Ganakowicz wyciągnął pistolet i uniósł go wysoko nad głowę. – Jako skazańcom i tchórzom nie przysługują wam prawa żołnierzy. Nie dowiedziecie się nawet, jak się nazywa wasz front, i nie dostaniecie map. Z wdzięcznością przyjmiecie swoje zadanie i wykonacie je. Jeżeli ja lub oddział specjalny zauważymy najmniejsze wahanie, odstęstwo, niesubordynację, jakieś słowo, spojrzenie, a nawet myśl, dostaniecie osiem gramów, czyli zostaniecie natychmiast rozstrzelani!

Głośno przełknął ślinę – w podnieceniu często o tym zapominał, przez co w ustach gromadziły mu się wielkie ilości śliny i musiał je potem przełykać hurtem, w jednej kuli flegmy.

Meliszko wyglądał na zażenowanego, ale byli więźniowie słuchali z niewzruszonym spokojem. Rzeczy, które widzieli w łagrach albo podczas wielkiego

odwrotu w 1941 roku, przyzwyczyły ich do chorobliwej bufonady sowieckich funkcjonariuszy.

– Dziękuję, towarzyszu Ganakowicz, wasze przemówienie wniosło bardzo dużo – rzekł Meliszko, znów wysuwając się naprzód. Żołnierze czuli, że pogardza obmierzłym partyjniakiem, i podzielali jego niechęć. – Powodzenia, bandyci! Będę tam z wami! Niech żyje Stalin!

– Przepraszam, pułkowniku – przerwał mu tajniak Mogilczuk. – Jest jeszcze jedna sprawa. Kapitan Ganakowicz wyjaśni ją żołnierzom.

– Muszą odpocząć i oporządzić konie – zaoponował Meliszko. – Czy nie dość się nasłuchali waszych mów?

– Jeszcze nie. Przyprowadzić więźnia!

W tłumie żołnierzy zaległa cisza, gdy enkawudziści z bronią gotową do strzału wypchnęli przed nich jakiegoś człowieka. Benia poznał od razu, że to młody Poliak, płaczący teraz załóżnie. Boże, modlił się Benia, daj chłopakowi siłę! Ale żaden Bóg nie mógł mu teraz pomóc, w ich życiu w ogóle nie było Boga.

Kiedy Poliak znalazł się przy grupce oficerów na środku manège, Mogilczuk zrobił ruch ręką i stojący zatrzymali biedaka. Poliak zachwiał się, ale strażnicy podtrzymali go.

– Chłopcy, bracia, jeśli wspaniałomyślność wielkiego Stalina zostanie podstępnie nadużyta, skutek może być tylko jeden – oświadczył złowrogo Ganakowicz. Jako człowiek całkowicie ukształtowany przez partię komunistyczną lubił uchodzić za przywódcę mas, mającego dobry kontakt z ludźmi. Gdyby żołnierze tańczyli kalinę, Ganakowicz wskoczyłby w środek koła i zaczął wykonywać fantazyjne podskoki. Gdyby pili wódkę, Ganakowicz, klepiąc ich po plecach, stawiałby im kolejki i opowiadał o swoich bohaterskich czynach wątpliwej autentyczności – jak odznaczył się podczas kampanii zniwnej w 1932 roku, poznał Mołotowa, rozgromił komórkę trockistowską w swojej fabryce i oczywiście o swoich miłosnych podbojach. Tylko zadarty nos i świńskie oczka zdradzały prawdę o tych przechwałkach. Ganakowicz głośno przełknął ślinę. – Oddaję was w ręce naszych czekistowskich rycerzy rewolucji.

Mogilczuk, otoczony przez enkawudzistów, postąpił naprzód.

– Każdy, kto celowo zadaje sobie rany, żeby uniknąć walki albo uzyskać darowanie kary, dostanie osiem gramów. Wachmistrz Poliak został skazany na służbę w batalionie karnym, bo podczas bitwy o Kijów wycofał się bez rozkazu. Wczoraj wieczorem, słysząc o skierowaniu na front, ten tchórzliwy łajdak usiłował za wszelką cenę symulować chorobę, umyślnie się kalecząc.

– To było prawdziwe skaleczenie! – zajęczał Poliak.

– Milczeć! – uciął Mogilczuk. – Został zadenuncjowany przez członka służby sanitarnej. Po przeprowadzeniu dochodzenia zgodnie z rozkazem Stawki zostaje niniejszym skazany na wyszkę. Wyrok będzie wykonany niezwłocznie przed frontem batalionu.

Żołnierze wstrzymali oddech.

– Karniacy, chłopcy, koledzy! – krzyknął Ganakowicz, nie próbując nawet ukryć podniecenia. – Zgłaszajcie się na ochotnika do plutonu egzekucyjnego.

Meliszko spuścił wzrok i przyglądał się swoim butom. Było tak gorąco, że Benia

oddychał z trudem. Przypomniawszy sobie, jak swego czasu usłyszał własny wyrok śmierci. Spojrzał na chłopaka: Mitko Poliak, przecież często ze sobą rozmawialiśmy. Skoro tak bardzo się bałeś, czemu nie przyszedłeś z tym do mnie?

Żołnierze kiwali się, przestępując powoli z nogi na nogę, muchy bzyczały.

– Powtarzam – zawołał Ganakowicz. – Zgłaszajcie się na ochotnika do rozstrzelania więźnia!

Cisza.

Ganakowicz znów uniósł pistolet.

– A może mam zrobić to sam?

Benia i Pyszczepta spojrzeli na siebie. Żyli w Rosji rządzonej przez Ganakowiczów, ale jak na ironię w pułku rzezimieszków nikt nie palił się do zabijania.

– Ja go zastrzelę! – usłyszeli głos. „Pająk” Haranża podniósł rękę.

– Szeregowy Haranża, wystąp – rozkazał Ganakowicz.

Poruszając się z właściwą sobie powolnością, Haranża stanął przed frontem batalionu i skrzyżował na piersiach owłosione ramiona. Widać było, że napawa się siłą swych cyklopowych członków i przerażającym wrażeniem wywoływanym przez swoją twarz. Wyglądał jak olbrzymi mięsisty pająk, na przykład ptasznik. Benia zrozumiał teraz, skąd wzięło się przezwisko Haranży.

– Kto jeszcze? Potrzebny jest jeszcze jeden. No, dalej, żołnierze. Kto się zgłosi?

– Ja!

Był to „Uśmiechnięty”, czeczeński gangster, którego Benia poznał podczas upiornej podróży morskiej na Kołymę.

– Szeregowy Ułybnusz, wystąp! – ryknął Ganakowicz, używając prawdziwego nazwiska „Uśmiechniętego”.

– Zajmijcie stanowiska – polecił Mogilczuk – bo sami staniecie przed trybunałem.

„Uśmiechnięty” poruszał się swobodnym, tanecznym krokiem człowieka, który całe życie żył poza prawem, nawet we śnie zachowywał czujność, zawsze oglądał się za siebie i stale popełniał nowe podłości.

Poliak spojrział na dwóch opryszków i zaczął drżeć na całym ciele.

– Niech to się skończy jak najszybciej – szepnął do siebie Benia.

Pyszczepta modlił się, dotykając swojego medalika na łańcuszku. Rozglądając się, Benia zobaczył, że wielu Kozaków wśród żołnierzy batalionu również bezgłośnie porusza ustami.

Ganakowicz podał nagany egzekutorom. Obaj wzięli je tak, jakby urodzili się z pistoletami w dłoniach.

– Na kolana, więźniu! – wrzasnął Ganakowicz, przełykając ślinę.

Strażnicy odwrócili Poliaka plecami do żołnierzy i zmusili go, by uklęknął. Benia zobaczył, że pochylony, piegowaty kark skazańca oblewa się jasną czerwienią. Czasami kark człowieka ma tyle samo charakteru, co jego twarz – pomyślał. Poliak zaczął chwytać powietrze jak topielec, otwierając szeroko usta i odrzucając do tyłu głowę. Przestał być człowiekiem, był już tylko śmiertelnie przerażonym zwierzęciem, które za kilka sekund miało umrzeć, jak krowa w rzeźni.

Haranża i „Uśmiechnięty” odbezpieczyli pistolety. Najpierw Haranża, a potem

„Uśmiechnięty” strzelili Poliakowi w kark, a oba strzały zwały się w jeden. Kiedy Benia otworzył oczy, Poliak leżał na boku. Mogilczuk wyjął pistolet i krzywiąc się ze zdenerwowania – nie miał doświadczenia w obchodzeniu się z bronią – oddał strzał kontrolny w skroń Poliaka. Benia zauważył, że Meliszko ani razu nie podniósł oczu.

– Dobra robota! Sanitariusze! – zawołał Ganakowicz.

Dwie sanitariuszki przybiegły z noszami i wtoczyły na nie leżące zwłoki. Potem lekarz batalionowy doktor Kapto, którego Benia znał dobrze z łagrów, ukląkł przy Poliaku, dotknął jego szyi i skinął Ganakowiczowi głową.

– Stwierdzam zgon – oświadczył.

– Dziękuję, doktorze – odpowiedział Ganakowicz, patrząc spode łba na żołnierzy.

– Nauczka na przyszłość, nauczka na przyszłość, co, chłopaki?

V

Benia przyszedł na padok i oparł się o białą barierkę. Wieczór był różowy i cichy, prawdziwe rosyjskie *sumierki*, jeden z tych pięknych letnich wieczorów, gdy z powodu upału nie można zasnąć, a powietrze jest miękkie jak aksamit. Wieczór w sam raz na spacer z dziewczyną, którą chce się pocałować – pomyślał Benia. Na horyzoncie błyskało się. Działa huczały i wydawało się, że są coraz bliżej. Czasami dolatywał warkot silników – czołgi wyładowywane na stacji ruszały prosto na front. Po drugiej stronie Donu tysiące Rosjan walczyło o życie. A gdzieś bardzo blisko ciało Poliaka zostało wrzucone do nieoznaczonego grobu i przysypane warstwą żyznego czarnoziemiu. Czy zastrzelili chłopaka *pour encourager les autres*, by wpoić karność niezdyscyplinowanym żołnierzom, zastanawiał się Benia, czy też Poliak naprawdę przeraził się perspektywą wyjazdu na front i specjalnie się zranił?

Samotność koła nerwy Beni. Jedną z udręk życia w łagrach i w wojsku była nieustanna obecność innych ludzi. Tęsknił za luksusem odosobnienia. Dlatego właśnie tak kochał rozległe stepy. Często zapuszczał się tam po nocy, aby palić papierosy, marzyć i rozmyślać o córce, która mieszkała z matką, była żoną Beni. Czy są bezpieczne w Brukseli lub w Paryżu, a może pojechały dalej, do Madrytu albo Londynu? Jego córka musiała już być młodą kobietą – nie widział jej od wielu lat... Myślał też o rodzicach. Odessę zajęli sojusznicy Hitlera, Rumuni, którzy podobno rozpętali tam piekło; większość mieszkających w mieście Żydów miała zostać zamordowana na ulicach. Czy ich też spotkał taki los? A może jednak uciekli na wschód?

Spojrzał na gwiazdy i przypomniała mu się Saszeńka. Czy ona naprawdę istniała? Ogarnęła go fala miłości; zatęsknił do jej ust, napiętych ścięgien pod kolanami w chwili, gdy jej nogi oplatały go. Jeżeli była gdzieś tam, wśród gwiazd, posłał jej pocałunki: „Kocham cię!” – szepnął. Ale choć wyteżał słuch, aby usłyszeć odpowiedź, nie dobiegł go żaden dźwięk, nawet echo. Nie wiedział, czy ktokolwiek z ludzi, których kochał, pozostał jeszcze przy życiu...

Z lękiem pomyślał o jutrze. Na łące rżały konie. Po tutejszych padokach biegały ich tysiące – budionnowskie wierzchowce, wyhodowane przez pierwszego sowieckiego kawalerzystę, marszałka Budionnego. Była między innymi jego klacz, Srebrne Skarpetki. Spojrzał w stronę miejsca, w którym mogłaby się znajdować, i wydało mu się, że widzi

białą strzałkę na jej czole i białe pęciny. Zanurzył się w ciemność, klaskając językiem jak Kozacy. Konie zaczęły podchodzić. Pierwsza wśród nich była jego klacz i Benia poczuł, że nie jest już tak samotny. Włożyła mu w rękę swój miękki pysk, a gdy nachylił się do jej długiego łba i zbliżył oczy do jej oczu, uświadomił sobie, że płacze: nad innymi, nad Poliakiem i być może nad sobą. Srebrne Skarpetki powoli kołysała łbem, a jej oddech pachniał soczystą trawą.

Potem usłyszał cichy trzask i odwrócił się, pozostawiając jedną rękę na szyi klaczy. To Pryszczepa zapalał papierosa.

Przypaliwszy, Pryszczepa oddał papierosa Beni.

– Ten dla ciebie, a drugiego zaraz sobie skręcę.

Machorka była mocna i Benia zaczął kasłać, ale był wdzięczny Pryszczepie za papierosa. Nieco dalej dojrzał lekarza i jedną z sanitariuszek; byli to jego przyjaciele z Kołomy. Doktor Kapto przyjrzał się Beni.

– Jak się miewasz, drogi przyjacielu? – zapytał, kładąc mu rękę na ramieniu. – Wszyscy jesteśmy trochę zdenerwowani. Spokojnie, tylko spokojnie! Wszystko będzie dobrze.

– Dzięki Bogu, idzie pan z nami – odparł Benia.

– A wy, Pryszczepa, jak się czujecie? – zapytał Kapto Kozaka.

– Nigdy nie myślę o jutrze – odpowiedział pogodnie Pryszczepa. Zdażył już zapomnieć o Poliaku.

– Będzie pani z nami, Toniu? – zapytał Benia sanitariuszkę, która pracowała u Kapy w szpitalu na Kołymie.

– Oczywiście, jadę z wami.

Tonia nigdy nie mówiła wiele. Była jak żarówka bez światła i zawsze znajdowała się w cieniu drugiej sanitariuszki, Niuszki, dziewczyny o brzoskwińowej cerze i długich nogach.

– Widzieliśmy, jak go grzebią – powiedziała tylko Tonia i Benia wiedział, że ma na myśli Poliaka.

Razem odbyli szkolenie – tu właśnie, daleko za linią frontu. Uczyli się strzelać z podstawowej broni, karabinów Mosin i erkaemów konstrukcji Diegtiariowa... Rotmistrz Żurko organizował zawody w ich rozkładaniu i składaniu. Najtrudniejsze było nauczenie się ładowania pistoletu maszynowego PPSz po ciemku: zdjęcie pokrywy bębna, ściśnięcie sprężyny i wepchnięcie do środka naboju. Poznali też pistolety: nagany i niemieckie parabellum oraz wielkokalibrowe karabiny maszynowe Diegtiariowa-Szpagina. Wszystkiemu nadawali przydomki: pistolety PPSz nazywali pepeszami, karabiny Diegtiariowa-Szpagina daszkami, a nowe pociski wystrzeliwane z ciężarówek – katuszami.

Kwaterowali w bazie wojskowej przeznaczonej dla kawalerii. A ponieważ w jednostce karnej było wielu Kozaków, Meliszko, sam stary kawalerzysta, postanowił zrobić z nich oddział jazdy.

– Nawet w epoce broni pancernej – powiedział im pierwszego dnia – doktryna Armii Czerwonej, rozwinięta przez marszałka Budionnego według wskazówek wielkiego Stalina, głosi, że kawaleria jest potężną siłą atakującą o niezrównanej szybkości

i ruchliwości. Nadaje się do ataków czołowych, manewrów osłaniających, działań rozpoznawczych i głębokich wypadów na tyły wroga. W idealnych warunkach, takich jak te na dońskim stepie, kawaleria może poruszać się ze średnią prędkością dziesięciu, a nawet piętnastu kilometrów na godzinę...

Po przemówieniu Meliszki wystąpił ich instruktor, wachmistrz Pantalejmon Czurielko, doński Kozak, którego wszyscy nazywali Panką. Miał gęste siwe włosy zaczesane w czub, sumiaste wąsy podkręcone do góry oraz bokobrody tak krzaczaste i szerokie, że wydawały się nieomal jakimś osobnym organem. Poprowadził ich na padok, strzelił z bata i powiódł uważnie wzrokiem po twarzach stu karniaków. Benia wyróżniał się w tej grupie, bo był najstarszy i zapewne najbardziej delikatny.

Pantalejmon wskazał na niego palcem.

– Ty! Wystąp! Czy ten Żydek widział kiedyś konia?

Benia wstrzymał oddech. Kozacy byli znani z nienawiści do Żydów.

– Tak, jeździłem konno, ale dawno temu... – odpowiedział.

– Jeszcze zobaczymy. Na razie idź na łąkę i wybierz sobie konia. Pamiętaj, że to najważniejszy wybór w twoim życiu. Ważniejszy niż wybór żony!

W chwili gdy Benia wszedł na łąkę, koń z białą strzałką i białymi pęcunami podszedł prosto do niego.

– To Srebrne Skarpetki! Sama cię wybrała. To jest mądra klacz, co dobrze o tobie świadczy. Teraz nauczysz się dobrze jeździć, a potem walczyć – powiedział Panka. Koledzy Beni, „Uśmiechnięty” i Mały Mаметka, zachichotali, ale Panka wypluł prymkę i rzekł spokojnie:

– Śmiejecie się, że Żyd uczy się jeździć konno? Oprócz nas, Kozaków, nikt nic nie wie. Lubicie rozpuszczać jęzory, ale lepiej pomyślcie, zanim coś powiecie. Zasada pierwsza: wasz koń to wasz syn i córka, żona i kochanka, pop i komisarz. Słuchajcie swojego konia! Dbajcie o niego jak o żonę, szanujcie jak matkę, karmcie jak córkę! Kochałeś się kiedyś z piękną kobietą, Żydzie? Chyba nie.

– Jest za słaby, żeby poradzić sobie z kobietą w łóżku! – zakpił „Gruby” Strizkaz, który wyglądał jak różowa baryłka z małym wąsikiem i dzwonowatą głową. Słyszał z tego, że nigdy nie chudł, nawet na Kołymie.

– Albo za stary – parsknął inny, Iwanow, o przydomku „Nogi za Pas”.

– Dość – uciął Panka. – Jak któryś powie jeszcze coś takiego, dostanie ode mnie po łbie.

– Czyżby? – zadrwił Iwanow. – Nie odważycie się!

– Kto to powiedział?

Panka podszedł do bandy kryminalistów „Uśmiechniętego” i Benia zauważył, że tamci niedostrzegalnie cofnęli się.

– Nie zadzieraj z nami – pisnął falsetem Mały Mаметka. Benia znał ten ton: tak mówili w łagrach recydywiści, którzy sprawowali tam rządy. – Spadaj, staruszku.

– *Nigdzie* się nie wybieram – odpowiedział spokojnie Panka. – Słuchajcie mnie, bo Niemcy was dopadną, zanim jeszcze znajdziecie się w siodle. Ty tam, Iwanow, wsiadaj na konia, ale już!

Iwanow zawahał się.

– No, dalej! Pokaż, co umiesz – krzyknął Mametka. – Każdy potrafi jeździć konno!
Iwanow włożył nogę w strzemień, przesunął drugą nad zadem wierzchowca i usiadł, z triumfem wodząc wzrokiem po kolegach.

– Bardzo dobrze – pochwalił Panka, biorąc się pod boki. Koń stanął dęba i zrzucił Iwanowa, który uderzył plecami o ziemię, aż zadudniło. Banda wybuchnęła szyderczym śmiechem. Panka wyciągnął rękę i pomógł Iwanowowi wstać.

– Wsiadaj na konia.

– Drugi raz nie!

– To rozkaz.

– Boi się – pisnął Mametka.

– No, dobra – uległ Iwanow. Podciągnął się i usiadł na koniu blady na twarzy.

– Postaraj się tym razem utrzymać – powiedział Panka. Cmoknął cicho – i koń ponownie zrzucił Iwanowa.

Iwanow runął w piach i leżał, jęcząc płacząco, a kryminaliści piali z radości.

– To nie takie proste, co? – powiedział Panka. – Nic dziwnego, że nazywają cię „Nogi za Pas”!

Benia zrozumiał później, że Panka potrafi skłonić każdego konia do zrzucenia jeźdźcy. Wśród wielu innych języków znał też koński.

– Kto następny? Ty – pokazał Panka na „Grubego” Strizkaza.

– „Gruby” był kiedyś czekistowskim oprawcą – usłyszał Benia obok siebie. Był to Koszka, czyli „Kotek”, zrzedliwy, chudy jak patyk i obsypany łupieżem uzbecki złodziejasek, który lubił obmawiać innych więźniów. – Tak tylko mówię.

– Swoje opowiadki zachowaj dla siebie – ofuknął go Benia. Wiedział, że niepotrzebne gadanie jest groźne, że plotki potrafią zabijać. Najlepiej nic nie mówić i niczego nie słyszeć.

– Iwanow zabił kiedyś całą rodzinę w łóżkach – ciągnął Koszka. – Tak tylko mówię.

Szkolenie było męczące: pobudka o czwartej rano, najpierw oporządzanie koni, potem ćwiczenia, dzień po dniu, kłus, galop, cwał, szarżowanie i jazda w szyku. Uczyli się też siodłać i karmić konie, sprawdzać podkowy i pęciny. Każdemu wydano wojskową szablę i pokazano, jak ma ją ostrzyć, jak ciąć i przebijać worki imitujące ludzi i jak zadawać pchnięcia podczas szarży. Benia był „mieszczuchem”, ale nauczył się jeździć konno podczas wojny domowej w Hiszpanii i spędził w siodle wiele godzin. Teraz jednak była prawdziwa jazda konna. Uczył się szybko i Panka mawiał: „Benia Golden umie jeździć konno. Może jego matka była Kozaczką!”

Dzięki koniom długie godziny szkolenia stały się dla nich przyjemnością. Towarzysze Beni, w większości Kozacy, którzy siedzieli w siodle od małego, nie przepuścili żadnej okazji do popisania się swoimi umiejętnościami. Podczas jazdy nucili pieśni znad Donu. Panka organizował zawody i Kozacy pokazywali, co potrafią: wskakiwali na konie w biegu, podczas jazdy zsuwali się na bok, żeby strzelać do tyłu, w galopie podnosili rękawiczkę z ziemi, zmuszali konia do położenia się na boku, opierali karabin na jego brzuchu i strzelali zza niego. „Szybki” Pryszczepa potrafił podbiec do konia, wskoczyć, popędzić galopem i trafić w dziesiątkę na tarczy. Dosłownie żyli

w siodle. Benia zakochał się w zapachu skóry, brzęku ostróg i uzdy, końskim pocie, którym nasiąkały ubrania jeźdźców. Po krótkim czasie miał nieodparte wrażenie, że tworzy ze swoją klaczą jedną całość. Wieczorami przyszedli kawalerzyści grali na akordeonach, śpiewali pieśni znad Donu i Kubania i rozmawiali o koniach z mieszaniną miłości i okrucieństwa, jak mężczyźni rozmawiający o swoich żonach.

– Poświęć czwartą część dnia na oporządzanie i pieszczanie swojej klaczy – pouczał Panka Benię, gdy ten któregoś wieczoru szczotkował Srebrne Skarpetki. – Dbaj o nią, a ona będzie dbać o ciebie. Uczynj ją swoją bohaterką, a ona nie raz cię uratuje. Umiesz pieścić kobietę?

– Chyba tak.

– Potrafisz bić kobietę?

– Nie.

– Ha, wy mieszcuchy traktujecie swoje kobiety za łagodnie. No cóż, z koniem trzeba umieć robić jedno i drugie. Dlatego my Kozacy tak dobrze radzimy sobie z końmi i z kobietami. Ale jak będziesz chciał uspokoić Srebrne Skarpetki, nie klep jej po szyi, jak to robi większość głupców. Nie zrozumie tego. Kiedy te konie są źrebakami, matki trącają je nosami w szyję przy kłębie, więc jak siedzisz w siodle, odchyl czaprak i głaszcz ją w tym miejscu. To najlepszy sposób. I nie myśl, że klacz jest na twoje zawołanie, bo da ci nauczkę!

– Byliście na wielu wojnach, wachmistrzu?

– Na kilku. Wielka wojna z kajzerem, wojna domowa, teraz ta; tak, na kilku.

– Boicie się?

– Nie, czego tu się bać? Jak twoja jazda ma się skończyć, to się skończy. Wszystko zależy od Boga i od twojego konia. – Panka żuł wąsa, a jego oczy stały się tak małe, że były prawie niewidoczne. – A na razie nad Donem zawsze świeci słońce – zakończył i odjechał stępą, krzywonogi, jakby dopasowany do siodła.

Benia był coraz bardziej dumny ze swojej pięknej klaczy. Jeśli jej podkowy wydawały mu się starte lub źle przybite, wzywał „Czubatego” Griszczuka, kowala o krzywej, kostropatej twarzy. Jeśli zachowywała się nieswojo, zasięgał rady Lampadnika, batalionowego weterynarza. Godzinami szczotkował jej kasztanową sierść aż lśniła, czyścił do połysku łęk siodła i rękojeść szabli. Nic tak nie potrafi ukoić duszy upodlonego człowieka niż miłość do konia. Czasami po prostu siedział w jej boksie i pozwalał, żeby trącała go chrapami.

Wieczorami Meliszko dawał im wychodne. Kiedy dziewczęta z pobliskiej wsi dowiedziały się, że są karniakami, były jeszcze bardziej zadowolone: „Niegrzeczni z was chłopcy” – droczyły się. Ich ulubieńcem był Pryszczepa o twarzy cherubinka ze złotym zarostem. A na widok Beni chichotały.

– Kim jest twój *dieduszka*? – spytały Pryszczepę.

– Mam dopiero czterdzieści dwa lata! – oburzył się Benia.

Pryszczepa stłumił śmiech.

– To mól książkowy, nic nie wie o kobietach!

– Ale przynajmniej coś potrafi, nie tak jak Mały Mаметka, który jest dziewczyną, tylko się przebrał – wtrącił Strizkaz. – W łagrach nazywaliśmy go „Bette Davis”,

od nazwiska tej gwiazdy filmowej. Wielkie oczy, paskudna gęba – i suka!

Do stojących przy padoku Beni, Pyszczepty, doktora Kapty i Toni dołączyło kilku żołnierzy, którzy przyszedli pogłaskać swoje konie na dobranoc.

Pyszczepta zaintonował:

Leć, leć czarna jaskółko,

Leć wzdłuż brzegów Alazani,

Przynieś mi szybko wieści,

O moim bracie z placu boju...

– Doktor Kapto? – zapytał adiutant pułkownika. – Pułkownik Meliszko chce z panem porozmawiać. Chodzi o jego haluksy i hemoroidy.

Kapto uśmiechnął się.

– Już idę.

Spojrzeni w stronę jasno oświetlonych zabudowań. Obsługa miała pracować do świtu. Przed biurem zatrzymał się jeep Willys, podarunek od amerykańskich sojuszników, i wysiadło z niego kilku wysokich rangą oficerów.

Kiedy Kapto odszedł, Benia zaczął się zastanawiać, czy wyznaczono im już zadanie bojowe. Gdzieś tam jacyś ludzie decydowali właśnie o ich losie.

VI

W Moskwie była już północ, ale Stalin wciąż przewodniczył naradzie, odbywającej się w Kąciku.

– Musimy przeprowadzić kontratak na wszystkich frontach południowych i zmniejszyć napór nieprzyjaciela! – powiedział z naciskiem. Wraz z szefem sztabu Wasilewskim stał przy stole i patrzył na małe flagi na mapie, oznaczające pozycje jego armii od frontu fińskiego na północy do podnóży Kaukazu na południu: trzy tysiące kilometrów i dziesięć milionów ludzi. – Za dwadzieścia cztery godziny przeprowadzimy operację „Pluton”, a za czterdzieści osiem godzin operację „Merkury”.

Spojrzał za siebie na mały stół w kształcie litery „T” i siedzących przy nim jak pilni, choć podstarzali uczniowie, Berię, Satinowa i Mołotowa.

– Operacja „Merkury” jest przygotowywana, ale mamy mało dywizji do dyspozycji – odpowiedział Wasilewski. – Z wolnych oddziałów sformowaliśmy 62 i 64 Armie, tworząc na tym odcinku Front Stalingradzki.

– To wszystko? Ściągnijcie więcej sił zza Donu, aby wesprzeć walczące tam 62 i 64 Armie. Musimy natychmiast wyrzucić nacisk i zaatakować dużymi siłami. Kiedy moglibyśmy przeprowadzić te przeciwnatarcia?

– Przerzucamy posiłki, żeby zatrzymać odwrót – tłumaczył cierpliwie Wasilewski – ale brakuje nam czołgów, artylerii i ludzi.

Nieustannie domagając się kontrataków przed zakończeniem przygotowań, Stalin doprowadził do wielu klęsk, ale taki już miał charakter. Przepęniała go agresja.

– Na tym odcinku musi być więcej sił – powiedział twardo Stalin. – Znajdźcie je! Kto jest do dyspozycji w tej chwili? Dziś wieczorem?

Adiutant przyniósł Wasilewskiemu nowe dokumenty, które generał przejrzał szybko, a potem rzekł swoim spokojnym głosem:

– Jedną chwilkę.

Tylko on i generał Żukow mogli w ten sposób odzywać się do Stalina, który w 1937 roku rozstrzelał tylu generałów, że ci, co ocaleli, byli aż nadto ostrożni i bojaźliwi.

Po chwili Wasilewski był gotów do złożenia meldunku. Odchrząknął i zaczął mówić:

– Przez ostatnie pół roku zdegradowani żołnierze i ochotnicy o kryminalnej przeszłości szkolili się nad Donem i są gotowi do walki. Odkąd formalnie powołaliście do życia bataliony karne, sztab pracuje nad rozmieszczeniem ich na froncie zgodnie z waszymi rozkazami.

– Są już nad Donem? – W głosie Stalina zabrzmiało zdziwienie.

– Szkolili się w stadninie nr 9 imienia Budionnego w Wiennowsku, niedaleko przyczółków w łuku Donu.

– Ilu?

– Pięć tysięcy.

– Lepsze to niż nic – wtrącił Satinow. – A skazańcy będą walczyć na śmierć i życie. Stalin przytaknął ruchem głowy.

– Będą w stanie przeprowadzić kontratak? Jak szybko mogą zostać rzućni do walki i z jakimi oddziałami? Mają bataliony artylerii i karabinów maszynowych? Ile mamy czołgów?

Wasilewski wyglądał na zakłopotanego.

– Wprowadzimy do walki bataliony artylerii i karabinów maszynowych, ale dotkliwie brakuje nam czołgów, towarzyszu Stalin. Mamy w odwodzie tylko sto T-34 na cały odcinek i...

– Nie ma czołgów? To zdrada. – Stalin podniósł głos o oktawę, ale kiedy po pauzie znów zaczął mówić, był już opanowany i jego głos brzmiał łagodnie. – A więc rzućcie tych kryminalistów do boju bez czołgów. Niech oddadzą życie za ojczyznę.

– Mamy dla nich garstkę starych czołgów Bietuszka. Nowe T-34 z taśm montażowych w Stalingradzie jadą prosto na front – meldował Wasilewski – ale...

– Nie marnowałbym nowych T-34 na tych obwiesi – zauważył Beria.

Stalin podszedł cicho do swojego krzesła, usiadł i zamknął oczy.

– Co robić? – zapytał.

– Czy można? – odezwał się Satinow. – Myślę, że jest jeszcze inna możliwość. Byłem ostatnio jakiś czas nad Donem u marszałka Budionnego. Czy można z powrotem poprosić marszałków?

Skinieniem głowy Stalin dał znak, że się zgadza. Satinow poderwał się z miejsca i wyszedł, by po chwili wrócić z marszałkami. Widział, że obaj spodziewają się ukarania. Stalin jednak spojrzął na Satinowa i spytał:

– No, o co chodzi?

– Marszałku Budionny, czy wiecie, że oddziały karne szkolą się w stadninie nr 9? – zapytał Satinow. – Ile koni tam macie?

– Dwadzieścia tysięcy mojej nowej rasy budionnowskiej – odpowiedział Budionny. – Ale te konie to nasza przyszłość. Prawdziwe cacka, hodowane i szkolone dla

doborowych jednostek jazdy.

– Więźniów szkoli się tam na kawalerzystów – zauważył Satinow.

– Tak jest – potwierdził Wasilewski. – Ponieważ wielu tych zeków było Kozakami, a konie znajdowały się na miejscu, zgodziłem się na szkolenie kawaleryjskie. A ponieważ tak bardzo brakuje nam teraz czołgów, towarzysz Stalin rozkazał sformować na wszystkich frontach nowe pułki kawalerii.

– Wiedziałem, że moda na czołgi szybko przeminie – huknął tubalnie Budionny i Satinow nieomal zobaczył idące od niego opary wódki. – Ta nowomodna technika się nie sprawdza. Wystarczy, że zabraknie im paliwa, i klops – w przeciwieństwie do moich koni.

Satinow spojrzał na Stalina. Wódz podniósł głowę, jakby żądał więcej informacji. Budionny mówił więc dalej.

– Kawaleria to przyszłość, to serce każdej armii. Ale moje konie są hodowane i szkolone jako najlepsze na świecie wierzchowce. Proszę cię, Koba – zwrócił się do Stalina, używając jego starego konspiracyjnego pseudonimu – nie należy ich oddawać źle wyszkolonym więźniom.

– Jak śmiesz mówić takie bzdety towarzyszowi Stalinowi! – syknął Beria.

Wszyscy czekali, co powie wódz.

– No nie! – Stalin machnął ręką. – Co za typowo kozackie podejście. Towarzysz Budionny woli konie od ludzi. Może jeden z twoich koni dowodziłby frontem lepiej od ciebie? Chrzanić to, potrzebujemy teraz twoich ukochanych koni!

– Tak jest, towarzyszu Stalin – rzekł śpiesznie Budionny, z pokorą pochylając głowę.

Stalin wstał i zaczął chodzić po pokoju w swoich miękkich butach z kozłej skóry.

– Proponuję rzecz następującą: Stawka utraciła zaufanie do umiejętności Timoszenki dowodzenia swoim frontem. Timoszenko zostaje odwołany.

Marszałek Timoszenko zasalutował i wyszedł z gabinetu. Stalin mówił dalej.

– Dowództwo Frontu Stalingradzkiego obejmie Gordow, a wy, towarzyszu Satinow, polecicie do Stalingradu i przejmiecie ogólne kierownictwo. Wy, Budionny, udacie się z powrotem na front północnokaukaski razem z towarzyszem Berią, który rozstrzela każdego, kto zrobi choćby jeden krok wstecz. Wszyscy wyjedziecie jeszcze dziś wieczorem!

Budionny zasalutował.

– Generale Wasilewski, sformujcie ze swoich kryminalistów bataliony kawalerii, które mają być gotowe do niezwłocznego wyruszenia na front. Kto dowodzi tymi więźniami?

– Niejaki Meliszko.

– Generał Meliszko? – Stalin zerknął na Berię. – To on jeszcze żyje? Czy nie był u ciebie, Ławrientij?

– Był – przytaknął Beria, który osobiście torturował Meliszkę. Wybił mu wszystkie zęby, a i tak nie zmusił go do przyznania się. Bardzo uparty facet, stara szkoła. Naprawdę godny podziwu.

– Może to Bóg go ocalił, aby mógł dalej walczyć – rzekł Stalin w zamyśleniu. –

Musiał być od początku porządnym człowiekiem. A więc postanowione. 1 i 2 Karny Batalion Kawalerii przeprowadzi operację „Pluton” na froncie stalingradzkim.

– Odpowiednie rozkazy są już przekazywane drogą telegraficzną pułkownikowi Meliszce. Taki ma obecnie stopień – poinformował Wasilewski.

Stalin przestał spacerować i usiadł za biurkiem.

– Beria, zostań jeszcze. Reszta otrzymała już rozkazy. Jeźdźcie prosto na lotnisko.

– Tak jest, towarzyszu Stalin!

Satinow i pozostali wyszli z gabinetu.

– Ławrientij – powiedział Stalin do Berii po gruzińsku, czyli w języku ojczystym obu. – Czy to nie najlepsza chwila do przeprowadzenia naszej tajnej operacji?

– Tak. Nasz agent specjalny jest gotowy. Jego podstawowe zadanie zostało dokładnie zaplanowane. Musi się znaleźć na tyłach wroga, nawet jeśli karniacy niczego nie wskórają i żaden z nich nie pozostanie przy życiu.

– Dopilnuj, żeby wszystko się udało.

Stalin wstał i przez przedpokój wyszedł z gabinetu. Na jego widok siedzący tam funkcjonariusze ochrony zerwali się na równe nogi, zaciskając dłonie na pepeszach. Czterech stanęło przed Stalinem, a czterech za nim. Jak łatwo któryś z nich mógłby mi strzelić w plecy – pomyślał Stalin – jak łatwo!

Zapalił papierosa i z opuszczoną głową, zatopiony w myślach, szedł długimi, pustymi korytarzami kremlofskich pałaców, po rozesłanych na lśniącym parkiecie czerwonych dywanach. Wreszcie znalazł się przed drzwiami swojego mieszkania. Ochrona została na zewnątrz, a Stalin zamknął drzwi i wszedł do kuchni. Siedziała tu samotnie niska, ale kształtnie zbudowana nastolatka w prostej niebieskiej spódnicy i białej bluzce. Miała przed sobą otwartą książkę, a w ręku trzymała ołówek.

Rudowłosa i piegowata Swietłana Stalina zerwała się na widok ojca.

– Wyglądasz na strasznie zmęczonego, tato!

Rzuciła się ojcu na szyję, a ten pocałował ją w czoło.

– Czemu jeszcze nie śpisz, córeczko? Przecież już po północy.

– Mam szesnaście lat i muszę jeszcze odrobić lekcje.

– To dobrze, że się pilnie uczysz. Wszyscy musimy pracować dla ojczyzny...

– Mogę ci coś zrobić do jedzenia?

– Mój mały wróbelek umie gotować! To miło z twojej strony, ale już jadłem.

– Słyszałam, że Niemcy zbliżają się do Stalingradu. Czy to prawda?

– Och! Co to za pytania, Swieta? Z jakimi ty panikarzami rozmawiasz?

Dziewczynka tatusia nie powinna słuchać głupiego gadania! Pocałuj starego ojca na dobranoc i skończ lekcje.

Kiedy Stalin poszedł do swego gabinetu na końcu korytarza, Swietłana z powrotem usiadła przy stole. Przez chwilę marzyła o rzeczach, o których marzą wszystkie nastoletnie dziewczęta. Nie miała dotąd chłopaka, nikt jej jeszcze nie dotykał. Była dzieckiem Stalina i żaden chłopiec jej nie chciał. „Twoi przyjaciele będą się chcieli wkręcić do rodziny, bo jesteś córką Stalina” – ostrzegł ją kiedyś ojciec. Ale stało się coś przeciwnego: wszyscy chłopcy, których znała, bali się jej. Była księżniczką z kremlofskiego zamku, dziewczyną z wysokiej wieży. Jej koleżanki ze szkoły

komunalnej nr 801 imienia Iosifa Stalina spotykały się po lekcjach z chłopcami, spacerowały wokół Patriarszych Prudów, a nawet całowały się w Ogrodach Aleksandrowskich tuż pod murami Kremla. A ona nigdy... Bardzo pragnęła się zakochać i marzyła, by ktoś odwzajemnił jej uczucie.

Odłożyła książkę i zaczęła czytać artykuł w „Krasnoj Zwiezdzie”, gazecie Armii Czerwonej. Jego autorem był Lew Szapiro, korespondent z frontu stalingradzkiego. Zdaniem Swietłany kilku autorów zdecydowanie się wyróżniało: powieściopisarz Erenburg, który z patosem wzywał do zabijania Niemców, młody pisarz nazwiskiem Grossman – i właśnie Szapiro. Jego opowieści o jatce na południu ukazywały cały tragizm wojny, a mimo to widział świat romantycznymi oczami. Kim był? Jego słowa trafiały do Swietłany, nawet tu, w jej wysokiej wieży.

Po wejściu do gabinetu Stalin zamknął drzwi. Zdjąwszy tylko buty i bluzę, wyciągnął się na długiej kanapie, nakrył się kapą i zamknął oczy. Swietłano, moja gołąbeczko, pomyślał. Wyglądasz zupełnie jak moja matka. Na stoliku obok kanapy stało zdjęcie zmarłej żony Stalina, Nadii, matki Swietłany. Spojrzał na jej okrągłą, pucułowatą twarz i ciemne oczy. No nie, skrzywił się. Zawiodła mnie. Ale niełatwo jest być żoną Stalina ani córką Stalina. A najtrudniej jest być Stalinem.

Zaczął myśleć o kryzysie na froncie południowym, najcięższym w czasie tej wojny, i o batalionach karnych nad Donem. Ich żołnierze mogą się zrehabilitować, tylko przelewając krew, dumął, zadowolony ze swego pomysłu, rodem jakby ze starożytnego Rzymu. Lektura książek historycznych pomaga mi, przynosi ukojenie, pomyślał. Teraz jednak był zbyt zmęczony, żeby czytać. Usiłował zasnąć, lecz wciąż nie mógł opanować wewnętrznego drżenia. Rosja znalazła się nad przepaścią – a jego historycznym przeznaczeniem było rządzić nią i za wszelką cenę doprowadzić do ostatecznego zwycięstwa. Taki był sens słowa „Stalin”. To imię wymyślił właśnie w tym celu.

Zapadał na krótko w nerwowy, męczący sen, a potem znów się budził i myślał o tym szalonym, tępym, kochającym konie głupku Budionnym i jego rumakach, a także o misji karniaków. Jak przez mgłę przypominał sobie rozkaz wydany przed trzema laty Berii: „Bij Meliszkę, bo to może być kanalia; nie obchodź się z nim w rękawiczkach, bo kumał się z wrogami w Hiszpanii i na pewno coś wie”. A przecież Meliszko przez cały czas był porządnym człowiekiem. I teraz był dokładnie tam, gdzie on, Stalin, go potrzebował.

Wstał z łóżka w samym podkoszulku i bryczesach, podniósł słuchawkę jednego z telefonów.

– Połączcie mnie z Meliszką, natychmiast – rozkazał.

VII

W stadninie nr 9 imienia Budionnego Meliszko skończył rozmawiać ze sztabem generalnym w Moskwie i zgodnie z rozkazem Stawki sformował ze swoich bandytów nowe jednostki. Mając na sobie tylko bieliznę, spał teraz na sienniku rozłożonym na podłodze i głośno pochrapywał. Nagle w domu dyrektora gospodarstwa, gdzie Meliszko urządził swoje centrum dowodzenia, rozdzwonił się telefon.

Adiutant, który pełnił tam służbę i zdążył zasnąć na krześle, ocknął się i podniósł

słuchawkę.

– Słucham.

– Czy to sztab pułkownika Meliszki w stadninie budionnowskiej nr 9?

– Tak jest.

– Towarzysz Stalin chce rozmawiać z Meliszką – powiedział ktoś beznamiętnym tonem.

Adiutant pomyślał najpierw, że to żart. „Kto?” – chciał zapytać, ale pytanie uwięzło mu w gardle.

– Pójdę po niego – rzucił i pobiegł w białoninie do pomieszczenia, w którym spał Meliszko.

– Mówią, że Stalin na linii – wyjąkał.

– Psubraty! Żarty sobie stroją, czy co? – mamrotał Meliszko, ale wstał i chwiejnym krokiem przeszedł boso przez podwórze, trzęsąc wydatnym brzuchem. Przewrócił się o stojące na środku wiadro, zaklął szpetnie, wstał i wbiegł do centrum dowodzenia. Podniósł słuchawkę i ciężko dysząc, wysapał:

– Mówi Meliszko.

W pośpiechu zapomniał jednak o sztucznej szczęce. Cholera, seplenię jak krety – pomyślał.

Słyszał, jak telefonistka łączy rozmowę, a potem w słuchawce rozległ się ciężki oddech. Zdrętwiał i wytężył całą uwagę.

– Meliszko – powiedział głos z gruzińskim akcentem. – Jak się masz!

– Bardzo dobrze, towarzyszu Stalin.

– W więzieniu dali ci w kość. Za wiele w naszym kraju lizusów, którzy krzywdzą niewinnych ludzi. Ale to się już skończyło, prawda?

– Tak jest, towarzyszu Stalin.

– Ojczyzna cię potrzebuje. Otrzymałeś rozkazy? Po zakończeniu akcji dostaniesz z powrotem swój stopień wojskowy.

– Dziękuję, towarzyszu Stalin.

– I jeszcze jedno, Meliszko.

– Słucham, towarzyszu Stalin.

– Twoi kryminaliści są teraz sowiecką kawalerią i musicie zaatakować Niemców z całym impetem. Nie cackajcie się. Jeśli zabraknie wam kul, użyjcie szabel, a jeśli skończą wam się szable, zabijajcie gołymi rękami... Nawet jeśli żaden nie przeżyje, twoi ludzie zrehabilitują się, przelewając krew.

W słuchawce zapadła cisza, ale Meliszko nadal trzymał ją w ręku. „Nawet jeśli żaden nie przeżyje...”. Potem pokręcił głową i wezwał adiutanta.

– Budź ludzi! – krzyknął. – Ruszamy o świcie.

Dzień drugi

I

Był wczesny ranek. Kawaleria zbierała się na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na nieobjętą równinę. Benia widział w półmroku pobłyskiwanie setek końskich oczu i strzemion, słyszał podciąganie popręgów, brzęk ostróg, trzask sprawdzanych i czyszczonych zamków karabinowych, tupot kopyt – a przede wszystkim szmer swojego przerażonego oddechu. Posuwali się stępą w zwartym szyku, tak blisko jeden drugiego, że Benia miał wrażenie, iż słyszy bicie serca swego sąsiada. Jadący tuż obok „Szybki” Pryszczepa raz po raz wyciągał szablę z pochwy – brzmiało to tak, jakby ktoś uderzał w talerz perkusyjny.

Uśmiechnął się do Beni, obnażając zęby, które zajaśniały w ciemności.

– Czy mówiłem ci kiedyś – szepnął, nachylając się – że w starym kraju miałem żonę? Była urocza, istna szarlotka, jagodzianka! Kozackie dziewczyny mają sznyt, nie to co rosyjskie chłopki, które są jak muły ubrane w worki. Kozaczka umie się poruszać, nie ma co. Kto wie, gdzie jest teraz? Może dziś ją spotkam?

Zaczął nucić pod nosem.

Po drugiej stronie jechał „Pajak” Haranża, wielką miękką dłoń opierając na rękojeści kozackiej szabli.

– Tą *szaszka* można jednym cięciem rozplatać człowieka od szyi do biodra – rzekł, spluwając. – Ciało ludzkie jest miękkie jak arbuż. Taka szabla przecina kości jak masło. Wiesz, jak się przepoławia człowieka? Nie uczyli cię w twoich żydowskich szkołach? Nie martw się, ja cię nauczę. Kiedy byłem w starym kraju, poznałem kowala, który...

Jechali jeden przy drugim, ich buty ocierały się o siebie, a strzemiona o mało się nie splątały. Benia jednak nie słuchał. Haranża zamilkł, ale Pryszczepa gadał bez przerwy. „Uśmiechnięty” miał półprzymknięte oczy i szczekał stalowymi zębami, a Mały Mametka jechał obok niego na swoim małym koniku i wypatrywał drogi. Wygląda, pomyślał Benia, jak wystraszona małpka z puszczy amazońskiej. Widok kogoś, kto bał się jeszcze bardziej, zawsze podnosił na duchu.

– Ile jeszcze do...? – wyjąkał Benia.

– Do czego? Do Bożego Narodzenia? – zażartował Pryszczepa. – Do następnego pocałunku?

„Pajak” wzruszył ramionami i wypluł pestkę słonecznika.

Benia usiłował sobie przypomnieć jego wskazówki: jak strzelać z karabinu Mosin M38, który miał na plecach? Szkolenie strzeleckie wydawało się zamierzchłą przeszłością. Dotknął palcami szabli, przypomniał sobie jej ciężar w dłoni, ale czy będzie umiał nią machać? Zarąbać nią człowieka? Ręce mu się trzęsły, czuł, że uchodzi z niego energia. Z nagłą pewnością zrozumiał, że zginie tam, dokąd jechali.

Przed kilkoma godzinami przeprawili się przez Don. Majestat ogromnej rzeki zrobił na Beni duże wrażenie. Setki ludzi i koni stłoczono na skrzypiących starych promach: stukot podków, szczęk broni, żołnierze, którzy zamilkli i stali z zapartym tchem, gdy poczuli falowanie wody. Działa niemieckie z nieznanego powodu przestały

strzelać i kiedy odbili od brzegu, na krótką chwilę wszyscy wstrzymali oddech, a potem zapanował niesamowity bezruch, tak absolutny, jakiego Benia nigdy nie doświadczył. Cykały świerszcze i bzyczały bąki, słychać było nawet kumkanie żab i plusk oddychającej rzeki, szerokiej i błyszczącej pod czerwonym niebem. Toczyła zielone, grzywiaste fale i choć ich brzeg wznosił się wysoko, to przeciwległy był niski. Była to naprawdę święta rzeka, o której Benia czytał w książkach, a Kozacy śpiewali w swoich pieśniach.

– Jesteśmy w domu – powiedział Pryszczepa i zaczął śpiewać, a reszta zawtórowała:

Cichy nasz Don rozkwita młodymi wdowami,

Kwitnie ojciec nasz, Don, sierotami,

Fale cichego Donu spływają ojcowskimi, matczynymi łzami!^[2]

Naraz drgnęli, bo rozległ się przeraźliwy gwizd i głos Pryszczepy utonął w ogłuszającym huku. W rzece wybuchły niemieckie pociski artyleryjskie, wyrzucając w górę fontanny wody. Benia chwycił się kurczowo burty, aż mu zbieleły kostki. Zaraz zginiemy!

– Spokój, żołnierze – upomniał ich Żurko. – Jeszcze się nie wstrzelali. Nie ma nad nami storchów.

To świetnie, pomyślał Benia, ale jeśli mimo to pociski trafią? Już miał to powiedzieć, gdy przypomniał sobie, że może zostać rozstrzelany za sianie paniki.

Zaraz po przybiciu do drugiego brzegu wzięli się do wyładowywania koni. Szaroliliowe światło wstającego dnia wyławiało z mroku panujący na promie chaos. Konie wpadały na siebie, wędzidła i strzemiona zaczepiały jedno o drugie. W końcu Benia znalazł Srebrne Skarpetki i wyjechał na brzeg z Pryszczepą i uzbeckim złodziejem, Koszką.

– Papierosa?

Rotmistrz Żurko wyciągnął w stronę podwładnych paczkę bielomorkanałów. Tylko oficerom przysługiwały te papierosy. Benia wziął jednego, ale tylko po to, żeby zająć czymś ręce.

– W czasie wojny mnóstwo czasu schodzi na czekaniu. Stoimy tu i nikt się nie ruszy, dopóki nie powiem – pouczał Żurko. – Wolno palić.

Benia brał papierosa drżącą ręką i omal go nie upuścił. Pryszczepa podał mu ogień; jego dłonie nie zdradzały najmniejszego zdenerwowania.

– Jesteś zupełnie spokojny – zauważył Benia.

– Jestem takim prostym człowiekiem, że nie boję się śmierci – wyjaśnił Pryszczepa.

– Poza tym jestem młodszy. Im więcej wiesz, tym jest trudniej. Mógłbym w tej chwili umrzeć, ale wolę żyć.

Po drugiej stronie Pryszczepy usiadł Koszka, zeszywniały z przerażenia, a potem Mаметka, który co chwila ocierał brwi, a oczy miał wielkie i puste jak kraterzy.

– Zapowiada się piękny dzień. Może się nawet opalimy. Czy wiecie, że w tamtym chutorze miałem kiedyś dziewczynę? – trajkotał Pryszczepa.

– Zamknij się, gaduło – zirytował się Haranza.

– Jesteście Kozakami? Piszę o bitwie do gazety „Krasnaja Zwiezda”. Wsiadłem na ostatni prom. Wiem, że jesteście karniakami, ale chciałbym, by czytelnicy się

dowiedzieli...

Umundurowany mężczyzna o sympatycznej twarzy i szpakowatej czuprynie siedł między koźmi z notesem i ołówkiem w rękach. Benia zauważył, że żołnierze go lubią, nawet ci najmniej okrziesani. Słyszał, jak przeprowadza wywiad z „Kochasiem” Czerkaszkinem, który jako młody sekretarz partii w Biełgorodzie zamordował kochankę żony w przystępie obłąkanej zazdrości; nawet „Kanibal” Delibasz odpowiadał na pytania. Potem dziennikarz zaczął wypytywać smagłego Szundenkę.

– No, dość tego, gryzi piórku. Wynos się stąd. Za chwilę zaczynamy natarcie – krzyknął Mogilczuk.

Benia nie mógł opanować dygotu rąk i nóg. Koszula zwilgotniała mu od potu, a w żołądku pulsował tętniak strachu. Trzymał się blisko kolegów ze szwadronu, ale nie miał pojęcia, dokąd idą i co zamierzają zrobić. Przypomniawszy sobie coś o posuwaniu się pod osłoną czołgów, a potem przypuszczeniu szarży i rajdzie na tyły wroga w razie jej powodzenia.

– No, dobra, chłopaki, wchodzimy na odcinek, gdzie można spotkać żołnierzy sowieckich. Jedni zabłądzili, inni są zdrajcami albo tchórzami – wołał gromko Ganakowicz. – Stawka nakazuje wszystkim oddziałom na froncie południowym współdziałać z naszymi dzielnymi partyzantami. Są jednak bandy zdrajców walczących po stronie hitlerowców. Na naszym odcinku działa oddział specjalny pod dowództwem renegata i kolaboranta Mandryki. Tych należy unicestwić na miejscu. Kto zabije Mandrykę albo innego dowódcę oddziałów kolaboracyjnych, będzie miał od razu darowaną resztę kary...

Benia nigdy nie zabił człowieka i był wyjątkiem w batalionie, gdzie nawet ci, co nikogo nie zamordowali, jak Koszka, lubili uchodzić za zabójców. Nie umiał zabijać ani umierać. Teraz powiedział sobie, że to dlatego jedno i drugie tak go przeraża.

– Jak będziecie strzelać, starajcie się celować – mówił podczas szkolenia rotmistrz Żurko. – Podczas bitwy siedemdziesiąt procent strzałów oddawanych jest bez celowania...

Wszyscy parsknęli wtedy śmiechem. A teraz Benia nie pamiętał już, jak się strzela, a nawet jak się oddycha...

Żurko jeździł tam i z powrotem.

– Pamiętajcie, chłopcy – upominał, powtarzając swoje słynne powiedzenie przed frontem każdego szwadronu. – Jak się boicie, zrezygnujcie. Skoro nie rezygnujecie, nie bójcie się!

Paniczny lęk palił Beni gardło jak gorący rosół. Wybuchy pocisków – przelatujących wysoko nad nimi od niemieckiej strony – wstrząsały ziemią. Odnosili wrażenie, jakby w ich kierunku, stąpając ciężko, nadchodził jakiś olbrzym. Jeden huk, potem drugi. Benia podskakiwał za każdym razem, bębnił w uszach o mało mu nie pękły, podmuchy eksplozji omiatały twarz. Artyleria pułkowa, armaty 76 mm, rozmieszczone tuż za kawalerią, rozpoczęły ogień; po chwili dołączyły do nich haubice 122 mm...

Rozległ się warkot zapuszczanych silników i obok nich przejechały zwinne czołgi BT-7, czyli bietuszki. Benia wiedział, że są przestarzałe, patrzył jednak, jak suną z łoskotem, stają, stękają i wypuszczają kłęby czarnych spalin. Zaczynało się.

Panka jechał wzdłuż szeregów, rozlewając żołnierzom po sto gramów wódki do metalowych kubków wiszących u sakw. Nalał alkohol Beni i patrzył, jak go wypija.

– W siodle zawsze świeci słońce – powiedział stary Kozak, gdy Benia wychylał trunek, wciąż przekonany, że zaraz zginie.

– Szwadrony, kolumnami, naprzód!

Boże, to już! Benia myślał o matce, tylko o niej, i nawet powiedział „mama”, pragnąc być gdziekolwiek, tylko nie tutaj. Nie wierzył w Boga, nie modlił się od dzieciństwa, ale teraz odmawiał *szemę* po hebrajsku. Czuł dojmujący strach przed śmiercią i obejrzał się za siebie, a mięśnie jego ud odruchowo napięły się – mógłby teraz zsiąść z konia i uciekać, uciekać do Donu, żeby się tam schować. Mógłby przepłynąć rzekę i wrócić na tamten, bezpieczny brzeg. To przecież nie było dla niego! Potem jednak zobaczył Mogilczuka i oddziały zaporowe NKWD, które ustawiły karabiny maszynowe tuż za stanowiskami artylerii. Były gotowe zastrzelić każdego tchórza, w razie konieczności wystrzelać całą brygadę...

– Szwadrony! – krzyknął Meliszko, przejeżdżając przed nimi na swoim roslym wierzchowcu o imieniu Słoń. Był on tak ogromny, że mógłby unieść rycerza w pełnej zbroi. – Przygotować się do natarcia. Czekać!

Artyleria wystrzeliła następną salwę. Pociski wybuchły daleko przed nimi, a dym i ziemia uniosły się w powietrze. Czy to się naprawdę dzieje? – myślał Benia. Huk zagłuszył słowa Meliszki, ale Żurko powtórzył komendę, podobnie jak wachmistrze na całej linii:

– Czekać na sygnał, a potem na rozkaz: do szarży!

Benia miał wrażenie, że jego skóra stwardniała i krępuje mu ruchy. Był pewien, że nie będzie umiał walczyć. Pyszczepa jednak, nucąc jakąś piosenkę, jechał naprzód, a wraz z nim „Pająk” i cały szereg. Pomiędzy detonacjami pocisków dał się słyszeć chóralny śpiew Kozaków.

– Szwadrony! Szable w dłoń!

Osiemset kling wysunęło się z pochew i wzdłuż szeregu przeleciały błyski błękitnej stali. Widok ten, któremu towarzyszyły sugestywne tony kozackiej pieśni, był tak porywający, że na jedną chwilę optymizm zwyciężył w Beni strach. Pomyślał o Borodino i Waterloo i stwierdził nagle, że sam wyciągnął szablę, czuł teraz w dłoni jej ciężar. Zaledwie kilka metrów przed nim Meliszko jechał z głośnym tupotem na Słoni, nabierając szybkości. Spod kopyt pryskały grudki ziemi.

Żurko podążał za nim z uniesioną szablą.

– Szykujcie się do cwału, bandyci! – krzyknął Meliszko.

Żurko, obracając twarz w ich kierunku, zawołał:

– Jeszcze nie teraz! Czekać, czekać!

Srebrne Skarpetki przeszła w galop i Benia zaczął podskakiwać w siodle. Starał się siedzieć nieruchomo, trzymając szablę nad głową, ale okazała się za ciężka. Czuł, że spada z konia, ale jakaś ręka podtrzymała go. Tuż obok zobaczył Pyszczepę z odrzuconą do tyłu głową, roześmianego, pędzącego jak wicher. Zdążył jeszcze pomyśleć, że jeden niemiecki karabin maszynowy mógłby ich wykosić w minutę, ale po chwili wyprzedzili czołgi (dwa już stanęły) i usłyszał okrzyk:

– Do szarży, żołnierze! W cwał!

– Naprzód, sobacze syny, bo zastrzelę! *Za Rodinu, za Stalina!* Za ojczyznę, za Stalina! – krzyczał Ganakowicz, nieprzekonująco wymachując pistoletem.

– Za pieprzonych oskarżycieli! – zawołali chórem karniacy.

Srebrne Skarpetki, biegnąc łeb w łeb z końmi po obu stronach, wydłużyła krok i wyteżając wszystkie mięśnie, puściła się cwałem. Benia znów podskakiwał w siodle jak manekin.

– Trzymaj się, stary pierdoło, trzymaj się! – mamrotał do siebie, kurczowo ściskając wodze i grzywę Srebrnych Skarpetek.

Meliszko obrócił się w siodle.

– Nieprzyjacieli!

I wtedy Benia ich zobaczył. Zbita masa może ze trzydziestu jeźdźców jechała prosto na nich, błyskając obnażonymi szablami. Wszyscy nosili mundury z czerwonymi krawatami, mieli podwinęte rękawy, a na głowach czerwone czapki. Benia widział już ich twarze. Mężczyzna o śniadej cerze, czarnych oczach i niskim czole, dosiadający zwinnego siwka, skupił uwagę tylko na nim, na nikim innym. Nozdrza miał rozszerzone i z uniesioną szablą szarżował na niego. Benia zrozumiał nagle brutalną prostotę wojny: ten człowiek chciał go zabić. Ale chwilę potem atakujący minął go i pocwałował dalej. Wokół rozgorzała walka, stal uderzała o stal. Kolejny jeździec w czerwonej czapce natarł na niego, ale Benia też go ominął. Trzeci rzucił się nań z krzykiem – był tak blisko, że Benia widział węgry na jego nosie i czarne rzęsy – lecz tym razem Pryszczepa obrócił się w siodle i ciał go szablą. Nie trafił w czubek głowy, ale odrąbał mu ucho. Benia dziękował Bogu, że żaden z przeciwników jeszcze go nie dosięgnął. Starał się trzymać blisko kozackich przyjaciół, ale raptem krępy jeździec, uśmiechając się pod czarnym wąsem, znalazł się wprost przed nim. Jego gniadosz toczył pianę z pyska i zanim Benia zdążył ściągnąć wodze, aby zejść mu z drogi, wyciągnął pistolet i podniósł go do strzału.

Wtem rozległ się głuchy łomot: to Haranza staranował koniem nieprzyjaciela, przewracając go na ziemię. Benia nie widział, co było dalej, bo otrzymał tak silny cios w pierś, że omal nie spadł z konia. Na pewno był ranny, a może nawet nie żył? Ktoś rąbnął go szablą, ale musiał to zrobić płazem, bo Beni nic się nie stało. Szabla uderzyła w łęk siodła i odbiła się od niego, kalecząc Srebrne Skarpetki w szyję. Widok krwi rozjuszył Benię. Łobuz zranił Srebrne Skarpetki, jego ukochaną budionnowską kasztankę.

– Ty bydlaku! – ryknął Benia, zamierzając się szablą na przeciwnika. Był to mężczyzna o szczupłej twarzy, opalony, mniej więcej w wieku Beni. Benia ujrzał strach w jego oczach i postanowił to wykorzystać, robiąc szablą tak, jak go uczono: zasłona, wycofanie, natarcie. Szabla z impetem walnęła tamtego w twarz, przebijając kość policzkową i rozłupując głowę na dwoje. Rozległ się dźwięk przypominający rozbijanie skorupki jajka i wysiorbywanie żółtka. Zęby ugodzonego poleciały do góry, rozsypując się jak perły z pękniętego naszyjnika. Zanim Benia sobie uświadomił, że go zranił, a może nawet zabił, mężczyzna leżał już na ziemi, a jego koń galopował w dal. Benia szarżował dalej razem z Pryszczepą, „Uśmiechniętym” i Małym Mametką. Okładali konie nahajkami, przynaglając je do biegu.

Kilka sekund później Benia i Pryszczepa dostrzegli dwóch nieprzyjaciół i razem

natarli na nich. Jeden był spieszony i Benia z całej siły pchnął go szablą, która weszła głęboko w ciało. Krew bryznęła mu w twarz czerwoną, ciepłą strugą, w ustach poczuł miedziany posmak. Jak delikatną istotą jest człowiek, pomyślał, ile jest w nim miękkości, którą łatwo zniszczyć. Usłyszał śpiew i zdał sobie sprawę, że to jego własny głos, który przyłączył się do głosów Kozaków. Zaszła w nim zmiana, jakby stał się kimś innym, niepodobnym do swego zwykłego „ja” – Żydem oblanym szkarłatem, siedzącym na rosyjskim pegazie i ścigającym się z wiatrem.

Srebrne Skarpetki zastrzygła uszami i nagle zwolniła, obracając łeb w lewo. Benia znów zobaczył karmazynową plamę na jej szyi, ale po chwili klacz zebrała się w sobie i skoczyła naprzód, cwałując jeszcze szybciej niż przedtem. Czterech jeźdźców zmierzało w jego kierunku. Mieli na sobie szare niemieckie mundury, ale nie byli Niemcami. Jeden lub dwóch uniosło szablę, a pozostali jak Indianie trzymali w górze karabiny.

– Bracia Kozacy, przyłączcie się do nas – krzyknął jeden. – Wojna jest przegrana, bracia! To nie nasza wojna!

A więc Kozacy walczący u boku Niemców. Chwilę później puścili wodze i zaczęli strzelać. Benia zdołał gwałtownie skrócić i schować się za towarzyszami. Zawahawszy się wcześniej przez chwilę, Srebrne Skarpetki uratowała mu życie.

– Skurwiele! Zdrajcy!

Kiedy rozległy się strzały, Pryszczepa obrócił konia, zsunął się na bok i schował za siodłem. Potem, podciągając się na łęku, usiadł z powrotem, podniósł pistolet i strzelił jednemu z tamtych prosto w twarz.

Konie zbiły się nagle w gromadkę. Benia i pozostali walczyli teraz wszystkim, co mieli: rękami, szablami. Byli zaciętrzewieni i przerażeni, zgrzane konie toczyły pianę. Benia pchnął szablą jednego z przeciwników, aż poczuł, że zatrzymała się na kręgosłupie, który nie był przecież miękki. Ugodzony zaczął zsuwać się z konia i wymachiwał rękami, usiłując chwycić wodze, grzywę, a w końcu ogon wierzchowca. W popłochu, czując na rękach krew spływającą po ostrzu, Benia spiął ostrogami Srebrne Skarpetki. Klacz wierzgnęła i wyskoczyła z kłębowa, unosząc Benię, który ledwie zdołał utrzymać się w siodle.

– Naprzód! Zaskoczyliśmy ich!

Rotmistrz Żurko wciąż jechał przed nimi i strzelał teraz z pepeszy. Po obu stronach odezwały się działa. Pociski nadlatywały ze świstem i lądowały na lewo i na prawo od nich. W górze wykwiwały rozgwiazdy z miotanej przez nie ziemi, darni i płomieni. Benia obejrzał się. Bietuszki płonęły, a czołgiści wyskakiwali przez włazy wież, które rzygały czarnym jak węgiel dymem. Beni migwały przed oczami obrazy rozerwanych pociskami koni, leżących na ziemi i wciąż przebierających nogami w powietrzu, a wokół nich chodzących chwiejnie żołnierzy. Ale jego szwadron dziwnym trafem pozostał właściwie nietknięty. Zbliżali się do nieprzyjacielskich pozycji, lecz tamci zauważyli ich i rzucili się do ucieczki. W ich ślady poszli żołnierze z następnych nieprzyjacielskich stanowisk. Karniacy spostrzegli nagle, że cwałują wśród biegnących ludzi.

Benia podjechał od tyłu do jednego, człowieka w hełmie z pióropuszem z kogucich piór na czubku, biegnącym jak nakręcana lalka. Z rozmachem ciął go szablą, rozłupując głowę jak melon. Usłyszał śpiew i to znów on śpiewał głośno, na całe gardło. Cwałujące

konie bez jeźdźców dołączyły do niego; były to rosyjskie konie, budionnowskie, i małe kałmuckie kucyki. Jeden włókł za sobą karniaka, któremu noga uwięzła w strzemieniu. Był to jego towarzysz, Skakun; głowa i ręce podskakiwały mu bezwładnie na nierównościach terenu. Benia minął porzucone czołgi: jednym była bietuszka, ale dwa inne należały do nieprzyjaciela, chociaż nie miały niemieckich oznaczeń. Zobaczył, że Koszka go wyprzedza. Koń Uzbeka poniósł i jego nieszczęsny towarzysz, wypuściwszy wodze z rąk, z oczami rozszerzonymi strachem uczepił się kurczowo końskiej grzywy. Kopyto Srebrnych Skarpetek z trzaskiem rozłupywanego orzecha zmiażdżyło głowę żołnierzowi leżącemu na ziemi, ale Benia nawet się nie obejrzał.

Uciekało przed nim coraz więcej ludzi. Kozacy krzyczeli i wyli jak opętani. Z okopów i złotych pól wylaniali się coraz to nowi żołnierze wroga, biegnący ile sił w nogach. Jeden zatrzymał się i wycelował w Benię z karabinu, ale Srebrne Skarpetki skoczyła naprzód i Benia chlasnął go szablą, trafiając w kark i tnąc głęboko. Zabijanie zaczęło sprawiać mu dziwną przyjemność, chciał tylko rąbać i dźgać, wciąż było mu mało. Dwaj chłopcy w hełmach z piórami podnieśli ręce do góry, poddając się Beni. Kiedy zamierzył się na jednego z nich, ten padł na kolana i krzyknął: „Mama, Mama!”. Drugi był młody, dużo młodszy od Beni. Miał długi nos, wielkie zęby i zawstydzone oczy. Ich głosy brzmiały pięknie, twarze były opalone i smagłe, a mundury miały w sobie coś barokowego. Pióra, czerwone krawaty i fezy. Co za fantastyczny strój! – pomyślał Benia. Chłopak przestał krzyczeć „Mama!” i mierzył do Beni z pistoletu, ale rozległ się krótki świst i ręka z pistoletem znikła, a tors chłopaka od ramienia do żeber oblał się krwią. Haranża podniósł ociekającą szablę i wymachiwał nią szaleńczo przed Benią, jakby chciał powiedzieć: widzisz, jak można rozplatać człowieka!

Wciąż jechali naprzód, ale teraz już tylko galopem. Konie były spienione, ich sierść ociekała potem. Dojechali do potoku, konie stanęły, aby się napić, i część jeźdźców zeskoczyła do wody.

– Nie zsiadać, z powrotem na koń, ale już! Jechać dalej, nacierać! – wrzeszczał na nich Żurko.

Droga była teraz łatwiejsza, przecinali pola uprawne, jechali wśród słoneczników. Która mogła być godzina? Ruszyli do szarży wczesnym rankiem, ale teraz było już chyba znacznie później. Rozżarzone do białości słońce stało wysoko. Wszędzie znajdowały się stanowiska nieprzyjaciela, ale na widok atakujących żołnierze w hełmach z piórami wybiegali z ukrycia i uciekali z krzykiem. Benia razem z Haranżą pędził za nimi i puszczał w ruch szablę. Ile szkody może wyrządzić stal, myślał. Nieprzyjaciel wciąż uchodził, porzucając hełmy, manierki, buty, patelnie, aż ugodzony stalowym ostrzem padał i już się nie podnosił.

Benia zauważył, że działa przycichły. Wciąż napompowany adrenaliną, wyskakiwał niemal ze skóry w bitewnej ekstazie.

– Tak właśnie smakuje zwycięstwo! – zawołał Pryszczepa, wywijając szablą nad głową i rozpylając wokół mgiełkę z kropel potu. Benia miał wrażenie, że niebo wygląda tak, jak po jakimś wielkim wybuchu energii. Było błękitne jak morze, było morzem odwróconym do góry nogami.

Jechali wciąż dalej i dalej, w palącym słońcu, po polach usianych trupami młodych

ludzi, leżących wśród dojrzałej pszenicy.

Słowa, które wykrzykiwali ci uciekający chłopcy, miały w sobie jakiś wdzięk. Nie był to język niemiecki ani węgierski, może rumuński? Nie, głupcze, skarcił się w duchu Benia, przecież to włoski. Ścigali Włochów.

– Stój!

Żurko ściągnął wodze i podniósł rękę. Żołnierze zdołali się zatrzymać, lekko dźgając ostrogami końskie boki, i tylko Koszka przeleciał przez łeb swego wierzchowca. Leżał teraz na ziemi i jęczał głośno.

– Tam! – Wachmistrz Panka podjechał do Żurki. – Wieża cerkwi, rotmistrzu. Przed nami chutor.

– Sformujcie dwa szwadrony, wachmistrzu – rozkazał Żurko. – Szwadron pierwszy pójdzie z wami na wschód, ja dowodzę drugim. Ruszaj!

Wjechali do chutoru, czując się lekko jak sfora wilków podczas polowania.

II

W domu przy cerkwi stara Kozaczka piecze gęś dla setki mężczyzn. Posiłek był przeznaczony dla żołnierzy włoskich, którzy jeszcze kilka godzin temu zajmowali chutor. Mąż Kozaczki śpi w alkwie wyłożonej czerwonymi kilimami. Starowina ma zapadnięte policzki i cmokta bezzębными ustami, obserwując ludzi, którzy właśnie przyjechali, a jej spojrzenie jest ostre jak sierp, tnący bez litości. Jeśli spodziewali się serdecznego przyjęcia, spotyka ich zawód. Benia rozumie, że ludzie, których los doświadczył tak ciężko, nikogo nie będąc witać z otwartymi ramionami – nawet jeśli ich wyzwolicielami są rodacy.

Jest wczesne popołudnie. Zbyt gorąco, aby się ruszać, ale wszyscy są w ruchu. Chutor wydaje się Beni wesoły i zasobny. Po latach życia wśród samej czerni i bieli, w więzieniach, obozach i bazie wojskowej, każda chwila spędzona tutaj na zawsze wryje się w jego pamięci, jak pierwszy w życiu kolorowy film. Jadą stępą ulicą, stojąc w strzemionach, głośno wiwatują, śpiewają, wywijają szablami wciąż poplamionymi krwią i trawą. Przed nimi leży martwy koń, potem trup człowieka o różowych policzkach i oczach szeroko otwartych, ale bez czubka głowy; sklepienie kremowej materii wciąż jest całe i drga w swojej nieskazitelnej delikatności: to tylko niektóre widoki budzące w Beni grozę. Chutor zdaje się krainą dostatku; promieniuje żarem wolności i mieni się kolorami: domy pomalowane są na niebiesko i czerwono, a dziewczęta noszą białe bluzki i czerwono-zielone spódnice z białym rąbkiem, obwieszonym dzwoneczkami. Konni wodzą oczami za kołyszącymi się biodrami dziewcząt. Czują zapach jedzenia, słyszą szmer wody w strumieniu. Chwila ta pozostanie żywa w pamięci tych ludzi jako czas zachwyty, podzielony na szereg zająbiających się, ale odrębnych scen.

Znajdują oliwę, czekoladę, a nawet jajka. Jest wino i wódka, więc żołnierze natychmiast zabierają się do picia. Ci Włosi mają rzeczy, których Benia nie widział na oczy od czasu pobytu w Madrycie. I jakież części umundurowania porzucili wokoło: hełmy z piórami, fezy z chwościami. W chutorze pachnie gotowanymi potrawami. Włosi opuścili go w pośpiechu, kiedy karniacy wjechali tu galopem. W jednym z hełmów jest mielona kawa, prawdziwa czarna kawa, a patelnie z polentą i vermicelli są jeszcze

ciepłe. Na podwórzu leży trup żołnierza, „Uśmiechnięty” ściąga mu buty i przymierza je.

– Nadadzą się – mówi zadowolony.

Ktoś przetrząsnął już kieszenie zabitego Włocha. Rozrzucił listy miłosne pisane swawolną kursywą i sepiowe zdjęcia pięknej kobiety, która pozuje na kiczowatym tle w zakładzie fotograficznym w jakimś włoskim miasteczku. Rozsypane listy tworzą wachlarzowaty kolaż, który sprowadza historię całego życia do jego żalonych elementów podstawowych: zwłoki, dowód tożsamości, zdjęcie rodziny. *Finis*. Zabiliśmy ich, nie troszcząc się nawet, żeby się dowiedzieć, kim byli – myśli Benia.

Napiwszy się wody i przełknąwszy trochę sera, prowadzi klacz do stajni, gdzie weterynarz Lampadnik i kowal Griszczuk sprawdzają stan koni. Oddaje Srebrne Skarpetki w ręce Lampadnika, z troską zwraca mu uwagę na jej szyję.

– O, cholera. To nie wygląda dobrze. Przykro mi, Beniu – mówi Lampadnik.

– To znaczy? – pyta Benia i nagle ogarnia go niepokój.

– A jak myślisz? – odpowiada pytaniem Lampadnik, odwracając się do Panki.

Stary Kozak ostrożnie dotyka szyi, a potem przygląda się swoim palcom.

– Ciągle krwawi.

– Co zamierzacie?

Lampadnik jest ostrożny i nieśmiały. Na jego pociągłej twarzy z końskimi zębami wypisana jest niepewność. Benia wie, że jest powściągliwy, bo w trzydziestym siódmym został skazany na dziesięć lat łagru za „szkodnictwo trockistowskie”, gdy dwa konie pod jego opieką zdechły na krup.

– Golden, nie denerwuj się, ja się tym zajmę – mówi Panka, a na jego twarzy w kolorze drewna tekowego maluje się wyraz powagi. – Mam w jukach trochę starego szpagatu. Lampadnik, wyparz garść kory drzewnej. Poproś też kobietę o łyżkę miodu.

Benia trzyma Srebrne Skarpetki, która zlewa się potem, i przemawia do niej czule. Tymczasem Panka wyjmuje szpagat i szybko zawiązuje klaczy pysk, aby odwrócić jej uwagę, po czym przemywa ranę wodą, a później wywarem z kory. Przewleka szpagat przez uszko igły i zszywa rozcięcie z błyskawiczną zręcznością, ściągając mocno jego brzegi. Stosuje ponownie wywar z kory i smaruje ranę miodem.

– Opatrunek, widzisz? – mówi, po czym rozwiązuje pętlę na pysku. Srebrne Skarpetki wciąż dygocze, ale wyraz jej oczu jest już inny, widać w nich ulgę.

– No, już dobrze – mówi Panka, głaszcząc klacz po chrapach. – Wkrótce będziesz zdrowa. Zaopiekuję się nią, a ty, Golden, idź coś zjeść i prześpij się. Na stepie zawsze świeci słońce, nie?

Kiedy Benia wychodzi ze stajni, Kozacy z jego szwadronu urządzają mu owację. Klepią po ogolonej głowie, porośniętej siwo-blond szczeciną.

– Widziałem, jak macha swoją szabelką – przekomarzają się.

– A myślałem, że umie tylko machać piórem – mówi Haranza.

– Żyd ma to coś – dorzuca Panka.

– Oto pochwała Panki. Mógłby nawet nazwać cię „bratem” – żartuje Strizkaz, obejmując Benię, nagle serdeczny i miły. Benia kocha go miłością ludzi, którzy zabijają i giną razem.

Panka wzrusza ramionami i spluwa, zajęty innymi końmi. Jest zbyt doświadczony,

aby podzielać entuzjazm rozemocjonowanych kryminalistów, ale wypija jedną lub dwie wódki i jest wesoły na swój zrównoważony sposób.

Benia rozgląda się dokoła. Jego towarzysze mają po bitwie czerwone policzki, a oczy błyszczą im jak w gorączce. Paradują butnie i zawadiacko, otoczeni aurą ludzi, którzy niedawno siali śmierć i znają tajemnice tego świata. Benia zastanawia się, czy urwą się z wędzidła, na którym są trzymani, i urzędzą we wsi sądny dzień. Ważne, że Srebrne Skarpetki będzie żyła, a Benia ma już za sobą jedną bitwę i czuje się dziwnie silny, żądny dalszych walk i wojennych okrucieństw.

Od strony młyna dolatują śpiewy: reszta szwadronu kąpie się tam nago w strumieniu. Benia patrzy na ich opalone twarze, karki i trójkąt ogorzalej skóry na torsach. Pozostałe części ich ciał pozostały białe jak śnieg. Zrzuca ubranie, bo robi mu się nagle tak gorąco, że zimna woda zdaje się go parzyć.

Włożywszy ubranie na mokre ciało, Benia leży na sienniku w cieniu domu za płotem z wikliny. W chacie pachnie kwasem i kielbasą. Panuje tam ciężki zaduch pomieszczenia, w którym tłoczy się gromada spoconych mężczyzn. Dla Beni jest to charakterystyczna woń wojny i więzienia. Jakaś chłopka w haftowanej czapce i spódnicy siedzi i patrzy na niego. Podaje Beni kubek mleka, ale spojrzenie ma przebiegłe. To albo gościnność, albo nóż w plecy. Ludzie, którym tak wiele odebrano, bywają okrutni.

Benia jest bardzo zmęczony, ale walczy z ogarniającą go sennością. Nie spał od dwudziestu czterech godzin albo nawet dłużej, lecz nadal nie może się oswoić ze świadomością swego nowego „ja”. Prawa ręka boli go i piecze, prawie nie może jej unieść; uda ma tak obolałe, że ledwie może chodzić. A jednak żyje, więcej, stał się kimś innym. Dzięki szabli poczuł miękkość swoich bliźnich. Zabił kilku ludzi – ludzi, w których oczy zaglądał. Nie byli to Niemcy, lecz Włosi, członkowie jego ulubionego narodu. Myślał, że zabija niemieckich hitlerowców, a tymczasem pozbawiał życia rodaków Michała Anioła, Rafaela i Tycjana. I jakby dla podkreślenia tego faktu ktoś znalazł włoski gramofon. Aria z *Rigoletta* wibruje w nieruchomym popołudniowym powietrzu. Benia zasypia i śni...

Muzyka urywa się raptownie i Benia siada na sienniku. Ma wrażenie, że obudził się w innym wymiarze. Atmosfera jest zmieniona, pod oślepiającym słońcem nastrój staje się mroczny. Może ma to coś wspólnego z wypitym alkoholem? A może z mięsożernym instynktem urodzonych zabójców, którzy nie mają innego sposobu wyrażenia własnego „ja”, poczucia wolności i radości życia? Benia idzie na dwór i widzi, jak rzezimieszki, których tak dobrze zna, „Uśmiechnięty” i „Nogi za Pas”, chwiejnie wchodzą do chat.

Gęś jest gotowa. Piekła się tak długo, że mięso rozplywa się w ustach. Przed Benią stawiają talerze z jajkami na szynce, kaszą i mięsem z wielbłąda. Na deser wiśnie i brzoskwinie. To zasobny, czarnoziemny region i Benia wcina jak wygłodniałe zwierzę, nawet łykowate mięso wielbłąda, nieomal wylizując talerz do czysta. Od czasu aresztowania nie zaznał takiej obfitości jedzenia. Żołnierze posilają się praktycznie w milczeniu, żłopiąc wino i gruzińską czaczę. Po kolacji Benia odwiedza Srebrne Skarpetki, która leży na dworze, w cieniu, z podkulonymi nogami. Nie ma gorączki, zjadła, a jej szyja wygląda czysto – w ranę nie wdało się zakażenie.

Kiedy Benia zasypiał, atmosfera była radosna: śmiechy, pluskanie się, flirtowanie

z dziewczętami. Żołnierze mieli poczucie triumfu: pokazali, na co ich stać. Przełamali obronę nieprzyjaciela, zajęli chutor. Czy nie zasłużyli na darowanie kar? Ale teraz mleko się zwarzyło, słońce pali niemiłosiernie, a zza stajni dobiegają go jakieś krzyki. Na podwórzu domu popa oficer polityczny Ganakowicz przesłuchuje kolaboranta, kałmuckiego zwiadowcę w szarych niemieckich bryczesach, z pozlepianymi od potu włosami. Zdrajca jest przywiązany do krzesła, krwawi z oczu, a na podłodze walają się jego zęby. Jakiś gruby Włoch, jeszcze chłopiec, siedzi pod płotem i przygląda się, jakby to wszystko nie miało z nim nic wspólnego.

Na widok Beni pyta po włosku:

– Kiedy wrócimy do kraju? Czy będziemy jeszcze jeść spaghetti i pić wino?

– *Si, si, ragazzo, presto!* – Benia zna trochę włoski i nagle opanowuje go przemożne pragnienie, żeby zapłakać, objąć tego chłopca.

Ganakowicz jest zdenerwowany. Rozgląda się i widzi w drzwiach Żurkę.

– Gdzie wsparcie? Gdzie artyleria? – atakuje. – Gdzie Meliszko?

– Powinni niedługo być. Ale sprawdzę – odpowiada Żurko i idzie w stronę stajni.

– Co z Mogilczukiem? Potrzebujemy tu oddziału specjalnego, prawda?

Nikt nie odpowiada i nikt oprócz Ganakowicza nie tęskni za hienami z tajnej policji. Ganakowicz krzyczy na Kałmuka:

– Gdzie reszta zdrajców, co? Gdzie jest Mandryka i jego policja pomocnicza?

Wymachuje pistoletem i sposób, w jaki to robi, dowodzi, że nigdy nie wahał prochu. Benia wie, że Ganakowicz to typowy w Rosji samochwał: tyran dla słabszych, unizony niewolnik wobec silniejszych.

Haranza podchodzi cicho i nagle jego kroki stają się równie lekkie jak kroki baletnicy. Paroksyzm przemocy jest tak szybki, że Benia go nie zauważa, i zwiadowca zaczyna mówić. Ma okrągłą, pomarszczoną twarz i oczy w kształcie migdałów – być może jest potomkiem Czyngis-chana, a Kałmucy wciąż są buddystami... Jest twardy, ale zdradził Rosję i wie, że nie może liczyć na litość.

– Hiwisi Mandryki? – pyta. Benia wie, że *hiwi* to skrót od niemieckiego *Hilfswillige*, czyli „chętni do pomocy”. Tak nazywają się rosyjscy zdrajcy, tacy jak policja pomocnicza *Schutzmannschaft*, w skrócie *Schuma*, współpracująca z Niemcami. – Tak, są w Szepiłowce.

– Gdzie to jest?

Nawet Ganakowicz nie ma pojęcia, gdzie się znajdują.

– Piętnaście kilometrów dalej na zachód.

Poruszając bezzębnymi ustami, zwiadowca mówi monotonnym głosem z mongolskim akcentem – nie musi się wysilać, skoro nic nie może go ocalić przed śmiercią.

– Gdzie gromadzą się wojska niemieckie? – pyta Ganakowicz.

– Wszędzie wokoło. Zobaczcie, jaki kurz się podnosi.

Ganakowicz rozgląda się i rzeczywiście, w oddali tumany kurzu wielkim wałem suną naprzód.

– Ofensywa niebawem znów ruszy. Macie szczęście, Kozacy – mówi zwiadowca.

– Szczęście? Dlaczego?

– Jesteście karniakami, prawda? – odpowiada zwiadowca. – Nie idzie za wami żadne wsparcie. Włoski pułkownik Malamore był tutaj ze zdrajcą Mandryką i oddziałem Niemców. Zaledwie przed kilkoma godzinami. Wiedzą, że tu jesteście... Ale jeśli o was chodzi – jesteście sami.

Ganakowicz jest zaskoczony. Nie wiedząc, co robić, każe „Pająkowi” odesłać jeńców do sztabu, a sam wytacza się na drogę.

Haranza pozostaje w złowieszczym, pełnym napięcia bezruchu.

– Na co się gapisz? – pyta Benię.

– Co zamierzacie? – odpowiada pytaniem Benia.

„Pająk” patrzy prosto na Benię. Ma dziwnie nie pasujące do swojej rekiniej twarzy cieleco łagodne spojrzenie, które ululałoby dziecko do snu – nawet gdy wyjmuje sztylet.

– Haranza uśmiecha się uśmiechem rzeźnika! Jakby to było święto i zamierzał zarznąć owcę. – To Pryszczepa, wesoly jak skowronek. – Odłóż to, bratku – mówi.

Haranza chowa sztylet do pochwy i Kałmuk kiwa głową z wdzięcznością, ale bez większego przekonania.

– Co się dzieje? – pyta Pryszczepa. – Dziewczyny są tu naprawdę śliczne. Moja nazywa się Aksinia, jest świeża jak lubianka truskawek...

Uśmiecha się beztrudnie do jeńców i karniaków – jakby jedni i drudzy byli na równi jego kumplami.

– Muszę lecieć, Aksinia czeka.

Kiedy odchodzi, wszystko dzieje się bardzo szybko. Haranza patrzy swymi cielecymi oczami na Benię i nawet nie spogląda na zwiadowcę. Robi kilka szybkich, tanecznych kroków i w jednej chwili ostrze wykonuje swoje zadanie. Ciałem zwiadowcy wstrząsa lekki dreszcz, jakby zapadał w sen, i z rany tryska pulsujący strumień krwi, który z każdą chwilą staje się coraz krótszy.

– Ach! Mama! – krzyczy młody Włoch, wpatrując się w zabitego. Wtem uświadamia sobie, że spokojne życie w weneckiej dzielnicy biedoty, lizanie *gelato* na campo z mamą, kawa z tatą przy zawsze tym samym stoliku, jazda *vaporetto* do babci – wszystko to, co zna i był pewien, że ponownie zobaczy, przestaje istnieć.

– *Ciao, ragazzo*, skąd jesteś? – mówi Benia po włosku, starając się zająć jego uwagę.

– Z Wenecji. Alpini, dywizja trydencka.

– Kim jest twój ojciec?

– Serowarem. Pracuję u niego.

Benia chciałby objąć chłopca i uciec z nim gdzieś, gdzie biedak byłby bezpieczny.

– Byłem kiedyś w Wenecji.

W jagnięcych oczach chłopca błyska nadzieja.

– Mógłbym ci zrobić polentę, spaghetti – mówi. – Będę dla ciebie gotował. Właśnie gotowałem dla swojego oddziału, kiedy...

Czuje na sobie spojrzenie Haranzy.

– Ja się nim zajmę, Haranza – mówi Benia.

– Nie – oponuje Haranza swoim łagodnym, obojętnym głosem. – Ganakowicz wydał mi rozkaz. Mam go odprowadzić do naszych pozycji.

Daje chłopcu znak i ten podnosi się z ziemi. Idą przez cmentarz na pola. Benia obserwuje, jak ich sylwetki maleją. Jest jak otępiąły; chce się czegoś uchwycić, ale wszystko jest jakieś śliskie i wymyka mu się z rąk. Wie, że nigdy już nie ujrzy chłopca.

Z sąsiedniej chaty dobiega wycie. Benia patrzy w bok i widzi, jak „Uśmiechnięty” wychodzi z niej przez ogród, dławi się ze śmiechu i wyciera ręce o spodnie. Znów słyhać płacz, gdy Strizkaz, pijany jak świnia, obleśny, wtacza się do środka, a Mały Mametka, z drobną twarzą, w której rzucają się w oczy wydatne usta, kręci się pod domem jak rozochocony sztubak pod burdelem.

Benia boi się „Uśmiechniętego”, chociaż jest mu wdzięczny za wiele rzeczy.

– Jak mogłeś? – pyta z wyrzutem.

– Może chciałbyś się popluskać w moim mleczku? – „Uśmiechnięty” stoi przed Benią, który patrzy w jego obłąkane czerwone oczy osadzone w dziwnie przystojnej twarzy. – Nie krępuj się, żydziaku.

– Zmusiłeś ją?

– Jesteś popem, czy co? Nigdy w życiu. – „Uśmiechnięty” potrząsa głową. – Pies nie ugania się za suką, która nie ma ochoty. A ty, Mametka? Chciałbyś stracić dziewictwo?

– Miałem już kobiety – piszczy Mametka.

„Gruby” Strizkaz prycha, zamykając drzwi za sobą – płacz jest teraz cichszy – i człapie ogrodową ścieżką.

– Nie, nie miałeś, kłamliwy mały eunuchu. Nie przeszedłeś nawet mutacji. Nigdy nie dotknąłeś kobiety, co, Bette Davis?

Strizkaz był oficerem śledczym, dopóki sam nie został aresztowany. Na Kołymie był więźniem funkcyjnym i zachował związki z tajną policją, więc żołnierze starają się nie wchodzić mu w drogę. Nikt jednak nie zapomina, kim kiedyś był.

„Uśmiechnięty” szturcha Mametkę w bok.

– No co, zostawisz to tak, Mametka?

– Nie zwracaj na niego uwagi – radzi Benia. – Chodźmy do koni.

– Koni? Jazda konna to wszystko, na co stać Mametkę z tym jego małym dziecięciem. Nie przeleciałbyś kobiety, nawet jakby chciała, co, Bette Davis? – szydzi Strizkaz.

– To wcale nie jest śmieszne, to wcale nie jest śmieszne – powtarza nieśmiało Mametka. – Nie będę dłużej tego znosił.

– Co takiego? Jak powiem, że masz znosić, to kurwa będziesz znosił, rozumiesz, Bette Davis?

– Powinieneś przeprosić, „Gruby” – mówi „Uśmiechnięty”. Według Beni robi to w sposób godny męża stanu i dyplomaty. – Chyba posunąłeś się trochę za daleko, prawda?

Strizkaz uśmiecha się drwiąco i nic nie odpowiada.

– Nie zwracaj na niego uwagi, Mametka – mówi Benia, obawiając się, że „Uśmiechnięty” i Strizkaz mogą wdać się w bójkę. – Spójrz!

Ulicą nadjeżdża rotmistrz Żurko. Ganakowicz, wyraźnie wzburzony, wybiega mu na spotkanie.

– Gdzie są tabory? Gdzie działa? Gdzie kompania łączności? – krzyczy, wymachując rękami.

– Nie wiem! Skąd mam to wiedzieć? – słychać spokojny, rozsądny głos Żurki. – Nikt za nami nie ruszył.

– To gdzie jest reszta batalionu?

– Pojechałem z powrotem w kierunku naszych linii. Wszędzie są fryce, z czołgami i artylerią, nikogo z naszych nie ma.

– Kałmuk powiedział, że mamy szczęście, bo trafiliśmy na Włochów. Ale teraz jesteśmy zdani na siebie. – Ganakowicz głośno przełyka ślinę. – Gdzie jest Meliszko?

Milczenie.

– Potrzebny nam Meliszko.

Beni robi się niedobrze. Ci dwaj głupcy nie mogą chyba mieć racji?

– Meliszko przyjedzie – mówi Żurko z przekonaniem. – Meliszko będzie wiedział, co robić.

Potem Koszka przysiada się do Beni. Też słyszał wszystko.

– Może to jednak nie było zwycięstwo – szepcze ochryple. – Może zostaliśmy odcięci!

III

Swietłana była sama w swoim kremłowskim mieszkaniu. Czuła się nieszczęśliwa. W szkole nauczyciele bali się jej i traktowali jak trędowatą, chociaż otaczali ją szacunkiem, niemal czcią. Ojciec Swietłany był największym z żyjących ludzi, ale wiele koleżanek i kolegów stroniło od niej i Swieta wiedziała, że to rodzice kazali im jej unikać.

Ojciec nocował czasem w kremłowskim mieszkaniu, zwłaszcza gdy sytuacja na frontach była niebezpieczna. Częściej jednak przychodził na krótko po naradach, a potem jechał do swego prawdziwego domu, Bliskiej Daczy w Kuncewie, dwadzieścia minut drogi od miasta. Swietłana mieszkała z oddaną nianią, kucharką i Michaiłem Klimowem, funkcjonariuszem tajnej policji, który pilnował jej bezpieczeństwa. Ojciec był tak zajęty wojną, że nie miał dla niej czasu, ale Swietłana wciąż się o niego martwiła. Napięcie nerwowe, w jakim żył na co dzień, było niemal nie do zniesienia. Żaden inny człowiek by go nie wytrzymał, a już na pewno nie jej starszy brat Wasia, czyli pułkownik Wasilij Stalin. Właśnie został zdegradowany za pijaństwo i zachowanie niegodne oficera – zabrał podwładnych na ryby, ale zamiast łowić je na wędkę, zaczął wrzucać granaty do rzeki i jeden z żołnierzy zginął. Ojciec wpadł w furję, gdy się o tym dowiedział.

Swietłana westchnęła i zaczęła przeglądać gazety, jak to miała w zwyczaju wieczorami. W „Krasnoj Zwiezdie” był nowy artykuł jej ulubionego korespondenta, Lwa Szapiry.

Czasem nawet najprostszy ludzie potrafią zachować się bohatersko. Wczesnym rankiem płynąłem promem przez Don i widziałem, jak jeden z nowych sztrafbatów wchodzi do walki, aby bronić naszych pozycji w łuku Donu. Jego żołnierze dostali od marszałka Budionnego kozackie wierzchowce i byłem świadkiem, jak szwadronami galopują na nieprzyjaciela. Ci sprawiedliwie skazani przestępcy, tchórze, oficerowie zdegradowani za wycofanie się bez rozkazu dostali dzięki inicjatywie Wielkiego Stalina,

który wydał rozkaz nr 227, szansę odkupienia win i służenia ojczyźnie. Była to zbieranina ludzi nieprzystosowanych społecznie i kryminalistów, znalazł się tam nawet jeden pisarz. Ale ich duch bojowy świadczył dowodnie o geniuszu towarzysza Stalina, który dał im sposobność przelać krew i zrehabilitować się, gdyż byli to patrioci pragnący służyć ojczyźnie.

Nastąpiły sceny, które każdego przyprawiłyby o szybsze bicie serca. Szwadrony złożone z kilkuset jeźdźców przypomniały najświetniejsze chwile z naszej wielkiej historii – walki z nikczemnymi najeźdźcami: zakonem inflanckim, Szwedami, Francuzami, a teraz hitlerowcami. Żołnierze zajęli pozycje. „W siodle zawsze świeci słońce” – mówi stary Kozak, weteran Czerwonej Kawalerii Budionnego. A potem ich dowódca, pułkownik Meliszko, woła: „Nie dostaniecie mnie!” i jego podwładni wiwatują. Później krzyczy: „Szable w dłoń!” i widzę błysk setek głowni. Potem komenda: „Naprzód! Do szarży!”. Trzymają szable pod ostrym kątem, a zakrzywiona stal lśni nad ich głowami. Słyszę ich krzyk: „Za Stalina! Za Ojczyznę!”. Mimo ciężkiego ostrzału artyleryjskiego szarżują na hitlerowców i dziesiątkami padają na placu boju – ale niektórzy przebijają się i napędzają stracha najeźdźcom... Kiedy to widzę, łzy napływają mi do oczu: czy jakikolwiek Rosjanin, czytający te słowa, może nie wzruszyć się szaleńczą odwagą tych ludzi?

Po policzkach Swietłany również płynęły łzy. Zdecydowała się: napisze do autora, by wiedział, jak bardzo ceni jego artykuły. Sięgnęła po papier, pióro i napisała okrągłym, dziewczęcym charakterem pisma:

Drogi Lwie Szapiro,

Wybaczcie, że do Was piszę. Wiem, że jesteście bardzo zajęci, ale chciałabym Wam wyznać, że przynajmniej w opinii niżej podpisanej wasze korespondencje są prawdziwą służbą dla naszej Ojczyzny i czyta się je tutaj z wielkim zainteresowaniem.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Swietłana Stalina,

Kreml, Moskwa

IV

Późnym popołudniem Benia idzie przez chutor. Każdy dom otoczony jest wiklinowym płotem z furtką i stoi w ogrodzie, w którym rośnie winorośl i drzewa wiśniowe.

– Ej, Golden, zobacz!

W jednej z chałup są trupy Włochów. Na progu leży martwy oficer, piękny mężczyzna, opalony i nienagannie ubrany – zabity strzałem w serce. Wszyscy gapią się na niego, a potem kryminaliści zabierają mu oporządzenie. „Uśmiechnięty”, „Nogi za Pas”, „Kanibal” Delibas i Koszka chodzą po chatach, szukając jedzenia, broni, dziewcząt. W momencie spotkania: krzyki i dźwięk rozbijanego szkła. Potem: symfonia szlochów. Nie na takie wyzwolenie zasłużyli mieszkańcy wsi.

Nagle zjawia się Haranza. Wyciera szablę o trawę, a na jego otwartych ustach rekina błąka się uśmiech, jakby mówił: „Zgadnijcie, co przed chwilą zrobiłem”. Przyłączają się do tych, którzy zalegli na przycerkiewnym cmentarzu. Przypomina to

makabryczną cygańską ucztę: wśród grobów wala się jedzenie, butelki i części mundurów. Jedni nadal popijają w słońcu, kilku innych straciło już przytomność. Strizkaz, z dzwonowatą głową opaloną na sino-brązowo i brzuchem jak wzdęty worek z winem (jedyne człowiek, który wyszedł z łagrów z nadmierną tuszą), siedzi oparty o siennik złożony we dwoje i wygłasza swoją opinię o wszystkich sprawach. Widzieliście Koszkę podczas szarży? Co za śmierzący tchórz! Ależ Ganakowicz boi się wojny – nie zauważyliście, kiedy jego głos robi się piskliwy? „Gruby” ma butelkę włoskiego wina i chętnie częstuje nim „Uśmiechniętego” i Haranżę. Potem zauważa Małego Mametkę, który ukradł wyglansowane włoskie oficerki, kaburę i pochwę sztyletu z wybitymi na nich inicjałami Włocha.

– Ej, Mametka, te buty są dla ciebie za duże!

„Uśmiechnięty” podnosi ostrzegawczo rękę, ale Strizkaz nie zważa na to.

– Ej! Co? Na Kołymie wszyscy nazywaliśmy go Bette Davis! Dżaba wymyślił to przezwisko.

To prawda, myśli Benia, ale od Dżaby, swego szefa, Mametka mógł przyjąć wszystko. Był wtedy młodszy, a poza tym Dżaba mówił tak do Mametki z czułością.

– Przeprosiłem – cedzi Strizkaz. – Przeprosiłem, a ty przyjąłeś przeprosiny, prawda?

Mametka jest zdenerwowany. Niepewnie kiwa głową.

– Wszystko w porządku – mówi Strizkaz do „Uśmiechniętego” i Haranży. – Przeprosiłem, a on przyjął przeprosiny... – Na jego twarzy z małym wąsikiem znów pojawia się złośliwy grymas. – Tak czy nie?

– Tak – potwierdza Mametka.

– Właśnie – grzmi Strizkaz. – Bette Davis, ty pieprzona dziewczynko!

I wtedy się zaczyna. Benia, jakby oglądał film ze szpuli, która zacina się i przeskakuje o kilka klatek, nie zauważa pierwszych scen. Potem widzi, jak Mametka chwyta jedną z łopat i podnosząc ją kolistym ruchem do góry, uderza kilka razy w gardło Strizkaza z taką siłą, że praktycznie przecina mu szyję. Krew obryzguje go całego – szpula znów się zacina – zanim Benia lub ktokolwiek inny mogą zerwać się na nogi, żeby go powstrzymać... albo przyłączyć się do niego. Potem jeszcze jeden skok szpuli i „Uśmiechnięty”, Haranża oraz nagle obudzony „Nogi za Pas” Iwanow biją Strizkaza czym popadnie: kolbą karabinu, drugą łopatą i kamieniem. Reszta tylko się przygląda. Kiedy kończą, wrzucają trupa Strizkaza, zmasakrowanego nie do poznania, do jednego z wykopanych do połowy grobów i przywalają go kamieniem nagrobnym.

– Co się tu u diabła dzieje? – pyta Ganakowicz. Idzie przez cmentarz, gapi się na Mametkę i wyjmując nagana, ale „Uśmiechnięty” i Haranża nie zwracają na niego uwagi. – Chłopaki, musicie mi powiedzieć.

– Nie sądzę – mówi Haranża.

– Nie wtrącaj się! – dodaje „Uśmiechnięty”.

Ganakowicz mierzy ich wzrokiem, chowa pistolet i wraca do domu popa. Państwo oficjalnie straciło kontrolę nad sztrafbatem.

Nabrzmiałe żyły na skroniach „Uśmiechniętego” pulsują. Znów jest w swoim żywiole. Benia czasami zazdrości mu wrodzonej prostoty, łatwości zabijania. Ale nie tym

razem. Musi uciec z tego cmentarza. Szybkim krokiem przechodzi obok Mamecki, który jest tak dokładnie powalany krwią, że wygląda ona jak teatralna charakterystyka – nawet włosy są pozlepiane. Idzie chwiejnie ścieżką do namiotu Włoskiego Czerwonego Krzyża, stojącego na drugim końcu chutoru.

– Co się dzieje? – pyta doktor Kopto, który wciąż opatruje rannych karniaków. – Coś się stało na cmentarzu?

– Nic... to może poczekać, aż pan skończy. Mogę tu usiąść?

W namiocie jest cicho, spokojnie i Benia cieszy się, że może tu pozostać – z dala od reszty. Po tym, co widział, powinien dygotać na całym ciele, ale nie dygocze. Modli się, żeby Meliszko wrócił jak najszybciej i zdradził im swój plan. Przecież musi być jakiś plan.

Benia przygląda się, jak sanitariuszki Tonia i Niuszka pracownie zszywają i bandażują rany.

– Nie mam wątpliwości, że wkrótce znów ruszymy do ataku – papie Niuszka, a w policzkach robią jej się dołeczki. – Wielki Stalin wie, co robi. Przygotuje dla nas jakiś plan.

Zawsze była fanatyczną stalinistką, nawet po aresztowaniu i zesłaniu na Kołymę. Benia zauważa, że dziewczyna jest bardzo ładna. Chociaż lekarz i sanitariuszki od wielu godzin towarzyszą szwadrom, Niuszka wciąż wygląda świeżo, policzki ma lekko opalone, a w kasztanowych włosach lśnią złote pasemka. – Towarzysz Ganakowicz dowie się wszystkiego – mówi niewinnie. – On zawsze zna rozkazy Stalina.

– Oczywiście – przytakuje Benia, pamiętając, że Niuszka jest teraz dziewczyną Ganakowicza, jego „frontową żoną”.

Odwraca się do Toni. Wygląda na to, że ona i Kopto rozumieją się bez słów. Kiedy lekarz robi nacięcie, Tonia ma już w ręku wacik, aby osuszyć ranę. Przewiduje kolejne czynności z półprzymkniętymi oczami osadzonymi w płaskiej, pozbawionej wyrazu twarzy. Czy kocha się w Kaptcie, czy nie o to w tym chodzi? Czy jej przeznaczeniem jest asystować lekarzowi, ale nigdy nie spełnić swoich skrytych pragnień?

Zszywają ostatnią ranę. Kopto, pogodny i bezpośredni, klepie każdego pacjenta po zakończeniu zabiegu.

– No! Załatwione! Spokojnie, tylko spokojnie!

Benia zauważa, że na pagonach lekarza pyszną się kapitańskie gwiazdki i że nigdy nie rozstaje się on ze skórzaną torbą, którą nosi przewieszoną przez pierś.

– Dostałeś awans, doktorze? Nie spostrzegłem wcześniej.

– Leczenie hemoroidów Meliszki ma swoje zalety.

– A ta torba?

– Oczywiście morfina. Potrzebujesz? Jak tam szarża, Beniu?

– Straszna...

– Widziałem cię, wyglądałeś, jakby cię diabeł opętał. Rzuciłeś pisanie, więc może znalazłeś sobie nowy zawód, ale... – Wzdycha. – Szabla potrafi wyrządzić okropne spustoszenia, jak sam już wiesz.

Benia ma wyrzuty sumienia z powodu swej nowej reputacji siepacza, ale jednocześnie jest z niej zadowolony. Czyż kiedykolwiek mógł się jej spodziewać?

– Papierosa? Mam włoskie, Afryki. Pójdziemy gdzieś dalej? – mówi Kapto, wychodząc z namiotu i zapalając papierosa.

– Powinniśmy unikać cmentarza – uprzedza Benia – ale wygląda na to, że na polach jest spokojnie. Właśnie zabili „Grubego”.

– Zemsta za to, co robił w łagrach. Tylko Meliszko może nad nimi zapanować – głośno myśli lekarz. – Wrócił już? Dokąd u licha stąd ruszymy?

Benia bierze karabin, a Kapto wyjmuje swój nowy pistolet, ładne niemieckie parabellum, które znalazł w chutorze. Idą na pola, z których zebrano już zboże. Stoi tam wrak spalonego kombajnu. Benia odwraca się i patrzy na chutor. Tak mogłoby wyglądać letnie popołudnie w czasach pokoju: sroka skrzeczy, wysoko na niebie tańczy skowronek. Ale na widnokręgu gęstnieją chmury kurzu, plamiąc chabrowe niebo na brudnobordowy kolor, a artyleria dudni bez przerwy. Z zachodu dolatuje terkot broni maszynowej, a potem trzask pojedynczych strzałów.

Kapto nastawia ucha.

– To nie wygląda na walkę.

Dym unosi się do góry. Nie jest czarny, a więc nie pali się olej napędowy, ale być może rżyska.

– I pomyśleć, przez co przeszliśmy – mówi Benia. – Widzieliśmy śmierć tylu ludzi...

– Nie ma co wracać do przeszłości ani wybiegać w przyszłość – odpowiada Kapto.

– Tak jak w obozach. Trzeba żyć chwilą. Na nic nie mamy wpływu, ale nawet tu jeden człowiek może uratować drugiego.

Idą między snopami w stronę stogu, stojącego na końcu pola. Benia marzy, żeby rzucić się na siano. Powodowany nagłym impulsem oddaje lekarzowi swój karabin, po czym biegnie, skacze i kładzie się, robiąc nogami młynka w powietrzu. Siano jest jasnożółte, słodkie, kłujące. Ale obok coś się rusza. Może zając, a może ptaszek.

– Ostrożnie – woła Kapto. Spokojnie podnosi karabin, gdy Benia, wystraszony, podskakuje do góry.

– Co u diabła? To coś dużego – mówi, wyjmując pistolet.

– Wychodź! – rozkazuje Kapto. – Nie zrobimy ci krzywdy!

Dźga stóg lufą. Siano rozsuwa się i wychodzi z niego mała dziewczynka w podartej kwiecistej sukience, bardzo przestraszona. Ma czarne oczy i długie kasztanowe włosy z przedziałkiem, upięte spinką. Jest cała ubłocona.

Benia klęka i wyciąga rękę, zachęcając dziewczynkę, żeby podeszła.

– No, już dobrze – mówi. – Jesteśmy Rosjanami. Skąd się tu wzięłaś?

Mała pokazuje na zachód, w stronę dymu i pojedynczych strzałów.

– Gdzie mieszkasz?

– W Dniepropietrowsku.

– To daleko stąd.

Dziewczynka kiwa głową.

– Ile masz lat?

– Pięć.

– Gdzie są twoi rodzice?

– Zabrali ich.

– Niemcy?

– Schuma i Niemcy. Czy wy...? – Zaczyna drżeć ze strachu.

– Nie, nie, jesteśmy z Armii Czerwonej, nie z Schuma. A gdzie są teraz twoi rodzice?

Mała patrzy za siebie i zaczyna płakać. Benia zauważa, że nogi ma całe podrapane, jej sukienka jest w strzępach, a jedno kolano krwawi.

– Odeszli. Wszyscy byliśmy w takim dole. Czekałam. Kiedy zrobiło się ciemno, wyczołgałam się z niego i uciekłam.

Doktor Kapto przyklęka obok Beni i włącza się do rozmowy.

– Uciekałaś całą noc i dzień?

Mała kiwa głową.

– Nic nie jadłaś?

Kręci przecząco głową.

– Krwawisz. Czy mogę to zobaczyć?

– On jest lekarzem – wyjaśnia Benia. Dziewczynka uspokaja się i Kapto ogląda jej kolano.

– Biegłaś przez druty i zraniłaś się, dość głęboko. Musimy to zszyć. Pójdiesz z nami? Mogę cię ponieść?

Otwiera ramiona i mała powoli podchodzi do niego. Kapto obejmuje ją i dziewczynka zaczyna płakać. Kapto zajmuje się nią tak czule, że Beni też zbiera się na płacz, gdy wracają razem do chutoru.

W namiocie Czerwonego Krzyża przybrudzona twarz Toni rozjaśnia się na chwilę. Razem z lekarzem uratowali wiele dzieci. Może dzieci to jedyna część jej pracy, która naprawdę sprawia Toni radość, myśli Benia. Przygląda się, jak mała je. Potem Kapto zszywa zranione kolano, a Tonia mu asystuje.

W końcu dziewczynka zasypia. Benia i Kapto zapalają papierosy i idą się przejść.

Pomarańczowe słońce stoi tak nisko, że Benia może patrzeć prosto w jego nabiegłą krwią tarczę i czuje przez powieki ciepło jego promieni.

– Co z nią zrobimy? – pyta.

– No cóż, nie może wrócić, a my nie możemy jej tu zostawić – odpowiada Kapto.

Przed nimi w malutkiej uliczce rozlega się ciężki tętent kopyt.

– Meliszko wraca, Meliszko wraca! – słyszy Benia okrzyki towarzyszy broni. Kamień spada mu z serca. Dzięki Bogu za Meliszkę, dzięki Bogu za Kaptę.

Jeden i drugi uratowali mu życie.

W innym świecie.

V

W obozie Benia był za stary na ciężką pracę. Miał czterdzieści lat i choć było tam sporo starszych ludzi, większość zmarła w pierwszych tygodniach. Żyła złota, które wydobywali, biegła piętnaście metrów pod ziemią w złożu rudy żelaza. Kiedy wcześniejsza zmiana rozsadziła dynamitem skałę, Benia ładował luźne kamienie na taczki i balansując niebezpiecznie po uginających się deskach, zawoził je do taśmociągu,

wysoko nad kopalnią. Była to katorżnicza harówka. Jeśli taczki się wywróciły, jemu i kolegom odbierano posiłek, a Benię czekała chłosta. Jeśli więzień nie mógł się ruszać ze zmęczenia, strażnicy po prostu go zabijali. Dzienna norma Beni wynosiła siedem metrów sześciennych skalistej ziemi.

Nagle, zaledwie po tygodniu, na dworze zrobiło się ciemniej i zaczął padać śnieg. Przyszła zima, ponura kołymska zima. Zasy były tak wysokie, wiatr tak silny, zamiecie tak oślepiające, że nawet na terenie obozu rozpięto liny, by więźniowie mogli trafić do stołówki. Wydano zimowe ubranie: walonki, waciaki i grube rękawice, ale wszystko to było i tak za mało, więźniowie stale marzli. Na porannym apelu, ustawieni w szeregi przez Strizkaza i innych funkcyjnych, klepali się po ciele, by się trochę rozgrzać, i ostrzegali się o zbielejących miejscach na twarzy, grożących odmrożeniami. Wtedy właśnie Benia poznał Meliszkę, któremu Beria podczas tortur wybił wszystkie zęby i zerwał wszystkie paznokcie.

– Rozetrzyj nos, bo ci odpadnie – ostrzegł Benię któregoś dnia.

Noc trwała dziewiętnaście godzin na dobę, a temperatura spadała do czterdziestu stopni poniżej zera. Ludzie odmrażali sobie nosy, palce u rąk i nóg; jeden, załatwiający się na dworze, stracił penisa, gdy mocz zamarzał. Zdarzało się, że chorzy na dyzenterię nie mogli już wstać z pryczy, bo przymarzli do zlodowaciałych odchodów. Benia jednak nauczył się znajdować iskierki i perełki radości nawet w tym piekle – pyszny kawałek chleba, kilkuminutowy dodatkowy odpoczynek, uśmiech nowego przyjaciela, Szyszkowa, więźnia politycznego, z którym pracował. Polityczni byli bardzo ostrożni, nigdy nie mówili o swojej sprawie, chyba że naprawdę komuś ufali. „Moje imię Nic, nazwisko Nikt”, *Zwat' niko, familija nikak* – mawiali. Szyszkow jednak od razu wiedział, kim jest Benia. „Byłem jednym z twoich czytelników” – szepnął któregoś ranka. Benia nabrał do niego zaufania. Szyszkow zaliczał się do więźniów skazanych z artykułu 58 paragraf 10 za „kontrrewolucyjną agitację”, co zwykle oznaczało opowiedzenie kawału o Stalinie.

– To był całkiem śmieszny kawał – powiedział Szyszkow.

– Tylko mi nie opowiadaj.

– Znam jeszcze jeden o Berii!

Roześmieli się.

Szyszkow zajmował kiedyś wysokie stanowisko. Był drugim sekretarzem partii w Chersoniu, gdy został zadenuncjowany przez szwagra za opowiadanie dowcipów o gruzińskich geniuszach. Należał do tych rozumnych, stale zamyślonych okularników, którzy zawsze wyglądali starzej, niż wynikało to z ich metryki. Był dobry dla Beni i nauczył go, jak prowadzić taczki, jak wysoko ładować kamienie, jak unikać wypadku i jak zawyżać swój urobek. Cały obóz zawyżał urobek, a tę oszukańczą praktykę zwano *tufita*.

– Pamiętaj – mówił Szyszkow – miłość to życie, bo to miłość umieściła twoje gwiazdy na niebie. Popatrz na księżyc. Księżyc świeci wszędzie i jeśli kogoś kochasz, on widzi ten sam księżyc! Nazywam to księżycową magią. Miłość pozwoli ci przeżyć.

Benia wiedział, że Szyszkow stale myśli o żonie i dwóch córkach.

Zauważył już, że więźniowie rzadko płaczą albo krzywią się. Ci, którzy przeżywali

największy ból, zamiast twarzy mieli kruche, pozbawione wyrazu maski – nawet jeśli cierpienie rozdzierało ich na strzępy.

Gdyby Benia nie woził kamieni, zginąłby z zimna, ale praca była tak ciężka i wyczerpująca, że już pierwszego dnia szedł chwiejnym krokiem. Jeśli norma brygady nie została wykonana, więźniowie dostawali mniej jedzenia. Ale nawet normalna racja: wodnista zupa z okami wielorybiego tłuszczu i łbami od śledzi oraz *pajok*, czyli przydział chleba, nie mogła wystarczyć.

Zaledwie po tygodniu od rozpoczęcia się zimy Benia zauważył, że jego przyjaciel Szyszkow słabnie w oczach. Twarz miał naznaczoną piętnem śmierci, cerę żółtą, nos zaostrzył się: sama skóra i kości. Benia błagał przyjaciela, żeby znalazł w sobie wolę życia.

– Zrozumiałem, że nigdy już nie zobaczę dzieci – odpowiedział Szyszkow, a po policzkach ciekły mu łzy. – Umieram z głodu.

Wieczorem Benia znalazł Szyszkowa na zamrożonej kupie śmieci za stołówką. Jego przyjaciel ogryzał jakiś rybi szkielecik.

– To *dochodiaga*, umarłak – powiedział przyjaciel Beni „Uśmiechnięty”, który uratował mu życie podczas podróży na Kółymę. Teraz mieszkał w najlepiej urządzonej baraku ze swymi braćmi, kryminalistami. „Zjadacze odpadków” nie mieli przed sobą długiego życia.

Po dwóch tygodniach zimy Szyszkow zemdlął podczas pchania taczek, wywracając ładunek.

– Zbieraj te cholerne kamienie, psia twoja mać! – wrzasnął jeden ze strażników, Mongoł, jak wielu z nich. – Wracaj do roboty albo cię zastrzelimy! – krzyknął drugi znad krawędzi wyrobiska.

Benia pomógł Szyszkowowi się podnieść i zebrał rozsypane kamienie.

– Ruszaj się, bo cię zastrzelą – zachęcał. – Dokończę za ciebie.

Padął gęsty śnieg. Kamienie, taczki: wszystko było zamrożone.

Kilka godzin później Szyszkow znów stracił równowagę i spadł z drewnianej kładki. Benia zszedł do niego, ale strażnicy krzyknęli:

– Wracaj do pracy! Zostaw tego umarłaka!

Widział, że Szyszkow kona.

– Jak wyjdiesz – mówił z wysiłkiem Szyszkow – odwiedź moją żonę i dzieci. Powiedz im...

Benia zapamiętał podane adresy. Pochylał się właśnie nad przyjacielem, aby mu powiedzieć, że wszystko zrozumiał, gdy jeden z mongolskich strażników uderzył go w ramię.

– Wracaj do roboty, bo pójdziesz do karceru!

Benia odprowadził taczki przyjaciela do taśmociągu, ale kiedy z nimi wracał, więźniowie dobrali się już do Szyszkowa i odzierałi go z waciaka, czapki, butów, spodni – ze wszystkiego, aż nie było już co ukraść. „Człowiek człowiekowi wilkiem” – dźwięczało Beni w uszach. Nigdzie myśl ta nie była prawdziwsza niż w łagrach.

Szyszkow leżał z otwartymi oczami, zupełnie nagi, chudy jak kościotrup, bardziej podobny do deski do prasowania niż do człowieka, powoli zasypywany przez padający

śnieg. Dwa razy mrugnął powiekami.

– On żyje! – krzyknął Benia, ale zek stojący obok powstrzymał go. Był to Meliszko.

– Nie, nie żyje – powiedział. Meliszko, jeden z oficerów aresztowanych w trzydziestym siódmym, zwany był „Generałem” i cieszył się szacunkiem w całej zonie. – I nie wolno ci iść w jego ślady. Jak przetrwać? Nie wolno myśleć o przeszłości ani przyszłości, trzeba żyć teraźniejszością, z minuty na minutę.

Nikt nie przyszedł zabrać Szyszkowa. Nazajutrz był już tylko słabo widocznym kształtem w śniegu, leżał całkowicie zamrożony w swoim białym grobowcu. Dwa dni później wtopił się zupełnie w polarny krajobraz. Czy ludzie mogą w ten sposób zniknąć bez śladu? Benia poznał odpowiedź w pierwszych dniach wiosny. Gdy przyszła odwilż i strumienie kipiały świeżą wodą, która żłobiła sobie nowe tunele pod skorupą zimy, spod śniegu wyjrzały pierwsze wiosenne kwiaty, „przebiśniegi”. I co ciekawe, podczas gdy więźniowie wyglądali dziesięć lat starzej, zmarli byli w tym samym wieku jak wtedy, gdy zasnęli snem wiecznym.

Benia przeżył niemal całą zimę, ale w ostatnich dniach, kiedy łagrowi weterani przepowiadali, że wiosna jest już za progiem, zaczął słabnąć. Meliszko, który chociaż starszy od niego, był znacznie silniejszy, został jego partnerem przy taczkach. Dni stawały się coraz dłuższe, ale Benia cierpiał na skutki niedożywienia. Miał dziwne wrażenie, jakby nic nie ważył, był pyłkiem na wietrze. Zastanawiał się, czy dożyje jutra albo pojutra. Potem nadszedł dzień, że prawie nie mógł się ruszać.

– Dość tego – rzekł Meliszko. – Pogadam z brygadzystą. Musisz zostać w baraku na jeden dzień.

Ale nazajutrz Benia nie miał siły zwlec się z pryczy. Dostał wysokiej gorączki, majaczył i miał halucynacje. Widział ojca w trzyczęściowym garniturze z dewizką, badającego pacjentów w gabinecie lekarskim, który mieścił się w piwnicy ich domu.

Potem stanęła mu przed oczami Saszeńka; była tu z nim, w obozie, a jej grecki profil miał w sobie tyle dostojeństwa, że za każdym razem wprawiał go w zachwyt. Widział jej szerokie kości policzkowe, czuł nawet jej zapach, dotykał jej skóry. Łzy ciekły mu po twarzy. „Kochanie, wiedziałem, że żyjesz” – mówił.

Z kolei wydało mu się, że jest w domu rodzinnym we Lwowie, na długo przed rewolucją, gdy miasto należało jeszcze do austriackiej Galicji. Był w szkolnym mundurku i słyszał, jak ojciec mówi: „Ucz się pilniej, Benoczka, bo jak nie będziesz uważał, staniesz się prawdziwym galicyjskim babiarem”.

W drzwiach stanęła matka: „Chyba wystarczy, Zachary. Myślę, że Benoczka zrozumiał. No, chodźcie wreszcie, jest święto! Kolacja!”. W domu Goldenów zawsze było święto. Benia marzył, żeby przed śmiercią jeszcze raz objąć rodziców – bo był pewien, że umiera...

Kiedy się ocknął, uświadomił sobie, że Boga nie ma, ale jest lekarz: biały kitel, stetoskop na szyi, w ręku notes i uśmiech na twarzy.

– No, nareszcie! – powiedział człowiek w bieli, jakby czekał na tę chwilę bardzo długo. – Musi pan dużo pić. Będziemy pana karmić bardzo ostrożnie. Rano temperatura w normie. Jest pan bardzo słaby, ale dojdzie pan do siebie.

Benia rozejrzał się po pomieszczeniu, które wyglądało jak sala szpitalna.

Na łóżkach leżały białe prześcieradła, a w powietrzu unosił się zapach środków dezynfekcyjnych; nie było natomiast czuć potu ani odchodów. Drewniana podłoga była czysta. Czy znalazł się w Moskwie? Uciekł z żony?

– Gdzie ja jestem?

– Niestety, nadal w Madiaku. Jest pan w mojej tak zwanej klinice. Przyjeżdżam tu ze szpitala w Magadanie. Cała klinika to ta mała izba w baraku... Robimy, co w naszej mocy. A pan miał szczęście, że akurat w tym tygodniu wypadł mój przyjazd.

– Pan jest...?

– Tak, doktor Kapto.

– A więc to pan jest tym słynnym Lekarzem Dzieci – mruknął Benia.

Doktor Kapto był bohaterem żony, kochanym przez wszystkich więźniów, ostatnim świadectwem tego, że człowieczeństwo jeszcze nie umarło. Rzecz jasna sam był zekiem, odsiadującym długoletni wyrok (według Beni na pewno z politycznego artykułu). Więźniowie opowiadali o jego dobroci nieomal w dzieciennych rymowankach: o tym, że uratował życie wielu kobietom, które przybyły do obozu w poważnym stanie lub zaszły w ciążę w łagrze po zgwałceniu przez kryminalistów lub strażników; że odbierał porody i chronił kobiety, nie pozwalając, żeby wróciły do pracy przed nabraniem sił, i że zawsze starał się im znaleźć łżejsze zajęcie. Krążyły też plotki, że wychowywał dzieci w należącem do żony sierocińcu w Elgenie, będąc dla nich ojcem, nauczycielem i lekarzem. Benia pomyślał, że nikogo nie kochał tak bardzo, jak w tej chwili tego lekarza. A więc to był on: Lekarz Dzieci.

– Jest pan tu bezpieczny, Golden – rzekł Kapto. – Opiekuję się panem.

Benia spojrzał w jego sercowatą twarz i cudownie jasne oczy. Poczł do niego taką wdzięczność, że nie mógł powstrzymać łez. Wyciągnął dłoń i próbował chwycić Kapto za rękę.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział pogodnie Kapto. – Jest pan bardzo osłabiony. Mamy dla pana zupę i chleb. Odkarmimy pana. O... widzi pan?

Jakby za sprawą czarów młoda chłopka o płaskiej twarzy i ciężkich powiekach wtoczyła wózek kuchenny. Zapach jedzenia przyprowiiał o zawrót głowy. Benia w krótkim czasie pochłonał barszcz, owsiankę z kawałkami wielorybiego mięsa, chleb, herbatę. Zjadł samo masło, wcierając je w dziąsła. Dwóch kostek cukru nie wrzucił do herbaty, ale z lubością je rozgryzł, a potem czekał, aż rozpuszczą się na języku. Przebiegł go dreszcz rozkoszy.

Kapto pozostał przy jego łóżku, zachwycony widokiem ozdrowiałego pacjenta.

– Jak tu trafiłem?

– Meliszko poszedł sprawdzić, jak się pan czuje, i przywlókł pana tutaj. Jeszcze kilka dni i odzyska pan siły. – Wstał. – A teraz muszę iść do innych pacjentów...

Benia spostrzegł nagle, że sala jest pełna chorych. Pacjenci, niektórzy wyglądający jak żywe trupy w nieokreślonym wieku, patrzyli w przestrzeń, rozdziawiając bezzębne usta. Kiedy Kapto odwrócił się, aby odejść, Benię znów obleciał strach. Jego koszmar wcale się nie skończył. Przywracano go do zdrowia tylko po to, żeby zabić. Wkrótce wróci do swojej brygady. Nie może do tego dopuścić. Zginie tam, niechybnie zginie! Uniósł się i złapał lekarza za połę.

– Ale co będzie, gdy wydobrzeję? Nie mogę wrócić do kopalni... Umrę tam...

Kapto przysiadł na skraju łóżka i położył dłonie na rękach Beni, który nie mógł uwierzyć, że ktoś może być dla niego tak dobry. Lekarz pachniał czymś słodkim, mydlanym, a nie potem, środkami dezynfekcyjnymi i śmiercią jak wszyscy. Pachniał jak człowiek.

– Spokojnie, spokojnie! Ma pan szczęście, Beniu Golden. Nie wróci pan do kopalni – szeptał. – Wszyscy inni muszą wrócić, ale nie pan. Czyż nie jest pan felczerem? Nie ma pan pielęgniarskiego doświadczenia?

– Że co? – nie zrozumiał Benia.

– Nie pamięta pan, jak pisał w *Opowieściach hiszpańskich*, że przez tydzień był pan na froncie nad Ebro z sanitariuszami i ich ambulansem? Przeszedł pan szkolenie medyczne? Teraz już pan rozumie?

– Tak, oczywiście! Jestem felczerem! – Benia cieszył się jak dziecko.

– Widzi pan, czytałem pańską książkę – a także wszystkie pańskie opowiadania. Dołączy pan do dwóch pielęgniarek w naszej małej klinice. Najważniejsza jest życzliwość dla pacjentów. Wielu umiera, ale muszą czuć się kochani. Przeszkolimy pana. Dla nas, lekarzy, obowiązki nie kończą się na ratowaniu życia. Musimy też otaczać troską ludzi, których leczymy.

Benia próbował coś powiedzieć, ale był tak wzruszony, że tylko się rozplakał.

– No, proszę się uspokoić. Ma pan dużo szczęścia, Golden. A jutro pozna pan całe znaczenie słowa „szczęście”.

VI

Generał Meliszko jest cały zakurzony. Nawet jego siwe, nawoskowane wąsy i skrzydlate brwi są czerwone od ziemi. Wrócił, dzięki Bogu! Oddaje wodze Słonia adiutantowi i podchodzi do Żurki i Ganakowicza, którzy stoją pod domem popa nieopodal cerkwi.

Benia słucha, jak Żurko i Ganakowicz zasypują Meliszkę pytaniami. Kiedy nadciągną posiłki? Gdzie jest zaopatrzenie? Ganakowicz mówi piskliwie, nie przypomina legendarnego kolegi członków Politbiura, który słynął z uwodzenia baletnic.

– Czym mamy karmić konie? Potrzebujemy wsparcia – mówi Żurko głosem spokojnym, oschłym i napiętym.

– Jak dołączymy do reszty? – krzyczy Ganakowicz. – Co teraz zrobimy? Nie mamy nawet dokładnych map.

– Jesteśmy, gdzie jesteśmy – odpowiada Meliszko.

– Ale gdzie to jest? – pyta Ganakowicz, przełykając nerwowo kulę śliny. – Gdzie jesteśmy? Czy nie powinniśmy wrócić do swoich...?

Meliszko śmieje się ochryple, odsłaniając sztuczne zęby.

– Naprawdę, Ganakowicz?

– Nie, nie o to mi chodziło – mityguje się Ganakowicz. – Ani kroku wstecz! Znamy rozkaz Stalina. Odwrót to śmierć.

– Tak – potwierdza Meliszko jowialnym tonem, trącając tamtego łokciem. – Dobrze, że to powiedziałeś, bo inaczej trzeba by cię było rozstrzelać.

– Wybaczcie! Nie informujcie, proszę, oddziału specjalnego, chodziło mi tylko o to, że...

– Uspokój się, chłopcze. – Meliszko obcesowo macha ręką. – Nie powiemy, prawda, Żurko?

– Oczywiście, że nie – przytakuje Żurko, przecierając okulary rąbkiem bluzy. Jest dziwnie cicho. Benia uprzytamnia sobie, że strzelanina ustała.

– Dziękuję, towarzysze...

– Nie jesteśmy towarzyszami, pamiętasz, Ganakowicz? Jesteśmy bandytami – odpowiada życzliwie Meliszko. – Ile mamy szabel?

– Jakież trzysta – melduje Żurko.

– Ranni?

– Włącznie z rannymi, którzy mogą dosiąść koni.

– Jak więc z tymi trzema setkami dołączymy do reszty batalionu, reszty dywizji? – Ganakowicz omal nie płacze.

– Ganakowicz, pozwól, że ci coś wyjaśnię. Jesteśmy sami. Posiłków nie ma – tłumaczy Meliszko. Mówi powoli i z namysłem. – Pozostałe szwadrony zostały unicestwione podczas szarży na niemieckie czołgi i karabiny maszynowe. Zrehabilitowały się wspaniale. Sam ledwie z tego wyszedłem, tylko dzięki Słoniowi. Ten zwiadowca miał rację: nasz szwadron miał szczęście. Nikt nie wiedział, że na tym odcinku są Włosi. A ponieważ Włosi troszczą się tylko o swoje mundury i makaron, przebiliśmy się przez ich pozycje.

– Więc co teraz zrobimy? – szepcze Ganakowicz.

Meliszko zapala papierosa i nie spieszy się z odpowiedzią. Wypuszcza dym i wodzi językiem po sztucznej szczęce. Po dłuższym zastanowieniu mówi:

– Możemy tylko iść naprzód. I mamy zadanie do wykonania, pamiętacie? Powiedzieli, że jeśli się przebijemy, musimy wytropić i zlikwidować wszystkich zdrajców. A głównym zdrajcą na tym odcinku jest pułkownik Mandryka. Dostał tu od Niemców własne państwo, ma swoją policję bezpieczeństwa, Schuma, która współdziała z SS przy akcjach specjalnych. Zachęca żołnierzy sowieckich, żeby się poddawali i dezertowali. Moskwa domaga się jego głowy i żołnierzom jednostki, która go zabije, zostanie darowana reszta kar. To właśnie zrobimy. Powiedz Pance, żeby kazał siodłać konie i zgromadzić cały prowiant. O świcie ruszamy.

– Ale czy Niemcy nie dowiedzą się, że tu jesteśmy? – pyta jęklonie Ganakowicz.

– Tak, lecz będą się spodziewać, że wycofamy się w kierunku Donu. A my tymczasem pójdziemy w przeciwną stronę, w głąb nieprzyjacielskiego terytorium. Będziemy iść szybko i niepostrzeżenie, tak jak to potrafi tylko kawaleria.

– Naprzód to jedyna droga wstecz – zgadza się Żurko.

– Czy nie rozumiecie? – mówi Ganakowicz, a lęk słyszalny w jego głosie jest echem strachu, który jak kamień uciska Beni żołądek. – Nigdy już nie wrócimy.

Dzień trzeci

I

Godzinę drogi za chutorem niebo zaczęło jaśnieć i zmieniać barwę na liliową, a potem różową. Natknęli się na martwego konia, który leżał na plecach z kopytami sterczącymi do góry.

– Przejadł się i zdechł – zakpił Panka.

Kilka minut później minęli zwłoki Rosjanina przejechanego przez czołg. Tworzyły doskonale rozwałkowaną, bezkształtną masę: zielona tkanina i różowe ciało utkane razem jak dywan. W powietrzu unosiła się woń spalenizny i Benia przypomniał sobie dym bitewny widziany poprzedniego dnia. W miarę jak jechali, smród był coraz silniejszy, a żołnierze, trzystu jeźdźców, milkli coraz bardziej. Słyszeć było tylko świst końskich ogonów, podzwanianie wędzideł między zębami, skrzypienie skóry i brzęk ostróg.

– Jak się boicie, zrezygnujcie – powiedział Żurko, kiedy wyruszali. – Skoro nie rezygnujecie, nie bójcie się!

Benia stwierdził, że nie boi się już tak bardzo jak przedtem. Teraz bardziej obawiał się niewoli, śmierć wydawała mu się łatwiejsza. Tylko ból umierania budził strach. Jechał w swoim zwykłym miejscu w kolumnie, między Haranżą a Pryszczepą, i zauważył, że w siodle u doktora Kapyt siedzi dziewczynka, którą znaleźli w stogu, umyta i uczesana. Meliszko jeździł wzdłuż szeregów, rzucając jakieś słowo tu, zachętę tam. Chciał się upewnić, czy jego podwładni rozumieją, że dzięki tej akcji mają szansę odzyskać wolność. Żołnierze jednak szemrali. W chutorze dotarły do nich plotki rozsiewane przez ludzi Mandryki, że wojna jest przegrana, a ich kozaccy rodacy przeszli na stronę Niemców. „Przyłączmy się do swoich braci!” – szeptało kilku żołnierzy.

Panka pokręcił głową, gdy to usłyszał.

– Ostrożnie, braciszku, znam te niemieckie obietnice i powiadam wam, że nigdzie się nie wybieram! – zakończył z emfazą.

Wrócili zwiadowcy.

– Przed nami chutor. Czysty – zameldowali.

Jechali stępą jedyną ulicą chutoru. W miejscu chat były poczerniałe zgliszcza, a stodoła wciąż dymiła.

Raptem rozległ się okrzyk: „*Kłop, kłop!*” i staroświecki tarantas ciągnięty przez sędziwą chabetę wjechał w ich środek. Benia i jego towarzysze podnieśli karabiny, biorąc na cel starego chłopca trzymającego lejce. Miał na sobie szamerowaną bluzę z carskich czasów z naramiennikami i medalem; na kolanach trzymał starą strzelbę. Ujrawszy ich, zeskoczył i próbował uciec, ale „Uśmiechnięty” postrzelił go w kostkę. Poszli i przywlekli go z powrotem.

Meliszko zsiadł z konia i zajrzał do dymiącej stodoły. W środku zobaczył szerniałe i skurczone do dziecięcych rozmiarów zwłoki kobiet i mężczyzn z podniesionymi rękami i białymi zębami w szeroko rozwartych ustach.

Meliszko zerknął za siebie na Pryszczepę i Benię, którzy nadal siedzieli na koniach.

– Co tu się stało? – zapytał woźnicę, gdy go przyprowadzono. – Co się stało, Kozaku?

„Uśmiechnięty” popchnął starego, który zajęczał, łapiąc się za zranioną kostkę.

– Była tu policja Mandryki – wyjaśnił.

– Gdzie reszta mieszkańców?

„Uśmiechnięty” uderzył Kozaka kolbą karabinu i ten zakwilił płaczliwie:

– Nie bijcie. Nie róbcie mi krzywdy.

Mieliszko kazał przynieść jakiś na wpeł spalony zydel, żeby chłop mógł usiąść.

– Pracujesz dla Mandryki?

– Nie, ale robimy dla niego wiosenne porządki.

– Co to za mundur?

– Lejbgwardyjskiego Atamańskiego Pułku Jego Wysokości. Walczyłem w carskim wojsku podczas wielkiej wojny.

– I byłeś u białych?

Chłop kiwnął głową.

– Gdzie są wszyscy?

Zapytany spoglądał to w jedną, to w drugą stronę, jakby udawał głupiego, niczym dziecko podczas zabawy.

– Część przyłączyła się do Mandryki – odpowiedział w końcu.

– Dlaczego zostałeś?

– Żeby doglądać pola, sprzątać w stodole, oglądać widoki.

– Jakiego pola? Jakie widoki?

– Pola uprawnego. Opiekuję się też gośćmi w stodole.

Stary uśmiechnął się, odsłaniając czarne pieńki zębów, które dziwnie kontrastowały z jego różowymi policzkami.

Mieliszko spojrzął ponad ramieniem chłopca na Pankę, który zrobił gest mówiący: „To wariat”.

– Kim są ci goście?

– To obcy. Przyszli z miast...

– I co z nimi robicie?

Chłop spojrzął Beni prosto w oczy.

– Ty jesteś jednym z nich – powiedział, wskazując go palcem. – To jeden z nich! Chrystobójca. Między wami!

Benię przeszedł dreszcz. Odczuł całą moc prymitywnego, zuchwałego zła.

– Odpowiadaj – nalegał Meliszko, wciąż paląc papierosa. Smród spalenizny i czegoś nieskończenie strasniejszego stawał się nie do zniesienia. Żołnierze zaczęli zawiązywać chustki na twarzach.

Chłop obliznął wargi i otworzył usta w grymasie, który miał być uśmiechem.

– Urządzamy im powitanie.

Usta chłopca wydały się Beni czeluścią śmierci.

– Diabeł – mruknął Panka. – Opętany przez letni księżyc.

– Jeszcze jedno. Jakie jest następne zadanie Mandryki?

– To specjalna akcja. Ci obcy uciekają z zachodu, z Odessy i Kiszyniowa, i szukają

schronienia we wsiach. Stamtąd Mandryka ich zabiera. Abyśmy mogli ich powitać po swojemu – wyjaśnił stary i znów rozdziawił usta.

Meliszko kiwnął głową, pocierając ręką wąsy.

– A więc tak wygląda działalność Mandryki. Widzicie, Kozacy! Oto nasze zadanie. Oto jak odzyskamy wolność!

Odwrócił się i wsiadł na Słonia.

– Jedziemy dalej.

Ganakowicz wciąż stał nad chłopem.

– Można...? – zapytał „Uśmiechnięty”.

Benia ruszył, cały czas czekając na strzał, a kiedy go usłyszał, nawet się nie wzdrygnął.

Pole za wsią wyglądało na zarzucone szmatami. Kiedy jednak podjechali bliżej, Benia zobaczył najpierw białą rękę, doskonale białą, potem nagą stopę, kolaż z gabardyny i płótna, a w końcu całą twarz. Na ten widok Srebrne Skarpetki stanęła dęba i zarżała przestraszona. Żyzny czarnoziem został świeżo zaorany, ale z bliska Benia zobaczył, że ziemia nie przykrywa leżących w rzędach półnagich ciał, szkaradnie powykręcanych, splecionych ze sobą. Stali, nie odrywając wzroku od trupów; konie gryzły wędzidła, błyskając białkami i kładąc uszy po sobie. A gawrony wzbily się w powietrze, lecz wnet zawróciły i przeskakując z miejsca na miejsce, podchodziły coraz bliżej.

Oddychając z wysiłkiem, Meliszko znów zsiadł z konia, i skinął na Benię, aby zrobił to samo.

– Byłem w Hiszpanii, tak jak ty, i widziałem różne rzeczy. Rozstrzeliwali księży i zakonnice na placu targowym. Ale czegoś takiego nie widziałem. Musisz przeżyć, żeby dać świadectwo temu, co tu się stało – powiedział szorstko.

– Dlaczego akurat ja?

– Tylko ty jesteś pisarzem. Kim oni są? Nie widzisz? Przyjrzyj się lepiej tym ludziom.

Meliszko ukląkł i odgarnął ziemię. Z gleby szły jakieś niezdrowe słodkawe wyziewy, mimo że zwłoki były jeszcze świeże. Benia zrozumiał, że śmierć pachnie skwaśniałymi jeżynami. Sępy siedzące na najbliższych gałęziach pochylały krzywe szyje, a wrony krakały – ich oczy połyskiwały jaskrawo i żółto jak okruchy cytryny. Żołnierze zsiadli z koni i przyklękli, odrzucając rękami ziemię, by zobaczyć ciała.

Wszystkie ofiary zostały zabite strzałem w tył głowy: tu dziewczyna o jasnych oczach, tam twarz mężczyzny, gdzie powinna być noga, w innym miejscu dziecko, wyglądające, jakby spało – wszystko makabrycznie pomieszane. Meliszko podniósł z ziemi sowiecki dowód osobisty, potem jeszcze jeden.

– Nie wszyscy są stąd. Zobacz! To wszystko Żydzi, twoi rodacy.

Benia również ukląkł i oglądał znalezione dokumenty. We wszystkich były żydowskie nazwiska i nazwy miast: Paltrowicz z Mikołajowa, Grinbaum z Chersonia, Jaffe z Mohylowa. Żydowscy uchodźcy, których doścignęły nacierające wojska niemieckie. Benia wpadł nagle w gorączkowe podniecenie: odrzucał trzymane dokumenty i podnosił następne, które wały się na polu. W końcu znalazł jeden – rodzina z Odessy...

– Po wyjeździe z Galicji moi rodzice mieszkali w Odessie – wyjaśnił łamiącym się głosem. – Możliwe, że...

– Daj spokój, brachu – rzekł Meliszko, dźwigając go do góry. Benia spojrzał w zmęczoną twarz Meliszki, zauważył kurz w zmarszczkach wokół oczu. – Założę się, że twoja rodzina jest teraz w bezpiecznym miejscu. Ale gdziekolwiek są, najlepiej będzie, jak spotkamy się z Mandryką z szablami w rękach.

Beni chciało się płakać, gdy patrzył na to pole, usiane źle pogrzebanymi zwłokami Żydów. Często zastanawiał się – po co człowiek żyje? Dla radości – odpowiadał sobie – i dla tej sprawiedliwej wojny. Czy mógłby robić cokolwiek innego, niż walczyć z tymi potworami? Był świadom swej znikomości wobec potęgi nazistowskich fanatyków, którzy wygrywali wojnę, lecz mimo to chciał zrobić to, co do niego należało. Jeszcze dziś. Na tym polegało przecież ich zadanie.

Usłyszał krzyk i odwrócił się. Dziewczynka siedząca na koniu Kaptę płakała i pokazywała na coś palcem, a lekarz zasłaniał jej oczy. Może tutaj byli jej rodzice, może stąd uciekła – a może to pole przypominało jej tamto miejsce. Kozacy przeżegnali się. Nikt z nich nie widział dotąd czegoś tak straszego.

Panka kręcił głową i szarpał bokobrody.

– Wilki wpadły w szal.

II

Kiedy ustalony porządek życia zostaje rozbity – myślał Benia, jadąc dalej – nikt nie potrafi przewidzieć, dokąd polecą jego odłamki, czyje istnienie będzie oszczędzone, a czyje gardło poderżnięte. Był tylko jeden pewnik: dawny świat już nie wróci.

Jechali od czwartej rano i byli już blisko chutoru Mandryki. Niebo miało kolor jaśniejszej lawendy, poprzecinanej białymi smugami; nad horyzontem ukazała się żółta plama słońca. Zapowiadał się kolejny piękny dzień. Żołnierze sformowali dwie kompanie. Szeptem przekazywano sobie rozkazy, gaszono papierosy.

W pewnej chwili Benia przysnął w siodle, a kiedy się obudził, był sam. Srebrne Skarpetki szczypała trawę na poboczu drogi. Obrócił się i tuż za sobą zobaczył dwóch dziwnych jeźdźców. W panice sięgnął po PPSz. „Chcesz Tatusia?” – zapytał swego czasu Panka, zaraz po pierwszej szarży podając mu pistolet maszynowy. Żołnierze nazywali pepeszę Tatusiem^[31]! Benia wycelował ją w jeźdźców i odbezpieczył.

Po chwili ujrzał fosforyzujące księżyce oczu małej dziewczynki. Jechała na koniu z doktorem Kaptą, który obejmował ją za brzusek, aby nie spadła. Jego owalna, symetryczna twarz muskała włosy małej. Obok jechała Tonia. Benia chyba ich wystraszył, bo Kapto mierzył do niego z parabellum.

– Co pan robi? Nie poznaje mnie pan? – zdziwił się Benia. – Niech pan odłoży ten pistolet. Też zabłądziliście?

– Spokojnie, Golden, spokojnie. Tak, zabłądziliśmy – odparł Kapto, ale nie schował pistoletu, miał go nadal w dłoni.

– Jak ona się czuje? – zapytał Benia, patrząc na małą.

– Nic jej nie będzie, ale wymaga stałej opieki. Obowiązek lekarza nie sprowadza się do uratowania życia, musimy pielęgnować, opiekować się...

– Ach, tak: musimy też otaczać troską ludzi, których leczymy – zacytował Benia maksymę Kaptę.

Nad sercowatym podbródkiem lekarza pojawił się cień uśmiechu.

– Zasnąłem w siodle – tłumaczył Benia. – Co za głupota z mojej strony. Ale oddział musi być niedaleko, po drugiej stronie pola. Jedźcie?

– Powodzenia, przyjacielu – odparł Kopto. – My udajemy się w inną stronę...

Skinął Beni głową i odjechał.

Dziesięć minut później Benia natknął się na Pyszczepę i zajął swoje miejsce w szeregu. Meliszko pojechał na spotkanie zwiadowców z Panką na czele, wracających z rozpoznania.

– Ilu ludzi w chutorze? – zapytał Meliszko. Towarzyszyli mu Ganakowicz i Żurko.

– Kilkuset – zameldował Panka, salutując.

– Mandryka?

– Jest, rządzi swoimi jak tatarski chan.

– Niemcy też są?

– Widzieliśmy oddziały specjalne SS.

– Czemu jesteście sami, wachmistrzu? Co się stało z Kozakami, których z wami wysłałem? Gdzie jest Delibas i Griszczuk?

Panka zrobił niepewną minę.

– Mówcie, wachmistrzu.

Czurietko poklepał swojego konia.

– Zbiegli?

Kiwnięcie głowy.

– Ach. No cóż, nie będą ostatni – rzekł Żurko.

Benia obrócił się w siodle, wypatrując Kaptę i czując dziwne ściskanie w dołku.

– Gdzie jest lekarz? – zapytał Pyszczepe.

– Nie wiesz? Zbiegł razem z sanitariuszką, Tonią.

Benia zrozumiał nagle przebieg ich spotkania. „Powodzenia, przyjacielu” – powiedział Kopto. Czy była to kpina? Benia uświadomił sobie, że Tonia patrzyła na niego z pogardą. Zdumiał się. Prości Kozacy i nierozgarnięci chłopcy mogli przyłączyć się do hitlerowców – ale Lekarz Dzieci, jego przyjaciel? Jak to możliwe, że zbiegł do nich, widząc wcześniej ich ofiary? I co będzie z małą? Dla niektórych wojna jest wyzwoleniem, pozwala im stać się nareszcie sobą, spełnić swoje zbrodnicze pragnienia i zaspokoić chore namiętności, myślał Benia. Ludzie pozbawieni skrupułów napawają się władzą, która choć krótkotrwała, trwa dostatecznie długo, aby pochłonąć mnóstwo ofiar... Kopto jednak nigdy nie mówił o polityce. Kim więc był naprawdę? Istniało jeszcze coś. Skoro Kopto i pozostali zbiegli do hitlerowców, Mandryka będzie czekał na Meliszkę i jego podwładnych...

Ganakowicz wyciągnął nagan i zwrócił się do żołnierzy:

– Każdy zdrajca będzie ścigany i stracony! Jego rodzina zostanie aresztowana. Jazda, psie syny, bo zastrzelę...

– Jeszcze nie. – Meliszko położył Ganakowiczowi rękę na ramieniu i zwrócił się do Panki. – Wachmistrzu, czy mamy trochę produktu nr 61?

– Tak, towarzyszu pułkowniku. Tradycyjne sto gramów?

– Nie, rozdajcie wszystko od razu.

Na znak Meliszki Panka zaczął jeździć między szeregami, nalewając wódkę stalową miarką wiszącą u pasa. Benia wychylił trzy i poczuł jakby wewnętrzne szarpnięcie, gdy alkohol zaczął działać. Potem Meliszko przejechał na swoim Słoniu przed frontem szwadronu.

– Pamiętajcie. Wojna wcale nie jest przegrana. Rosja jest ogromna, a Hitler to szaleniec, jeśli sądzi, że może nas pokonać. Napoleon zajął Moskwę, ale w końcu car Aleksander doszedł ze swymi Kozakami do samego Paryża. Tak, do Paryża! Ta ofensywa to ostatnia hazardowa zagrywka Hitlera. Zdążyliście już przecież zwyciężyć wbrew przeciwnościom. Przebiliśmy się, prawda? Naszym zadaniem jest ukarać winnych zamordowania tamtych ludzi – i jeśli nam się powiedzie, obiecuję, że wystąpię o darowanie wam reszty kar. Nie okazujemy litości zdrajcom i jedziemy zabić Mandrykę. Uda nam się, bandyci. NIE DOPADNIECIE MNIE!

W tej szorstkiej, męskiej przemowie Benia wyczuł szlachetne, niezbadane głębiny Matki Rosji.

– Bandyci! – Meliszko dobył szabli i uniósł ją wysoko. – Szwadron, kłusem marsz! Szable w dłoń! Naprzód...

Kozacy stanęli w strzemionach. Benia uniósł szablę, czując, jak krew burzy mu się w żyłach, omal nie pieni się z gniewu i uniesienia. Dla człowieka, który często nie mógł zdecydować, czy zamówić koniak czy absynt, a nawet, którą dziewczynę wybrać, świat podczas wojny stał się urzekająco prosty: natarcie, odwrót; życie, śmierć. Wokół Beni rozbrzmiewał rytmiczny tętent kopyt; przeszli z kłusa w galop, a potem w cwał. Benia powtarzał sobie w duchu słowa Gorkiego: „Ci, co urodzili się, by pełzać, nie będą fruwać”. A teraz on frunął!

A potem wszystko zagłuszyły dźwięki głośniejsze, bardziej surowe. Przez chwilę Benia nie mógł odgadnąć, co to takiego, lecz wreszcie poznał – to taśmy nabojoye przesuwające się w karabinach maszynowych ukrytych w zbożu. Jadący obok Beni „Kochaś” Czerkaszkin usiłował przytrzymać się grzywy, ale kiedy jego wierzchowiec upadł, został z impetem wyrzucony z siodła. Szabla pofrunęła w powietrze, karabin oplątał mu się wokół szyi, a usta ułożyły się w doskonale okrągłe „O”, wyrażające najwyższe zdziwienie. Wszędzie wokoło padali żołnierze. Szundence noga utkwiała w strzemieniu i koń włókł go po ziemi. Benia zobaczył, że „Nogi za Pas” Iwanow jedzie dalej, ale pocisk odłupał mu kawałek twarzy. Kurczowo uczepiwszy się Srebrnych Skarpetek, zauważył, że na wielu cwałujących koniach nie ma już jeźdźców. Pod gradem kul z karabinów maszynowych Srebrne Skarpetki stanęła dęba i próbowała zawrócić. Benia, któremu obie nogi wymsknęły się ze strzemion, wyrzucony jak z procy, przeleciał ponad łbem klaczy i runął na ziemię.

Co za ulga leżeć w gęstym życiu i wyobrażać sobie, że się za chwilę umrze i że cała ta wojenna udręka właśnie się skończyła. Benię ogarniało znużenie, odrętwienie i ociężałość, jakby zanurzał się w ciepłej wodzie. Bał się, że Srebrne Skarpetki została ranna i chciał ją odnaleźć, ale przepadła bez śladu. Wiedział, że dostał, i dziwił się, że właściwie nic go nie boli. Kule przy akompaniamencie metalicznego trzasku

cekaemów nadal przeszywały powietrze. Krew z rany na czole zalewała oczy.

Słyszał przed sobą słowa niemieckie i rosyjskie, wypowiedane w przerwach między salwami artylerii. Było pewne, że tamci zaraz zaczną iść przez pole, żeby oczyścić teren, a przecież żołnierze tych nieregularnych oddziałów słynęli z okrucieństwa. Trudno było się łudzić, że kogokolwiek oszczędzą.

Benia leżał na plecach i patrzył w zielonkawoniebieskie niebo, teraz jednak, w przeciwieństwie do wcześniejszych godzin, kolor ten wydał mu się ponury i zimny. Stracił przytomność, a gdy się ocknął, ktoś go ciągnął, a jednocześnie unosił do góry za nogi. Proces ten był przeraźliwie powolny. Seria z karabinu maszynowego, krótsza tym razem, i człowiek wlokący Benię przystanął na chwilę jakby dla złapania oddechu, otrząsnął się, a potem ciągnął dalej. Po jakimś czasie opuścili pole żyta, na którym toczyły się walki, i znaleźli się na stepie w wysokiej trawie. Ktoś podawał Beni wodę. Benia usiadł i obmył twarz, ale zobaczył, że tamci zajęli się innym żołnierzem, leżącym obok niego, tym, który go uratował, przeciągnął w bezpieczne miejsce. Rozpięli mu koszulę i wykonywali jakieś zabiegi, ale Pryszczepa pokręcił głową.

– Nie żyje.

Położyli zabitego na ziemi. Był to Ganakowicz.

– On...? – zdumiał się Benia. Czy to możliwe, że politruk, który zastrzelił niewinnego chłopca, oddał życie za Benię?

– Czasami wrona leci jak orzeł – rzekł sentencjonalnie Pryszczepa, patrząc na Benię.

Benia poczuł wybuchające w głowie fajerwerki, srebrne młoteczki uderzające w skronie i upadł na bok.

– Masz guza na głowie i rozcięcie na czole. Za chwilę nic ci nie będzie – zapewnił Żurko.

– Musimy stąd znikać – powiedział Haranza. – Mam konie dla wszystkich i niespodziankę dla ciebie, Golden. – Trzymał Srebrne Skarpetki za uzdę. – Znalazła nas. Nie jest nawet draśnięta, a rana na szyi prawie się zagoiła.

Benia podniósł się z ziemi, wziął wodze i pocałował klacz w szyję, zanurzając twarz w jej grzywie. Nie pamiętał, aby widok kogokolwiek sprawił mu większą radość. Potem dobiegł ich głos z pola, głos, który wszyscy dobrze znali.

– Nie zostawiajcie mnie! Dajcie mi wody, na miłość boską!

– To Meliszko.

Benia poznałby ten głos nawet przez sen.

– Kochani bandyci, dajcie mi wody albo mnie dobijcie! Nie mogę dosięgnąć pistoletu. Nie chcę, żeby te dranie mnie znalazły...

– Nie możemy go zostawić – powiedział Benia. – To przecież nasz ojczulek-dowódca.

– Jak mu pomożemy, wszyscy zginiemy – mruknął Haranza.

– Tak – smutno potwierdził Żurko. On też kochał Meliszkę.

– Musimy mu pomóc – upierał się Benia.

Żurko potarł w zamyśleniu podbródek, a potem spojrział na Pankę.

Panka, nie okazując żadnych emocji, pokręcił przecząco głową.

Żurko westchnął ciężko.

– Masz rację. On pierwszy by nam to powiedział.

Żurko i Panka poczołgali się naprzód. Benia patrzył, jak rotmistrz podnosi lornetkę do oczu, kierując ją w stronę, z której dochodził głos Meliszki.

– Widać go – powiedział Żurko po powrocie. – Jest tam. Nogi ma przygniecione przez Słonia i jest ranny w brzuch. Słoń też jest załatwiony. Nie wyciągniemy go stamtąd.

– Dobijcie mnie, jeśli któryś z was, zasranych bandytów, jeszcze tam jest! – znów usłyszeli głos z oddali. – Nie zapominajcie! NIE DOSTANIECIE MNIE!

Uśmiechnęli się z lekka na te słowa, nawet Panka.

– Zrobię to – powiedział po chwili Panka. – Tak jak z ukochaną ranną kłaczą.

– Ja to zrobię jak trzeba – oświadczył Haranza, biorąc do ręki karabin snajperski Simonowa. – Nie jest daleko.

Panka poklepał go po ramieniu, ale nie był w stanie wyrzec słowa.

– Jedźcie – powiedział Haranza – dołączę do was. Jeden strzał, obiecuję. I jeden dla Słonia. Dwa strzały, nie więcej. Spotkamy się pod – chciał powiedzieć „stodołą”, ale nikt nie mógł już tam wrócić – młynem.

Wsiedli na konie w wysokiej trawie i ruszyli z powrotem drogą, którą przyjechali. Kiedy dotarli do młyna w spalonym chutorze, napoili konie w strumieniu i czekali na „Pajaka”. Z oddali doleciał huk jednego wystrzału, potem drugiego. Panka przeżegnał się i odwrócił wzrok, na chwilę zupełnie nieruchomiejąc.

Benia opuścił głowę, a potem obmył twarz w zimnym strumieniu.

III

Na Kremlu była pora obiadu. Stalin właśnie się obudził i słuchał pierwszych meldunków z frontu. Nie spał do szóstej rano, organizując obronę linii Donu. Wojska sowieckie z trudem trzymały się jeszcze na zachodnim brzegu. Gdyby Niemcom udało się sforsować Don, znaleźliby się raptem sto kilometrów od Stalingradu, miasta Stalina nad Wołgą. A dalej na południu nacierali w kierunku zagłębia naftowego na Kaukazie.

Mołotow siedział statecznie przy stole i słuchał raportu szefa sztabu, Wasilewskiego. Po jednej stronie miał młodszego, opasłego Malenkowa, po drugiej smukłego i czarnookiego Ormianina Mikojana.

– A operacja „Pluton”? – spytał Stalin.

– Karniacy uderzyli na pozycje niemieckie – poinformował Wasilewski.

– I zostali wybici do nogi – dokończył Stalin z całkowitą obojętnością.

– Tak. Atakowali silnie umocnione stanowiska niemieckie. 1 Sztrafbat Kawalerii przestał istnieć jako jednostka.

Stalin przełamał papierosa na pół, wysypał tytoń i nabił nim swoją fajkę marki Dunhill (prezent od Brytyjczyków).

– Przestał istnieć – mruknął w zadumie. Zapalił fajkę, zasysając płomień zapałki do cybucha. – Czy jednak karniacy odciągnęli uwagę Niemców na tyle, żeby zapewnić powodzenie operacji „Pluton”?

– Operacja „Pluton” nie zdołała odeprzeć niemieckiego natarcia, chociaż nieco osłabiła siły nieprzyjaciela, który się teraz przegrupowuje.

– A więc karniacy spełnili swój obowiązek. Zginęli, ale po walce. Pomysł zdał egzamin.

– Tak, towarzyszu Stalin. Sztrafbaty formuje się i szkoli na wszystkich frontach. Skazańcy biją się do ostatniego człowieka w nadziei na darowanie kary.

– Czy komuś darowano?

– Nie. O ile nam wiadomo, tylko kilku udało się przeżyć. Jeśli chodzi o Stalingrad, to Gordow melduje, że Niemcy bombardują miasto.

– Wiem o tym. Właśnie rozmawiałem przez telefon z Satinowem. – Stalin wydawał się zajęty innymi myślami. – Ale co do karniaków, to ten Meliszko jest dobrym oficerem. Pamiętam go z lat trzydziestych.

– Ach, tak, towarzyszu Stalin, nie wspominałem o 2 Batalionie.

– Meldujcie.

– Ale to niewielka potyczka. Mamy tak wiele spraw do omówienia... Stalingrad, fronty Południowy, Doński i Leningradzki, nie wspominając o Centralnym...

– Meldujcie o sztrafbacie Meliszki.

– Nie zostali całkowicie zniszczeni. Niemcy rozmieszczają na tych odcinkach wojska włoskie, żeby zwolnić swoje siły i środki do ofensyw. 2 Sztrafbat Kawalerii, ten dowodzony przez Meliszkę, trafił właśnie na mieszane oddziały włoskie Alpine Tridentine, Bersaglieri i Czarnych Koszul. Dwa szwadrony przebiły się na tyły hitlerowców.

Stalin milczał. Postukał fajką w biurko, zapalił zapałkę i znów wessał płomień do cybucha. Generał i trzech cywile patrzyli, jak zapałka zapala się i płomień obejmuje tytoń. Słyszeli też świst wciąganego przez Stalina powietrza. W końcu wódz uniósł swoje piwne oczy.

– Gdzie są teraz?

– Nie wiemy dokładnie. – Wasilewski zajrzał do notatek. Był przyzwyczajony, że Stalin interesuje się nawet mało istotnymi wydarzeniami, i zawsze miał pod ręką wszystkie meldunki. – Ach tak, uważamy, że wyparli Włochów z chutoru Małe Jabłoko, skąd wezwali posiłki. Nie dostali wsparcia, ale wszystkie pododdziały otrzymują w czasie odpraw rozkaz, żeby w razie przebicia się zabiły renegata Mandrykę i rozgromiły jego wojska. Jeśli wciąż istnieją jako pododdział, możliwe, że właśnie wykonują to zadanie.

– Czy Meliszko przeżył?

– Najwyraźniej tak.

– Jeśli wróci, trzeba mu przywrócić stopień generalski.

– Zapamiętam.

– Czy któryś z bandytów Meliszki odzyskał wolność?

– Na podstawie rozkazu nr 227 tuż przed wyruszeniem na front jeden karniak został rozstrzelany przez oddział specjalny przed frontem pułku. Pięciu rozstrzelał oddział zaporowy na polu walki. Ponieważ jednak brak wsparcia logistycznego, nie sposób ewakuować rannych. Nie wiemy, czy ktokolwiek zasłużył na darowanie kary, przelewając krew. Powiedziano im też, że gdyby zlikwidowali renegata Mandrykę, reszta kar zostanie darowana.

Stalin położył fajkę w popielniczkę i zapalił papierosa, co było u niego oznaką

głębokiego skupienia. Na chwilę się uśmiechnął – a przynajmniej mięśnie jego twarzy zastygły w grymasie, który upodobił go do starego tygrysa. Goście odwzajemnili uśmiech.

– Mam pytanie dotyczące bandytów Meliszki. Czy powinniśmy im pomóc?

IV

Doktor Kapto siedział na werandzie domu popa w ładnym chutorze Szepiłowka. Towarzyszył mu zadbany mężczyzna o czerwonej twarzy i wygolonej po obu stronach głowie, noszący niemiecki mundur *feldgrau* i buty z cholewami. Nawet w cieniu blask słoneczny był niemal oślepiający.

Kapto przeszedł linię frontu przed kilkoma godzinami i został powitany tak jak inni zbiegowie: „Oddać broń, zsiąść z konia i prowadzić go!”. Liczba żołnierzy zbiegających na stronę nieprzyjaciela zawsze dużo mówi o sytuacji na frontach. Dziewięciu w ciągu nocy, jak zameldowały posterunki, i na tym nie koniec – to był nieomylny znak, że Niemcy wygrywają. Ale ten uciekinier wioził dziecko i towarzyszyła mu sanitariuszka. Był inny niż wszyscy, niewątpliwie wykształcony, twierdził, że jest lekarzem i że chodził z ich dowódcą do szkoły. „Prowadźcie do Mandryki” – powiedział. Nie zamierzali jednak dać się na to nabrać. Mandryka był dobrze pilnowany.

– No, dobra – powiedział lekarz. – W takim razie powiedzcie Mandryce, że odwiedził go przyjaciel z Briańska z Senną Tonią. Powiedzcie, że Sowieci zaatakują za kilka godzin o pierwszym brzasku. Przygotujcie się!

– Dlaczego mielibyśmy w to uwierzyć?

– Powiedzcie mu to natychmiast, bo pożałujecie.

Zaprowadzili lekarza, sanitariuszkę i dziecko do majora Szawykina, a kiedy Szawykin doniósł o nich Mandryce, komendant zatańczył z radości.

– To on! A już myślałem, że nie żyje. To mój najlepszy przyjaciel z Briańska. Bolszewickie dranie zesłały go do obozu. Ale odnalazł się.

– A co z sanitariuszką i dzieckiem? – zapytał Szawykin. Miał na policzku bliznę po kuli, wyglądającą tak, jakby czerwony robak wydrążył sobie tunel pod skórą.

– Troszczy się o dzieci i tyle – powiedział Mandryka, zapinając bluzę. Włożył niemiecką furażerkę i okrągłe ciemne okulary. – Od tej pory Kapto idzie z nami! Dajcie mu mundur i kapitańskie gwiazdki. Tonia będzie u niego lejtnantem. Ma dostać wszystko, czego sobie zażyczy. Przyprowadźcie go do mnie. Tymczasem przygotujcie ludzi do ataku.

– Tak jest, szefie.

Mandryka nalał swemu przyjacielowi z Briańska kawy zbożowej i ormiańskiego koniaku. Zaczęli opowiadać, co się z nimi działo przez te wszystkie lata.

– Jeszcze jedno – rzekł Kapto, kiedy wymienili się doświadczeniami z pobytu w sowieckich więzieniach. – Mam coś dla naszych sojuszników.

– Niemców? – upewnił się Mandryka.

– Tak. – Kapto zdjął torbę z ramienia i rozłożył mapę. – Przyda im się.

– Jak zawsze przedsiębiorczy – uśmiechnął się Mandryka. – Mogę rzucić okiem?

Mapa była jednak usiana skomplikowanymi znakami i symbolami, które nic mu nie

mówiły, bo nie był zawodowym żołnierzem. Przed wojną pracował jako dentysta w Briańsku.

Kapto zapalił papierosa i nachylił się do Mandryki.

– Ta mapa nie jest przeznaczona dla żadnego oddziału specjalnego ani batalionu policyjnego, ale dla Wehrmachtu – powiedział konfidencyjnym tonem. – Trzeba ją oddać sztabowi armii – szóstej, jeśli się nie mylę. Działa dalej na północ i szykuje się do sforsowania Donu, a może nawet natarcia na Stalingrad? To będzie podarunek od ciebie i ode mnie, Mandryka. Pomoże ci, zrobisz na nich wrażenie.

Mandryka powoli skinął głową.

– Oczywiście sprawa jest pilna – dodał Kapto. – Może bardzo pomóc naszym.

– Przekażemy ją jak najszybciej. A teraz powiedz mi coś o tej dziewczynce.

V

– Znasz Szapirę? – zapytała Swietłana swoją najlepszą przyjaciółkę Marfę Pieszkową, która przyszła do niej na czaj.

– Nie, ale widziałam go.

– Jak wygląda?

– Jest bardzo wysoki. Ma szpakowate włosy, duże ciemne oczy i jest bardzo...

– Bardzo jaki?

– Żywiołowy, namiętny!

– Ojej! – Swietłana zaczęła wachlować się obiema rękami.

– Tyle że...

– Co?

– Ma czterdzieści lat i jest żonaty.

– Och – jęknęła Swietłana. Cholera! Żonaty, to znaczy nie mam szans, pomyślała. Ale była przecież córką Stalina, więc nie było dla niej rzeczy niemożliwych. Umiała rozkazywać.

– Jest już znany, wiesz – ciągnęła Marfa. – Z gatunku tych żydowskich intelektualistów. Napisał kilka scenariuszy do filmów. Ma talent. – Marfa знаła się na literatach, jej dziadkiem był największy pisarz sowiecki, Maksim Gorki. – Ale, Swieta, on ma czterdziestkę! To stary piernik i w dodatku playboy. Słyszałam, że jest niepoprawnym kobieciarzem!

– Och, nie – westchnęła Swietłana, jakby doznała wielkiego rozczarowania. W rzeczywistości jednak myślała: Dzięki Bogu, skoro jest kobieciarzem, to mam szansę. Gdybym tylko była taka ładna, jak Marfa. Ona może mieć każdego, kogo zechce... Naraz ogarnęła ją rozpacz.

– Żonaty playboy! – zachichotała Marfa. Była coraz bardziej rozbawiona. Z lubością wdychała zapach fajkowego dymu, który unosił się w mieszkaniu. Nagle spoważniała, chwyciła Swietlanę za ramiona i szepnęła:

– Co by powiedział twój ojciec? Pomyśl o tym!

– E, on jest zajęty wojną, prawie go nie widuję – odparła Swieta lekceważąco. – Poza tym ja też mam prawo do własnego życia.

– Czas na mnie – rzekła Marfa, pocałowała Swietlanę i ruszyła do drzwi, ale tam

zawahała się. – Czekaj no, wiem, kto zna Szapirę.

– Kto? – krzyknęła Swietłana, podbiegła do przyjaciółki i objęła ją. – Powiedz!

– Poważnie myślisz o tym facecie?

– Tak! Tak poważnie, jak można myśleć o kimś, kogo się nie zna osobiście. Ale nawet już napisałam do niego.

– I podpisałaś się?

– Tak, Stalina z Kremla!

Gromki śmiech Marfy słyhać było w całym ponurym mieszkaniu.

– A to się facet zdziwi. Ale to arogancki typ. Niektórzy pisarze mają się za ósmy cud świata i twój Szapiro jest jednym z nich. Uzna, że takie hołdy mu się należą i zasługuje na twoje względy.

– Do rzeczy, Marfoczka: kto go zna?

– Twój brat Wasilij, głuptasie. On zna wszystkich ludzi kina. Widziałam Lwa Szapirę na jednym z przyjęć u Wasilija w Zubałowie...

A więc to będzie bardzo proste, pomyślała Swietłana. Kiedy znów została sama, zaczęła przeglądać kolumny „Krasnoj Zwiezdy”, szukając nazwiska Szapiry. W końcu znalazła jego najnowszy artykuł. Strasznie chciałaby się dowiedzieć, gdzie jest i czy otrzymał jej list. Pewnie nie, a nawet jeśli tak, to był zbyt zajęty, żeby czytać jej wypociny. Z treści artykułów Swietłana mogła się domyślić, że to człowiek światowy. Playboy! Kobieciarz! Ale całkiem możliwe, że otrzymał jej list, bo wczoraj oddała go swemu ochroniarzowi, Klimowowi, a ten wysłał go samolotem Stawki do Stalingradu. Jeżeli Szapiro był w mieście, pewnie przeczytał. Na samą myśl Swietłana oblała się pąsem. Potem targnęła nią nowa obawa: czy nie naraziła się na śmieszność? Powiedzmy, że Szapiro opowie o tym swoim kolegom i będzie się z niej wyśmiewał? Jak by zareagował ojciec, gdyby się o tym dowiedział?

Ktoś otworzył drzwi frontowe.

Swietłana schowała gazetę i pobiegła do przedpokoju.

– Jadłeś coś, tato?

– Cześć, mój wróbelku. Jak się miewa *moja choziajka*, moja mała gospodyni? – powiedział Stalin i pocałował córkę w czoło. – Chciałem cię tylko zobaczyć. Przez resztę wieczoru pracuję w Kuncewie.

– Dobranoc, tato. Odpocznij trochę!

Odwrócił się i wyszedł, za drzwiami wzywając kierowcę.

Znów była sama.

VI

Kiedy czekali na Haranżę, stary Panka klęknął obok Beni i zbadał jego ranę na głowie.

– To cięcie szabli, a ostrza są brudne; szrapnele czystsze, a jeszcze bardziej kamienie. Ale tak czy owak z raną głowy nie można ryzykować. Trzeba założyć opatrunek.

Opatrzył Benię tak, jak wcześniej Srebrne Skarpetki.

Wyjął jeden z naboarów, ostrożnie go rozebrał i wysypał ze środka czarny proch.

Potem podszedł do najbliższego drzewa i przyglądał się jego gałęziom, aż w końcu sięgnął po coś ręką.

– Pajęczyna – powiedział, zbierając ją z zadziwiającą delikatnością swymi wielkimi dłońmi. Wyjął sztylet i wbił go w pień. Z nacięcia wyciekła żywica, którą Panka też zebrał. Potem wykopał sztyletem grudkę ziemi, zmieszał wszystko i włożył do ust. W końcu nachylił się nad leżącym w cieniu Beni, zbliżył usta do jego czoła i wypluł lepka masę prosto na ranę, rozklepując ją na płasko.

– Szkoda, że nie ma miodu, ale to i tak wystarczy, żeby rana szybko się zagoiła – zapewnił Panka. Z sakwy wyjął bandaż, zręcznie owinał nim głowę Beni, a potem spiął go agrafką. – Na stepie zawsze świeci słońce – powiedział i znów się uśmiechnął.

Potem rozkazał:

– Wszyscy mają się napić i zjeść po sucharze. Napoić konie. Haranza i Pyszczepta, obejmiecie wartę. Golden, zamknij oczy.

Żołnierze siedzieli przy ognisku i rozmawiali, głównie o Kapcie. Czy zawsze był zdrajcą? A Tonia? Kto jeszcze z nimi uciekł? Czy ktoś widział Niuszkę? Zniknął też Koszka. Ale nikt by się nie zdziwił, gdyby Koszka okazał się śmierdzącym zdrajcą, a jego dezercja nie byłaby stratą, bo Uzbegy byli najgorszymi żołnierzami w Armii Czerwonej. Rozmowa ciągle wracała do osoby lekarza. Benia też nie mógł przestać o nim myśleć.

Przypomniał sobie ów ranek na Kołymie, kiedy dochodził do zdrowia w klinice Kapy i nagle poczuł, że ktoś potrząsa jego łóżkiem. Otworzył oczy i zobaczył mężczyznę z mocno wytatuowaną twarzą i głową – zielona tarcza strzelnicza okalała jego czaszkę, która wyglądała przez to jak jakiś przyrząd pomiarowy.

– Wstawaj – rozkazał nieznajomy, bez wątpienia kryminalista. – Szef czeka na pierwszą lekcję.

W obozie szalała akurat zamieć, zapewne ostatnia tej zimy. Benia, w waciaku, kapturze na głowie i w walonkach, idąc za kryminalistą, musiał się trzymać lin, żeby nie zabłądzić. Kryminalista, okutany w futro, szedł sztywno, nogi i ręce miał proste jak mechaniczny golem. Wiatr zaciął pod takim kątem, że śnieg wdzierał się pod kaptur i oślepiał Beni. Mróz przekraczał pewnie trzydzieści stopni.

Benia dziękował Bogu i doktorowi Kapcie, że nie musiał tego dnia iść do pracy. Było pewne, że jego brygada, pracująca w kopalni od czwartej rano, straci dziś kilku ludzi. Przewodnik zniknął w drzwiach baraku przy stołówce i Benia wszedł za nim do środka.

Zdumiał się, że jest tu tak jasno i ciepło. Ten barak był zupełnie inny od pozostałych. Też cuchnęło w nim potem i środkami dezynfekcyjnymi, ale także pachniało żywicą i czymś jeszcze, co miało cudowny zapach. Zapewne był to dym palonego drewna zmieszany z gotowanymi warzywami – co za wspaniałość! Większość prycz była pusta, bo więźniowie wyszli do pracy, ale idąc korytarzem za kryminalistą, Benia zobaczył piecyk i z każdym krokiem czuł narastające ciepło.

– Oto on! Nasz gawędziarz – powiedział „Uśmiechnięty”, patrząc na Beni czerwonymi oczami spod lekko spiczastych brwi. Benia przypuszczał, że to „Uśmiechnięty” jest szefem, ale pomylił się.

– Benia Golden? To naprawdę ty? – zapytał znacznie starszy mężczyzna w butach

z futra renifera, wojskowych bryczesach i bez koszuli, siedzący na nadpalonym skórzanym fotelu tuż przy piecyku. Mówił z gruzińskim, a dokładnie swańskim akcentem, a więc pochodził ze Swanetii, najdalszej i najbardziej buntowniczej prowincji Gruzji. W jednym ręku trzymał hantle, napinając biceps, a młoda pielęgniarka z kliniki owijała mu ramię bandażem.

– Naciągnąłem sobie – wyjaśnił. – W moim wieku to się zdarza.

Oddał hantle „Uśmiechniętemu”, który zaniósł je w kąt z taką troskliwością, jakby niósł zwoje Tory przez synagogę. Pielęgniarka skończyła bandażowanie.

– W porządku, Króliczku, możesz iść – powiedział mężczyzna. Pielęgniarka, Niuszka, odznaczała się delikatną rosyjską urodą. Benia zauważył, że ma brzoskwiniową cerę, sińce pod oczami i miękkie jak puch, kasztanowate włosy, luźno związane z tyłu. Ale taka uroda była w obozie przekleństwem i Benia zrozumiał, że Niuszka musi mieć potężnego opiekuna.

Wzrok muskularnego mężczyzny spoczął na Beni.

– Przeczytałem wszystko, co napisałeś, i mam dla ciebie propozycję.

Benia był tak zaskoczony, że zapomniał języka w gębie.

– Ej, „Nieśmiertelny”, daj coś do siedzenia – powiedział starszy mężczyzna do draba, który przyprowadził Benię do baraku. „Nieśmiertelny”, który poruszał się tak, jakby został owinięty bandażami na podobieństwo mumii egipskiej, przysunął krzesło i Benia usiadł.

Za ich plecami bulgotał kociołek z zupą.

– Papierosa?

– Poproszę.

– „Uśmiechnięty” zrób mu skręta, dobra? Ciągłe kiepsko wygląda. Mametka, daj mu zupy.

„Uśmiechnięty” podał Beni ogień. Mały chłopaczek z wydatnymi ustami, podobny do szczura, mieszał zupę w kociołku. Chochłą napełnił miskę i podał ją Beni, który bez wahania wychleptał zupę prosto z naczynia i wylizal je do czysta.

– Lepiej? – zapytał szef. – No dobra... wiesz, kim jestem?

Benia zakrztusił się ostrym dymem, ale papieros, fachowo zawinięty w papier z „Prawdy”, rozgrzał go jak łyk wódki. Podejrzewał, kim jest ten facet, ale nie był na tyle głupi, żeby ryzykować zgadywanie.

– Nazywam się Dżaba – oznajmił Gruzin, pochylając się naprzód, żeby lepiej przyjrzeć się Beni. Był chyba jedynym więźniem w całym obozie mającym włosy: siwe, gęste i sterczące jak u jeża. Było widać, że nawet tutaj jest czysty i zadbany. Jego rzymską urodę szpecił jedynie tatuaż, który złowrogą falą sięgał aż po szyję. Na nagich ramionach miał atramentowe skrzydła orła, wokół sutków oczy z gwiazdami, na łopatkach krwawiące krzyże, do których przybita była naga kobieta, zmysłowa niewiasta-Jezus z widocznymi stygmatami. Na brzuchu, umięśnionym i pomarszczonym jak brzuch emerytowanego boksera, nabrzmiały penis sterczał w kierunku mostka. Zdobiał go napis: ROSYJSKIE DZIEWCZĘTA UWIELBIAJĄ MOJEGO GRUZIŃSKIEGO FIUTA.

– Słyszałeś o mnie – powiedział Dżaba, jakby stwierdzał oczywistą prawdę.

– Naturalnie.

Benia wiedział, że Dżaba Łomadze to jeden z czołowych kryminalistów w kołymskiej zonie, mafiozo, *wor w zakonie*, który z ramienia komendanta pilnował wykonywania norm przez więźniów pracujących w kopalniach.

Słyszając odpowiedź Beni, Dżaba rozpromienił się.

– Większość ludzi o mnie słyszała. Jeśli chodzi o ciebie, to „Uśmiechnięty” opowiedział mi, jak przez cały rejs przez Morze Ochockie bawiłeś go swoimi opowiadaniem. Sam czytałem *Opowieści hiszpańskie*. Rzadko można spotkać takiego bandytę, co?

Benia musiał przyznać, że Dżaba jest rzeczywiście niezwykłym bandytą.

– Widzisz, Golden, życie jest jak talerz *lobio*. Nie chodziłem do szkoły, a teraz chciałbym pisać. Będziesz uczył mnie pisać jak Szekspir, Puszkina i Balzaka. Codziennie przez godzinę. I jeszcze coś. Pryszczepa!

Młodzian o twarzy dziecka, niebieskooki i uderzająco urodziwy, wychynął z głębi baraku, gdzie najwyraźniej obsługiwał czajnik. Podał Dżabie plik papierów.

– Zgadniesz, co to, Beniu? To moja sztuka, oparta na własnych przeżyciach. Tytuł: *Skok na bank 1937*.

Benia wiedział, że napad na bank w Charkowie w 1937 roku to najgłośniejsza akcja w bandyckiej karierze Dżaby. Kiedy Stalin robił czystkę w partii komunistycznej, ten bandzior ośmielił się rzucić mu wyzwanie i ukraść jego pieniądze! To się nazywa zuchwałość! Dżaba zorganizował trzy lub cztery podobne napady, kradnąc pieniądze przeznaczone na wypłaty dla biurokratów z całego Taszkientu, Odessy i Baku. Przez lata żył w zbytku, przekupując milicję, aby przymykała oczy na jego bandyckie wyczyny – aż do strzelaniny pod Bankiem Państwowym w Charkowie, podczas której został ujęty.

– Ach, Beniu, włożyłem w tę rzecz całe serce.

Benia wziął kartki, zauważając, że tekst został napisany na maszynie. Musiała go przepisać jedna z maszynistek z biura komendanta. O wpływach Dżaby świadczyły zwykle akty przemocy i dostęp do żywności, ale ten maszynopis mówił wprost, jak wielką władzę dysponuje.

Dżaba wziął koszulę od Mamecki, włożył ją i zapinając guziki, wydawał Beni polecenia.

– Masz go przeczytać i zrecenzować. Czy Gorki nie czytał twoich opowiadań? No to ty zostaniesz moim Gorkim. W zamian będziesz mógł pracować w klinice, a kiedy wydostaniemy się z tego piekła i wrócimy do Magadanu, pojedziesz ze mną. Nie bój się powiedzieć mi prawdy. Przyjmę każdą krytykę. Zobaczysz, profesorku, że to arcydzieło i tylko ja mogłem je napisać. Stoi?

VII

– Jeden konny! – zawołał cicho Haranza. Chwycili za broń, a Żurko sięgnął po lornetkę.

– Spokój – powiedział po chwili. – To Koszka wraca.

– Myślałem, że... – zaczął Mały Mamecki.

– Może Niemcy go nie chcieli? – zapytał Benia. Kozacy zaśmiali się drwiąco.

– Niemcy mówią zawsze: czy nie moglibyśmy wymienić swoich Rumunów

na waszych Uzbeków?

Mały Mаметka zgodził się z tym.

– Przesłuchamy go? – zapytał Haranza.

Żurko podniósł rękę.

– Tylko delikatnie. Jest nas raptem siedmiu, z Koszką ośmiu. Nie możemy sobie pozwolić na żadne polowanie na czarownice. Nie, powitamy go serdecznie i będziemy mu się przyglądać.

Koszka wjechał do chutoru. Benia wiedział, że należy on do ludzi, którzy uważają za swój obowiązek mówić bliźnim niemiłą prawdę, na przykład o tym, że zdradza ich żona albo że powinni wydajniej pracować. „Tak tylko mówię” – zastrzegął się.

Żołnierze otoczyli go kołem.

– Spadłem z konia, a potem szukałem go przez dłuższy czas... – tłumaczył Koszka. Nikt nie wydawał się przekonany tym wyjaśnieniem. Pozwolili jednak, żeby zdenerwowany Uzbek usiadł z nimi, i podzielili się jedzeniem, które zdobyli we włoskim chutorze.

– Co dalej? – zapytał Haranza, gdy zjedli.

Rotmistrz Żurko odchrząknął.

– Czekałem na resztę, ale... wygląda na to, że nikt już do nas nie dołączy – powiedział z właściwą sobie prostotą. – Musimy obmyślić jakiś plan.

– Jesteś naszym oficerem – zauważył Benia.

– Jeśli chcecie, żebyśmy wami dowodził, mogę objąć dowództwo – odpowiedział Żurko, gładząc się po swoim mocnym podbródku. – Myślę jednak, że nasza sytuacja jest dość niezwykła.

– Proponuję – zabrał głos Panka – żebyśmy zgodnie ze starą kozacką tradycją utworzyli koło i wybrali Żurkę na atamana. Co o tym sądzicie, bracia?

Wszyscy przystali na propozycję.

– Jakie mamy możliwości? – zapytał Haranza.

– Cóż, moim zdaniem jest ich pięć – odparł rotmistrz Żurko. – Pierwsza, przebijając się z powrotem do naszych linii. Jechać nocą. Znaleźć spokojny odcinek, obsadzony przez Włochów, a jeszcze lepiej przez Rumunów...

– Co? Po tym jak ofiarowaliśmy im Koszkę w prezencie? – zażartował Mаметka swoim dyszkantem. Żołnierze roześmieli się.

– Oni woleliby ciebie, Bette Davis – odparował Koszka.

– Ale dowcip – wydał usta Mаметka. Benia pamiętał, co spotkało Strizkaza, i zamarł.

– Dość – uciął Żurko. – Przestańcie. Mаметka, prosiłeś się o to. Koszka, będę cię chronił.

– Mówcie dalej – przynaglił „Uśmiechnięty” rotmistrza.

– Potem zameldujemy się naszym wojskom w ostatnich bastionach w łuku Donu albo przeprawimy się gdzieś przez rzekę i dołączymy do Frontu Stalingradzkiego. Odnajdziemy swoje jednostki.

– Jakie jednostki? Jesteśmy *smiertniki* – skazani na śmierć – i nic nas nie uratuje – powiedział Koszka.

– Wszyscy wiemy, co nas czeka – zgodził się „Uśmiechnięty”. Minę miał bardzo poważną.

– Nie możemy wrócić – powiedział Benia. – Dostaniemy po osiem gramów, zanim zdążymy podać swoje nazwiska.

– Słusznie – potwierdził Żurko. – Jako rosyjski patriota i dobry komunista uważam, że śmierć jest lepsza niż dezercja, więc poddanie się nie wchodzi w rachubę. To nasza druga możliwość.

– Jesteśmy odcięci na tyłach wroga. Spójrzmy prawdzie w oczy, chłopaki. Czy możemy czegokolwiek nie brać pod uwagę? – powiedział Koszka. – Tak tylko mówię.

– Poddanie się jest dla mnie wykluczone – odparł Benia. – Widzieliście, co tutaj wyprawiają Niemcy.

– Mówisz tak, bo jesteś Żydem, prawda? – zapytał Koszka. – Nie będziemy cię słuchać.

– Mam go uciszyć? – rzucił zadziornie „Uśmiechnięty”.

– Chwileczkę – rzekł Benia. – Jestem Żydem, to prawda. Nie mogę się poddać. Ale słyszałem też, że Niemcy zwyczajnie głodzą na śmierć rosyjskich jeńców.

– Niektórzy Rosjanie poddają się Włochom – zauważył Koszka. – Moglibyśmy też przejść do Mandryki i przyłączyć się do Schuma. Mają dobre żarcie. I dziewczyny, dużo dziewczyn.

– Skoro chcesz się do nich przyłączyć, to czemu tego nie zrobiłeś? – zapytał cicho Mały Mamełka.

– Nie chcę. Jakbym chciał, nie byłoby mnie tutaj.

Wachmistrz Panka wstał.

– Wystarczy tego gadania. Powiem wam jedno, chłopcy: nigdzie się nie wybieram! Rotmistrzu, jakie są wasze rozkazy?

– Myślę, że powinniśmy zrobić to, co słuszne – oznajmił z powagą Żurko, patrząc na podwładnych przez okulary w stalowych oprawkach i zapalając papierosa. – Ale moglibyśmy się też ukryć tutaj i czekać na wyzwolenie.

– Tylko że to może nigdy nie nastąpić – zauważył Koszka. – W tej chwili musimy liczyć się z tym, że przegramy wojnę. Tak tylko mówię.

– Nie, Koszka, wygramy wojnę – odpowiedział Żurko. – Jestem tego pewien. Byłem ekonomistą i pracowałem w Moskwie w Gosplanie. Sporządzaliśmy plany pięcioletnie.

– Wielki sukces! – zawołał Benia z przekąsem.

– Czy to odeskie poczucie humoru? – zapytał Żurko.

– Skoro jesteście tacy inteligentni, rotmistrzu, to jak to się stało, że wylądowaliście tutaj? – zapytał „Uśmiechnięty”.

Żurko uśmiechnął się, przecierając okulary.

– Przewidywałem kryzys, ale w naszym socjalistycznym raju kryzys jest niemożliwy. Tak czy owak, już w tym roku nasza produkcja będzie większa niż niemiecka. Z pomocą Amerykanów jesteśmy niepokonani. Skoro Hitler nie zwyciężył w pierwszym roku, nie może już wygrać wojny.

– A więc przegra? – pisnął Mamełka.

– Tak jest. Przemawiają za tym wszystkie prawa nauki, ale potrwa to lata, a my nie mamy tyle czasu. Następna możliwość: odnajdujemy sowieckich partyzantów, walczących z Niemcami na ich tyłach, i przyłączamy się do nich.

– Ale gdzie ich szukać? – zapytał Koszka.

– Szczerze? Nie wiadomo, a step został zajęty tak szybko, że może tu nie być żadnych oddziałów partyzanckich.

– Jak dotąd wszystkie wyjścia są do luftu – wydał usta Koszka.

– A kim ty jesteś, żeby cokolwiek krytykować – zirytował się Haranża, patrząc koso na małego Uzbeka. – Gdzie ty właściwie się podziewałeś, Koszka, co?

– Już wam mówiłem, że zabłądziłem. Szukałem was i w końcu znalazłem.

– Zabłądziłeś i nas znalazłeś? Hmm. Coś tu śmierdzi. Tak tylko mówię!

– Dość, przestańcie się kłócić – rozkazał Panka i dobył szabli. Panka nigdy nie żartował, był prostolinijny jak lanca. Dwaj karniacy od razu zamilkli.

– Ostatnie wyjście jest następujące – oświadczył Żurko spokojnie i rzeczowo. – Kazano nam zlikwidować sprzedawczyka Mandrykę. Jak go zabijemy, darują nam resztę kary. Jeśli zostaniemy ranni, tak samo. Wiemy, gdzie jest Mandryka. To jest nasze zadanie.

– Chcesz powiedzieć, że w kilku mamy wjechać do jego bastionu? – zdziwił się Koszka. – Próbowaliśmy już tego i okazało się, że to szaleństwo. Pomyślcie, ilu ludzi straciliśmy.

– Nasze zadanie to tak czy owak samobójstwo – uśmiechnął się Benia.

– Znowu odeska ironia? – spytał retorycznie Żurko. – Jeszcze żyjemy i ja osobiście nie zamierzam ginąć. Nie zaatakujemy chutoru Szepiłowka, który roi się od ludzi Mandryki i wojsk niemieckich. Wiadomo, że Mandryka codziennie wyjeżdża ze wsi ze swymi niemieckimi kumplami na akcje antypartyzanckie. Urządzimy zasadzkę, gdy będzie poza swoją twierdzą. Jeśli zginiemy, to trudno.

– Zgadzam się – oświadczył Panka. – Mamy konie i jeszcze jesteśmy Kozakami. Nigdzie się nie wybieram! Zobaczycie: na stepie zawsze świeci słońce.

Wstał, wsunął szablę do pochwy i zaczął rozpalać ognisko.

– Wesoła rozmowa, nie ma co – zachichotał Pyszczeza. – Kto mi zaśpiewa kołysankę? Wiem. Sam ją sobie zaśpiewam.

Pyszczeza śpiewał, a Haranża tańczył powoli wokół ogniska, wyginając mięsiste członki w ogromne łuki, unosił się i opadał. Usta miał rozchylone, oczy zamknięte i potrafił nadać swemu tańcowi jakiś posępny, zgrzytliwy rytm.

Pyszczeza śpiewał anielskim tenorem:

Pojechał raz Kozak do obcej krainy

Na dobrym swym koniu, czarniejszym niż kruk...

Panka odpowiedział barytonem: *Na wieki zostawić miał chutor rodzinny.*

I wszyscy zaśpiewali chórem:

Już nigdy nie wróci na ojców swych próg;

Już nigdy nie wróci na ojców swych próg.

Leżąc z głową na sakwie i patrząc na długi, lisi nos Panki i jego małe oczka, Benia ze zdziwieniem zauważył, że po twarzy śpiewającego płyną łzy. Wybrali sobie

najbardziej niebezpieczne zadanie. Ilu z nich przeżyje, by zaśpiewać tę pieśń, gdy jutro słońce będzie się chylić ku zachodowi?

Dzień czwarty

I

– Gdzie Koszka? – zapytał Żurko nazajutrz rano, ale wszyscy znali odpowiedź.

Świtało. Noc była parna i żołnierze pocili się, mimo że słońce jeszcze nie wzeszło. Haranża i Mały Mametka stali przy koniach, paląc włoskie papierosy. Nieco niżej na zboczu leżał Koszka, zwinięty w kłębek jak dziecko, ręce już mu sztywniały. Żołnierze poszli za Żurką, stanęli wokół Koszki i przyglądali mu się. Kreska czerniejącej krwi opasywała szyję zabitego. Tak tylko mówił, myślał Benia, tak tylko mówił.

Haranża był spokojny, najspokojniejszy ze wszystkich.

– Chcę wiedzieć, z kim jadę – rzekł tylko i wrócił do ogniska, które zdążyło się już zamienić w kupę popiołu.

Benia zastanawiał się, czy Żurko coś powie, ale rotmistrz zajęty był układaniem dobytku Koszki: pepesza, sztylet, menażka, ostrogi, buty i nahajka leżały w równym rządku.

– Wybierajcie sobie – powiedział Mały Mametka i Benia dostał drugą pepeszę.

Strach pęczniał w żołądku Beni jak drożdżowy placek. Śmiertelnie zmęczony spał pod gwiazdami kamiennym snem, bez snów, ale po przebudzeniu zrobiło mu się straszno na myśl, co ich czeka tego dnia. Czuł mrowienie trwogi w każdym stawie, jakby jego kości same zestawiały się na nowo.

Wachmistrz Panka ugotował kawę, po czym rozdzielił zdobyczne suszone mięso i suchary. O Koszce nikt więcej nie wspomniał. Dziesięć minut później cała siódemka ruszyła w drogę, płosząc perliczki i kuropatwy. Dzieciół stukał w drzewo, skowronki pikowały nad polami. Od strony Donu niósł się grzmot haubic.

Jechali przez pola słoneczników i kukurydzy w kierunku chutoru Nowoje Pietroszewo, zmierzając do drogi z Szepiłowki, w której kwaterował Mandryka. Po drodze słyszeli muzykę i krzyki. Żurko powiedział, że to Schuma świętuje i nazajutrz Mandryka raczej nie wstanie wcześniej, więc trzeba zająć stanowiska, kiedy będzie wyjeżdżał. Gdyby zdołał się przemknąć niepostrzeżenie, mieli go dopaść, jak będzie wracał. Benia wstał tego dnia podenerwowany, ale jadąc w upale, pograżył się w marzeniach i pozwolił, żeby Srebrne Skarpetki sama podążała właściwą drogą za pozostałymi końmi.

Kiedy jechali przez szpaler topoli, klacz zastrzygła uszami i stężała. Benia ocknął się w jednej chwili i kładł właśnie rękę na bębnie pepeszy, gdy jakiś głos zawołał po kozacku:

– Kto tam? Stój!

Towarzysze Beni sięgnęli po broń.

– Za późno! Nie ruszać się! Ręce do góry, bo was wystrzelamy!

Żurko odwrócił się do podwładnych.

– Róbcie, co każą.

Z kukurydzy przed nimi wychodzili jacyś ludzie. Z tyłu podniosły się do góry czarne pyski karabinowych luf.

– Coście za jedni? – zapytał człowiek w rosyjskim mundurze polowym i z niemieckim schmeisserem w ręku. Benia domyślił się, że to dowódca, ale czy był on jednym ze zbirów Mandryki? Karniacy zastygli w bezruchu, lecz nie opuścili broni.

– Jesteśmy żołnierzami Armii Czerwonej – powiedział Żurko.

– Z jakiego oddziału?

– 2 Sztrafbat Kawalerii.

– Widzę, że masz gwiazdki na pagonach – powiedział mężczyzna. – Przedstaw się.

– Leonid Żurko, rotmistrz oddziałów karnych.

Wtedy jakiś tyczkowaty młodzieniec wysunął się do przodu.

– Majorze Elmor, to oni. Ręczę za nich.

Był to „Pasikonik” Geft, chłopak, który zniknął dzień wcześniej z batalionu razem z weterynarzem Lampadnikiem i kilkoma innymi. Benia poznał ich.

– Na pewno? – zapytał mężczyzna nazwany Elmorem.

– Tak.

– W porządku. Zsiadaj z konia, Żurko. Tylko powoli!

Żurko nie poruszył się i dał znak swoim ludziom, żeby też pozostali w siodle.

– Muszę wiedzieć, kim jesteście.

– Partyzanci z 2 Brygady Dońskiej.

– Nie wiedziałem, że jest 1 Brygada.

– Nie ma. Jesteśmy żołnierzami, którzy przed miesiącem ocaleli z okrążenia Charkowa. Mamy rozkaz was zatrzymać. Stawka przesyła ukłony Meliszce w związku z ostatnim rozkazem dotyczącym operacji „Pluton”.

Benia widział, że Żurko odetchnął z ulgą. Elmor i jego ludzie nie kłamali: rzeczywiście byli sowieckimi partyzantami mającymi kontakt ze Stawką.

– Meliszko jest z wami?

Żurko pokręcił tylko głową i Elmor zrozumiał.

– Gdzie reszta waszego batalionu?

– My jesteśmy resztą, ale żyjemy.

Żurko zsiadł z konia i podał rękę Elmorowi. Major przypominał sylwetką pękaty garnek. Po obu stronach łysej głowy trzepotały jak klapy czapki uszanki zmierzwiłone pasma blond-siwych włosów. Benia i pozostali zsiadli i z prawdziwą radością uściskali kościstego Gefta.

Elmor ukucnął jak Kazach, a Żurko usiadł po turecku. Benia zauważył, że Elmor ma za pasem pięć granatów.

– Jakie są wasze rozkazy odnośnie do mojego oddziału? – zapytał Żurko.

– Mamy łączność radiową z Moskwą. Stawka powiadomiła nas, że żyjecie i potrzebujecie wsparcia. Odebraliśmy wiadomość dla Meliszki, że przywrócono mu rangę generała, ale... No, w każdym razie, szukaliśmy was.

– Szczerze mówiąc jest nas tylko siedmiu – odpowiedział Żurko. – Tylu zostało z tych, którzy brali udział w ofensywie nad Donem.

– Zaprosilibyśmy was na pierogi, kapuśniak i wódkę. Zwiedzilibyście nasz obóz i zapoznali się z miejscowymi dziewczętami – mówił Elmor bez uśmiechu – ale okolica roi się od wrogich wojsk wszelkiego autoramentu. Macie jakieś zadanie do wykonania?

– Zlikwidować Mandrykę.

– My też. Kwatera główna kazała go zabić za wszelką cenę. Moi ludzie cały czas mają go na oku. – Elmor urwał. – Słyszycie te strzały? To niemiecki oddział biorący udział w akcji antypartyzanckiej.

– Ścigają was?

– Nie. Ich „działania antypartyzanckie” to najczęściej zabijanie żydowskich kobiet i dzieci albo niewinnych wieśniaków. W tym rejonie pomagają im wojska rumuńskie. Są po drugiej stronie pola, tuż przy drodze, którą będzie jechał Mandryka. Nie możemy go więc zaatakować, mając ich na tyłach, ani wdać się z nimi w wymianę ognia. Strzelanina ściągnęłaby nam na głowę Mandrykę i Niemców. – Obejrzał się na Żurkę i jego Kozaków. – Jak tam u was z białą bronią?

Haranza wyciągnął szablę i pozostali poszli za jego przykładem.

– Ostro – rzekł Elmor. – Zaimponowaliście mi.

II

Po powrocie ze szkoły Swietłana Stalina zastała w domu list. Nawet niania była przejęta.

– Może to od niego? – zapytała Swieta, zarumieniona z podniecenia.

Przeszła do salonu i otworzyła kopertę.

Droga Swietłano,

Bardzo to miło z twojej strony, że do mnie napisałaś. Twój list sprawił mi ogromną radość i czytałem go kilka razy. Przyszedł wkrótce po natarciu batalionu karnego, które opisałem w najnowszym artykule. Ci przestępcy i indywidualiści byli szaleńczo odważni, widziałem na własne oczy, jak szarżują na faszystów. Był wśród nich pisarz, mój stary przyjaciel, choć nie miałem okazji z nim porozmawiać. Ucieszyłem się jednak na jego widok. Niestety, zostali wybici praktycznie do nogi, i bardzo niewielu ocalało. Przyznaję, że byłem tym nieco przybity. Czekałem na ich powrót, lecz żaden nie wrócił. Miałem nadzieję ponownie zobaczyć przyjaciela, ale nie doczekałem się, i chociaż podczas tej wojny przyzwyczailem się już do tragedii, byłem przygnębiony i wstrząśnięty. Muszę przyznać, że płakałem, i wtedy przyszedł twój list. Podniósł mnie na duchu i przywrócił wiarę w życie. Był naprawdę uroczy i w tej chwili, siedząc w bunkrze z przywódcami i generałami Frontu Stalingradzkiego, myślę o Tobie. Jesteś daleko w Moskwie i nawet Cię nie znam, ale czuję twoją pasję i miłość do literatury. Wątpię, czy kiedykolwiek się spotkamy, ale czy jestem szalony, jeśli mam nadzieję, że moglibyśmy korespondować ze sobą? I może któregoś dnia moglibyśmy porozmawiać o literaturze?

Napisz szybko,

Lew Szapiro

Swietłana aż krzyknęła z radości. Lew Szapiro odpisał na jej list, i to tak serdecznie. Zwierzał się jej ze swoich myśli i uczuć, ucieszył się z jej listu.

– Co pisze? – zapytała niania, ale Swietłana była już pochłonięta pisaniem odpowiedzi.

III

Osiem kilometrów od miejsca, w którym Benia i jego towarzysze broni spotkali się z sowieckimi partyzantami, leżał chutor Radziłłowo. Ta mała osada stała się ostatnio skrawkiem Włoch na rosyjskim stepie. Królowały w niej włoskie smaki, ubrania i pieśni.

Sanitariuszka Fabiana Bacigalupe siedziała za chatą pomalowaną jaskrawymi farbami, typowymi dla wsi kozackich, w cieniu wiśni uginającej się pod ciężarem owoców. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest w rodzinnej Wenecji i nie przeżyła właśnie osobistej tragedii.

Upał był obezwładniający. Z kuchni dolatywał delikatny zapach czosnku, kawy i głos porucznika, śpiewającego ulubioną piemoncką piosenkę: „W cieniu krzewu spała śliczna pastereczka”. Porucznik z kolegami gotowali polentę i gawędzili w swoich dialektach o kobietach, miłości, makaronie, winie i wojnie. Co się tyczyło makaronu, to sprawa była prosta: dzięki dobremu jedzeniu łatwiej znosili wojenne trudy, a skonstruowane przez porucznika urządzenie do mielenia ziarna pozwalało przyrządzić doskonale *penne*, czasem nawet polentę. Fabiana pokazała im, jak mielić kawę w stalowym hełmie – *Perfetto!*, zakrzyknęli – przez co stała się dla nich jeszcze powabniejsza. Jeśli chodziło o wojnę, to głośno narzekali, że w ogóle znaleźli się w Rosji. Mussolini wysłał 235 000 Włochów na wojnę Hitlera, ale tylko najwięksi fanatycy faszystowscy, jak ich dowódca pułkownik Malamore i jego elitarne legiony Czarnych Koszul, wierzyli w słuszność tej obłąkanej wojny i przyjęli za swoje rasistowskie idee nazistów. Na czas letniej ofensywy weszli w skład niemieckiej Grupy Armii B. Rosyjska obrona pękła tak szybko, że czuli się trochę jak na wakacjach. Oddział Fabiany poniósł pierwsze straty dopiero przed dwoma dniami, kiedy szwadron dzikich Kozaków spadł na nich zniecka i wyparł ich z chutoru. Zginęło kilku żołnierzy włoskich, w tym Ippolito Bacigalupe, mąż Fabiany.

– Myślisz, że *principessa* dobrze się czuje? Jest taka milcząca!

Fabiana uśmiechnęła się, bo gdy mężczyźni zaczęli mówić o niej, ściszyli głosy do scenicznego szeptu.

– Oczywiście, że jest milcząca. Przecież straciła męża...

– Ale on ją źle traktował. Słyszałem, jak ją uderzył po twarzy, i następnego dnia miała podbite oko.

– A teraz się smuci. Widziałem, jak płakała. Jest wdową i musimy się o nią troszczyć.

– Da sobie radę. Pułkownik Malamore się z nią ożeni, jak tylko będzie mógł... Ale... na co byście się zgodzili za jeden jej pocałunek?

– Na sto batów!

– Na degradację. Jeden stopień za pocałunek, ale za całą, długą noc, chętnie odsiedziałbym rok w twierdzy!

– *Ottimo! Delizioso!*

Roześmieli się i Fabiana, lekko zszokowana ich rozmową, nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy gniewać.

– Powiedzcie, co teraz robi *principessa*? Damy jej coś do spróbowania? Polentę? Zobaczmy!

Fabiana nie była księżniczką – urodziła się w rodzinie nauczyciela – ale też myślała

o tym, co ma teraz ze sobą począć. Jeszcze dwa dni temu trochę nudziła się na tej rosyjskiej wojnie i wszystko wydawało się prostsze. Za majora Ippolita Bacigalupego wyszła za mąż jeszcze w Wenecji i kiedy został on odkomenderowany do Rosji, pospiesznie zgłosiła się do służby frontowej jako sanitariuszka. Mogła zostać w Wenecji i pracować w szpitalu, ale chciała być z mężem i zobaczyć Rosję – należała do tego typu kobiet.

Szybko stała się ulubienicą oddziału męża. Żołnierze szanowali ją – była wszak żoną ich dowódcy – ale ciągle rozmawiali (głośnym szeptem), co u licha taka kobieta robi z tym eleganckim, lecz porywczym bubkiem (którego przezywali „Il Duce”, co nie było komplementem) i jak chronić ją przed wybuchami gniewu majora.

Chutor, w którym stacjonowali, wyglądał czarująco: niebieskie i czerwone chaty w morzu złotego zboża, wysokiej trawy i słoneczników o czarnych tarczach. Ale potem przyszedł dzień szarży. Gotowali polentę i piekli gęś w domu popa. O różowym brzasku ujrzeni kurz na horyzoncie i dowiedzieli się o samobójczej szarży rosyjskiego batalionu karnego na pozycje ich kawalerii sabaudzkiej, ale mąż Fabiany był pewien, że Niemcy zdążyli rozgromić Rosjan. Potem jednak rozległ się tętent koni szarżującej kawalerii, stukot kopyt po kamieniach i świst kul. Jeden z kałmuckich zwiadowców wjechał galopem do wsi i ściągnął wodze małego konika tak mocno, że wierzchowiec padł na kolana. Jeździec krzyczał, że nadchodzą Kozacy. Ulicą z przeraźliwym kwiczeniem biegła świnia; wielbłąd zerwał się z uwięzi i głośno porykiwał.

– *Pronti a fare fuoco!* Przygotować się do strzału! – wydał komendę mąż Fabiany. Żołnierze ustawili cekaemy Breda w oknach i starali się powstrzymać Kozaków na tyle długo, żeby umożliwić oddziałowi odwrót.

– *Madonna santa* – krzyczał major. – *Muovetevi, ragazzi!* Ruszać się, chłopcy!

Na oczach Fabiany kula trafiła oficera bersalierów, a dwa konie poniosły i ciągnęły za sobą jeźdźców. Potem przez kłęby kurzu przebiły się promienie słońca, w których oślepiąco zalsniły uniesione szable, i z kurzawy wyłoniła się horda Kozaków. Wyczyniali na swoich koniach szaleńcze sztuki, Fabiana sama widziała, jak kilku zsunęło się na bok z siodła i oddawało strzały. Inni zatrzymywali się, jedną nogę pozostawiali w strzemieniu, drugą opierali na siodle i w takiej pozycji strzelali. W bitewnym zamieszaniu, kiedy czekali w drzwiach, żeby wskoczyć do ciężarówek Fiat i Bianchi, pocisk ugodził jej męża prosto w pierś... i musieli pozostawić jego ciało we wsi.

Znacznie później Benia Golden zapytał Fabianę, co myślała na widok tych Kozaków stojących w strzemionach, z szablami nad głową, z otwartymi ustami, wrzeszczących opętańczo. Odrzuciła głowę i roześmiała się.

– Co myślałam? Szykuj się na śmierć! *Santissima madre di Dio!*

A teraz siedziała w ogrodzie i próbowała zebrać myśli. Bardzo lubiła czytać i miała ze sobą książki Leopardiego, Petrarcki, Fogazzara. Wtem usłyszała szybki tętent kopyt. Wstała i wyrzała na drogę. Był to ich dowódca, pułkownik Malamore. Towarzyszył mu chudy niemiecki oficer w mundurze z błyskawicami, w eskorcie kozackich i kałmuckich kolaborantów w niemieckich mundurach.

Malamore zsiadł sztywno ze swego wspaniałego kasztana, pobrzękując ostrogami. Wyprostował się i zasalutował Fabianie, a ona oddała honory. Nigdy nie krył się

z uwielbieniem dla niej, nawet gdy jej mąż stał tuż obok, wściekając się w duchu.

Przeszedł przez furtkę i przystanął, patrząc na Fabianę, ale nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy. Nie obawiał się milczenia i był przyzwyczajony do widoku śmierci. Fabiana trochę się go bała.

– Jak się pani czuje, siostrzo Bacigalupe? – zapytał w końcu, zdejmując fez.

– Jestem nadal wstrząśnięta, panie konsulu – odpowiedziała, blado się uśmiechając.

Słowo *console* – faszystowski tytuł Malamorego, mający w intencji Mussoliniego nawiązywać do czasów rzymskich – wymówiła dość wyniosłym tonem.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – rzekł pułkownik, skłaniając głowę. – Chciałbym je przekazać w imieniu Czarnych Koszul.

Wskazała mu drugie krzesło stojące w ogrodzie. Kiedy siadał, zdawało się, że nie tylko jego bryczesy, buty z cholewami, lecz nawet kości zaskrzypiały. W jasnym świetle jego cera była łuskowata i chropawa, kojarzyła się Fabianie z zastygłą przed wiekami lawą wulkaniczną. Panowała nieznośna duchota. Malamore przeciągnął dłonią po swoich bardzo krótko przyszczyżonych włosach, poczęstował Fabianę papierosem i sam wziął jednego. Podał jej ogień, a potem przypalił sobie. Pod wpływem krwawych walk i afrykańskiego słońca stał się twardy jak skamielina.

– Odzyskamy jego ciało, siostrzo – zapewnił. – Widziałem go zaraz po tym, jak upadł. Dostał prosto w pierś.

– Był pan tam, panie konsulu?

Skinął głową. Śmierć męża wydawała się Fabianie nierealna. Wciąż miała wrażenie, że Ippolito, ze swoimi wąsikami w stylu Clarke'a Gable'a, w lśniących butach i farbowanych czarnych włosach, za chwilę wejdzie do ogrodu, jak zawsze nieskazitelnie elegancki. Kochała go chyba, mimo jego wad – a teraz co się z nią stanie? Zamrugnęła powiekami, aby powstrzymać napływające do oczu łzy. Była dumna, że potrafi panować nad sobą. Płakała wcześniej i będzie płakać później, ale nie teraz.

– Powiedział pan, panie konsulu, że Rosjanie zostali pokonani, a przecież wyparli nas z tamtej wsi w ciągu kilku minut.

Wiedziała, że Malamore wini jej męża za nieudolną postawę włoskich żołnierzy, pułkownik jednak odpowiedział:

– Taka jest wojna. Ale ta bolszewicka kawaleria została wczoraj unicestwiona.

– To pocieszające – odpowiedziała, patrząc w tę twarz zamienioną w maskę po latach walk w Abisynii, Hiszpanii, Grecji i tym drugim roku wojny w Rosji. Niewielu Włochów jest jak Malamore – myślała. Nosił wspaniały mundur Czarnych Koszul: czarny fez z chwostem, czarną bluzę ze szkarłatnymi płomieniami i różgami liktorskimi, symbolami partii faszystowskiej, ale nie sposób było upiększyć tego szorstkiego mężczyzny, który należał do innej epoki, przypominał renesansowego kondotiera, a jego oczy wyglądały jak szczeliny strzelnicze zalane słońcem zamku.

– A więc zwyciężymy?

– Nasi niemieccy sprzymierzeńcy likwidują właśnie ostatnie przyczółki Iwana nad Donem. Potem ruszymy w kierunku Wołgi i Stalingradu. Iwan upadnie. Zwycięstwo.

– *E poi... console?* A potem?

Zapadła długa cisza, w której słychać było tylko syk palącego się papierosa

i chrapliwy oddech pułkownika. Między chatami Fabiana widziała kałmuckich zwiadowców, trzymających za uzdy jego wierzchowca Borgię i swoje konie. W końcu ręka Malamorego spoczęła na jej obnażonym ramieniu.

– Malamore jest przy tobie.

Fabiana zauważyła, że powiedział to w trzeciej osobie.

– Dziękuję, panie konsulu.

– Mów mi Cesare.

Kiedy wstał, wciąż trzymając rękę na bursztynowym ramieniu Fabiany, żołnierze (nieświadomi, że groźny konsul wszystko słyszy) znów zaczęli śpiewać. Ich głosy zwały się w pełne ekspresji operowe crescendo i Fabiana poczuła, że za chwilę dostanie hysterii.

– Czy to jest oddział, czy jakiś chór operowy? – mruknął pułkownik, ujął dłoń Fabiany i ucałował ją ze czcią. Potem włożył fez, wsiadł na Borgię i odjechał z oficerem SS i kałmuckimi zwiadowcami.

Po chwili odwrócił się jeszcze, podniósł dłoń do fezu i zniknął w oddali.

IV

Benia co kilka minut słyszał trzask wystrzałów. Zapadała cisza, a potem strzały odzywały się znowu. Wiedział już, co oznacza ten makabryczny cykl.

Razem z partyzantami zajęli pozycje po obu stronach drogi łączącej kwaterę Mandryki w Szepiłowce z terenem jego ostatniej ludobójczej *Aktion*. Najpierw rozprawili się z Rumunami. Było to łatwe, bo żołnierze rumuńscy popili się. Potem podeszli bliżej do chutoru Nowoje Pietroszewo, w którym przebywał Mandryka ze swymi ludźmi.

Przywiązali konie i zaczęli się czołgać przez trawę, aż dotarli do miejsca, w którym mogli już obserwować przeciwników przez lornetkę. Między drzewami były wykopane wielkie doły. Pod pomarańczowym słońcem stali zbici w gromadę nadzy cywile, pilnowani przez policjantów w niemieckich bluzach z carskim krzyżem św. Jerzego. Benia zauważył, że nadzy ludzie zakrywali rękami intymne miejsca, tak jak to zwykle robią osoby stojące przed komisją lekarską czy w przebieralni na basenie. Teraz jednak, gdy pośród tego barbarzyństwa ujrzał ów gest wstydlivości, ścisnęło mu się serce.

– Poznajesz byłych przyjaciół? – zapytał Elmor, leżący obok Beni.

– Co najmniej pięciu zbiegów ze sztrafbatu – szepnął Benia w odpowiedzi, zaskoczony widokiem zdrajców: Delibasza, Ogloblina i Griszczuka w niemieckich mundurach. Byli też Niemcy, jedni z naszywkami SD na rękawach, inni w policyjnych mundurach. Na oczach Beni i partyzantów ludzie Mandryki dokonali selekcji kolejnej dziesiątki – w tym kobiet i dzieci – po czym zaprowadzili ich na krawędź dołu. Rozległy się strzały.

Trzech niemieckich oficerów przyjechało konno przyglądać się egzekucjom.

– To Dirlwanger – powiedział Elmor, wskazując chudego jak patyk niemieckiego oficera z błyskawicami na patkach. – W latach dwudziestych został skazany za morderstwo i gwałt, ale kiedy wybuchła wojna, zorganizował własną bandę opryszków, „batalion kłusowników”. Ci Niemcy to żołnierze jego *Sonderkommando*. Podobno pali ludzi w stodołach.

– Kto stoi obok niego? Ten z knutem w rękę? – zapytał Żurko.

– To właśnie Mandryka – odpowiedział Elmor. Niski mężczyzna o czerwonej twarzy, ubrany w mundur kroju niemieckiego, trząsał grubym skórzanym pejcem.

Obok Mandryki jechał doktor Kapto. Miał na sobie niemiecką bluzę z rosyjskimi oznakami i tak jak wcześniej, wiózł w siodle dziewczynkę. Benia pamiętał jej wielkie jak księżycy oczy, ale tym razem wyglądała na pogrążoną w transie, zobojętniałą na wszystko.

– Jeszcze przed dwoma dniami był naszym lekarzem – powiedział Benia.

– Lowka – zwrócił się Elmor do żołnierza po swojej prawej stronie, szpiega, który na pewien czas dostał się do oddziału Mandryki. – Dlaczego Mandryka ufa Kapcie?

– Jego przyjazd był wielką niespodzianką. Powitano go z honorami, ale i ze zdziwieniem. Mandryka nazywa go swoim „najlepszym przyjacielem”!

– A dziecko?

– Jeździ wszędzie z tą małą, nie rozstaje się z nią, nawet gdy je.

– Przyjechał z sanitariuszką? – zapytał Żurko.

– Tak, z Tonią. Spodobało jej się u Mandryki. Nosi broń i robi z niej użytek.

Kolejna grupa cywilów stanęła nad dołem. Rozległy się strzały. Czy na tym świecie musi być tyle łez? – myślał Benia. Nie ma granicy, która kazałaby powiedzieć: dość?

– Nie da się tego przerwać? – zapytał Benia.

– Jeszcze nie – odparł Elmor.

– Nie możemy tak siedzieć i nic nie robić!

– Wracaj do koni – rozkazał Żurko. – Jeśli rzucimy się teraz do walki i zginiemy, nikomu nic z tego nie przyjdzie. Słuchaj rozkazów, Golden.

Benia poczuł na sobie lodowate spojrzenie Elmora. Podejrzewał, że major nie zawahałby się zastrzelić niesubordynowanego sztrafnika.

Poczołgał się z powrotem do koni i zaczął głaskać Srebrne Skarpetki. To, co zobaczył i usłyszał, zupełnie go rozstroiło, rozplakał się jak dziecko. Seria strzałów, przerwa i znów pojedyncze strzały. Zatkał uszy palcami, marząc, żeby się to wreszcie skończyło, ale tłumiony gniew rozsadał go. Chciał własnymi rękami zabić Mandrykę – i Kaptę.

Umysł Beni pracował gorączkowo. Kapto już na Kołymie był kimś wyjątkowym. Nie został ogolony na łyso jak pozostali więźniowie – dlatego miał kędzierzawą czuprynę – i dostawał najlepsze racje. Nie było wątpliwości, że opiekował się rodziną komendanta i nieślubnymi dziećmi strażników. Benia pamiętał ich ostatni wieczór przed walką, gdy Kapto został wezwany do Meliszki. „Haluksy i hemoroidy”, żartowali więźniowie, ale skoro chodziło tylko o przypadłość pułkownika, skąd się tam wziął również generał? I dlaczego Kapto wrócił w nowym mundurze? Benia przypominał sobie, że pod sztabem parkował jeep Willys i że Meliszko odbierał wówczas rozkazy. Czy był to tylko zbieg okoliczności? Kapto wyprowadził wszystkich w pole, zdobywając w obozie zaufanie, dzięki czemu mógł trafić na front. Ale jakie miał szanse znaleźć się akurat na odcinku, na którym działał Mandryka? Benia przypuszczał, że takie rzeczy mogą się zdarzyć. Wojna była jak wezbrana rzeka, unosząca wszystko w swych kapryśnych nurtach, łączyła razem nieprawdopodobne wydarzenia i najbardziej odmiennych ludzi.

Kiedy oficerowie wrócili, Elmor rozmieścił żołnierzy po obu stronach drogi. Benia

leżał w trawie z Pyszczepą i Małym Mameką. Na niebie skowronek wykonywał powietrzne akrobacje; jeszcze wyżej krążyły sępy. Benia modlił się, żeby konie nie zarżały, chociaż Panka lubił powtarzać: „Można nauczyć konie wszystkiego, tylko nie tego, żeby śpiewały albo były cicho”. Po chwili przygalopował Lowka, zwiadowca.

– Ruszają – syknął i przeskoczył przez rów, zostawiając konia w kępie topoli, odsuniętej nieco od drogi. Mandryka zbliżał się. Benia oparł drewnianą kolbę pepeszy w dołku strzeleckim, przywarł do niej policzkiem i czekał z bijącym sercem.

Wreszcie ich zobaczył: policjanci z Schuma jechali kłusem drogą, w środku znajdował się Mandryka. Dirlewangera ani Kapy z dziewczynką nie było. Kiedy grupa miała się właśnie z nimi zrównać, Elmor nacisnął spust swego digitariowa, celując w Mandrykę. Benia zobaczył, jak jeździec podskakuje do góry, i wiedział, że Elmor trafił, zanim jeszcze on sam zdążył strzelić do Mandryki. Teraz nie było już szans na czysty strzał. Na pewno trafił dwóch policjantów, ale potem tamci otoczyli ciasno swego dowódcę i ruszyli galopem do chutoru. W tym samym momencie upadł Lowka; ogień z cekaemów skosił też dwóch innych, w tym Gefta. Przerażony Benia przyłgął płasko do ziemi.

Skąd ten ostrzał? Po chwili u wylotu drogi Benia zobaczył wyskakujących z ciężarówek żołnierzy niemieckich i policjantów z Schuma. Rozbiegali się, rażąc ogniem partyzantów – organizatorzy zasadzki sami znaleźli się w zasadzce. Benia wiedział, że musi się wycofać, bo inaczej zostanie otoczony. Pobiegnął do koni co tchu, ale uderzenie w ramię zważyło go na ziemię. Poczuł, jakby coś go boleśnie oparzyło, i pochłonęły go czarne odmęty.

V

Upalny czerwcowy poranek na Kołymie, dzień, którego Benia ani cała Rosja nigdy nie zapomną. W baraku Dżaby było strasznie duszno, bzycały komary, gzy i tłuste muchy plujki, które doprowadzały ludzi do szału. Benia przerobił już ze swym uczniem *Makbeta*, *Eugeniusza Oniegina*, *Hrabiego Monte Christo* i wiele innych dzieł, a teraz recytował Dżabie, siedzącemu w samych szortach koloru khaki, jeden z sonetów Szekspira. „Uśmiechnięty” (który oficjalnie pracował w stołówce, skąd wynosił jedzenie) mieszał w garnku barszcz, „Nieśmiertelny” szykował hantle (po lekcjach literatury Dżaba zwykł się gimnastykować), a Pyszczepa, kozacki młodzieniec, rzeźbił w drewnie konia. Wszyscy mieli na sobie tylko bieliznę.

– Piękne strofy – powiedział Dżaba. – Czy Szekspir nie mówi tak naprawdę: „Życie jest jak talerz *lobio*?”.

Wstał i w tej samej chwili zachrobotało w megafonach. Było to coś zupełnie niezwykłego, bo dotąd używano ich tylko do pobudek albo przy okazji ucieczek więźniów. Prawie nigdy nie odzywały się w środku dnia.

– Coś się dzieje, szefie! – powiedział „Uśmiechnięty”.

Megafony zadudniły metalicznie, a potem rozległ się znajomy nosowy głos: „Tu mówi komendant. Mam do przekazania ważny komunikat. Zdradzieckie hitlerowskie Niemcy złamały pakt o nieagresji i zaatakowały Rosję. Nie było w historii większego wiarołomstwa i zostanie ono ukarane. Pod wodzą towarzysza Stalina wojska sowieckie

przeszły do kontrataku i odpierają hitlerowskich najeźdźców na wszystkich frontach. Niech żyje nasza dzielna Armia Czerwona! Niech żyje nasza wielka socjalistyczna ojczyzna! Niech żyje Wielki Stalin!”

– Co to znaczy, szefie? – zapytał „Nieśmiertelny”.

Więźniowie popatrzyli ponuro na siebie. Wojna zmieniała wszystko: mniej jedzenia, za to wyższe normy wydobywania złota. Każdy zek wiedział, że sytuacja mogła się tylko pogorszyć.

– Cisza – rozkazał Dżaba. – Czy tak już schamialiśmy, że z powodu tych pierdołów przerywamy recytację sonetu? Przeczytaj jeszcze raz dwie ostatnie linijki!

Ale Benia nie mógł skupić myśli.

A więc wojna przyszła i do Rosji: Hitler zaatakował sowieckiego sojusznika, kładąc kres diabelskiemu porozumieniu Stalina z nazistami. Wszystko wreszcie stało się jasne. To była jego wojna, jego chwila...

– Ej, Golden! – zawołał Dżaba, boleśnie szczypiąc go w policzek. – Śpisz, czy co? To nie jest nasza wojna. To państwa wojują ze sobą, a my nie uznajemy żadnego państwa! Życie to tylko talerz *lobio*!

Benia jednak prosto z baraku poszedł do biura komendanta obozu. Nad jego głową wściekle bzyczała chmura gżów. Za drutami posępne szczyty lśniły w słońcu zębatą srebrną linią, a w oddali stado reniferów pasło się na stromym zboczu. Przed biurem jakiś więzień przemalowywał już wiszące tam hasła:

CHWAŁA STALINOWI, WSPANIAŁEMU DOWÓDCY WOJSK

POD DOWÓDZTWEM STALINA NAPRZÓD DO ZWYCIĘSTWA

POD DOWÓDZTWEM STALINA ROZGROMIMY HITLEROWSKĄ HYDRĘ

ŚMIERĆ HITLEROWI I JEGO SIEPACZOM

UWAŻAJ, CO MÓWISZ, SZPIEDZY SĄ WSZĘDZIE

ŚMIERĆ SZPIEGOM

WIĘCEJ ZŁOTA DLA ZWYCIĘSTWA!

WITAJCIE W OBOZIE MADIAK-7

Stojący przed biurem komendanta mongolski strażnik odepchnął go tak mocno, że Benia upadł. Nie dał jednak za wygraną i ponieważ strażnik wiedział, że Benia jest chroniony przez Dżabę, pozwolił mu wejść i porozmawiać z adiutantem komendanta, lejtnantem Bobkinem. Bobkin nosił okulary, które przypominały denka od butelek. Jego oczy wyglądały w nich jak gotowane jajka.

– Czego sobie życzycie, więźniu Golden? – zapytał neutralnym, beznamiętnym tonem. Jako były więzień przeszedł przemianę z zeka w oficera NKWD i miał teraz

na sobie czekistowski mundur. – Jaką macie prośbę?

– Chcę się zgłosić na ochotnika do walki z hitlerowcami.

– Wasz kod?

– KRTD, 58.8, Dziesięć.

Każdy więzień miał swój kod. KRTD oznaczało kontrrewolucyjną działalność trockistowską, 58.8 artykuł 58, paragraf 8 kodeksu karnego, mówiący o działalności terrorystycznej, a dziesięć – liczbę lat pozbawienia wolności.

– Dziesięć? – zdziwił się Bobkin. – Źle was poinformowano. Wasz wyrok to po dziesięć lat za każde przestępstwo plus pięć za kontrrewolucyjną agitację. I będziecie je odsiadywać po kolei.

Wstrząs był tak silny, że Benia aż się zachwiał.

– To ile to razem będzie?

– Dwadzieścia pięć lat. – Bobkin westchnął. – Złóżcie swoją prośbę na piśmie, więźniu Golden, a ja przekażę ją właściwym władzom. Ale muszę was uprzedzić, że umrzecie tutaj, na Kołymie.

VI

Noc w chutorze Szepiłowka była parna i gorąca. Ocknąwszy się, Benia stwierdził, że jest zamknięty w stajni, której boksy przerobiono na cele. Kraty przybito gwoździami krzywo, więc zaraz pomyślał o ucieczce, ale był zbyt słaby i przestraszony, bał się nawet poruszyć. Jego skołatany mózg przeskakiwał od jednej myśli do drugiej: bolało go ramię, koszulę miał mokrą od krwi, od wielu godzin nic nie pił ani nie jadł.

Przez kraty widział, że flagi we wsi są opuszczone do połowy, a na szubienicach stojących na podwórzu kołyszą się zwłoki. Nie mógł się zorientować, kim byli powieszoni. Śmierć zatarła ich osobowość, tak jak szmata ściera litery z tablicy. Może to są szczęśliwcy? – pomyślał Benia.

Ale Mandryka zginął. Dopadli go! Słysząc było muzykę: wiejska orkiestra grała fałszywie marsza żałobnego na rozstrojonych trąbkach i bałajkach. Potem gruchnęły salwy karabinowe, salut honorowy na cześć poległego dowódcy, a w końcu dały się słyszeć odgłosy pijackiej stypy, którym wtórowały chropawe tony akordeonu. Benia słuchał pieśni – znał niektóre z nich: „Czarny kruk”, „Wołga-Wołga”. Wygłaszano mowy żałobne, a potem znów zagrzmiały salwy. Ta mieszanka wojskowego obrządku i chłopskiego pijaństwa, przyprawiona czarnosecinnym okrucieństwem, robiła groteskowo-upiorne wrażenie. Benia czekał, co będzie dalej. Ramię krwawiło, pocił się z bólu, raz po raz chwytaly go dreszcze i był przekonany, że zaraz umrze. Jeśli to nastąpi, mówił sobie, zachowaj przynajmniej spokój, nie błagaj, nie krzycz, nie mocz się. Wiedział jednak, że zrobi to i wszystko, dosłownie wszystko, żeby przeżyć, i ten histeryczny strach przed śmiercią przyprawił go o dygot całego ciała. Zabiliśmy Mandrykę, powtarzał sobie, a więc coś przynajmniej nam się udało. Przypomniawszy sobie słowa Meliszki: „Może dokonamy czegoś, z czego nasi bliscy będą dumni – nawet jeśli nigdy się o tym nie dowiedzą”.

Ale Meliszko powiedział też: „Nie dopadniecie mnie”, a przecież go dopadli.

Biesiada skończona i krzyki raptem się przybliżają. Ludzie Mandryki wylewają się

na podwórze i wyprowadzają jeńców. Są teraz tak blisko, że Benia słyszy ich oddechy, brzęk kluczy, zgrzyt zamków i sapanie podnieconych, pijanych ludzi. Czeka na swoją kolej. W końcu drzwi się otwierają. Jacyś ludzie chwytają go pod pachy i wywlekają na podwórze. Rosjanie, Kozacy i Ukraińcy, wszyscy gadają jeden przez drugiego, twardzi ludzie, chłopci i parobcy, wieśniacy i przybłądy. Kopiają go i okładają batami. Jedno wielkie kłębówisko ciał, Benia nie potrafi skupić uwagi. Gdzieś w innej części chutoru orkiestra znów zaczęła grać. Niektórzy tańczą i śpiewają, a stary Kozak bez koszuli gra na akordeonie. Grupa ludzi próbuje powiesić jakiegoś człowieka na szubienicy, ale sznur ciągle pęka i człowiek kołysze się tam i z powrotem jak makabryczne wahadło. Część ludzi Mandryki – Benia dostrzega wśród nich swego dawnego towarzysza Ogłoblina – stoi w jednym miejscu i przewraca jakiegoś człowieka na ziemię, a inni – między innymi Bap i Delibas – przechodzą chwiejnie od jednej sceny do drugiej, wymierzając kopniaki to tu, to tam. Jakiś ochrypły kobiecy głos wykrzykuje rozkazy. Benia poznaje go i wtedy ją spostrzega: to Tonia, w szarej niemieckiej bluzie ze schmeisserem na ramieniu, dziewczyna o płaskiej twarzy i mętym spojrzeniu, prawie niewidocznych brwiach i rudawych rzęsach. Na tłustych nogach ma modne pończochy i buty do konnej jazdy. Ze wszystkich paruje alkohol, zalatuje od nich czosnkiem i pieprzem.

Tonia ociera mankietem czoło.

– Tnijcie pokrzywy! – woła do mężczyzn. – Niech poczują.

Ci twardzi, źli mężczyźni lubią spełniać jej rozkazy. Żartują na jej temat:

– *Smiertina* – Kostucha – gotuje pikantne potrawy, suka! – zrzędują, ale słuchają jej.

– Tak, siostró, jak każesz, siostró! – gdcze jeden, wywijając batem.

– Nie możemy ci odmówić, mamó – sapie Kozak bez koszuli. Rzuca akordeon, który wydaje kilka zgrzytliwych dźwięków, i pochyła się nad człowiekiem leżącym na ziemi.

– Czy konie są dobrze podkute? – pyta Tonia.

– Dopilnuję tego, mamó!

To głos „Czubatego” Griszczuka, kowala, który tyle razy podkuwał Srebrne Skarpetki. Pijany i krzepki, na szarej bluzie ma skórzany fartuch.

Wtem Tonia spostrzega Benię. Rzuca się na niego i bije nahajką po twarzy. Od bolesnego chlaśnięcia Benia łzawi, ale patrzy jej prosto w oczy, w jej senne, zawsze znudzone oczy. Teraz jednak ich wyraz wstrząsa nim do głębi. Są głodne, pełne wynaturzonej żądy. Tonia została obsadzona w innej roli i wypchnięta na scenę.

Uśmiecha się uśmiechem, którego Benia nigdy u niej nie widział, okraszonym jasnoróżową szminką. Niespodziewanie uderza go znowu, tym razem kolbą pepeszy, i to tak mocno, że Benia leci przez ręce trzymających go ludzi i pada na ziemię. Z perspektywy butów widzi, że po drugiej stronie podwórza zebrał się tłum.

Nie rozumie zrazu, co się dzieje. Trzymają jednego z karniaków, młodego jasnowłosego Gefta, który jest lekko ranny. Griszczuk, kowal w skórzanym fartuchu, rozkłada na ziemi narzędzia, a jego asystent, Delibas, podaje mu je po kolei.

– Obcęgi! – woła Griszczuk. – Nóż do kopyta! Kleszcze! Podkowa! Gwoździe! – i w końcu, z widoczną przyjemnością: – Młotek!

Ludzie tłoczą się i przepychają, żeby lepiej widzieć, ale jednocześnie napinają

mięśnie, by utrzymać kogoś w bezruchu.

– Nie pisnął ani słowa!

– Zaraz go usłyszymy!

Benia widzi nagle, jak Griszczuk wbija młotkiem gwoździe.

– Wio, koniku! – krzyczy.

Nieludzkie wrzaski dręczonej ofiary i rechot odurzonej tłuszczy. Geft pełnie na czworakach, do jego rąk i nóg przybite są podkowy.

Benia raz po raz potrząsa głową z niedowierzaniem: z czymś takim trudno się pogodzić.

Odczołguje się, czując na plecach razy bata, i natyka się na rotmistrza Żurkę: jest w bieliźnie, a jego twarz krwawi. Benia zauważa ze zgrozą, że jego dowódca nie ma powiek. To delikatna robota sanitariuszki o palcach baletnicy. Benia od razu się domyśla, że w ten sposób Tonia odpłaciła się rotmistrzowi, który nigdy nie zwracał na nią uwagi. Benia i Żurko patrzą na siebie, ale czy Żurko widzi go bez okularów?

– To ja, Golden – mówi Benia.

– Golden, moja żona, syn... – zaczyna. Chce, żeby Benia powiedział coś jego synowi, ale głos mu się łamie.

– Tak, naturalnie, że powiem – zapewnia Benia i myśli: nikt z nas stąd się nie wydostanie. Potem Żurkę gdzieś odciągają. Mężczyźni chwytają pozostałych, podnoszą ich i stawiają pod ścianą.

– Ja zetnę pokrzywy – mówi Tonia i Benia widzi na jej ramieniu pistolet maszynowy.

– Zobaczmy, jak mama tnie pokrzywy! – krzyczy Delibasz.

– Ustawić ich – rozkazuje Tonia. – Podnoszą Benię. – Jego nie, tego i tego. Ustawić ich!

– Czy sanitariuszki potrafią strzelać? Założę się, że nie... – mówi jeden z mężczyzn, rzucając Toni wyzwanie.

To „ściananie pokrzyw” jest chyba hasłem wieczoru. Tonia pruje z pepeszy. Ogłuszający huk. Seria za serią.

I wtedy Benia widzi, że mają Niuszkę, „Króliczka” Dzaby, drugą pielęgniarkę z Kołomy.

– Weźcie sobie tę sukę, chce tego, jest wasza! – woła Tonia do mężczyzn.

Serdeczna i cicha Niuszka, którą Benia bardzo lubił, która spała z Żabą i wierzyła tak gorąco w Stalina i w to, że partia ma zawsze rację – jakże Tonia musiała jej nienawidzić, gdy mieszkały razem w jednej izbie. Benia słyszy darcie ubrania, krzyki Niuszki, pochrząkiwanie mężczyzn. Niuszka nie opiera się, a potem leży tam, gdzie ją zostawili, wyczerpana, z rozrzuconymi rękami i nogami.

– Zobaczcie, to pisarz!

Znów kopią Benię, z całej siły. But trafia w ranę i ból jest tak straszliwy, że Benia mdleje. Kiedy jest z powrotem w stajni, słyszy serię z broni maszynowej. Czuje wyraźnie zbliżającą się śmierć – i przepełnia go radość. Pozwól mi umrzeć, modli się. Zrobiłem, co mogłem. Mandryka nie żyje, ale Kapto...

Przysięga sobie, że jeśli kiedyś los da mu sposobność, zabije doktora.

Kiedy zgrzytnęły rygle, Benia prawie nie mógł się już ruszać, ale poznał głos, mówiący do niego przez otwarte drzwi. To Kapto, w bluzie od niemieckiego munduru polowego.

– Jak się czujesz?

Było to tradycyjne pytanie Kapty, lecz tym razem zadał je szeptem.

Benia otworzył usta, ale nie mógł wykrztusić słowa.

– Chciałeś mnie dzisiaj zabić?

Benia kiwnął głową. O, tak! Był zbyt zrozpaczony, zbyt słaby, żeby skłamać.

– Musiałem zawieźć dziecko do domu, żeby odpoczęło. Ciągle zasypiała, anioleczek, biedactwo. Zawsze gardziłem bolszewikami, ale co mogę powiedzieć? Wierzę w nasz naród. Niczego nie da się osiągnąć bez użycia siły. Stalin nauczył nas przynajmniej tego... Nie przyszedłem na rozmówki, Golden...

Benia jednak wiedział, że Kapto przyszedł, by się przed nim wypowiedzieć, wytłumaczyć mu powody swojej zdrady.

– Mandryka był moim przyjacielem – ciągnął lekarz. – Co prawda wczoraj wieczorem chłopaki trochę poszalały – głównie przez Pervitin, bez którego nie mogą się obejść. Ale ponieważ wy go zabiliście, my zabijemy wszystkich mieszkańców okolicznych chutorów. Jeśli o mnie chodzi, wojna jest prawie wygrana. Stalingrad padnie, podobnie jak zagłębie naftowe w Majkopie. – Uśmiechnął się nagle, tym szczerym, prostodusznym uśmiechem, który Benia tak lubił. – Ty też byłeś moim przyjacielem, jedyną kulturalną osobą na Kołymie. Przywróciłem cię do życia. Jesteś jak dziecko, któremu pomogłem przyjść na świat, a wiesz, że nie mogę zniszczyć czegoś, co stworzyłem – albo ocaliłem. Oni oczywiście nie wiedzą, że jesteś Żydem. Tonia, wie, ale zapomniała... Pomogę ci wstać.

Benia ledwie trzymał się na nogach. Czerwone iskry śmigły mu przed oczami jak meteory, srebrne młoteczki waliły w skroniach, chwiał się i musiał przytrzymać się framugi. Na dworze było już ciemno. Benia widział tylko rozmazane cienie na ziemi i słyszał skrzypienie szubienicy.

– Benia? Słyszysz mnie? – Kapto potrząsnął nim. – Obudź się! Słuchaj, co mówię!

– Nie męcz mnie – wymamrotał Benia.

– Słuchaj, mówię poważnie, przyjacielu. Wsiadaj na konia i jedź.

– Puszczasz mnie wolno?

Iskierka nadziei, światełko w tunelu, wschodzące słońce na widnokręgu.

– Tyle razem przeżyliśmy... Jedź tą drogą. Tam są Włosi, bardziej ludzcy od nas i... Chcę, abyś wiedział, że jestem porządnym człowiekiem.

Benia spojrzał w jasne oczy doktora, w jego pozbawioną zmarszczek sercowatą twarz z ostrym podbródkiem, zwieńczoną kędzierzawą czupryną.

– A co z dziewczynką?

– Lekarz musi się troszczyć o swoich pacjentów, najpierw wyleczyć, a potem otaczać opieką – powiedział Kapto i po raz pierwszy Benia zobaczył, że w jego szczerym uśmiechu i nieruchomym spojrzeniu jest coś fałszywego. – Muszę mieć ją blisko siebie przez cały czas. Tamci to potwory: sam widziałeś, do czego są zdolni. Jeśli tylko spuszczą ją z oka, mogą ją...

– Za co trafiłeś do obozu? Nie byłeś polityczny, prawda?

– Spokojnie, spokojnie. Ani słowa więcej, Golden.

Byli już przy koniach i Benia zobaczył, że Srebrne Skarpetki czeka na niego. Zawołał ją szeptem i klacz odwróciła aksamitną szyję w jego stronę. Miękkim pyskiem wodziła po jego twarzy, rozpoznając swego pana. Czy można było nie kochać tego konia? Próbował wsiąść, ale nie był w stanie podnieść nogi. Kapto pomógł mu włożyć stopę w strzemień i podsadził go. Benia opadł na siodło, lecz chybotął się niebezpiecznie, trzymając się lęku.

– Jedź już, jedź – ponaglał Kapto. – Nie oglądaj się. Chcesz, żebym cię rano powiesił?

Klepnął klacz po zadzie i Srebrne Skarpetki ruszyła kłusem po upiornej drodze.

VII

Późnym wieczorem Swietłana przeglądała zachodnie pisma ilustrowane, przysłane przez towarzysza Majskiego z ambasady w Londynie. Myślała o tym, jak się ubierze na spotkanie z Szapirą. Sukienki szyła jej specjalna pracownia krawiecka w Kitajgorodzie, podlegająca Biuru Technicznemu NKWD. Tamtejsi krawcy ubierali żony wszystkich przywódców, na polecenie klientek kopiując stroje z zachodnich magazynów.

Niedawno Swietłana, Marfa Pieszkowa i córka Mołotowa poszły tam pierwszy raz. Wystarczyło, że wyrwały kartkę z pisma ilustrowanego i zaniósły ją do pracowni, która mieściła się za drzwiami z napisem „Biuro Techniczne”. Abram Lerner był ostatnim ze starych krawców moskiewskich. Szył bluzy samemu Stalinowi, w czterech wariantach kolorystycznych: szarej, piaskowej, zielonej i białej. Lerner, elegancki Żyd, łysiejący i drobny, powitał Swietlanę szarmancko, jakby była córką cara; pocałował w rękę i przedstawił Kleopatrze Fiszman, korpulentnej i siwej żydowskiej damie, która wzięła miarę.

Przyszła właśnie nowa partia pism ilustrowanych. W „Vogue” i „Bazaar” były zdjęcia najładniejszych sukienek, ale Swietłana lubiła również „Illustrated London News”, które publikowało zdjęcia brytyjskich arystokratów, a nawet rodziny królewskiej. Wertowała właśnie to pismo, gdy jedna z fotografii zwróciła jej uwagę. Przeniosła wzrok z magazynu na oprawione w ramki zdjęcie stojące na stole. Była to ta sama fotografia jej matki, Nadii Allilujewej Staliny.

Matka zmarła przed blisko dziesięcioma laty i Swietłana codziennie za nią tęskniła. Doskonale знаła angielski (czytała Scotta Fitzgeralda i Hemingwaya w oryginale i słyszała, że ten ostatni napisał nowe arcydzieło, *For Whom the Bell Tolls*), zaczęła więc czytać artykuł. Serce zabiło jej szybciej.

„W listopadzie 1932 roku Nadia, żona Stalina, popełniła samobójstwo w kremłowskim mieszkaniu sowieckiego przywódcy...”

Nie! To było niemożliwe. Kłamstwa podłych kapitalistów! Jej matka zmarła na niewydolność nerek, wszyscy to wiedzieli. Sam ojciec mówił o tym Swietłanie.

„Podobno Nadia strzeliła sobie w serce po hucznej kolacji w mieszkaniu ludowego komisarza wojny Klimienta Woroszyłowa, wydanej dla uczczenia rocznicy rewolucji...” – pisano w artykule. Swietłana czuła szóstym zmysłem, że to prawda. Za życia matki

zdawała sobie sprawę, że ojciec ma do swojej żony ambiwalentny stosunek, choć nie mogła tego zrozumieć. Ale dlaczego mama miałaby odbierać sobie życie? Ojciec był oczywiście trudnym człowiekiem; całkiem możliwe, że jako mąż był nie do zniesienia. Nie troszczył się o żonę, potrafił być opryskliwy i przytłaczał otoczenie; każdy, zwłaszcza człowiek słabszego charakteru, dusił się w jego obecności. Zarazem jednak był bardzo czuły dla Swietłany. Czemu więc mama skończyła ze sobą? Czy miłość do córki jej nie wystarczała?

Drzwi się otworzyły i do mieszkania wszedł ojciec.

Pocałował ją w czoło.

– Co się stało? – zapytał.

– Tato, muszę cię o coś spytać – powiedziała Swietłana, nagle czując, że ze zdenerwowania robi jej się słabo.

– Pytaj.

– Tato, czy mama...?

Ojciec wpatrywał się w nią swoimi piwnymi oczami.

– No, mów.

– Czy mama... Jak umarła mama, tato? Ale naprawdę. Powiedz mi.

Zapadła długa cisza.

– Z kim rozmawiałaś? – zapytał w końcu Stalin. – Kto ci nagadał głupstw? Mów!

– Przeczytałam... w angielskim piśmie, że... mama... popełniła... Powiedz mi, tato...

Ale Stalin, stojąc przed córką w wojskowej bluzie i workowatych spodniach wpuszczonych w cholewy, patrzył na nią i milczał.

– Kochałem ją – rzekł wreszcie. – Ale była krucha i wrażliwa. Tak, zastrzeliła się z małego pistoleciku. Dostała go od twojej głupiej ciotki, która kupiła go w Berlinie i dała twojej matce. Tak, kochałem ją, a ona mnie zawiodła, zawiodła mnie, ciebie i twojego brata. Musiałem cię wychowywać sam. Opuściła mnie, kiedy najbardziej jej potrzebowałem. – Zawahał się, a potem odwrócił się plecami do Swietłany. – Jadę do Kuncewa, dobranoc – zakończył sucho.

I wyszedł.

Dzień piąty

I

– Ma pani pacjenta, siostró – powiedział major Scipione di Montefalcone do Fabiany Bacigalupe. Byli w chutorze, w którym znajdował się teraz sztab batalionu. – Nie znamy go, ma na sobie części różnych mundurów. Znalazł go nasz patrol; leżał na ziemi, a nad nim stał jego koń. Przypuszczam, że to jeden z policjantów z Schuma. Proszę sprawdzić, czy nie zgłosili zaginięcia jednego ze swoich, chociaż dziś jest tam spore zamieszanie.

Major był tokańskim hrabią, z rodzaju tych, których można znaleźć tylko w najświetniejszych pułkach kawalerii. Jego ojciec dowodził pułkiem sabaudzkim, więc kiedy wybuchła wojna, Montefalcone wybrał rodzinną jednostkę. Fabiana odnosiła czasem wrażenie, że Montefalconemu na każdym kroku towarzyszą wszyscy ci kardynałowie i książęta, których miał w swoim rodowodzie, chociaż jego dziadek przetracił rodowe zamki i cenne obrazy. Mieszkał z żoną w zupełnie zwyczajnym domu z wieżyczkami, ale uwielbiał polować ze swymi retrieverami, Puszkinem i Potiomkinem. Jak czasem wspominał w rozmowach z Fabianą, zawsze kochał Rosję i pragnął ją zobaczyć, choć nie w takich okolicznościach.

– Wie pani, że wczoraj partyzanci zabili Mandrykę? – zapytał.

Fabiana, w białym fartuchu z wielkim czerwonym krzyżem, stała obok majora przy chłopskiej chałupie, w której mieszkała.

– Słyszałam o tym.

– Ten człowiek był jak dzikie zwierzę – powiedział Montefalcone, nie starając się nawet ściszyć głosu w obecności zniewieściałego ordynansa. – Ale postawmy sprawę jasno: nie usprawiedliwia to sowieckich partyzantów. Mandryka jednak był gorszy niż zwierzę. Teraz dowodzi nimi jakaś Rosjanka, gorsza od nich wszystkich – podobno była kiedyś sanitariuszką.

Fabiana skinęła głową i spojrzała w smagłą, owalną twarz i obwisłe podbródki Montefalconego, które trzęsły się, gdy chustką z monogramem ocierał pot.

– O, kogo ja widzę.

Wychudzony kundel, przypominający zagłodzonego lisa, przymaszerował pewnym krokiem i szturchnął nosem Montefalconego.

– Przygarnęliśmy psinę – powiedział major, pieszczotliwie głaszcząc kundla miękką ręką. – Jacopo, przynieś Anastazji mleka – zawołał do ordynansa.

Cóż za przemiły człowiek, pomyślała Fabiana. Na chwilę zapragnęła, żeby ktoś potraktował ją tak, jak tę podobną do lisicy suczkę. Jej matka marzyła o tym, aby Fabiana wyszła za mąż za takiego właśnie mężczyznę, konesera arystokratę z oczami szczenięcia. Jakże był inny od jej męża Ippolita, nie mówiąc o pułkowniku Malamorem.

A tymczasem los rzucił ją na doński step, gdzie nawet kurz był nasiąknięty krwią – nie tylko żołnierzy, ale też kobiet i dzieci. Jej mąż zginął. Malamore zaglądał do niej, ilekroć przejeżdżał przez wieś, kilka razy w ostatnich paru dniach. Trudno mieć wątpliwości co do jego zamiarów, pomyślała Fabiana, i przeszły ją ciarki.

– Nie chciałyby pani wrócić do kraju? – zapytał Montefalcone.

– *Si, signore*. Ale najpierw muszę pochować męża.

– Oczywiście, oczywiście. Znajdziemy jego ciało. A potem musi pani wrócić do kraju. Załatwię to. Proszę nie protestować, moja droga, proszę nie protestować. To nie miejsce dla takich kobiet jak pani...

Fabiana zastanawiała się, za jaką kobietę uważa ją major. Za jaką wszyscy ją uważają? Przypuszczała, że mają co do niej rozmaite podejrzenia – na przykład że jej ojciec był mediolańskim przemysłowcem albo że matka była kochanką wojennego spekulanta. Jako dojrzała, trzydziestokilkuletnia kobieta stała się piękna, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, bo w młodości była pospolita i niezgrabna. Dziewczęta, które jako nastolatki wyglądają niepozornie, z reguły nie wierzą, że mogły zmienić się na korzyść. Biografia Fabiany nie skrywała też żadnej romantycznej tajemnicy: jej ojciec był kustoszem w weneckim Archiwum Państwowym, dwa kroki od ich domu przy Campo San Stin, gdzie mieszkali na czwartym piętrze.

Fabiana przypomina sobie, jak biegnie na pobliskie Campo dei Frari, do sklepu pod wielkimi szyldami, na których wymalowane są salami i ser, albo idzie z matką na targ w dzielnicy Rialto. Widzi plamy kolorów i tłumy, czuje zapach kadzidła, gdy podczas Festa del Redentore przechodzi z rodzicami po zbudowanym na barkach moście wotywnym i gdy co niedziela idzie z matką do kościoła San Rocco. Uśmiecha się na myśl o matce, nauczycielce w szkole powszechnej na wyspie Vignole. Stary przewoźnik wozi je tam codziennie.

Świat Fabiany tworzą słowa. Miłość wyraża się dla niej w rzeczach pięknych i ujętych w słowach. Często chodzi do księgarni Tarantola na Campo San Luca, aby zapytać o dzieła Luigi Pirandello, które namiętnie czyta. Fascynują ją bohaterowie jego utworów. Obiektywna rzeczywistość dla nich nie istnieje, jest tylko subiektywna, która rozpada się w zderzeniu z punktem widzenia innych ludzi. Ekscentryczny właściciel wykłada na ladę edycje, na które jej nie stać, ale Fabiana bierze książki do ręki i wdycha zapach świeżo zadrukowanego papieru. Pierwszy raz przyszła tu z matką, lecz teraz wszędzie chodzi sama. Idzie do kościoła SS Giovanni e Paolo i ogląda grobowce ludzi, dzięki którym Republika Wenecka zyskała miano Serenissimy miast, albo do Palazzo Ducale, gdzie podziwia zbroje, armaty, freski i portrety dożów. Jest dumna ze swego miasta: Florencja ma Michała Anioła, ale Wenecja Tycjana. Jedzie *vaporetto* na cmentarz i składa kwiaty na grobie Diagilewa. To on zachęcił ją do nauki rosyjskiego – i do odwiedzenia Rosji.

– Fabiano? – wyrwał ją z zamyślenia głos Montefalconego.

Ocknęła się i powoli przypomniała sobie, gdzie jest.

– Si, chciałabym wrócić do kraju, i to szybko. Ale dopóki tu jestem, chcę być pomocna.

– Dobrze, dobrze. Brakuje nam personelu medycznego. Podczas tego rosyjskiego rajdu straciliśmy sanitariuszkę, a także dobrego oficera – och, oczywiście wie pani o tym... Proszę wybaczyć, ja... Och! *Maremma maiala!*

Montefalcone nie mógł darować sobie nietaktu.

– Nie szkodzi, naprawdę – uspokoiła go Fabiana. Nie czuła się urażona, że w taki

sposób wspomniał o śmierci jej męża. Głupiec, ale uroczy.

– *Bene!* Trzeba wracać do pracy. Proszę nie myśleć o niczym. Jest pani gotowa?

– Chyba tak.

– Namiot Czerwonego Krzyża stoi zaraz za stajnią. Proszę wziąć konia i tam pojechać. Pacjenci pani potrzebują. W tej chwili nie ma tam lekarza. Będzie pani musiała sama wszystko zorganizować. Jest pani zdana na siebie. Poradzi sobie pani?

Fabiana wyprostowała plecy i otarła pot z oczu.

– Tak, tak, poradzę sobie.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Nowa ofensywa wisi w powietrzu i obawiam się, że wtedy będzie pani miała aż za dużo pracy. Proszę posłuchać: słyszy pani działa nad Donem i warkot silników? To niemieckie czołgi jadące na wschód. – Naśladując styl propagandowych kronik filmowych, zakrzyknął: – Naprzód do Wołgi! Na Stalingrad! TUTTE STRONZATE! IDIOTI! Wszystko gówno! Idioci! – Machnął ręką. – Co my właściwie tutaj robimy...

Wstał i uklonił się.

Fabiana zasalutowała, a gdy po chwili obejrzała się, Montefalcone był już daleko i rozmawiał z kałmuckimi zwiadowcami. Znow została sama.

Gdy przechodziła obok wielbłądów, dwa z nich odstłoniły żółte zęby i zaczęły ryczeć. Szkaradne bestie, pomyślała. Wielbłądy płoszyły konie. Wyprowadziła ze stajni swego pięknego wierzchowca, palomino o imieniu Violante, który miał złotą sierść, ale biały ogon i grzywę. Dosiadła go i pojechała na skraj chutoru, gdzie stał zielony namiot Czerwonego Krzyża. Uwiązała Violantego i spojrzała na step. Chociaż był jeszcze ranek, słońce mocno przypiekało. Niebo na dalekim widnokręgu miało tak głęboko lazurowy odcień, że wyglądało niemal jak zimny marmur.

Samoloty, lecące w idealnie równym szyku, przecięły niebo i Fabiana zobaczyła niemieckie krzyże na ich skrzydłach. Ku wschodowi, nad Donem, czarny jak smoła dym przesuwiał się nad horyzontem niczym ciemna zasłona. Może to fabryki w Stalingradzie? Nagle zupełnie blisko rozległ się warkot silników i chmura kurzu spowiła wieś. Zbliżała się kolumna niemieckich czołgów, dział samobieżnych i ciężarówek. Było ich tyle, że nie dało się ich policzyć. Czołgi, pomalowane na zgniłozielono, pomrukując i wypuszczając kłęby sadzy, toczyły się z chrzęstem gąsienic piaszczystą drogą. Na ich pancerzach jechali niemieccy żołnierze, opaleni młodzieńcy w szarozielonych mundurach Wehrmachtu, jedni z karabinami, inni z pancerfaustami w rękach. Przejeżdżając, uśmiechali się do Fabiany i przesyłali jej pocałunki.

Stała w słońcu, dopóki jej nie minęli. Zamknęła oczy, czując, jak pył podnoszony przez pojazdy osiada jej na twarzy. Kiedy je ponownie otworzyła, kolumna zdążyła zniknąć już na stepie. Wirujący obłok spalonej słomy i czarnych spalin unosił się nad nią jak aureola.

Z kłębow kurzu wyłonił się jakiś jeździec i Fabiana westchnęła ciężko. Mógł to być tylko jeden człowiek.

– Malamore z wizytą inspekcyjną – oznajmił pułkownik. Jego wyżłobiona przez słońce twarz, jakby wyciosana w kamieniu, była pozbawiona wyrazu. – Przeprowadzam inspekcję swojej ulubionej jednostki sanitarnej. Czy pani odpoczywa?

Uniosła głowę, osłaniając ręką oczy przed słońcem. Czowała się bezbronna w swoim białym kitlu.

– Mam pacjenta – wyjaśniła.

– Jeden z naszych?

– Chyba tak. Muszę iść i go zbadać.

– W porządku – zsalutował. – Wrócę o zmroku – powiedział i znikł w pylistej mgle wiszącej w powietrzu.

II

W brezentowym namiocie Czerwonego Krzyża stało pięć prycz z poplamionymi materacami. Na jednej leżał całkowicie ubrany mężczyzna, w butach do konnej jazdy i z brudnym bandażem na głowie. Krwawił z nosa, warg i prawego oka, twarz miał mocno posiniaczoną. Był bardzo chudy i już niemłody. Żołnierze, których widywała Fabiana, mieli przeważnie od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Ten był znacznie starszy, mógł mieć między czterdzieści pięć a pięćdziesiąt lat i przez dłuższy czas kiepsko się odżywił. Na pryczy wydawał się drobny, skurczony; jego koszula była poplamiona krwią, częściowo już szerniała i zaskorupiała, a spodnie brudne od kurzu zmieszanego z potem i krwią. Fabiana nie byłaby zdziwiona, gdyby się okazało, że ma wszy. Na pierwszy rzut oka jego narodowość trudno było określić, więc przeszukała kieszenie, ale nie znalazła żadnych dokumentów. Był za stary na poborowego i zbyt źle odżywiony na oficera. Fabiana przypuszczała, że należał albo do ludzi Mandryki, albo do kryminalistów Dirlewangera, którzy ponoć zabijali cywilów, Rosjan i Żydów, kobiety i dzieci. Jeśli jej domysły były trafne, miała do czynienia ze zwyrodnialcem. Mandryka i Dirlewanger, których spotkała, gdy towarzyszyli Malamoremu, wzbudziła w niej odrazę. Ale była tylko sanitariuszką i nie do niej należało osądzanie sojuszników Włoch. Przyszło jej do głowy, że to jedna z cichych zbrodni tych czasów: czyniąc swe sumienie odpowiednio giętkim, można nauczyć się tolerować wszystko i nadal w spokoju kontemplować piękno rozkwitających kwiatów.

Fabiana rozpoczęła oględziny i stwierdziła ze zgrozą, że pacjent jest postrzelony, a jego koszula wilgotna. Zastanawiała się, czy wyżyje. Natychmiast przystąpiła do pracy, rozcięła i zdjęła z niego ubranie, a potem opatrzyła ranę. Nie miała nikogo do pomocy, więc wszystko musiała robić sama. Uniosła kontuzjowane ramię. Rany wylotowej nie było, a zatem pocisk nadal tkwił w ciele.

Nazwę go pacjentem nr 1, postanowiła, Il Primo.

– Kimkolwiek jesteś, cokolwiek zrobiłeś – powiedziała na głos – jesteś moim nowym początkiem, moim odrodzeniem, pierwszym pacjentem, którego pielęgnuję samodzielnie. I będziesz żył.

Benia śnił, że jest na Kołymie 22 czerwca 1941 roku, w dniu niemieckiego ataku na Rosję. Kiedy wychodził po pracy z kliniki doktora Kaptę, czekał na niego „Nieśmiertelny”.

– Szef chce cię widzieć – powiedział, trzymając ręce tak, jakby były kielnie.

W baraku Dżaby większość zeków leżała zmęczona na pryczach, patrząc z zainteresowaniem w stronę rewiru szefa. Kryminaliści grali tam w karty i przechwalając

się, opowiadali o napadach i strzelaninach, kobietach i pieniądzach. Zaraz przy drzwiach Benia zauważył nowego więźnia. Ciemnowłosey chłopak leżał na pryczy i palił papierosa.

Dżaba był jak zwykle bez koszuli i grał w karty z dwiema kobietami oraz kryminalistą, którego ze względu na ospowatą twarz przezywano „Dziobatym”. Nic dziwnego, że wszyscy omal nie spadają z prycz, żeby śledzić tę rozgrywkę, pomyślał Benia. Z wyjątkiem pielęgniarek kobiety nie miały wstępu do męskiej zony.

Naprzeciwko Dżaby siedziała szczupła dziewczyna o cerze ciemnej jak u Cyganki. Włosy miała czarne jak skrzydło kruka, a oczy jak rozżarzone węgle. Wytwarzała wokół siebie mroczną, nieomal świetlistą aurę. Paliła papierosa i wdychając dym, sznurowała sprężyste wargi. W całkowitym skupieniu patrzyła w swoje karty i nawet nie podniosła oczu, gdy Benia wszedł do baraku.

– Siadaj i obserwuj – rozkazał Dżaba. Benia przysiadł na skraju ławki. Nie mógł oderwać oczu od czarnowłosej.

– Wiesz, kto to? – syknął mu do ucha „Nieśmiertelny”. – Atamansza!

Wszyscy wiedzieli, że Atamansza to kozacka szefowa zony kobiecej, w której rządziła tak, jak tu rządził Dżaba. Atamanami nazywano wodzów kozackich, ale o ile wiedział Benia, ta dziewczyna była pierwszą kobietą zajmującą to stanowisko. Według Beni była śliczna, a wydała mu się jeszcze urodziwsza, gdy odłożyła papierosa i w roztargnieniu pogłaskała po włosach siedzącą obok pielęgniarkę Niuszkę.

– Przyszła tu, żeby grać w karty? – zdziwił się Benia.

– Przyszła prosić o przysługę – wyjaśnił „Nieśmiertelny” – a szef powiedział, że musi o nią zagrać.

Grano w obozowego pokera, w którym obowiązywały specjalne zasady. Dwa razy wykładali karty i wydawało się, że Atamansza wygrała, ale Dżaba, mrużąc oczy i mierzwiąc siwe, sterczące włosy, podnosił stawkę i grali dalej.

– Czy to twój gawędziarz, Dżaba?

Chwilę potrwało, nim Benia zorientował się, że Atamansza patrzy na niego.

– To mój nauczyciel.

– Jesteś pisarzem, gryzipiórkim, tak?

Mówiła z tak silnym dońskim akcentem, że jej słowa zabrzmiały niedorzecznie uroczo.

– Tak.

– No to usiądź koło mnie, gawędziarzu. Może twoje niebieskie oczy przyniosą mi szczęście.

– Chytra zagrywka, Atamansza, ale one należą do mnie – zastrzegł Dżaba.

– To dorzuć jeszcze tę brzoskwinkę – powiedziała Atamansza. Niuszka spuściła oczy.

– Nie wiedziałem, że lubisz brzoskwinię.

– Wszystko lubię.

Na znak Dżaby Benia usiadł posłusznie na krześle obok Atamanszy. Nie patrząc więcej na niego, pokazała mu swoje karty. Od dwóch lat nie był tak blisko kobiety. Jego noga niemal stykała się z nogą Atamanszy, czuł zapach jej skóry i bijące od niej pikantne ciepło. Omiótł wzrokiem jej bryczesy wpuszczone w ciasne buty, niebieską więziarską

koszulę rozpiętą pod szyją i cerę ciemną jak spalona ziemia. Sam się zdumiał, wyobrażając sobie, jak mogłoby wyglądać kochanie się z nią. Był pewien, że umiałby ją okiełznać. Poczęstowała go papierosem, a „Uśmiechnięty” z drwiącym uśmiechem podał mu ogień. Kiedy zmieniła pozycję, jej ręce musnęły Benię. Zaciągnęła się dymem i wydmuchnęła mu go w twarz. I Benia zaczął sobie wyobrażać, jak całuje jej spierzchnięte usta, rozpina jej spodnie i sięga ręką do ud...

Naraz zdał sobie sprawę, że znowu żyje. Po aresztowaniu i wyroku przestał myśleć o tych rzeczach. Został starty na obozowy pył. Stałem się eunuchem, pomyślał, bezpłciową istotą, kawałkiem drewna. Stracił wszelkie erotyczne pragnienia, przestał być Benią Goldenem. Ale teraz, w dniu wybuchu wojny, znów nim był.

– Wyłóż karty – powiedział cicho Dżaba. Wszystko robił cicho i nigdy nie podnosił głosu.

Atamansza rzuciła karty na stół.

– Wygrałaś.

– Odbieram wygraną.

– W porządku. – Dżaba skinął na „Nieśmiertelnego”, który błyskawicznym ruchem zamknął w niedźwiedzim uścisku „Dziobatego”, tak że ten nie mógł się poruszyć. „Uśmiechnięty” chwycił jego rękę i szybko, trzymanymi w dłoni szczypcami do cięcia drutu, odciął „Dziobatemu” mały palec. „Dziobaty” zawył i zaczął wic się z bólu. „Nieśmiertelny” puścił go i odprowadził w głąb baraku. „Uśmiechnięty” rzucił odcięty palec na stół przed Atamanszą. Przerażony Benia aż podskoczył.

– Nareszcie – powiedziała Atamansza. – Czy mogę teraz dostać to, po co przyszedłam?

– W zamian za brylant.

– Co chcesz wiedzieć?

Uśmiech Dżaby potrafił być ujmujący, gdy tego chciał.

– Coś o twoim przyjacielu.

– W porządku, batono Dżaba. – Atamansza użyła gruzińskiego wyrażenia, znaczącego „panie Dżaba”. Przez chwilę szeptała mu coś do ucha.

– Dziękuję, Atamanszo – rzekł na koniec Dżaba.

Wstała i Dżaba też się podniósł.

– Mam przeczucie, że jeszcze się spotkamy – niespodziewanie dla siebie powiedział Benia do Atamanszy. Bandydziści aż prychnęli na taką bezczelność.

– Wątpię – odparła dziewczyna, pokazując zęby, w tym jeden złoty. – Tam, skąd pochodzę, ujeżdżamy nowe kucyki. Wracaj do swoich książek!

Dżaba uklonił się szarmancko, pozując na gruzińskiego arystokratę w każdym calu. „Nieśmiertelny” ruszył do wyjścia, za nim Dżaba. Atamansza popatrzyła na Niuszkę, wyciągnęła rękę i pielęgniarka ujęła ją. Oczy miała spuszczone jak zawstydzona panna młoda. Atamansza z Niuszką ruszyły powoli przejściem między pryzkami, jakby były na cygańskim ślubie.

– Chcesz przelecieć Atamanszę? – zakpił „Uśmiechnięty”, oblewając ucho Beni suchym oddechem. – Uważaj! Chciała grać o twoje niebieskie oczy, ale musiała się zadowolić palcem „Dziobatego”.

Benia z trudem przełknął ślinę, zrozumiał w końcu, co się wydarzyło.

– Wiesz, jak zabijała swoich kochanków w Rostowie? – zapytał „Uśmiechnięty”. – Kiedy ją dymali, rozcinała ich od gardła po krocze, tak jak się patroszy ryby.

– O co chodziło z tym jej przyjacielem i brylantem?

– Jest kochanką Szpigelglasa, komendanta obozu, a brylant to bezcenna informacja, która może być wykorzystana przeciwko komuś.

Atamansza doszła do drzwi baraku, ale tam przystanąła i jej spojrzenie spoczęło na nowym więźniu leżącym na ostatniej pryczy.

– Czy to ty, Michaile Czerkin? – zapytała.

Zdziwiony mężczyzna podniósł wzrok.

– Tak, ale nie sędzę...

– Nie, nie spotkaliśmy się – powiedziała wesoło. – Ale mam nadzieję, że podoba ci się twój nowy dom? – Zanim zdążył przytaknąć, dodała: – Przyglądałeś się grze?

– Tak. – Czerkin usiadł na łóżku, był zdenerwowany. – O co graliście?

Uśmiechnęła się drapieżnie, błyskając złotym zębem.

– O ciebie.

Twarz Czerkina wciąż oscylowała między obawą a zdumieniem, gdy „Nieśmiertelny” podniósł tablicę, wiszącą na ścianie przy drzwiach, i jednym zamaszystym ruchem uderzył go nią w głowę. Potem najspokojniej w świetle odwiesił tablicę na miejsce. Wszystko stało się tak szybko, że Benia ledwie usłyszał cichy trzask, ale wiedział, że w środku tablicy tkwił długi gwóźdź. Czerkin, nie zmieniając niepewnego wyrazu twarzy, podniósł ręce do skroni, jakby przymierzając nowy, nie do końca pasujący kapelusz. Chwilę potem dwa strumyczki krwi zaczęły spływać mu po czole. Więźniowie przez moment przyglądali się temu z prycz, po czym odwrócili wzrok, a Czerkin, bardzo powoli, przewrócił się na bok i zaczął się rzucać w śmiertelnych konwulsjach.

Atamansza wyprowadziła Niuszkę z baraku i Benia zrozumiał, że wygrała też od Dżaby noc z pielęgniarką.

Poczuł na karku żelazny uścisk Dżaby.

– Jeśli cię to interesuje, wiedz, że ten człowiek nie wykonał rozkazu Atamanszy. Czegoś takiego nigdy nie zapominamy. Siadaj. – Benia posłusznie usiadł. – Podobno zgłosiłeś się na ochotnika do wojska?

Dżaba zadał to pytanie, jakby nic szczególnego się nie stało, jakby jego ludzie nie wynosili z baraku zwłok zabitego wśród piskliwych przekleństw Małego Mamecki.

– Już wiesz?

– Czemu zrobiłeś coś tak idiotycznego, Beniu?

– Żeby walczyć z faszystami.

– Myślisz, że Armia Czerwona nie da sobie rady bez ciebie?

– Nie mogę inaczej, szefie. Jestem Rosjaninem i Żydem. Hitlerowcy są moimi wrogami.

Dżaba pokręcił głową.

– Zgodnie z naszymi zasadami nie pracujemy dla państwa i nie walczymy dla niego. Żaden z nas nie zgłosił się na ochotnika. Chyba czegoś nie rozumiesz, pisarzu.

Benia zawahał się. „Uśmiechnięty”, „Nieśmiertelny” i Mamecka już wrócili

i obserwowali swego pana, jak psy czekające na gwizd.

– Czego?

– Żeby tu przeżyć, człowiek potrzebuje dwóch rzeczy. Po pierwsze woli życia. Ty ją masz. Ale potrzebuje też szczęścia, nie raz, ale wiele razy. Ja jestem twoim szczęściem, Golden. Czyż nie dbam o ciebie?

Dżaba zawiesił głos. Wciąż się uśmiechał, ale jego migdałowate oczy były zimne jak granit.

– Przepraszam, batono Dżaba – odparł Benia, czując, że chwila ta wymaga od niego starej gruzińskiej kurtuazji. – Okazałem się niewdzięczny. Nie pójdę na wojnę... Tak, uratowałeś mi życie. Jestem twój.

III

– Jest, właśnie wrócił z frontu – powiedział brat Swietłany, Wasilij Stalin. – Poszukajmy go!

Byli w otynkowanej na biało, ozdobionej sztukaterią daczy z greckimi kolumnami. Wasilij, w mundurze wojsk lotniczych z dystynkcjami pułkownika, poprowadził Swietłaną przez tłum gości. – Zubałowo jest wprost stworzone do imprez, co? Szkoda, że tata nigdy go nie lubił.

Swietłana nie miała ochoty przychodzić na to przyjęcie. Wiadomość o samobójstwie matki zupełnie wytrąciła ją z równowagi. Dlaczego matka ją porzuciła? Przez tyle lat okłamywano ją, prawdy dowiedziała się dopiero z jakiejś gazety. Chciała porozmawiać o tym z Wasią, ale jej brat świetnie się bawił i już zdążył sobie podpisać, więc na pewno nie była to właściwa chwila. Wzięła kieliszek szampana, wypila jednym haustem i poczuła się nieco lepiej. Gdyby nie to, że mogła tu spotkać Szapirę, nie przyjechałaby do Zubałowa. Czowała jednak, że taka okazja może się nie powtórzyć.

W pokojach pełno było oficerów w butach z cholewami i bluzach wojskowych oraz wysokich, reprezentacyjnych dziewcząt, zrobionych na Veronicę Lake i Ingrid Bergman: loczki, nagie ramiona i oszałamiający dekolt. Swietłana była w swojej pierwszej porządnej sukience, skopiowanej z pisma „Vogue”, i półbucikach na niskim obcasie. Czowała się nieswojo wśród tych moskiewskich piękności i wytwornych mężczyzn, zwanych stilagi, czyli bikiniarzami. Rozpoznała wielu gości: tu stał poeta Simonow z żoną, gwiazdą filmową Walentiną Sierową, tam reżyser filmowy Roman Karmen z żoną Niną, też aktorką. Swietłana знаła ostatnie plotki: jej brat Wasilij był zakochany w Ninie i wprowadził ją do swego domu, wyrzucając żonę Galinę. Mąż Niny wściekł się i napisał skargę do samego Stalina!

Wasilij ciągnął siostrę za rękę, ze złośliwą miną szepcząc jej do ucha nieprzyzwoitości:

– Z tą spałem, chociaż jej mąż był w sąsiednim pokoju. I z tamtą...

– Przestań, bo zatkam sobie uszy – protestowała Swietłana, ale Wasilij nie słuchał. Miłość cielesna nie może być tak obrzydliwa, jakby to wynikało z jego opowieści, myślała, chyba musi to być coś wyjątkowego, kiedy jest się zakochanym. Kobiety tańczyły do muzyki z gramofonu. Fokstrot był nowym tańcem – bardzo szybkim, wymagającym bliskości partnerów – i Swietłana marzyła, żeby go zatańczyć. Od czasu

do czasu jakaś dziewczyna, chichocząc i podrygując, porywała Wasilija, a wtedy Swietłana zostawała sama na środku pokoju, sztywna i zakłopotana.

– Poczekaj, Swieta, zaraz wracam – rzucał Wasia, a ona musiała czekać jak głupia. Zaraz jednak wracał i ciągnął ją dalej. – Po co chcesz go poznać?

– Żeby porozmawiać o jego artykułach.

– E, nie wciskaj braciszкови kitu. Zakochałaś się w nim!

– Nieprawda!

– Jesteś zwyczajną dziewczyną. A więc zadurzyłaś się jak gimnazjalistka. Chcesz się z nim całować, chcesz, żeby cię rozebrał...

– Zamknij się, Wasia, nie bądź ordynarny. Nie wszystko się do tego sprowadza...

– Czyżby? A właśnie że tak! Chcesz się z nim przespać!

– Przestań, Wasia, bo wyjdę. Wszystko zohydzasz! Naprawdę powinnam stąd wyjść...

– No to idź, świętoszko...

Wasilij szybko się zaperzał. Jego ziemista twarz stężała, zacisnął usta. Po chwili jednak rozpogodził się.

– To nie poznasz swojego faceta! – rzucił wesoło.

– On nie jest moim... Och, proszę cię, Wasia.

– Daj spokój, siostrzyczko, znajdziemy go. I będziesz mogła pójść z nim później do łóżka!

– Wasia...

– Czekaj! – Wasia chwycił ją za ramię. – Jest tam. Patrz! Teraz nie możesz wyjść. W końcu go znaleźli.

– Lew! – krzyczał Wasia, obejmując Szapirę. – Zobacz, kto chce cię poznać!

Wysoki mężczyzna w wojskowym mundurze rozmawiał z grupką kobiet, słuchających go z uwagą. Miał bujne szpakowate włosy i ogniste czarne oczy. Swietłana na zawsze zapamiętała jego uniesioną rękę, zaciśniętą w pięść z jednym palcem wyprostowanym dla podkreślenia wagi tego, co mówił. Otoczył ramieniem Wasilija.

– Lwie, to jest moja siostra Swietłana – powiedział Wasia. – Mam nadzieję, że cię zanadto nie znudzi. Jest bardzo poważna!

Szapiro spojrział na nią i w tym momencie Swietłana poczuła się malutka, brzydka i bardzo niedorośła. Kobiety odwróciły się w jej stronę, pokazując swoje szkarłatne usta, modne fryzury i pomalowane oczy; wydawały się nieodparcie kuszące, bez troskie, wyrafinowane. Jednakże ku zdziwieniu Swietłany Szapiro zostawił je bez słowa i odszedł z nią na bok.

– Twój list sprawił mi wielką radość – powiedział. – Jak śmiałaś napisać w ten sposób! A ja ci odpisałem.

– Wiem! Jak śmiałaś odpisać?

Roześmieli się bez trosko, jakby znali się od dawna.

– Czyż nie jesteśmy lwami? – zapytał.

– Tak, to przecież twoje imię.

– I twoje też, bo będę nazywał cię Lwicą. Można?

– Tak, och, tak.

Przyjrzał jej się bardzo uważnie.

– Masz w oczach jakiś smutek. Chciałabyś mi o tym opowiedzieć?

Niesamowita historia, myślała później Swietłana. Zaledwie ją poznał, a już przejrzał ją na wskroś. Była to największa tajemnica w jej życiu, a ten człowiek, którego znała dosłownie minutę, zdawał się o niej wiedzieć. Opowiedziała mu więc o matce i o tym, czego się dowiedziała. I Szapiro ją pocieszył, powiedział, że to niesprawiedliwe, zrozumiał, jak musi się czuć. Cóż za wspaniały człowiek.

– Czy teraz czujesz się lepiej?

– O wiele lepiej.

– Chciałabyś ze mną zatańczyć?

– Fokstrota?

– Tak, fokstrota. Próbowalaś już?

– Tak, ale tylko z przyjaciółką, Marfą. To ona mnie nauczyła.

Wziął ją za rękę i poprowadził na parkiet. Tańczyli tak blisko siebie, że Swietłana czuła jego siłę i męskość. Powoli odprężyła się, zaufała mu i naśladowała jego ruchy. Kiedy skończyli, powiedziała z rozpaczą:

– Byłam beznadziejna. Przepraszam! Moje płaskie buty są okropne!

– O czym ty mówisz, Lwico? Byłaś wspaniała. Uwielbiam z tobą tańczyć. A ta sukienka jest niezwykle szykowna. Nowa?

Potem znów ujął ją za rękę, ot, tak, po prostu, bez chwili wahania, jakby była najzwyklejszą dziewczyną pod słońcem.

– Powiedz mi, co myślisz o korespondencjach wojennych? Czy twoim zdaniem są dobre?

Nie pamiętała potem swoich odpowiedzi, ale Szapiro słuchał uważnie i odnosił się do jej opinii, jakby była krytykiem literackim, znawczynią przedmiotu, a nie uczennicą. Wypytywał o książki, filmy i historię i ani razu nie wspomniał o jej ojcu ani o Kremlu. Była przyzwyczajona do orientalnych pochlebstw. Nikt dotąd nie pozwolił sobie, aby mieć inne zdanie niż córka czerwonego cara, ale zawsze czegoś od niej chcieli albo szybko uciekali, przerażeni jej nazwiskiem. Szapiro jednak ani razu jej nie pochlebił. Nie zgodził się z nią w sprawie artykułu Erenburga i traktował ją jak równą sobie.

– Mówisz tak, bo nie przeczytałaś całego artykułu. Jakbyś przeczytała ostatnie zdanie...

Kiedy w końcu zerknęła na zegarek, było już po północy. Spojrzała na kapitana Klimowa i ochroniarz skinął głową.

– Och, muszę lecieć do domu. Mam...

Ugryzła się w język, bo chciała powiedzieć: „szkołę!”. Co za wstyd!

– Naprawdę musisz iść? – zasmucił się Szapiro. – Tak dobrze nam się rozmawia. – Uśmiechnął się do niej. – Jesteś taka świeża, nie to co te zblazowane aktorki. Jesteś tutaj jedyną osobą, z którą można poważnie pogadać...

– Nie kpij sobie ze mnie.

– Wcale nie kpię. Masz czysto intelektualne poglądy, nieskażone próżnością ani ambicją. Czy możemy się znowu spotkać?

– Oczywiście. Wieczorami nie mam zupełnie nic do roboty.

– Widzisz? Żadna z tych kobiet by tego nie powiedziała. Mówiłyby, że są bardzo zajęte. Pozerki. Już flirtowałyby z dziesięcioma mężczyznami i... – Przyjrzał się jej bacznie. – Nie jesteś taka, prawda?

Potrząsnęła głową.

– Pojutrze wracam na front. A więc jutro wieczorem? To będzie mój ostatni wieczór w Moskwie.

Swietłana wracała do domu swoim samochodem i jak zwykle siedziała z tyłu. Odchyliła głowę, zamknęła oczy i upajała się wspomnieniem minionego wieczoru. Po raz pierwszy w życiu była całkowicie szczęśliwa i dziękowała to tylko sobie. Szczęśliwa jak lwica ze swoim lwem.

IV

Stalin był sam z generałem Wasilewskim w Kąciku. Mołotow i inni przywódcy pracowali w swoich komisariatach, dowodzili frontami albo korzystali z okazji do kilkugodzinnej drzemki. U Stalina pozostał tylko przysadzisty szef sztabu ze swoją dużą, pospolitą twarzą i lokiem na czole.

Stalin wszedł do pokoiku za swoim biurkiem i zrobił sobie herbaty w szklance ze srebrnym koszyczkiem. Potem sięgnął po butelkę ormiańskiego koniaku i wlał do gorącego naparu łyżeczkę alkoholu, zamieszał i popijał małymi łykami.

Więści z południa były fatalne. Niemcy koncentrowali ogromne siły do natarcia na Kaukaz i wypierali znad Donu ostatnie oddziały sowieckie. Już niedługo mogli sforsować rzekę i ruszyć przez step na Stalingrad. Stalin jednak wiedział, że musi zachować zimną krew i czekać na okazję do ataku. Ataku za wszelką cenę.

– Jakieś wiadomości ze sztrafbatu Meliszki? – zapytał Wasilewskiego po wysłuchaniu reszty meldunków.

Wasilewski zrozumiał, że sztrafbat Meliszki stał się ulubioną jednostką Naczelnego, nieomal jego talizmanem.

– Żadnych wiadomości od samego Meliszki – odpowiedział Wasilewski – chociaż jeden z jego oficerów poinformował nas, że on zawsze mówił o karniakach „moi bandyci”.

Stalin zamrugnął oczami i Wasilewski ciągnął dalej.

– Na wasz rozkaz, przekazany drogą radiową, 2 Dońska Brygada Partyzancka pod dowództwem majora Elmora, złożona z żołnierzy, którzy wymknęli się z charkowskiego kotła i przegrupowali nad Donem, spotkała się z nimi w celu przeprowadzenia wspólnej operacji przeciwko Schuma i oddziałom kozackim dowodzonym przez zdrajcę Mandrykę.

Stalin zapalił papierosa i przyglądał się Wasilewskiemu przez smugi białego dymu.

– A jak się wiedzie bandytom Meliszki?

– Czekam na potwierdzenie meldunku, towarzyszu Stalin. Nie lubię meldować, dopóki nie wiem...

– Mówcie. Nie będę was trzymał za słowo.

– Podobno wczoraj o piątej po południu zabili w zasadzce Mandrykę. Partyzanci stracili czterdziestu ludzi. Policja Mandryki, dowodzona teraz przez zdrajcę Bronisława Kaminskiego, połączyła siły z niemiecką Einsatzgruppe D i oddziałem specjalnym pod

dowództwem Dirlwängera. Prowadzą okrutne akcje pacyfikacyjne w tym rejonie.

– Ale Mandryka nie żyje.

– Tak.

– Skąd to wiadomo?

– Kim jest nasz informator? Przypuszczam, że mamy swojego agenta u hiwisów Mandryki.

Stalin kiwnął głową, znając się lepiej niż Wasilewski na sprawach wywiadowczych: „W czasie wojny mrok jest nie mniej ważny niż światło dnia” – mawiał.

– A więc bandyci Meliszki odnieśli sukces. Przekażcie przez radio generałowi Meliszce gratulacje Stawki.

– Jeśli to wszystko, towarzyszu Stalin, to wrócę do sztabu i przejrzę najnowsze meldunki.

– Usiądźcie, Aleksandrze Michajłowiczu.

Wasilewski usiadł. Był nieco zdziwiony, bo Stalin nigdy dotąd go o to nie prosił.

– Wiecie, że mój syn Jakow jest w niewoli?

– Jeśli tak, musi być to trudne dla jego ojca – odrzekł Wasilewski. Oczywiście wiedział, że syn Stalina z pierwszego małżeństwa, Jakow Dżugaszwili, którego delikatność i skromność irytowała ojca, dostał się do niewoli. Ze Stalinem jednak roztropnie było zachować najdalej posuniętą ostrożność.

Stalin patrzył w przestrzeń, wyraźnie zmizerniały, wychudzony i szary na twarzy.

– Jestem tylko jednym z milionów ojców, którzy kogoś stracili. Nie jestem nikiem wyjątkowym.

– Ale Niemcy chcieliby pewnie użyć go przeciwko wam?

– Rzecz jasna. Codziennie się tego spodziewam. Poddając się, popełnił przestępstwo, więc potraktowałem go tak samo jak każdego innego żołnierza, który pozwolił się wziąć do niewoli. Jego żona została aresztowana.

Wasilewski nie spieszył się z wyrażeniem swojego zdania. Dokąd on zmierza? – zastanawiał się.

– Był zawsze mięczakiem. Nie wiem, czy na froncie okazał się tchórzem, czy po prostu nie miał szczęścia.

– Jestem pewien, że to drugie, towarzyszu Stalin. Nie możemy odpowiadać za swoje dzieci. – Wasilewski wzruszył ramionami. – Rodzą się z określonymi cechami charakteru i nie zawsze jesteśmy w stanie je zmienić.

– Może macie rację. – Stalin wypuścił pod sufit niebieskawy dym, który kłębił się tam i rozwiewał. – Gdyby nas zdradził, już by się tym pewnie pochwalili. Może syn Stalina jest odważniejszy, niż wszystkim nam się wydawało.

– W tym wypadku brak wiadomości to dobra wiadomość.

Stalin przyjrzał się badawczo Wasilewskiemu.

– Podobno wasz ojciec był popem.

Grom z jasnego nieba! Wasilewski wziął głęboki oddech, czując, że w jednej chwili spociał się jak mysz.

– To prawda, choć oczywiście takie elementy jak duchowieństwo są naszym wrogiem klasowym. Zerwałem z nim stosunki ponad dziesięć lat temu i od tej pory nie

utrzymuję żadnych kontaktów. Żadnych, przysięgam.

Stalin kiwnął głową.

– Ja sam uczyłem się na popa.

– Tak, towarzyszu Stalin.

Wasilewski wypowiedział te słowa sztywno i beznamiętnie.

– To była dobra nauka polityki. Nauka trafnego oceniania ludzi.

– Rozumiem.

– Aleksandrze Michajłowiczu, w czasie wojny to chyba wstyd, że syn nie utrzymuje kontaktów ze starym ojcem.

– Tak, towarzyszu Stalin.

– Jeśli będziecie mieli czas, skontaktujecie się ponownie z ojcem? Nie traćcie dnia ani godziny. Śmierć zniemacka zabiera starych ludzi. Zadzwońcie do niego z przedpokoju, niech się przekona, że jego syn troszczy się o niego. Dopilnujcie, żeby miał odpowiednie przydziały. Zróbcie to?

– Tak... tak, zrobię.

– Jeszcze dziś?

– Tak, jeszcze dziś.

– Dobranoc, generale Wasilewski.

Stalin wstał i wyszedł z gabinetu. Zmierzał do swojego mieszkania.

Ogarnęło go gwałtowne, i dość niespodziewane, pragnienie zobaczenia Swietłany. O dziwo jednak, Swietłany jeszcze nie było w domu. Usiadł na chwilę przy kuchennym stole. Był zadowolony, że porozmawiał z Wasilewskim o jego ojcu. Beria przekazał mu tę informację, żeby wykorzystał ją przeciwko generałowi, ale czasami rodzina była nie mniej istotna niż ideologia. Być może nauczył się tego w seminarium. Popi bywali czasem przebieglejsi od komisarzy. Tak, rodzina ma swoje znaczenie, pomyślał.

Jakby na zawołanie, drzwi się otworzyły i Swietłana, z rozognioną twarzą i promieniejącymi oczami, wpadła do mieszkania. Była w wieczorowej sukience, miała cienie na powiekach, uszmkowane usta i zakręcone włosy. Na widok córki Stalin doznał wstrząsu: wyglądała jak dorosła kobieta! To niemożliwe, że jego mała córeczka...

– Swieta, wyglądasz jak...

Miał ochotę na nią nakrzyczeć: wyfiokowałaś się, wyglądasz kretyńsko. Wiesz, jak? Jak dziwka! Kto ci pozwolił się tak ubrać? Ale po rozmowie z Wasilewskim był w rzewnym nastroju, myślał czule o rodzinie, miłości i stłumił kipiący w duszy gniew.

– Co sądzisz, tato?

Zawirowała przed nim.

– Wyglądasz jak dorosła kobieta, prawie cię nie poznałem. A masz dopiero szesnaście lat. Zaskoczyłaś mnie, kochanie.

– Ale podoba ci się? Dobrze wyglądam?

Bił od niej taki blask i *joie de vivre*, że Stalin nie znalazł od razu odpowiedzi, co rzadko mu się zdarzało.

– Moja księżniczka, moja kochana córeczka, jest dorosła – rzekł niezręcznie i drętwo.

– Och, tato – powiedziała z uśmiechem.

Przytulił ją jak zwykle, ale od zapachu jej perfum zrobiło mu się niedobrze.

– A jak tam w szkole? Odrobiłaś lekcje?

Swietłana uśmiechnęła się do ojca tak czarująco, że Stalin aż pokręcił głową: niektórzy żyją całkowicie zamknięci w swoim małym świecie. Ale bolszewik nie ma czasu na życie rodzinne, pomyślał. Jego rodziną jest partia. Miłość i sentymenty są dobre dla burżujów. Dla bolszewików to rewolucja jest wszystkim. Przypomniał sobie pierwszą żonę, Kato, która umarła młodo. Była to pierwsza niewinna miłość, ale drugą żonę, Nadię, matkę Swietłany, kochał dojrzałą miłością. Nazywał ją „Tatoczka”. Nie była silna, dała posłuch wrogom i zawiodła go. Po samobójstwie Nadii zamieszkali z nim szwagrowie i szwagierki, aby się nim opiekować. Plotkowali, dowiadywali się o sprawach będących tajemnicą państwową, wtrącali się i kumali z wrogami. Niektórych nie było już między żywymi, musiał ich zlikwidować. Tak, własną rodzinę też poświęcił. Były jeszcze dzieci. Jakow: zawiódł mnie – wmawiał sobie. Wasilij też.

– Gdzie byłaś? – zapytał ostro.

Aż podskoczyła na krześle.

– W Zubałowie, u Wasilija.

Piorun gniewu poraził Stalina.

– Ten smarkacz zachowuje się jak jakiś zakichany hrabicz. Dostaję meldunki o jego wybrykach. Mąż kochanki Wasilija poskarżył mi się nawet w liście. Nie mam czasu zajmować się jego bandą dziwek i kombinatorów. W czasie gdy wszystkie rodziny krwawią – nawet nasza, tak, nawet nasza – on ugania się za aktorkami i wygłupia się. Uważaj, Swietłano, bo są cwaniaki, które chciałyby wkręcić się do naszej rodziny. I to pewnie Wasia cię tak wystroił?

Chciał powiedzieć „jak chórzystkę”, ale pohamował się.

Spojrzał na córkę. Była taka młoda. Z tymi piegami i ciemnorudymi włosami bardzo przypominała jego matkę Keke. Uśmiechała się do niego nieśmiało nawet w czasie tych najtrudniejszych chwil wojny. To ten gagatek Wasilij sprowadził ją na złą drogę.

Uspokojony, dwa razy pocałował córkę w czoło, co bardzo rzadko robił. Przecież nawet wielki Stalin też był mężczyzną, zwyczajnym ojcem. Rodzina, pomyślał, wychodząc z kuchni i życząc Swietłanie dobrej nocy. Rodzina!

Dzień szósty

I

Był wczesny ranek. Czekając na obudzenie się Pacjenta Numer Jeden, Fabiana czytała tomik poezji Foscola. W nocy przez kilka godzin pielęgnowała rannego. Podalała mu lekki środek znieczulający i wyjęła kulę, która leżała teraz w korytku, zgnieciona jak metalowy robak. Oczyściła ranę i zszyła ją. Potem rozebrała pacjenta i umyła go gąbką. Wreszcie usiadła z książką, raz po raz popatrując na śpiącego. Sama musiała go podnosić i przewracać, więc była zmęczona. Spodziewała się, że pacjent będzie spał jeszcze przez jakiś czas.

Walczyła z ogarniającą ją sennością. Przeprowadzona operacja uświadomiła jej, że znów jest sobą, taką, jak przed małżeństwem. Zastanawiała się nad swoim życiem. Chodziła do szkoły dla bogatych dziewcząt i córek arystokratów, prowadzonej przez zgromadzenie sióstr z Nevers. Dostała stypendium, a jedna z nauczycielek, zakonnica urodzona w Rosji, ucząca historii i języka rosyjskiego, odmieniła jej życie. Po ukończeniu szkoły kształciła się na pielęgniarkę w szpitalu SS Giovanni i Paolo, który mimo monumentalnej fasady miał lichy urządzone i źle oświetlone sale. Wszystko, co było w jej życiu przed Rosją, działo się w małym zakątku Wenecji, a przecież doprowadziło ją tutaj, do tego miejsca i tej chwili.

Jestem wdową, myślała Fabiana, i jeśli stąd wyjadę, wrócę do rodziców z niczym. Nie jestem już młoda, mam ponad trzydzieści lat. Wyszłam za męża, nie mając nic, i zostałam wdową, nic nie mając. Jestem dokładnie taka sama. Życie z Ippolitem nie zmieniło mnie ani na jotę. Mam tylko jego nazwisko, wspomnienie jego uderzeń na swoim ciele – i Rosję. To rzeczy, które widziałam w tym kraju, odmieniły mnie.

Westchnęła i wróciła do lektury. Czytała właśnie poemat *I Sepolcri* – o subtelnej granicy między życiem a śmiercią, o pięknie złudzeń, afirmacji życia i miłości – gdy Il Primo poruszył się. Posiliwszy się garścią wiśni i kromką ciemnego borodińskiego chleba, postanowiła sprawdzić efekt swojej pracy. Zabieg nie należał do trudnych, miała już wprawę w zszywaniu ran. Była też silna i nie krępował jej widok męskiego ciała. Kiedy mężczyzna znajdował się w tak ciężkim stanie, opieka nad nim przypominała pielęgnowanie dziecka albo domowego zwierzątka. Opatrunek założony przez miejscowego znachora na ciętą ranę na czole przyczynił się zapewne do jej zagojenia. Być może Il Primo był Kozakiem, chociaż na kostkach i udach miał otarcia, co by wskazywało, że od niedawna jeździł konno. Twarz i całe ciało były czarno-niebieskie od sińców, miał też ślady po uderzeniach batem i tępymi przedmiotami. Może jednak nie należał do oprawców Mandryki, ale był jednym z ich jeńców? Tak czy owak miał dużo szczęścia. Kość czołowa była nienaruszona; kula, która utkwiała w ramieniu, ominęła najważniejsze narządy i mięśnie. Bito go, ale zdołał uciec i zachował jeszcze tyle sił, żeby odjechać konno. W dodatku koń czekał z nim w siodle, a mógł przecież ponieść i pociągnąć go za sobą przez pola – takie wypadki podczas starć kawalerii były częstszą przyczyną śmierci żołnierzy niż ciosy szablą.

– *Chiunque tu sia, sei fortunato* – powiedziała na głos. – Kimkolwiek jesteś, masz

szczęście.

Mężczyzna obudził się i spojrzał jej prosto w oczy. Tęczówki miał niezwykle jasnoniebieskie z żółtymi plamkami w środku.

– Nikt... kto mnie zna... nie powiedziałby... że mam szczęście – powiedział powoli, dukając włoskie słowa i poświstując.

– Nic nie mów – rzekła rozkazująco po rosyjsku. – Odpoczywaj. Nie chcę, żebyś zmarnował moją ciężką pracę.

– Surowa! – powiedział i znów zapadł w sen. Włoskie słowa, myślał, Włochy – jakież piękne wspomnienia wiązały się dla niego z tym krajem. Willa Maksima Gorkiego w Sorrento z widokiem na Zatokę Neapolitańską. Pamiętał zwłaszcza jeden upalny wieczór, kiedy siedzieli z Gorkim na tarasie i rozmawiali do późnej nocy. Zjedli kopiaste talerze makaronu i wysączyli kilka butelek wina. Rozmawiali o polityce, książkach i rewolucji, i oczywiście o miłości; wznosili toasty. Stary pisarz opowiedział mu o swoim życiu: o tym, jak był bezdomnym włóczęgą bez grosza, o pierwszych sukcesach literackich, o walkach w Moskwie w 1905 roku, o przyjaźni z Leninem, o swoim rozczarowaniu jego dyktaturą i wyjeździe na emigrację. Mówili o Rosji przy dźwiękach cykad i muzyki jazzowej płynącej z gramofonu. Benia był wtedy bardzo młody, miał dwadzieścia kilka lat i uczył się dopiero pisarskiego rzemiosła. Był zachwycony, że zna Gorkiego, Babla i innych pisarzy. Nauczył się po włosku, codziennie rano pijał espresso, popołudniami kochał się z sycylijską pokojówką Gorkiego, a wieczorami przysiadł się do niewielkiego grona rosyjskich pisarzy i ich kochanek. Mój Boże, to jedzenie, te góry i uroda tych kobiet! A potem Stalin namówił Gorkiego, żeby wrócił do Moskwy; skusił go pochlebstwami, willą i perspektywą nieograniczonych zarobków. Benia odwiedził pisarza w stolicy. Gorki mieszkał z kochanką i synem w modernistycznej willi, która stała się dla niego luksusowym więzieniem, pełnym czekistowskich szpicli. Nadal jednak czytał opowiadania Beni, sam je poprawiał i publikował w kierowanych przez siebie pismach. Podczas Zjazdu Pisarzy Sowieckich przedstawił go też partyjnym grubym rybom. „Pisz o wojnie, jak tylko będziesz miał okazję; wojna to życie sprowadzone do podstawowych elementów – powiedział mu przed śmiercią. – To brud, który jest w każdym z nas”.

Po wybuchu hiszpańskiej wojny domowej Benia, żądny poznania „brudu, który jest w każdym z nas”, czyli idealnego tworzywa dla każdego pisarza, wyjechał do Madrytu. W korespondencjach dla „Prawdy” relacjonował swoje frontowe przygody i pisał z ironią, że on, wątły pisarz żydowski, znalazł się nagle wśród fanatycznych bojowników. Pewnego razu na froncie madryckim wpadł mu w ręce karabin. Zaczął strzelać do faszystów, chcąc poczuć dreszcz śmiertelnego zagrożenia. Podczas walk nad Ebro nauczył się jeździć konno i galopował z duszą na ramieniu, a zarazem upojony świadomością, że jest w tyglu wojny i życia, gdzie pragnie być każdy człowiek lubiący walkę.

W tym czasie w Rosji rozszalał się terror. Trwały procesy pokazowe i egzekucje starych bolszewików, ale Benia nigdy poważnie nie myślał o tym, żeby zostać na Zachodzie. Czuł się na wskroś Rosjaninem i uważał, że za granicą jego dusza uschnie. Poza tym był przekonany, że w Moskwie nic mu nie grozi. Ale po powrocie, dowiedział

się, że aresztowano wielu jego przyjaciół: pisarzy, funkcjonariuszy partyjnych, aktorów oraz ich żony i dzieci. Nigdy już nie wrócili. Dostali po osiem gramów w tył głowy albo trafili do łagrów. Benia napisał dla pewności kilka artykułów wychwalających Stalina, lecz potem atmosfera zrobiła się tak ciężka, że wena go opuściła i nie potrafił napisać słowa. Któregoś dnia przewodniczący Związku Pisarzy wezwał go do siebie i posadził przy biurku w kształcie litery „T”, pod obowiązkowym portretem Stalina.

– A zatem, literacie Golden, jak wam idzie praca nad książką?

– Jeszcze nie zacząłem pisać...

– Posłuchajcie uważnie. W zeszłym tygodniu towarzysz Stalin powiedział: „Czemu ten Golden nie pisze nic o Hiszpanii? O naszych bojownikach, którzy tam walczą? Gdzie jest jego książka?”

– Towarzysz Stalin tak powiedział? On wie o moim istnieniu?

Benia nie wiedział, czy bardziej się cieszyć, czy bać.

– Towarzysz Stalin czyta wszystko, więc wasze artykuły też. Towarzysz Stalin zna się na literaturze, a teraz, po śmierci Gorkiego, zainteresował się wami. Nie muszę wam mówić, że jest to wielki zaszczyt, ale to nie wszystko, co powiedział towarzysz Stalin. „Czy Golden strajkuje? – zapytał. – Czy ma przed nami jakieś tajemnice?”. Kiedy towarzysz Stalin pozwala sobie na taki żart, nie robi tego bez powodu. A więc partia żąda, abyście zaraz coś napisali. Wysyłam was na trzy miesiące do sanatorium w Suchumi. I nie wracajcie bez książki!

Opowieści hiszpańskie Beni, chwalone przez krytyków jako „żywe, wstrząsające i zmysłowe”, zyskały ogromną poczytność w Rosji i za granicą. Przewodniczący Związku Pisarzy wezwał go ponownie.

– Towarzyszowi Stalinowi podobała się wasza książka, ale zauważył, że więcej w niej emocji niż polityki – oświadczył i zerknął do notatnika. – Uśmiechnął się i powiedział: „Ten pisarski Casanova bardziej interesuje się spódniczkami niż wojną...”

– Czy to pochwała, czy nagana? – dociekał Benia.

Przewodniczący uśmiechnął się z wyższością, rozkoszując się władzą, jaką powierzył mu Stalin.

– Weźcie sobie do serca uwagi towarzysza Stalina, obywatelu literacie.

II

Kiedy Benia się ocknął, w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Środki znieczulające i upał wprowadziły go w głęboki i bardzo przyjemny trans. Czuł, że mógłby spać wiecznie. Zobaczył krzesło i siedzącą na nim sanitariuszkę. Nie patrzyła na niego, czytała książkę. Była to scena jak z pięknych marzeń, prawdziwa idylla. Wtem kobieta zdjęła biały czepek i zaczęła wyjmować spinki z włosów. Włosy miała bardzo bujne. Kiedy ciemnobrązowe loki rozsypały się, spływając na szyję, Benia miał wrażenie, że czuje ich słodki zapach.

Patrzył, jak kobieta opuszcza ręce, bierze w palce kosmyk włosów i zaplata je, a potem sięga po następny... Długie palce zbierały gęste pukle, przytrzymywały je, zaplatały i zaczynały wszystko od nowa. Przyglądał się temu bardzo długo i zdawało mu się, że to coś najpiękniejszego pod słońcem. Rytm tej czynności, jej powtarzalność,

lekkość ruchów, koncentracja uwagi, gęstość włosów, a jednocześnie ich wyjątkowa delikatność, zapach jej skóry i potu – wszystko to działało hipnotyzująco. Był świadkiem cudownego obrządku, który przynosił mu ukojenie i wprawiał w zachwyt. Zapadał w sen i budził się. Czasami słyszał własny głos i uświadamiał sobie, że majaczy, ale poczucie zachwycenia nie mijało. Ilekroć otwierał oczy, miał przed oczami sanitariuszkę. Czasem czytała, czasem rozczesywała włosy. Na jej widok za każdym razem odnosił nieodparte wrażenie, że jest kimś innym, przeniesionym w jakieś przyjemniejsze miejsce.

Usłyszał szelest odchylanego brezentu i podniósł powieki. Na tle nieba ujrzał złowrogą postać: w pierwszej chwili wydało mu się, że ma ona na sobie mundur, ale zaraz potem – że pancerz ze zrogowaciałej skóry, jak dinozaur. Zdrętwiał ze strachu, lecz sanitariuszka odwróciła się jakby nigdy nic. Najwidoczniej знаła tego człowieka w czarnej koszuli.

– *Buonasera*, konsulu Malamore.

Malamore okrążył łóżko, przyglądając się pacjentowi. Sprawdził opatrunki na jego czole i ramieniu. Benia leżał nieruchomo jak kłoda.

– Sama to pani zrobiła? – zapytał Malamore, poskrzypując butami.

– *Si, signore*.

– Świetnie.

– To znaczy jak na kobietę, tak? – powiedziała, wyzywająco unosząc podbródek.

– Zabijanie jest łatwiejsze, to wszystko.

– Widzę – odparła. – Nikomu nie sprawia to tutaj trudności.

Wyjął papierosa i zapalił zapalkę.

– Proszę tu nie palić, panie konsulu – powiedziała i zdmuchnęła ogień. Benia był tak zaskoczony, że o mało nie wybuchnął śmiechem. Chciał jej bić brawo.

– Jest pani surowa, co?

– Nie pan pierwszy mi to mówi. To miejsce, gdzie leczy się ludzi.

– To namiot w zatraconej wsi rosyjskiej i tyle – wychrypiał Malamore zirytowanym głosem.

– Tutaj ja rządzę.

– Niektórym żołnierzom by się to nie spodobało...

Jeśli to ma być próba flirtu, pomyślał Benia, to staremu krokodylowi przydałoby się kilka lekcji.

– Jak przywołuje pan kobietę do porządku, panie konsulu? Tak jak Ippolito?

Benia zastanawiał się, kim jest Ippolito – jej mężem? Wyglądało na to, że to jakiś gwałtownik. Poczul, że chciałby chronić tę sanitariuszkę z warkoczami przed złem tego świata.

– Niech mu ziemia lekką będzie – rzekł Malamore – ale domyślam się, że jego metody nie przyniosły rezultatów, prawda?

Sanitariuszka przeżegnała się. A więc facet nie żyje, pomyślał Benia. Bogu niech będą dzięki!

– Nie cierpiał. Wie pani, że go widziałem. To był pojedynczy strzał. Zwykły pech.

– Malamore zakasłał. – Muszę iść – powiedział, ale przy wyjściu odwrócił się. – To dla pani. – Postawił na stole butelkę. – Rosyjskie wino z Krymu. Massandra. Nie umiem

pięknie mówić... ale tylko silna kobieta... potrafi tego dokonać. – Ruchem ręki pokazał na Benię. – Moja matka była zdolną kobietą, mogłaby dokonać czegoś takiego. Ona i pani.

Kłapa namiotu opadła.

Fabiana z westchnieniem osunęła się na krzesło.

– *Sti cazzi!* – zawołał Benia. Gorączkę wciąż miał wysoką i krzyknął głośniejsz, niż zamierzał.

– Co pan powiedział? – zapytała zaskoczona sanitariuszka.

– *Sti cazzi! Porca puttana!*

– To bardzo brzydko – zgorszyła się. Popatrzyła na niego surowo, ściągając czarne brwi. Ale Benia mimo woli zaczął się śmiać, i po chwili zobaczył, że ona też się śmieje. Roześmiał się pierwszy raz od bardzo dawna.

– Umie pan też po włosku przeklinać? Nieźle, ale gdzie się pan tego nauczył? Proszę nie używać przy mnie rzymskich przekleństw, jestem wenecką. Kiedy się pan obudził?

– Przed chwilą.

Benię znów chwyciły dreszcze, ale umysł miał zupełnie jasny.

– A więc słyszał pan wszystko?

Potwierdził słabym skinieniem głowy.

– To było bolesne.

– Ma pan na myśli swoje rany?

– Nie, słuchanie, jak ten stary krokodyl z panią flirtuje... Skusił panią?

– A może zająłby się pan swoimi sprawami?

– Jestem nieznośnym pacjentem?

– Jak dotychczas najgorszym.

– Po prostu curioso – wyjaśnił i przez chwilę myślał nad czymś. – Nie wiem, jak się pani nazywa.

– Jestem siostra Bacigalupe – odparła chłodno. – Chce się panu pić? – Podała mu wody. – Głodny?

– Bardzo. Co jest do jedzenia? *Carciofi alla romana? Fiori di zucca fritti? Spaghetti all'arrabbiata?*

– Zna pan włoski? Może był pan nawet we Włoszech?

Kiwnął głową.

– Niech pan przestanie się popisywać. Powinien pan odpocząć, bo będę musiała wyjść.

– Co? I przyśle pani tego krokodyla, żeby mnie dobił? A co z jedzeniem? Będzie w końcu?

Uśmiechając się i kręcąc głową, Fabiana przyniosła chleb, ser i pomidory. Pokroiła wszystko, żeby było mu łatwiej jeść. Patrzyła, jak pałaszuje: tak mu smakowało, że aż wzdychał i omal głośno nie mrucał.

– W życiu nie jadłem smaczniejszych rzeczy – powiedział, gdy skończył.

– Przeżył pan ciężkie chwile.

– Pani też. – Zacytował: – „Jestem wdową. Wyszłam za mąż, nie mając nic,

i zostałam wdową, nic nie mając”.

– *Cosa?* Jakim cudem...

– Może nie zdawała pani sobie z tego sprawy, ale mówiła pani do siebie. Słyszałem, akurat się obudziłem.

Był w stanie pooperacyjnej euforii, kiedy znieczulenie jeszcze działa i nie czuje się bólu.

– Bito pana – zmieniła temat. – Co się stało?

Ale Benia znów stracił przytomność, płynął przez kalejdoskop obrazów, strasznych, obezwładniająco bezpośrednich, przedstawiających wszystko, co zapomniał albo usiłował zapomnieć. Najpierw wyrok śmierci, potem kopalnie złota, szarża kawaleryjska, ręce wychodzące z ziemi, Meliszko przygnieciony pod Słoniem, Tonia i podkuty człowiek, dziewczynka i doktor Kopto. Mówił w malignie po rosyjsku i Fabiana rozumiała niektóre strzępy zdań. Podeszła i głaskała go po czole, uspokajała, przemawiała łagodnie, ocierała pot z czoła. Nagle zaczął płakać, więc usiadła i trzymała go za rękę, aż słońce wspięło się wyżej, w namiocie zrobiło się bardzo gorąco i w końcu zasnął spokojnie.

Pochyliła się nad nim.

– Naprawdę śpisz? – szepnęła czule. Odpowiedziało jej milczenie. – Tak myślałam.

III

Klimow, ochroniarz Swietłany, siedział jak na szpilkach w przedpokoju jednego z mieszkań w domu na nabrzeżu. Była to ogromna kamienica stojąca naprzeciwko Kremla, po drugiej stronie rzeki Moskwy. Klimow denerwował się, bo nie widział swojej podopiecznej. Palił i nasłuchiwał. Bardzo lubił Swietlanę. Miała ciężkie życie – straciła matkę, a ojciec ciągle pracował i nie miał dla niej czasu – więc Klimow nie chciał psuć jej zabawy. Dziewczyna w jej wieku może chyba czasem pójść na randkę? Ale Klimow odpowiadał za nią i ze wszystkiego musiał zdawać sprawę Stalinowi, który był nie tylko carem, lecz także gruzińskim ojcem. Zerknął na zegarek i zaniepokoił się jeszcze bardziej. Minęła już prawie godzina. Co robić?

Swietłana i Lew Szapiro siedzieli po dwóch stronach kuchennego stołu, patrząc na siebie ponad zakąskami, soloną rybą i kieliszkami z wódką. Z początku mówili niewiele. Szapiro miał na sobie mundur, Swieta sukienkę w kwiaty. Był gorący letni wieczór. Swietłana niepokoiła się, że jej dłonie są wilgotne i że poci się pod pachami: nie daj Boże, żeby to zobaczył!

Szapiro pochylił się w stronę dziewczyny i ujął jej rękę w swe wielkie dłonie.

– Tak się cieszę, że mogliśmy się spotkać.

– Nie było to łatwe.

– Nic, co bezcenne, nie jest łatwe. I nic, co łatwe, nie jest bezcenne.

– Wyjeżdżasz jutro?

– Tak. Przed świtem do Stalingradu. Muszę tam być...

Zaczął jednym tchem opowiadać o pomysłach i projektach, artykułach, scenariuszach, wrażeniach. Swietłana była oczarowana. Dopytywała się o scenariusz: czy to film czy sztuka? Do której gazety był tamten artykuł i co powiedział Erenburg

Grossmanowi?

– Ale nie mówmy o tym – powiedział raptem.

– Chciałam zapytać o...

– Nie możemy tracić czasu. Możesz mnie zapytać w każdej chwili o cokolwiek. W liście. Ale tu i teraz każda minuta jest na wagę złota. Muszę ci powiedzieć, Swieto, że odkąd się poznaliśmy, odkąd do mnie napisałaś, myślę o tobie bez przerwy. To dziwne i cudowne uczucie...

– Dlaczego dziwne?

– No...

– Czyżbym była za młoda?

– Tak. Jesteś o wiele za młoda, a przecież jesteś też stara. Widzisz rzeczy jak ktoś niezwykle dojrzały. Jesteś bardzo poważna i odczytana. Uwielbiam słuchać twoich opinii na każdy temat. I dlatego jest to najbardziej nieprawdopodobna rzecz, a przecież czasami najbardziej nieprawdopodobne rzeczy są najlepsze, nie sądzisz?

– Tak, tak! – zawołała i nagle zapragnęła go pocałować. Nie obchodziło jej, że jest żonaty, nie dbała, czy jest taki czy inny. Chciała go o to zapytać, ale jak powinna to zrobić, nie łamiąc zasad dobrego wychowania? Próbowała sobie przypomnieć, jak mówiono o takich rzeczach w dziewiętnastowiecznych powieściach, które czytała. Patrzyła na szerokie kości policzkowe Lwa, jego gęstą grzywę i szerokie, bardzo szerokie usta. Ponad talerzami wciąż trzymali się za ręce.

Klimowa powoli ogarniała panika. A jeśli jego szef, generał Własik, dowiedział się o wszystkim? Jeśli wiadomość dotarła do Stalina? Rozgniewany gruziński ojciec jest groźny nawet wtedy, gdy nie jest Człowiekiem ze Stali, Ojcem Narodów, Przywódcą Światowego Proletariatu, Wodzem Naczelnym, Przewodniczącym Państwowego Komitetu Obrony, Sekretarzem Generalnym i... ale Stalin był tym wszystkim! Klimow wstał i zaczął krążyć po przedpokoju. Musiał to natychmiast przerwać. Jego mała Swietłana zasługuje na miłość, ale ten lubiący się popisować pismak, ten Żyd, miał czterdzieści lat, a do tego żonę i dzieci! To był straszliwy błąd. Musiał to w tej chwili przerwać.

Zakaszła, a potem drugi raz, głośniej.

– Swietłana, za parę minut wchodzę – zawołał.

Mieli coraz mniej czasu. Wstali, Lew nachylił się i przycisnął usta do ust Swietłany – dosłownie na mgnienie oka; chwila wahania, a potem już całowali się jak opętani. Wydawało się, jakby Lew chciał ją pożreć – jak przystało na lwa, naturalnie. Myśli przelatowały jej przez głowę i czuła narastające upojenie. Będzie się z nim kochać – to postanowione! Ojciec nigdy nie pozwoliłby na seks przedmałżeński, ale Swietłanie było za mało...

Klimow nasłuchiwał pod drzwiami. Musiał coś zrobić, i to zaraz. Musiał! Gdyby dziewczyna straciła dziewictwo, byłby skończony, zgniłby w łagrze, zostałyby starty na obozowy proch. Dostałby osiem gramów w kark!

Zapukał do drzwi.

– Swietłana! Musimy iść!

Lew przytulił ją i znów całował, a ona żarliwie oddawała pocałunek. Było coś

nieziemskiego w uczuciach dwojga zakochanych w sobie ludzi, tak doskonale do siebie pasujących – Swietłana nigdy nie doznała podobnej rozkoszy. W końcu, chwiejąc się jak pijana, odsunęła się od niego.

Twarz Lwa rozjaśnił uśmiech.

– Boże, uwielbiam to! Uwielbiam się z tobą całować! – szeptał.

Potem, wciąż szeptem, prosił:

– Czytaj wszystkie moje artykuły i wysyłaj specjalne depeche, depeche od mojej małej Lwicy! Będę dzwonił, a jak nie będziesz mogła rozmawiać, powiedz: „Mam za dużo lekcji do odrobienia”. Jeśli będziesz o mnie myśleć, powiedz: „Kwiaty w Aleksandrowskim kwitną” i...

– A jak będę ci chciała powiedzieć, że cię kocham i pragnę cię w każdej sekundzie, to co wtedy?

– Powiedz: „Mała Lwica jest głodna”.

– Boże – szepnęła Swietłana, przytrzymując się stołu. – Lwica teraz jest głodna.

IV

Namiot Czerwonego Krzyża był pusty. Il Primo zniknął. W pierwszej chwili Fabiana wpadła w popłoch. Nie powinien był wstawać. Jeszcze rankiem majaczył, krzyczał o wyrokach śmierci i podkuwaniu człowieka, o łopatach i szablach. Nie miał sił chodzić. Odszedł sam czy ktoś go zabrał? Nie miała pojęcia, kto to mógł być, i myśl, że został aresztowany, była jak uderzenie obuchem w głowę. Wybiegła z namiotu, rozglądając się na prawo i lewo.

„Bardzo mi się tu podoba” – powiedział, kiedy wczesnym popołudniem się obudził. Usta mu się nie zamykały. *Madonna!* Trajkotał jak katarynka, ale chciał wiedzieć o niej wszystko: wypytywał o rodziców, książki, które czytała, marzenia, pierwsze miłości, jak to się stało, że zna rosyjski, i co myśli o swoim małżeństwie... Nikt dotąd nie interesował się, co czuje – a już na pewno nie mąż, który w ciągu czterech lat ich małżeństwa prawie nie pytał Fabiany o jej sprawy. Pacjent numer 1 bardziej przypominał jej przyjaciółki z Włoch, tyle że był od nich inteligentniejszy. Był też dowcipny, swobodnie przechodził z rosyjskiego na włoski, w przeciwieństwie do Malamorego, który mówił powoli i z wahaniem, jakby rodził w bólach każde słowo. Kiedy Il Primo opowiadał o sobie, mówił o swoich upodobaniach, o kobietach, książkach, koniach, Włoszech i pisarstwie...

– Jakże mogą ci się podobać te stepy? – zapytała. – Takie niezmierzone, takie płaskie! Horyzont, który pozbawia duszy. Całymi kilometrami nie ma nic... Jak można to kochać? Staram się myśleć o wzgórzach Toskanii, klifach Amalfi, weneckiej lagunie, o czymkolwiek, byle zapomnieć o tych pustkowiach.

– Uwielbiam słoneczniki – odpowiedział. – Jechaliśmy przez nie, były oszronione kurzem. Słońce prażyło, a ich twarze wydawały się uśmiechać do mnie. Były to jedyne uśmiechnięte twarze w krainie prochu strzelniczego i mordy.

– Tuż za wsią jest ogromne pole słoneczników.

– Naprawdę?

Teraz wiedziała już, że tam go znajdzie. Poszedł obejrzeć słoneczniki.

Biegła, przeklinając biały pielęgniarski kitel z falbankami, który we Włoszech był

bardziej kobiecy i mniej praktyczny niż w innych krajach. Minęła pole niezżętego żyta i tam go zobaczyła: wątła postać w świeżym mundurze khaki, w który go przebrała. Trzymał w ręku butelkę krymskiego wina i patrzył na morze słoneczników.

– *Maledetto bastardo! Che il diavolo ti porti!* Co tu u diabła robisz! Kto powiedział, że możesz wstawać? Jak mogłeś? – krzyczała, wściekła, że jej pacjent głupio naraża swoje zdrowie. Wyrwała mu z ręki butelkę.

– A więc mnie znalazłaś – powiedział tylko Benia. Po przebudzeniu z ostatniego snu miał wyjątkowo jasny umysł i czuł się niezwykle ożywiony, niemal na nowo narodzony.

– Przestraszyłeś mnie – rzekła, nieco uspokojona.

– Naprawdę? I zauważyłaś, że mnie nie ma? Zależało ci?

– Nie dostrzegłeś, *maledetto bastardo*, że jesteś moim jedynym pacjentem? Nie mogłam nie zauważyć!

– A więc umiesz też przeklinać?

Uśmiechał się radośnie. Zrozumiała, że przywykł do bycia kochanym, adorowanym, i oparła się chęci, by samej go adorować. Był tylko bezimiennym pacjentem, wkrótce wyzdrowieje i odejdzie. Ale dokąd? Podała mu czapkę z daszkiem, którą miał na głowie, gdy go znaleziono.

– Musisz się chronić przed słońcem, bo dostaniesz porażenia. Ja jestem przyzwyczajona do takiego upału, ale przy twojej bladej...

Spojrzał na czapkę.

– To włoska czapka.

– Tak. Dlatego cię nie rozstrzelali.

Benia włożył czapkę i pomyślał, że to doktor Kapto musiał go w nią zaopatrzyć, aby zwiększyć jego szanse ucieczki. Znowu, jak w wypadku Ganakowicza, był zaskoczony postępowaniem swoich bliźnich.

– Musimy wrócić do namiotu. Pod gołym niebem nie jest bezpiecznie...

– Nie jestem pewien, czy w namiocie jest bezpiecznie – odpowiedział.

Stała obok niego.

– Nie przyszło mi to do głowy. Dla ciebie, chcesz powiedzieć?

– Tak, dla mnie.

Pomyślała o Malamorem i jego przyjaciółach w czarnych koszulach, o Dirlewangerze i SS.

– To zależy, kim jesteś.

Benia westchnął.

– Muszę odejść. Jeszcze dziś, zaraz.

– Nie jesteś zdrowy. Możesz dostać krwotoku, gorączka może wrócić. Rana na ramieniu może się otworzyć.

– Nie sądzę. Wykonałaś piękną robotę.

– Kim jesteś? Wiem, że Rosjaninem i że mówisz trochę po włosku. Jesteś...?

Benia wstrzymał oddech. W tej chwili ważył się jego los: mogła go teraz wydać, a to oznaczało śmierć.

– Pytasz jako kobieta, sanitariuszka – czy jako włoski żołnierz?

Zamrugła oczami, zastanawiając się nad jego pytaniem.

– Nie możesz mi powiedzieć? – zapytała w końcu.

– Ten krokodyl Malamore jest zagorzałym faszystą, prawda?

– Czy ja też na taką wyglądam?

– Nie wiem.

Benia pomyślał o Kapcie i Toni. Niczego już nie był pewien. Natura ludzka nigdy nie przestała go zdumiewać swoimi fajerwerkami okrucieństwa i nieoczekiwanej życzliwości.

Patrzył Fabianie prosto w oczy – były ciemnobrązowe, ale promienie słońca, które oświetliły nagle jej twarz, rozjaśniły je i brąz przybrał odcień miodu. Benia zrozumiał to, co podświadomie już wiedział: że jej zaufa. Nawet w tej sytuacji – gdy niczego nie mógł być pewien. Tak naprawdę nie miał wyboru.

– Nazywam się Benia Golden.

– Benia Golden.

Fabiana smakowała dźwięk jego imienia i nazwiska. Wymówiła je dwa razy.

– *Oh, Dio*, po włosku to brzmi cudownie – powiedział. – Ale po włosku wszystko brzmi lepiej.

– A więc jesteś czerwonoarmistą, zabłąkanym na naszych tyłach? *Madonna santa!*

Zerknęła w stronę chutoru. Za chwilę ktoś zauważy, że tu stoją i rozmawiają, albo Malamore nadjedzie ze swymi kompanami z SS.

– Możemy przejść się trochę po polu słoneczników? Chodź ze mną – poprosił Benia.

Pokręciła głową, ale szła obok niego.

– Opowiedz mi o swoim dzieciństwie w Wenecji... Fabiano, mogę cię o to prosić?

Zaczęła opowiadać, ale po chwili urwała.

– Nie wiem nic o tobie. Zastanawiałam się i próbowałam odgadnąć, co robiłeś przed wojną?

– Zanim na to odpowiem, chciałbym łyczek wina.

Wyjął jej butelkę z ręki i odkorkował.

– Poczekaj, nie możesz pić. Znieczulenie, środki przeciwbólowe.

– Naprawdę?

Zaniepokoił się i widząc jego minę, Fabiana przelotnie się uśmiechnęła.

– Założę się, że w prawdziwym życiu jesteś hipochondrykiem – powiedziała przekornie.

– Oczywiście, ale nie dziś. Tak czy owak nie mam większych szans. Pozwól. – Przyłożył butelkę do ust i pociągnął spory łyk. – Uwielbiam Massandrę i kiedyś opowiem ci o Krymie. A teraz twoja kolej.

Rozejrzała się. Nikogo. Tylko jasnoniebieskie niebo, słońce i wysokie słoneczniki oprószone plewami.

– Nie mogę, mam dyżur...

– Czyżby? Moim zdaniem jesteś w Tajnym Królestwie Słoneczników, gdzie możesz wszystko. Znaleźliśmy się poza realnym światem i jesteśmy tutaj wolni pierwszy i jedyny raz podczas tej wojny. Uwolniłaś się od armii, od nieżyjącego męża

i Malamorego, a ja nie jestem żołnierzem, jeńcem ani nawet pacjentem. W Tajnym Królestwie Słoneczników nie mam przeszłości. W tym królestwie są tylko dwie osoby. Jedna jest często zagniewana, wysuwa podbródek i grozi palcem – a druga chciałaby widzieć ją zagniewaną jak najczęściej, bo wtedy wygląda prześlicznie. Poza tym, Fabiano, jak nie wypijesz, nic ci nie opowiem. Zgoda?

– Włoch uważa picie z butelki za świętokradztwo...

– Jak krojenie makaronu?

– Właśnie. Albo jedzenie go łyżką.

– Do diabła, mamy szczęście, że żyjemy. Myślę, że Bachus ci wybaczy. Usiądź sobie.

– Ten głupi kitel. Będę miała na nim plamy od trawy i...

– No to po prostu się napij.

Wzięła butelkę i wypila. Benia osunął się na ziemię. Ogarnęła go słabość, wszystko widział jak przez mgłę. Po chwili jednak westchnął i poczuł się lepiej, wino dodało mu sił.

– Zostałem aresztowany, skazany na śmierć, ułaskawiony i zesłany do obozu. Ale potem dostałem szansę ocalenia życia.

– Więc te tortury i postrzał to twoje zmartwychwstanie? – zapytała Fabiana, klękając przy nim.

– Wcielili mnie do karnego batalionu, abym mógł jeszcze pożyć, ale nie jestem pewien, czy dostanę następną szansę.

Uśmiechnęła się, przysuwając twarz do jego twarzy.

– Czyż to nie było szczęście, że twój koń stał nad tobą, czekając, aż ktoś cię znajdzie? I że potem trafiłeś na mnie, abym mogła cię opatrzeć?

– I dać mi wina. Ale ten koń to mój największy przyjaciel i w tej chwili oprócz niego ty jesteś jedynym moim przyjacielem na świecie. Chcę się więc tym cieszyć, to proste. Nie mam żadnych planów poza tym polem słoneczników, winem i rozmową z wenecką sanitariuszką.

– Za co zostałeś skazany na śmierć?

– Nie wyglądam chyba na mordercę? Albo bandytę, co napada na banki? – Zawiesił głos. – Byłem pisarzem. Popadłem w niełaskę i do dziś nie wiem dokładnie dlaczego. W każdym razie wylądowałem jako więzień polityczny na... słyszałaś kiedyś o Kołymie?

Pokręciła przecząco głową.

– To obozy przy kopalniach złota na Dalekim Wschodzie.

– Nie przypuszczałam, że jesteś górnikiem.

– Nie było to moje wymarzone zajęcie.

– Wiem, oczywiście jesteś pisarzem. To widać.

Na rozżarzonej do białości niebie, przeciętym smugami kondensacyjnymi, stadko niemieckich samolotów leciało w szyku bojowym w stronę Stalingradu. Fabiana wstała.

– Musimy wracać.

Zachwiała się lekko i w tej samej chwili atomy między nimi zmieniły uporządkowanie: widziała to wyraźnie. Również w nich samych zaszła zmiana. Ale to

może nic nie znaczyć, powiedziała sobie. To tak jak z pięknym widokiem – zapamiętuje się go, ale chwila mija szybko.

Wyglądziła ubranie i spojrzała na Benię.

– Po tym wszystkim, co przeżyłeś, tracisz jeszcze resztki sił na flirtowanie z sanitariuszką, *stupido*?

– Skoro miałyby to być ostatnie chwile mojego życia... – odparł. – Czyż mógłbym je wykorzystać lepiej? – Zaczerpnął powietrza i ton jego głosu się zmienił. – Wiesz, Fabiano, zapamiętam to nasze spotkanie, jakby na zawsze.

– Ja też. Jakby na zawsze.

Uniosła prawą dłoń ku niebu, rozczapierzając palce. Benia powtórzył jej gest i roześmiał się.

– Znów się ze mnie wyśmiewasz? – zapytała poważnie.

– Nie, oddaję ci cześć. Jakby na zawsze! – zawołał i oboje rozczapierzyli palce.

Odwrócił się i ruszył z powrotem.

– Benia.

Obejrzał się. Chciał ją pocałować, ale naraz poczuł się wyczerpany, pozbawiony nadziei i przed oczyma zaczęły mu wirować czerwone iskry. Fabiana objęła go i podtrzymała, żeby nie upadł.

– Musisz wrócić do łóżka. Powiem, że nie wiem, kim jesteś.

– Lepiej powiedzieć...

– ...że miałeś na sobie włoski mundur, bo jesteś żołnierzem rosyjskich formacji pomocniczych?

– Gdybyś mogła tak powiedzieć, zyskałbym trochę czasu.

– Benia Golden to żydowskie nazwisko, prawda?

Skinął głową, opierając się na jej silnych ramionach.

– Co mogę więcej powiedzieć? Moje życie jest w twoich rękach.

Kiedy się obudził, była już noc. Leżał z powrotem w namiocie, a Fabiana siedziała przy łóżku.

– Śniła mi się nasza rozmowa... – wyszeptał.

– ...Tajne Królestwo Słoneczników.

– To się naprawdę zdarzyło, prawda?

Potwierdziła ruchem głowy, dotykając palcem jego ust i wpatrując się w niego. Zastanawiał się, o czym teraz myśli.

– Nie sądzę, abyśmy znów się zobaczyli. Ale chciałem ci powiedzieć, że były to dla mnie najszcześniejsze godziny w tej wojnie – nie, w ostatnich kilku latach mojego życia.

Ach, te słowa, pomyślała, ona, która czytała i lubiła wiersze. Chciała je usłyszeć jeszcze raz. Chciwie obracała je w ustach, smakowała.

– Dla mnie też – rzekła, podnosząc dłoń z rozczapierzonymi palcami. – Jakby na zawsze!

Kiwnął głową: naprawdę zapamiętała.

– Posłuchaj, nie chcę, żebyś narażała się na cokolwiek z mojego powodu. Obiecuj mi to.

– Obiecuję. Ale chciałabym ci pomóc... na ile mogę.
– Wystarczy, że mi coś powiesz. Gdzie są konie?
– Stajnie są tuż obok namiotu. Ale uważaj na wielbłądy.
– Mój koń jeszcze tam jest? To budionnowska kasztanka z białą strzałką na czole i białymi skarpetkami.
– Nie wiem.
– Są pilnowane?
– W nocy nie.
– Zanim odjadę, muszę zdobyć broń.
– Pistolet? – Wyglądała na zaniepokojoną. – Montefalcone trzyma całą zdobyczną broń w naszym arsenale, w chacie koło stajni, ale...
– Wybacz. Nie powinienem był o to prosić. Zapomnij o broni... Ale za kilka godzin muszę uciekać.
– Nie możesz zostać jeszcze jeden dzień?
– Nie mogę ryzykować. Wyjeżdżam dziś w nocy. – Położył jej rękę na dłoniach. – Jakby na zawsze.

V

Kochana Lwico,
Chciałbym Cię jeszcze raz pocałować. W usta, w szyję, w ramiona. Chciałbym poczuć zapach twoich włosów. Sprawiasz mi rozkosz...
Cały twój Lew

Dzień siódmy

I

W środku lata zupełna ciemność zapada bardzo późno, dlatego Benia odczekał, aż było już dobrze po północy. Wsłuchiwał się w bicie swojego serca, które tykało jak bomba zegarowa, i w odgłosy wsi. Wrzaski kotów, ryki wielbłądów, warkot przelatujących samolotów, trzaski pojedynczych strzałów, włoskie śpiewy, rzenie koni – i nagle cichy gwizd przy namiocie.

– Benia!

Uchylił klapę i zobaczył białą strzałkę swojej klaczy, prowadzonej przez Fabianę. Srebrne Skarpetki wyciągnęła łeb. Benia pogłaskał ją po pysku i pocałował w szyję.

– *Grazie mille* – podziękował Fabianie. – *Grazie mille*.

Fabiana miała teraz na sobie jasnozielony włoski mundur, a na głowie furażerkę, zawadiacko przekrzywioną na bakier. Odpowiedziała mu tymi samymi słowami, a Benia pocałował ją w policzki, trzykrotnie, po rosyjsku. Była tak blisko, że czuł ciepło jej ciała. Pocałował ją w usta. Oddała pocałunek i szepnęła:

– Benia, musisz mnie uderzyć, żebym...

– To nie będzie dla mnie łatwe.

– Pospiesz się.

Otwartą dłońią uderzył ją mocno w twarz, aż się wzdrygnęła. Dotknęła swoich warg.

– W porządku. – Na czubku palca widać było krew. – W sakwach jest jedzenie. Jedź!

Kiedy wsiadał, klacz lekko się spłoszyła, i Benia uspokajająco poklepał ją po kłębie. Zamierzał powiedzieć Fabianie coś poetycznego, rzucić „Jakby na zawsze”, ale teraz zbyt się bał, żeby myśleć o takich rzeczach. Nie oglądając się, ruszył galopem. Wiedział, że Fabiana odczeka chwilę, a potem zacznie krzyczeć: „Pomocy!”. Miała powiedzieć, że „jeniec” ją uderzył, przewrócił na ziemię i uciekł. Czy Włochom będzie się chciało ścigać po nocy jednego rannego Rosjanina? Mało prawdopodobne.

Jechał przez pola żyta, trzymając się blisko żywopłotów. W ciemności widział tysiące główek słoneczników, pochylonych ku ziemi i czekających na słońce, które je podniesie. Dalej aż po Don ciągnął się step. Benia uświadomił sobie, że nie ma broni, nawet scyzoryka – tylko paznokcie, pomyślał, uśmiechając się ponuro. Ściągnął wodze i zatrzymał konia. Czy nie powinien wrócić i ukraść jakąś broń? Bodaj pistolet, aby móc odebrać sobie życie, w razie gdyby miał wpaść w ręce ludzi Mandryki. Nie mógł się zdecydować i w rozterce tarł czoło. Nie nadawał się do tego, zupełnie się nie nadawał. Nie wiedział, gdzie jechać ani co dalej robić.

Naraz usłyszał tętent kopyt. Ktoś jechał przez pola i Beni serce podskoczyło do gardła: a więc jednak go ścigają. Zsiadł z konia i stał w zbożu, nasłuchując z drzeniem. Wyglądało na to, że depcze mu po piętach tylko jeden jeździec. Czy to Malamore, czy jakiś hiwis Mandryki?

Usłyszał cichy głos:

– Benia? To ja. Jesteś tu?

– Tutaj!

Fabiana zbliżała się na swoim palominie.

– Nie wzięłaś broni. Zapomniałam dać ci to.

Podawała mu parabellum, kilka granatów i pepeszę z amunicją. W skórzanym olstrze przytroczonym do siodła miała jeszcze karabin.

– Nie wiedziałam, co zabrać.

– Dzięki, ale ukradłaś za dużo. Zauważą. Odwieź resztę jak najszybciej!

– Dobrze – odparła, lecz nie ruszała się z miejsca.

– Muszę jechać. Chciałem ci powiedzieć: nigdy cię nie zapomnę ani tego, co dla mnie zrobiłaś...

– *Va bene* – szepnęła.

I wykonała swój osobliwy gest, który już znał. Pospiesznie wetknął parabellum za pas, pepeszę zarzucił na ramię, pudełka z nabojami włożył do sakwy, a karabin oddał Fabianie, która wsunęła go do olstra. Wsiadł na konia i spojrzął na Fabianę.

Nie ruszała się z miejsca. Obrócił Srebrne Skarpetki. Wciąż stała nieruchomo.

– Dziękuję! Muszę jechać, Fabiano, a ty musisz wracać. *Vai subito! Arrivederci.*

Obróciła palomina, ale wykonała pełne koło i znalazła się jeszcze bliżej Beni.

– Wiesz, Il Primo, że nie mogę wrócić. Nie teraz. Ty masz konia, broń i zaraz cię nie będzie. A oni domyślą się wszystkiego i rozstrzelają mnie za zdradę.

Benia od razu zrozumiał, co to oznacza: Włosi pomyślą, że wziął zakładnika, będą ich ścigać do upadłego i prawdopodobnie zabiją. Nie tak to sobie zaplanował, ale wiedział, że Fabiana ma rację. Przywożąc mu broń, naraziła się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– No to jedziemy razem. Ale musimy się pospieszyć!

Konie były niespokojne, Srebrne Skarpetki grzebała kopytem ziemię. Od strony chutoru dolatywały krzyki, widać było zapalone światła. Nagle rozległ się pierwszy strzał.

Benia wychylił się i zaciął palomina nahajką po zadzie. Violante stanął dęba i omal nie zrzucił Fabiany. Po chwili już cwałowali. Seria z karabinu maszynowego zaświstała im nad głowami. Benia widział błyski z luf i obłoczki kurzu podniesionego przez padające pociski. Jedna z kul odbiła się z brzękiem od jego ostrogi. Światło reflektora rozdarło ciemności i zaczęło uparcie szukać ich w czerni nocy. Benia przeraził się, że zaraz go zastrzelą. Chwyił konia Fabiany za uzdę i przyciągnął bliżej.

– Trzymaj się tuż przy mnie – krzyknął.

Reflektor wyłowił ich z mroku i Benia zobaczył Fabianę: była w mundurze khaki, bryczesach i butach z cholewami, a na uczesanych w kok włosach miała furażerkę. Dziękował Bogu, że nie jest to śnieżnobiały strój sanitariuszki. Wycelował do niej z pepeszy, wiedząc, że Włosi też ją widzą. Na efekt nie musiał długo czekać. Zaraz rozległy się krzyki: „Fabiana!”, a potem do niego: „Puść Fabianę!”. Ale strzały ucichły. Bali się ją trafić, bo to przecież jego chcieli zabić.

Używając Fabiany jako tarczy, przynaglił oba wierzchowce do biegu, aż znaleźli się poza zasięgiem strzałów. Była pogodna noc i wysoko na niebie stał księżyc, oświetlając wysoką trawę, słoneczniki i żyto. Fabiana, ubrana do konnej jazdy, skupiła

całą uwagę na kierowaniu Violantem. Benia uprzytomnił sobie, że tego wieczoru podjęła lekkomyślną decyzję, której konsekwencje oboje będą musieli ponieść. Dostrzegł w niej coś, czego wcześniej nie widział. Czasem, gdy na nią zerkał, na jej twarzy pojawiał się uśmiech, a białe zęby pobłyskiwały w świetle księżyca.

II

Na Kremlu był ranek i Swietłana już nie spała, myślała o Lwie. Doszła do wniosku, że wczesne przebudzenie to objaw zakochania, ale miłość to jedyna choroba, której każdy chciałby się nabawić.

W ciągu kilku dni z wzorowej sowieckiej uczennicy zamieniła się w zakochaną marzycielkę i przestała odrabiać lekcje. Bez przerwy spoglądała na aparat telefoniczny. Dała Szapirze numer telefonu, z którego korzystała tylko ona, Klimow i gosposia. Czekala na dzwonek i w końcu doczekała się: telefon zaterkotał. Odebrałaby po pierwszym sygnale, ale nie chciała sprawiać wrażenia, że waruje jak pies przy telefonie. Wydało jej się to żalosne. Wstrzymała oddech i zaczęła liczyć dzwonki: trzy, cztery, pięć. Podniosła słuchawkę dopiero po szóstym.

– *Ja słuszaju* – powiedziała.

W słuchawce rozległy się jakieś trzaski i głosy, dochodzące jakby z dalekich głębin. Swietłana wyobraziła sobie słupy telegraficzne i druty rozpięte nad stepami, rzekami i wsiami – delikatną linię komunikacyjną łączącą ją z ukochanym.

– To ja, Swieto – dobiegł w końcu jego głos. – Słyszysz mnie?

– Tak, tak. Poczekaj chwilę. – Podskoczyła i zamknęła drzwi, aby gosposia i niania nie mogły usłyszeć rozmowy. – Jestem. W Parku Aleksandrowskim kwitną kwiaty! Jak się masz?

– Jestem na froncie w bunkrze dowództwa.

– A gdzie to jest?

Gardłowość jego męskiego głosu odbijała się echem wzdłuż tej prymitywnej, rozbrzmiewającej wieloma dźwiękami linii.

– Moje miejsce stacjonowania jest ściśle tajne. Mogę ci tylko powiedzieć, że to miasto noszące twoje imię.

Roześmiała się.

– Mówisz tak trudnym szyfrem, że nikt go nie złamie.

– Wiem. Jesteś sama? – zapytał po chwili milczenia.

– Tak.

– Muszę ci powiedzieć, kochana, że chciałbym cię znów pocałować, namiętnie, głęboko.

– O, Boże – westchnęła, a serce zatłukło się jej w piersi synkopowym rytmem.

– Naprawdę, wciąż czuję zapach twojej skóry i smak twoich warg.

Swietłana odetchnęła głęboko.

– Ja też chciałabym cię pocałować. Jaka szkoda, że nie jesteś tu ze mną. Nie mogę się uczyć. Lektje mnie nudzą.

Szapiro jęknął.

– Gdybyśmy tylko mogli być sami...

– Gdybyśmy mogli?
– Gdyby twój detektyw nie czekał na ciebie.
– Och, słuchał pod drzwiami, ale i tak udało nam się pocałować – powiedziała z triumfem. – I to jeszcze jak!
– To był twój pierwszy pocałunek?
– Czy to źle? Jestem dla ciebie za mało doświadczona? Znudzisz się mną?
– Nie, to urocze. To dla mnie coś zupełnie wyjątkowego. I mamy też sobie tyle do powiedzenia. Chcę wiedzieć, co czytasz, co myślisz – ale teraz nie ma na to czasu. Muszę ci powiedzieć najważniejsze: myślę o tobie w tym bunkrze, w nadwoźzańskim mieście o słynnej nazwie, i chciałbym cię znowu pocałować. Zaraz, natychmiast.

– Jak też płonę – wyszeptała.

Rozmowa urwała się. Swietłana słyszała jakieś obce głosy tłukące się w słuchawce jak duchy. Po chwili głos Szapiry wrócił i tym razem brzmiał nagłaco.

– Muszę kończyć. Z tego telefonu korzystają wszyscy korespondenci. Grossman czeka i już się niecierpliwi. Chce wiedzieć, kim jest moja dziewczyna...

– Powiesz mu?

– Nie ma mowy. Jesteś moją tajemnicą. Z wielu powodów.

– Będiesz na siebie uważał?

– Tak, kochanie, dla ciebie. Walki są bardzo zacięte, ale to miasto nie padnie. Zwycięzimy, Swieto.

– Ucałowania, Lwie, mój kochany. Zadzwoń znowu. Jak najszybciej.

– Będę dzwonił w każdej wolnej chwili, obiecuję, kochana Lwico. Przesyłam ci ucałowania przez telefon. Proszę! Czujesz? Wędrują do ciebie z bunkra nad Wołgą. To święte drżenia serca, przesyła je miłość. Czujesz?

– Tak, czuję. A to posyłam ci z Kremla. Ponad wielkimi rzekami, stepami i polami.

– Otrzymałem – rzekł po chwili. – Do jutra. Całuję cię, najdroższa.

Swietłana odłożyła słuchawkę. Gorący rumieniec promieniujący z jej środka, z jej ud rozlewał się po całym ciele, obejmował stopy, szyję i usta. Zamknęła oczy. W ciągu kilku dni zmieniła się zupełnie. Nie była już tylko córką Stalina. Piękny i dzielny mężczyzna z bunkra w dalekim Stalingradzie myślał o niej, a ona – ona była czyjąś ukochaną, czyjąś tajemnicą.

III

Pułkownik Malamore szalał z wściekłości: Fabiany nie było, a w chutorze panował zupełny chaos. Razem z adiutantem i kilkoma zwiadowcami wrócił o świcie do Radziłłowa, ciesząc się już na myśl o odwiedzeniu Fabiany w namiocie Czerwonego Krzyża.

Czuł, że z Fabianą idzie mu coraz lepiej. Śmierć męża ofermi – który był fatalnym żołnierzem i niewiele lepszy jako mężczyzna – oczywiście wstrząsnęła nią, ale wojna zawsze odsiewała silnych od słabych. To właśnie stało się z Ippolito Bacigalupem, który zginął od razu w pierwszej potyczce. Na wojnie była to normalna rzecz i nie ulegało wątpliwości, że Fabiana wróci wkrótce do równowagi. Była silna i samodzielna. Właśnie z taką piękną Włoszką Malamore zamierzał się ożenić po odejściu z wojska. Urodzi mu

dzieci, które będą rządzić nowym aryjskim imperium. Od dawna już był na wojnie i czuł się zmęczony; to miała być jego ostatnia kampania. Dziewcząt mu nie brakowało, w Charkowie zostawił Rosjanek o policzkach jak rumiane jabłka. Ale Fabiana należała oczywiście do innej kategorii. Zwycięstwo Hitlera było kwestią kilku tygodni. Kiedy uchwycimy Don i zajmiemy Stalingrad, Rosjanie wycofają się za Ural, a wtedy będę mógł zawiesić mundur na kołku, myślał.

Wjeżdżając do Radziłłowa, marzył o kupieniu wielkiej farmy na czarnoziemnych terenach południowej Rosji, niczym żołnierz osadnik w czasach rzymskiego imperium. Chłopi rosyjscy będą jak niewolnicy pracować na roli. A on będzie jeździł konno po złocistych łąkach pszenicy na swoim czarnym rumaku z Fabianą na palomnie i od czasu do czasu położy dłoń na jej bursztynowym ramieniu...

Po przybyciu do chutoru Malamore musiał jednak wrócić do rzeczywistości: jeźdźcy przybywali z meldunkami ze wschodu, z zachodu i Bóg wie skąd, żołnierze biegali tam i z powrotem, niektórzy nawet płakali, strzelano w stronę stepu, siodłano konie, Kałmucy zdejmowali z wielbłądów skrzynki z amunicją. Na widok pułkownika wszyscy zamarli. A major di Montefalcone ze swą zwiotczalą twarzą beczał jak baba – zupełnie jak baba, na litość boską!

– Nie ma jej, panie konsulu, nie ma jej. Jeniec ją uprowadził! – Montefalcone ocierał łzy chustką do nosa.

– Widzę – rzekł oschle Malamore, zsiadając z konia. – Ale kim on jest?

– Rosjaninem. Myśleliśmy, że to policjant z Schuma, ale okazało się, że nie. Musiał być jednym z partyzantów.

Prąd morderczej furii przebiegł przez Malamorego, ale pułkownik zapanował nad sobą.

– Niech pan zadzwoni do Schuma i dowie się. Potem ruszymy za nimi i ich złapiemy. A kiedy złapiemy, Fabiana będzie moja.

– *Si, si, signore.*

Malamore patrzył na majora spode łba. Tym arystokratom brak faszystowskiej ikry. Nadejdzie dzień, gdy on i jego faszystowscy kamraci będą musieli postawić ich pod mur. Ale to nie było wszystko. Pułkownikowi nie podobało się, w jaki sposób Montefalcone patrzy na niego. Wiedział, skąd to pytające spojrzenie. Czy gdyby porwana osoba nie była kobietą, gdyby nie była Fabianą, zadaliby sobie tyle trudu i narazili się na takie ryzyko?

– Proszę po prostu wykonywać rozkazy, Montefalcone. Jedźcie pan z nami?

– Ja? Skoro tak pan sobie życzy.

– Do ucieczki jeńca doszło, kiedy pan dowodził, majorze. To pan jest za nią odpowiedzialny.

– Tak jest, panie konsulu. – Montefalcone odwrócił się do ordynansa. – Jacopo, przyprowadź Carusa.

Malamore wskoczył na swego wierzchowca, Borgię, po czym kiwnął na Kozaków i kałmuckich zwiadowców, żeby jechali za nim. Wyjął cienkie cygaro, a jeden z Kałmuków podał mu ogień.

– Zmusił ją? – zapytał Montefalconego, rozważając w myślach wydarzenia minionej nocy.

– Pewnie tak.
– Pewnie tak? *Madonna santa*, Montefalcone, odpowiadaj pan jasno.
– Tak. Trzymał ją na muszce. Jaka Włoszka odjechałaby z Iwanem? Tak, trzymał ją na muszce.
– A koń? Skąd go wziął?
– Może groził jej nożem?
– Kto mu dał nóż?
– Może to było jedno z narzędzi chirurgicznych.
– Pistolety?
– Złapał po prostu, co było pod ręką.
– Jak?
– Nie jestem pewien, panie pułkowniku.
– Czy pański arsenał nie jest pilnowany zgodnie z regulaminem?
– No, oczywiście... Ale nie w każdej chwili...
– Jest pan partaczem – warknął Malamore. Jezu, ci arystokraci do niczego się nie nadają.

Teraz, gdy miał już pewność, że Fabiana jest jego, musiał się dowiedzieć, czy nie zdradziła. Gdyby przekroczyła tę granicę, musiałby poczynić odpowiednie kroki... Pewna dziewczyna w Abisynii, długonoga, ciemnoskóra gazela, zdradziła Włochów i wtedy Malamore się nie zawahał – sam się z nią rozprawił. Ale Abisynka była dzikuską, Afrykanką, a Fabiana Włoszką. Mimo wszystko... Uniósł krzaczaste brwi i otarł twarz.

– Jacopo ich widział, widział, jak jeniec ją uderzył – klekotał dalej Montefalcone.

– *Grazie a Dio* – powiedział z ulgą Malamore. – Dzięki Bogu.

A więc nadal była uczciwą Włoszką, jego kobietą, przyszłą żoną.

– Kiedy żołnierze ich zobaczyli i otworzyli ogień, Iwan chwycił jej wodze i wycelował w nią. Nie miała wyboru.

– A zatem wszystko jasne – zawyrokował pułkownik. Po uwolnieniu Fabiana będzie należeć do niego i Malamore nie dopuści do żadnych głupich błędów. Obrócił konia.

– Za mną – krzyknął do swoich ludzi.

– *Si, signore!* Jakie pojazdy mam przygotować? – zapytał Montefalcone.

– To kraj koni. Jedziemy, a pan do nas dołączy, Montefalcone – rzucił. Spiał Borgię i wśród stukotu kopyt opuścił wieś, kierując się na wschód. Za nim pociągnęli Włosi w czarnych koszulach, Kałmucy na wychudzonych kucykach i Kozacy w niemieckich mundurach. W stalowych ostrogach odbijały się promienie porannego słońca.

Montefalcone dosiadł Carusa i ruszył za Malamorem przez tuman kurzu, od którego piekły go oczy. Też myślał o Fabianie. Została zmuszona, oczywiście. Otarł czoło, czuł łomotanie w skroniach. Mimo to zastanawiał się, dlaczego Fabiana jechała konno, dlaczego przebrała się w mundur i dlaczego zginęło tyle sztuk broni.

Westchnął. Nie było istoty bardziej nieobliczalnej niż kobieta – cokolwiek mówił Malamore.

IV

Na pierwszą randkę z najprzystojniejszym młodzieńcem w Moskwie Marfa Pieszkowa spryskała się ulubionym zapachem bzu i włożyła sukienkę skopiowaną przez Kleopatę Fiszman z amerykańskiego pisma „Vogue”. Spotykała się z Sergo Berią, zupełnie niepodobnym do swego ojca. Przypominał już raczej, zdaniem Marfy, gwiazdora westernów Errola Flynna: szczupła sylwetka, gęste czarne włosy, elegancki cienki wąsik i dobrze skrojony mundur. Miał osiemnaście lat, a Marfa zaledwie szesnaście. Ponieważ była za młoda na wizyty w restauracji Aragwi, Sergo zaprosił ją do siebie na wystawny obiad.

Beria był jedynym przywódcą sowieckim zajmującym willę w samym środku Moskwy; inni dygnitarze, na przykład Mołotow i Satinow, mieszkali we wspaniałej kamienicy przy ulicy Granowskiego. Ale Beria był kimś wyjątkowym. Pracował tak ciężko, że z rzadka tylko przyjeżdżał do domu, aby coś zjeść lub przespać się. Dlatego to matka Sergo, Nino, ładna blondynka i również Gruzinka, wydała dla Marfy i Sergo tradycyjną gruzińską ucztę, *supra*. Do stołu nakryto w kuchni pilnie strzeżonej willi.

Marfa bacznie obserwowała Sergo. Wiedziała, że jego ojciec stoi na czele mrocznego imperium Organów i Gułagu. Znała ten świat, bo jeden z poprzednich szefów tajnej policji, Jagoda, kochał się w jej matce Timoszy; na dodatek otwarcie dawał upust swoim namiętnościom pod nosem jej ojca i dziadka, Maksima Gorkiego, w jego słynnej willi. Ale Jagoda został skazany i rozstrzelany na kilka lat przed wojną, a jego następca Jeżow też stracił stanowisko i znikł bez śladu, z pewnością również rozstrzelany. Potem mianowano Berię i było widać, że jest on przywódcą znacznie większego formatu niż jego poprzednicy, ufał mu sam Stalin. Marfa jednak wyrosła w tym ludożerczym otoczeniu i mimo młodego wieku znała grożące w nim niebezpieczeństwa. Jej przyjaciółka Swietłana była sympatyczna, ale jako córka wodza lubiła zawsze stawiać na swoim; brat Swiety Wasilij Stalin był złośliwym gnomem, początkującym Kaligulą i przyszłym Neronem. Matka Marfy, Timosza, powtarzała jej do znudzenia: „Marfoczka, nie wchodź do rodziny Berii. Ten Beria jest... Nie pytaj, wierz mi, że wiem, co mówię. Po prostu nie rób tego!”. Ale Marfa miała inne zdanie: „Mamo, Sergo jest inny niż ojciec. To naprawdę uroczy i porządny człowiek”.

Dotychczas jednak był pewien szkopuł. Ktoś inny kochał się w Sergo Berii: jej przyjaciółka Swietłana Stalina. Marfa wiedziała, że gdy jako mała dziewczynka Swietłana przebywała w Gruzji nad Morzem Czarnym, zakochała się w Sergo. Ale teraz Swieta była zadurzona w scenarzyście Lwie Szapirze i zupełnie zapomniała o Sergo. Tak więc droga była wolna...

Po przygotowanej przez Nino gruzińskiej uczcie, na którą złożyło się *chaczapuri*, czyli rodzaj pizzy, gulasz z fasoli zwany *lobio*, *mcwadi* i pikantne *pchali*, Sergo powiedział:

- Mamo, zabiorę Marfę na spacer. Przejdziemy się, Marfoczka?
- Bardzo chętnie... – odparła Marfa.

Było upalne popołudnie. Szli ulicami Moskwy, noszącymi ślady niedawnych nalotów niemieckich. Wywodzili się z podobnych światów, chodzili do tych samych szkół, znali tych samych ludzi – Stalinów, Mikojanów, Satinowów. Musieli być ostrożni, ale mogli rozmawiać ze sobą dość szczerze. Kiedy więc szli po Moskwie, przez Ogrody

Aleksandrowskie obok Kremla, wokół Patriarszych Prudów i ulicą Twerską (teraz przemianowaną na Gorkiego, na cześć dziadka Marfy) gawędzili tak, jak mogli gawędzić młodzi ludzie należący tylko do bardzo wąskiego kręgu. Sergo wiedział wszystko: że Niemcy lada chwila przeprawią się przez Don i będą nacierać na Stalingrad, że mogą nawet dotrzeć do miasta Stalina i że Armia Czerwona będzie tam walczyć do ostatka o każdą ulicę i każdą fabrykę. Kiedy zapytał o Swietlanę, Marfa zawahała się, a potem opowiedziała mu o namiętności swojej przyjaciółki do Lwa Szapiry.

– Bardzo się cieszę – powiedział Sergo, zapalając papierosa Herzegowina Flor dla siebie i Marfy. – Musi się czuć samotna na Kremlu, bardzo samotna. Jak to dobrze, że kogoś znalazła. Wszyscy potrzebujemy drugiej osoby.

– Ja na pewno – zgodziła się Marfa. – Ale obiecaj mi, że nie powiesz nikomu o Swiecie. Zwierzyła mi się w największym zaufaniu, nikt nie może się o tym dowiedzieć...

V

Benia i Fabiana przeprawili się przez strumień i wracali drogą, którą przyjechali. Benia nie był tropicielem, ale jak wielu Rosjan czytał *Ostatniego Mohikanina* i zastanawiał się, czy istniał kiedykolwiek Żyd, który byłby konnym zwiadowcą podczas wojny! Książę Potiomkin, kochanek Katarzyny Wielkiej, utworzył wprawdzie pułk kawalerii żydowskiej, Izrailewski, ale książę de Ligne napisał, że Żydzi nie potrafią jeździć konno – wyglądają jak „małpy na koniach”. No cóż, to prawda, że Żydzi nie są urodzonymi jeźdźcami; jesteśmy uczonymi, a nie żołnierzami, ale ja staram się być jednym i drugim, żeby nie zginąć, myślał.

Kraj, przez który jechali, Benia znał tylko z książek – *Cichego Donu* Michaiła Szołochowa i *Konarmii* Izaaka Babla – i z tego, czego nauczył się od Kozaków. Gdzie byli teraz jego towarzysze? Czy w ogóle jeszcze żyli? Przyłączyli się do hitlerowców? Panka pewnie nie, ale Pyszczeпа, zwinnie i bezmyślny jak mały wilczek, mógł przejść na drugą stronę za jednym trzaśnięciem bata. Wiedząc, że Kałmucy będą ich tropić, Benia ocenił swoje położenie. Nie było dobre. W miarę jak stężenie adrenaliny w jego żyłach spadało, narastał w nim strach. A obecność Fabiany jeszcze pogarszała sytuację. Potem przypomniał sobie, co mówił mu Panka: „To wielki kraj, trzeba się dobrze wysilić, żeby mu sprostać, trzeba słuchać jego głosu” i zrozumiał, że musi w swoich planach wziąć pod uwagę bezkres stepu, jego przebiegłość. Ich prześladowcy, przekonani, że uciekinierzy zmierzają na wschód, do rosyjskich linii, na pewno będą ich ścigać w tamtym kierunku. Dlatego postanowił obrać bardziej określną drogę.

Po godzinie usłyszeli tętent koni. Zatrzymali się i zsiadli. Benia zdjął z ramienia pepeszę i wprowadził konie w wysoką trawę. Grupa ludzi, widocznych na tle roślinności, jechała w kierunku Szepiłowki, siedziby Schuma. Oczywiście Włosi z oddziału Fabiany uznali, że będzie uciekał na wschód, i postanowili pojechać do Szepiłowki dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Było to dobrze i źle: dobrze, bo dawało mu więcej czasu, źle, bo jeśli zwerbują tam jakichś hiwisów lub Niemców, jego śmierć – w razie schwytania – będzie straszna.

Malamore i Montefalcone jechali do kwatery Schuma w Szepiłowce. Major

mocnym tenorem zaczął śpiewać pieśń miłosną.

– Zamknij się pan – warknął Malamore i dalej jechali już w milczeniu.

Wjeżdżając do Szepiłowki, usłyszeli gdakanie kur, porykiwanie wielbłądów i krzyki pijanych ludzi – chociaż było dopiero popołudnie.

Na dźwięk końskich kopyt policjanci i Kozacy wylegli na ulicę. Wielu miało szklisty wzrok, było bez koszuli i zionęło alkoholem, wymachując szablami i schmeisserami.

Na trawniku stały dwa rzędy szubienic. Wisiały na nich kiwające się zwłoki z tabliczkami „Partyzant”. Była wśród nich jedna kobieta. Malamore zauważył, że nie wszyscy mieli na sobie zielony mundur Armii Czerwonej. Kilku wisielców było Kozakami w niemieckich mundurach, a na ich szyjach dyndały tabliczki: „Podwójny agent”. A więć Schuma wieszala też swoich ludzi.

Włosi osadzili konie i patrzyli na to ze zgrozą. Szubienice skrzypiały jak olinowanie starego żaglowca.

– Coś takiego! – zawołał Malamore, który niczego nie znosił bardziej niż niesubordynacji żołnierzy. Ci ludzie wydali mu się zgrają niebezpiecznych błaznów.

Wyglądający zza niego Montefalcone miał wrażenie, że znalazł się w ostatnim kręgu dantejskiego Piekła.

Następca Mandryki, Bronisław Kaminski, występujący jako SS-Brigadeführer, był właśnie w trakcie popijawy ze swymi renegatami. Z rozchełstanej koszuli wyłaniała się pierś opalona tak jak twarz na fioletowy brąz. Kiedy Kaminski wskazywał krzesła włoskim gościom, jego mina nie świadczyła, aby darzył ich szczególnym szacunkiem. Malamore zauważył to.

– Herr Brigadeführer, czy ten partyzant był jednym z pańskich jeńców? – zapytał przez tłumacza, opowiedziawszy pokrótce o ucieczce rannego jeńca. Znajdowali się w ładnym parterowym domu zarekwirowanym przez Kaminskiego, należącym dawniej do bogatego gospodarza. Największe pomieszczenie zamieniono na jadalnię. Na jednym stole wałały się niedojedzone kawałki chleba, sera i pomidorów, na innym stały butelki z wódką i miejscowym samogonem, między którymi leżały pudełka z tabletkami Pervitin. Obok stał stojak z bronią, głównie niemiecką, ale także rosyjską.

Kaminski miał już dobrze w czubie.

– Nie wiem – odpowiedział, po pijacku przeciągając samogłoski. – Zakończyliśmy właśnie proces. Znaleźliśmy w oddziale dwóch zdrajców i powiesiliśmy ich. Tam.

Malamore skrzywił się z niesmakiem.

– Bardziej interesuje mnie jeńiec, który nam uciekł.

Kaminski zawołał niską, jaskrawo umalowaną dziewczynę w niemieckiej bluzie i bryczesach, które nie mogły wyszczuplić jej klocowatych nóg.

– Czy wiemy coś o zbiegłym jeńcu rosyjskim?

– Tak, Herr Brigadeführer – odpowiedziała dziewczyna. Na ramieniu miała schmeissera. – Jeden z naszych jeńców uciekł po zasadzce, w której zginął pułkownik Mandryka.

– W jakich okolicznościach uciekł? I kim był? – zapytał Malamore.

– Nasz doktor wie o nim wszystko.

– Daj tu doktora – rozkazał Kaminski.

Sprowadzony człowiek był trzeźwy i robił wrażenie znającego się na swoim fachu. Wyglądał elegancko w niemieckiej bluzie z opaską Czerwonego Krzyża i butach do konnej jazdy, a jego przystojna, gładka twarz zdradzała inteligencję. Malamore z ulgą przyjął fakt, że w tym domu wariatów jest ktoś przy zdrowych zmysłach.

– Doktor Kapto znał pułkownika Mandrykę jeszcze ze szkoły – wyjaśniła kobieta nosowym głosem. Opowiedziała lekarzowi o zbiegłym rosyjskim partyzancie, który miał zabrać ze sobą włoską pielęgniarkę jako zakładniczkę lub żywą tarczę.

– Tak, to chyba on – zgodził się doktor Kapto. – Po pogrzebie Mandryki jeden jeniec uciekł, widziałem, jak odjeżdża na koniu. Podniosłem alarm, strzeliłem kilka razy, ale... było ciemno.

– Kto to był?

– Niejaki Golden. Siedział wcześniej w łagrze, a potem był żołnierzem batalionu karnego i brał udział w zasadzce na Mandrykę.

Dopiero teraz Malamore zauważył małą dziewczynkę, stojącą obok lekarza i chowającą się w fałdach jego bluzy. Przyglądała się wszystkim wielkimi, przerażonymi oczami dziecka, które zdążyło poznać okrucieństwo świata. Nosila podartą sukienkę i miała obandażowaną nogę.

Chciał zapytać, kim ona jest i co tu u licha robi, ale Montefalcone, ocierając pot z twarzy i górnej wargi, jęknął:

– Panie pułkowniku, chodźmy już stąd.

Tym razem Malamore czuł to samo, co jego podwładny. Też marzył o tym, żeby jak najszybciej opuścić to towarzystwo.

– Dziękujemy za pomoc – rzekł do Kaminskiego. – Da nam pan znać, jeśli się tu pojawią?

– To Żyd – rzuciła kobieta z nogami jak słupy.

– Kto? – nie zrozumiał Malamore.

– Golden, ten sowiecki partyzant, który uprowadził waszą sanitariuszkę. To Żyd wam ją porwał.

VI

Fabiana kiwała się w siodle. Był wczesny wieczór i niebo, po którym sunęły karmazynowo podświetlone chmury, miało turkusowy odcień. Kiedy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, spojrzeli na siebie oczami lunatyków, zdziwieni, że wciąż żyją. Konie szły ciężko; od pewnego czasu Srebrne Skarpetki była zdenerwowana, strzygła uszami. Potknęła się o jakiś wykrot i straciła równowagę. Benia zsiadł, żeby sprawdzić pęciny, ale mieli szczęście: nic nie było złamane. Wiedział jednak, że nie mogą jechać dalej, bo konie padną.

– Musimy się zatrzymać. Tutaj.

Byli przy chłopskiej chacie, która wyglądała na opuszczoną.

Fabiana zsiadła pierwsza. Była zupełnie zeszywniała i dotykając stopami ziemi, lekko się zachwiała.

– Napoję konie, a ty sprawdź dom.

Z gotową do strzału pepeszą Benia obszedł pomieszczenia. Dom był pusty. W studni otoczonej drzewami była świeża woda. Fabiana próbowała zaprowadzić tam Srebrne Skarpetki, ale klacz znieruchomiała i nie chciała z nią iść.

– Zostaw, ja ją zaprowadzę – powiedział Benia. Razem polewali konie wodą. Zwierzęta prychały i rzucały łbami. Srebrne Skarpetki niecierpliwie grzebała w ziemi kopytami.

– Ach! Co za przekłeta szkapa – mruzczał Benia. – Czy nie dbam o ciebie? Nie rozpieszczam cię?

Fabiana wyjęła jedzenie z sakw. Usiedli przy koniach i jedli w milczeniu przydzielony prowiant włoskich żołnierzy: wędliny, czarny chleb, suchary, suszone wiśnie i pestki słonecznika. Przy studni stały dwa ule, więc patykami zdrapali wosk z plastrów, żeby dobrać się do miodu.

– Auć! – krzyknął Benia, bo ucięła go pszczoła, ale nie zrezygnowali z wybierania miodu. Benia wyjadał go nożem, a Fabiana gołymi rękami, jak mały niedźwiadek.

Fabiana wstała, opłukała ręce i napiła się wody prosto z wiadra, a resztę wylała na siebie. Zerknęła na Benię, podeszła do studni i przyniosła mu pełne wiadro. Pijąc, zastanawiał się, czy naprawdę może jej ufać: była w końcu Włoszką, służyła w nieprzyjacielskim, faszystowskim wojsku, a on był rosyjskim Żydem. Z drugiej strony, narażała się dla niego, gdyby ją odprawił, zapewne byłaby torturowana i rozstrzelana. Co prawda podczas ucieczki służyła mu za żywą tarczę, ale teraz ścigali go dlatego, że mu towarzyszyła. Dobrze wiedział, że obecność Fabiany zmniejsza jego szanse na ujście pogoni. A jeśli żołnierze sowieccy zobaczą go z faszystką, stanie przed plutonem egzekucyjnym za zdradę.

Spojrzał na nią, na jej mokre ciemne włosy zaczesane do tyłu. Wiedział, że Fabiana zdaje sobie sprawę, iż na nią patrzy. Musi być odważna, pomyślał, skoro pojechała za mną i przywiozła broń. Miała zdumiewająco silny charakter, to nie ulegało wątpliwości. Odetchnął głęboko i podjął decyzję. Na razie zostaną razem. Jeśli przeżyją noc i następny dzień, będą mogli się rozdzielić. Mogłaby skłamać Malamoremu, że Benia porwał ją siłą, na przykład jako zakładniczkę, i że znęcał się nad nią. Stary krokodyl być może uroniłby nawet kilka łez nad jej smutną dolą.

– Martwisz się czymś – powiedziała, patrząc na Benię.

– Tak wyraźnie to widać?

– Znam cię. Jak ramię?

– Boli.

– I będzie boleć. Zmienię opatrunek i sprawdzę, czy rana się nie otworzyła. – Po chwili dodała jeszcze: – Uważasz, że powinnam wrócić do Malamorego, tak?

Przyglądał się jej opalanej skórze. Była pokryta kurzem, ale lśniła od wody. Pomyślał, że jest bardzo dzielna, i na chwilę opanowało go wzruszenie: straciła męża, a teraz musiała stawić czoło tej sytuacji. Myślał o niej, o Żydach zamordowanych w lesie, o dziewczynce na kolanach Kapti, beznadziejności swego położenia – i chciało mu się płakać.

– Dzięki, że przywiozłaś broń i jedzenie. Dzięki za wszystko. – Ziewnął i otrząsnął się, aby nie zasnąć. – Jestem strasznie zmęczony.

– Ja też – odparła i przyjrzała mu się uważnie. – Jesteś bardzo błady.

– Musimy się trochę przespać. Chyba poza domem będzie bezpieczniej. Przeprowadźmy konie.

Dom stał w kępie topoli, które z kolei otoczone były złoconą strażą słoneczników wysokości człowieka. Przywiązali konie na skraju zagajnika, aby mogły skubać trawę, ale pozostały jak najbliżej. Rozłożyli derki w cienistym miejscu, niemal całkowicie osłonięci przez słoneczniki, położyli się i zzzuli buty. Benia był tak zdrętwiały od wielogodzinnej jazdy, że zastanawiał się, czy jutro będzie mógł usiąść w siodle. Dolna część pleców, uda i pośladki bolały piekielnie, jakby siodło poharatało mu kości.

Położył pepeszę w zasięgu ręki i zamknął oczy. W kaburze miał pistolet, a za pasem granaty.

Fabiana Bacigalupe, powiedział w myśli, imię i nazwisko z powieści Beni Goldeny.

Fabiana położyła się obok, a potem przysunęła bliżej, niemal go dotykając. Poczul na szyi jej oddech. Spała.

VII

Był wieczór i Sergo Beria wrócił właśnie z biura. Pracował w wywiadzie zagranicznym, jednocześnie kończąc studia techniczne. Tylko bardzo dobrze wykształceni ludzie mogli pracować w sowieckim wywiadzie i sam Stalin zaproponował, aby Sergo, jeden z jego ulubieńców wśród młodego pokolenia, otrzymał tę pracę.

– Ławrientij – rzekł Stalin do ojca Sergo – chciałbym czytać jego raporty. Myślę, że mi się spodobają...

Sergo doskonale mówił po angielsku, znał w oryginale literaturę francuską i angielską. Dzisiaj w biurze sporządził analizę oświadczeń prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla, zamieszczonych w gazetach amerykańskich i brytyjskich. Pozwolono mu też zapoznać się z tekstem podsłuchanych rozmów zachodnich dyplomatów akredytowanych w Moskwie. Wchodząc do domu, usłyszał pisk hamulców. Limuzyna Packard, a za nią jeep Willys z ochroniarzami zajęły na podwórzu. Oficerowie z pistoletami maszynowymi wyprężyli się. Ojciec Sergo wrócił do domu.

Ławrientij Beria, w binoklach bez oprawek, otyły i łysiejący, miał na sobie kwiecistą gruzińską bluzę i workowate płócienne spodnie. Szary na twarzy ze zmęczenia, ale kipiący energią, wpadł do kuchni i objął najpierw żonę, Nino, a potem Sergo.

– Kochany Ławrientiju – zawołała Nino. – Wyglądasz okropnie! Musisz się przespać. Jak się czujesz?

– Nie spałem od dwudziestu czterech godzin, ale nie ja jeden. On nie spał od siedemnastu godzin, a jest ode mnie o wiele starszy, całe dwadzieścia lat.

Wszyscy wiedzieli, kim jest „On”. Dyktatura miała władzę zamieniania dnia w noc i nocy w dzień. Stalin był nocnym Markiem i pracował po nocach, więc cały rząd musiał się do niego dostosować.

– Co nowego? – zapytała Nino.

– Nic wesołego. Popełniliśmy idiotyczne błędy, a teraz płacimy za to. – Beria był jedynym człowiekiem w Rosji, który mógł powiedzieć coś takiego, i chełpił się tym

przywilejem. Nikt nie podsłuchiwał, co się mówi w jego domu, bo to on zakładał podsłuchy. Tryskał energią człowieka stojącego u szczytu władzy podczas największego kryzysu w dziejach swego państwa. – Otacza nas zbyt wielu tchórzy, zbyt wielu głupców. – Urwał i przyjrzał się swojej małej rodzinie. – Kochana! Co za radość cię widzieć. Pocałuj mnie jeszcze raz. – Potem zwrócił się do Sergo: – Jak się miewa mój mądry syn? Jak to się stało, że jesteś taki przystojny, mając takiego brzydkiego ojca? Jaki ja jestem dumny ze swojego Sergo! – Wziął syna w ramiona i ucałował trzy razy. – Chodź, porozmawiaj ze mną, jak będę odpoczywał...

Sergo zaciągnął story w gabinecie ojca, a Beria zrzucił buty i położył się na szerokiej kanapie. Bardzo lubił na niej drzemać, gdy tylko miał po temu okazję.

– *Mamiko* – rzekł Sergo, mówiąc po gruzińsku „Tato” do ojca – czy sytuacja na południu jest naprawdę taka zła?

– Jeszcze gorsza, *biczo*, mój chłopcze. Możemy tam przegrać wojnę. I nie tylko my, bo jeśli Niemcy przełamią front, Brytyjczycy i Amerykanie też przegrają. Sytuacja jest rozpaczliwa. Ale powiedz mi o sobie, powiedz mi, co mówią wojenne bębny?

Wszyscy przywódcy czytali *Ostatniego Mohikanina* i wszyscy rozmawiali o wojennych bębnach i wodzach indiańskich. Sergo zwierzył się ojcu, że miał randkę z Marfą Pieszkową.

– To piękna dziewczyna – pochwalił Beria. – A co u Swiety? On nigdzie jej nie puszcza. Biedne dziecko! Siedzi jak więzień w tym ponurym mieszkaniu. Ciągłe jest taka samotna?

– Cóż, tak i nie...

– Nadal w tobie zakochana? Nigdy nie pozwolę, żebyś się wzenił w tę rodzinę. Trzymaj się z dala!

– Nie martw się, *Mamiko*, już się odkochała.

Benia usiadł.

– Ma kogoś innego?

Sergo zawahał się, przypominając sobie, co obiecał Marfie.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Wiesz coś, *biczo*. Powiedz.

– Nie powinienem. To tajemnica.

– Chyba potrafię dochować tajemnicy, nie sądzisz? Opowiedz mi o Swietłanie.

Kiedy Sergo wyszedł, Beria zamknął oczy. Rano był świadkiem, jak Stalin zszarzał na wieść, że Rosjanie przegrywają bitwę w łuku Donu; przypomniał sobie panikę, która wybuchła wśród tchórzliwych generałów w kwaterze Budionnego na Północnym Kaukazie; pamiętał, że musi ponownie sprawdzić dane dotyczące produkcji samolotów, czołgów i karabinów oraz wydobycia kopalń w Gułagu; zauważył, że wyroki śmierci na stu dwudziestu czterech wybitnych więźniów, podpisane przez Stalina, zostały wykonane w więzieniu Lefortowo. Niektóre nazwiska nic nie znaczyły, ale kilka osób z tej listy osobiście torturował jeszcze w 1938 roku. Na koniec zaczął się rozkoszować obrazem młodej kobiety o figurze Veroniki Lake, złotych włosów i obfitych udach, którą przywiózł mu adiutant, pułkownik Sarkisjan. Kiedy skończyli się kochać w jego biurze, poprosiła o mieszkanie dla matki. Któregoś dnia znajdzie dziewczynę, która pokocha go

bezinteresowną miłością, pomyślał.

W jego mrocznym i zapracowanym życiu był tylko jeden jasny punkt: syn Sergo, jego słońce, jego nadzieja w tym okrutnym świecie, w którym on sam był największym okrutnikiem. Nigdy nie pozwolił, żeby pracował w moim brudnym królestwie, obiecał sobie. Jest na to zbyt porządny. Tak bardzo go kocham.

I z tą myślą zasnął.

VIII

– Żyd? – spytał SS-Obersturmführer Oskar Dirlewanger. Stał w drzwiach domu w Szepiłowce, w którym kwaterował kolaborant SS-Brigadeführer Kaminski. Malamore, zbierający się do odjazdu, podniósł wzrok. Dowódca *Sonderkommando* Oskar Dirlewanger nie skończył czterdziestu siedmiu lat, ale wyglądał znacznie starzej. Twarz miał bardzo zniszczoną wskutek nadużywania alkoholu, pigułek i opium; pobyty w więzieniu za drobne kradzieże i gwałty na nieletnich też nie wpłynęły korzystnie na cerę. Głowa Dirlewangera była jakby skurczona i zbyt mała w stosunku do całego ciała, które zresztą odznaczało się wyjątkową chudością: patron Obersturmführera Himmler przezwał go nawet „Gandhim”. – Żyd porwał aryjską sanitariuszkę? Hańba. – Naciągnął koszulę i zaczął ją zapinać.

– Użył jej jako żywej tarczy, żeby uciec – wyjaśnił Malamore, świadom, że brzmi to niemal jak usprawiedliwianie przestępcy.

– Chrzanić to. – Dirlewanger w roztargnieniu dotykał swego naszyjnika z żółtych paciorków, dziwnie pomarszczonych i bezkształtnych. – Nie rozumie pan, że ten Żyd komunista porwał ją, aby zaspokajać swoje żądze? Posłuchajcie, panowie, wiem wszystko o obcowaniu płciowym z naszymi wrogami. Powinniście widzieć te Polki, te małe Żydówki, z którymi miałem po drodze okoliczność. Ale odwrotny układ jest niedopuszczalny. – Ściągnął pas.

– Bzdura, Herr Obersturmführer, a poza tym nie prosiliśmy pana o pomoc – odpowiedział Malamore po niemiecku.

– Kim jest dla pana ta dziewczyna? – zapytał Dirlewanger, w którym nagle obudziła się czujność.

– Ostrożnie, Herr Obersturmführer. To włoska sanitariuszka i szanowana wdowa po oficerze Tridentine, poległym w tym tygodniu.

– Zna ją pan, prawda?

– Tak.

– Wszechstronnie? Od podszewki?

– Ostrzegam pana... – Malamore wrzał już niebezpieczną mieszanką gniewu i rozdrażnienia.

– W porządku, mniejsza z tym. – Dirlewanger machnął ręką i odwrócił się do Kaminskiego. – Pan za to odpowiada, Kaminski. Przyłączę się do pańskiego oddziału, panie konsulu Malamore, z kilkoma doborowymi kłusownikami.

Sytuacja nie rozwijała się zgodnie z planem Malamorego. Ten Dirlewanger w ogóle nie był żołnierzem, już raczej szczurołapem albo kimś, kogo należałoby trzymać w kaftanie bezpieczeństwa. Poskarży się na niego w dowództwie Armata Italiana, w razie

potrzeby samemu generałowi Gariboldiemu. Jak zapewni Fabianie bezpieczeństwo, jeśli te opryszki będą mu towarzyszyć?

– Nalegam – podjął Dirlewanger. – Nasze zadanie w Rosji polega na zlikwidowaniu samej możliwości *Blutschande* – zhańbienia krwi – a tymczasem pan pozwolił, żeby Żyd, pieprzony bolszewicki Żyd, właśnie tu w Rosji, gdzie niszczymy na zawsze żydowskie mikroby, ukradł panu sprzed nosa pańską dziwkę...

Nikt jeszcze nie ośmielił się mówić do Malamorego w ten sposób. Pułkownik odwrócił się w stronę Dirlewangera, kładąc dłoń na rękojeści swojej beretty.

– Ona nie jest niczyją dziwką.

– Pan wybaczy, Malamore. Przepraszam, nie chciałem pana obrazić. – Dirlewanger uśmiechnął się, odsłaniając żółte zęby, małe i ostre jak u fretki. – Jednakże, czcigodny panie konsulu – ciągnął – ona coś dla pana znaczy, dam sobie głowę uciąć. W ciągu ostatniego pół roku nigdy nie zareagował pan tak gwałtownie. Proszę wybaczyć, że mówię tak bezpośrednio, ale ja mogę się zabawić z dziwką, a pięć minut później poderżnąć jej gardło. Może pan tu zobaczyć jedną z moich, wiszącą na gałęzi. Obowiązki są dla mnie wszystkim. Tymczasem wy Włosi pozwalacie, aby romanse przeszkadzały wam w wykonywaniu zadań bojowych.

Żył na czole Malamorego nabiegła krew.

– Proszę się opanować – szepnął do niego Montefalcone, który nagle dostrzegł, że naszyjnik Dirlewangera zrobiony jest z ludzkich małżowin. – Jedźmy stąd. Fabiana z każdą godziną jest coraz dalej.

– Pański podwładny ma rację – powiedział Dirlewanger. – Przepraszam, ale jestem znany ze szczerości. Robię swoją robotę i jeśli rozdrażnię pruderyjnych burżujów, jestem z tego dumny. Mój protektor, Reichsführer-SS, uważa to za cechę godną pochwały. Ma pan szczęście, że my Niemcy ubezpieczamy pańskie tyły, panie konsulu. – Odwrócił się do lekarza. – Doktorze Kapto, musimy dzisiaj dostarczyć pana do 6 Armii, ale żeby nie było niedomówień. Ten Żyd uciekł w czasie, gdy pan go pilnował, i jest to dla mnie dziwny zbieg okoliczności. Jeśli nie chce pan wszczęcia śledztwa w tej sprawie, proponuję, aby się pan do nas przyłączył.

– Ale dziecko...

– Skoro pan musi, może pan zabrać swoją małą „przyjaciółkę”. Każdy powinien choć raz zobaczyć ten piękny kraj. Dzwoniłem w pańskiej sprawie do sztabu 6 Armii. Wiedzą już o mapie i chcą ją mieć jak najszybciej. Jednostki Wehrmachtu dopilnują, żeby dotarła do pułkownika von Schwerina.

– Dziękuję. Z przyjemnością pojedę z panem, Herr Obersturmführer – powiedział doktor Kapto, mierzwiąc dziewczynce włosy. Rozejrzył się po pokoju swymi bezbarwnymi oczami.

– A zatem wszystko jest ustalone – rzekł Dirlewanger. – Brigadeführer Kaminski, proszę zameldować o naszej akcji antypartyzanckiej Wehrmachtowi i Luftwaffe, a także włoskim, rumuńskim i węgierskim sojusznikom, w razie gdybyśmy przechodzili przez ich odcinki. Griszka! Mironka! Siodłajcie konie!

Dwaj chłopcy stajenni z kozackimi czubami na głowach i w rozpiętych niemieckich bluzach pojawili się przy drzwiach, a potem smyrnęli do stajni. Nie było

czasu do stracenia.

IX

Po przebudzeniu Fabianie wydało się, że jest uczennicą na wakacjach i leniuchuje gdzieś w polu. Czuła woń kurzu, która kojarzyła jej się ze żniwami, i męski zapach skórzanych siodeł. Leżała na ziemi, na derce, opierając głowę o sakwę. Trzask strzałów w oddali, potem znajomy huk dział, zapach spalenizny i oleju napędowego. Chociaż zaczęło się zmierzchać, było wciąż upalnie. Bluzę miała rozpiętą; po piersiach i plecach spływały strumyczki potu. Otworzyła oczy i zobaczyła, że ktoś leży obok niej. Usłyszała rżenie konia i wreszcie dotarło do niej: jest na wojnie, jej mąż nie żyje, Malamore jej szuka, a ona, sanitariuszka Armata Italiana, towarzyszy jakiemuś Rosjaninowi – Żydowi i zapewne komuniście, byłemu łagierownikowi – którego prawie nie zna.

Poczuła się niewyraźnie. Nie widziała sposobu, żeby wrócić do swoich. Po czymś takim z pewnością ją rozstrzelają. Wyobraziła sobie, że z trawy padają strzały. Rozpędzony pocisk trafia ją i oto Fabiana leży na ziemi z otwartymi ustami i niewidzącymi oczami. Czy uwierzyliby jej, gdyby ich okłamała, opowiadając fałszywą wersję wydarzeń? A może postawiliby przed sądem wojennym? Jeśli tak, lepiej zginąć tutaj. Gdyby została rozstrzelana za zdradę, rodzice umarliby ze wstydu... Na Campo San Stin, w archiwum, w szkole wszyscy by się o tym dowiedzieli... Okryłaby ich hańbą.

Leżała bez ruchu i przeklinała swą zapalczywą głupotę. W normalnych warunkach zawsze można odwrócić nawet najbardziej niemądrą decyzję, ale nie w czasie wojny. Chciało jej się płakać. Doszła do wniosku, że niedługo umrze, i nagle poczuła, że jest wolna. Było to jak orzeźwiający powiew. Mogła być teraz, kim chciała, mogła robić i mówić, co uważała za stosowne. Nie należała do żadnego państwa, żadnego miasta, żadnego mężczyzny. Żyła od oddechu do oddechu. Była świadkiem śmierci wielu ludzi, zносиła razy swego męża, znajdowała się w dzikim, wrogim kraju i ze zdziwieniem stwierdziła, że już nie boi się umrzeć. Widziała, jak tylu młodych ludzi przekracza ten próg, jak oddech w nich zamiera. Ogarnęła ją nagła radość. Otaczające ich pole słoneczników tworzyło jej prywatne królestwo, w którym wszystko było proste. Dom, dwa konie, dwa ule, studnia – i ten mężczyzna.

Przewróciła się na drugi bok i napotkała badawczy wzrok Beni Goldeny. Niebieskie oczy w żółte cętki. Godzinami przyglądała mu się w namiocie Czerwonego Krzyża, ale wówczas był słaby, nieprzytomny, jak chore dziecko. Teraz powitał ją uważnym spojrzeniem, a ona odwzajemniła je. Czuła, że na tym stepie, uciekając przed prześladowcami, on też jest naprawdę sobą. Przez chwilę milczeli. Znowu zauważyła, że jest bardzo chudy, nos ma ptasi, cokolwiek żydowską twarz i bardzo długie czarne rzęsy. Z powodu wychudzenia wyglądał starzej niż na swoje czterdzieści kilka lat. Jasną skórę miał opaloną od jazdy w słońcu. Krótko ostrzyżone włosy i szybko rosnącą brodę przyprószyła siwizna.

Usiadł i strząsnął z siebie kurz, siano i popioły, które zdawały się cały czas unosić w powietrzu.

– Od dawna nie śpisz? – zapytała.

– Jakiś czas. Muszę zaraz jechać dalej.

Sięgnęła do sakwy i podała mu chleb i owoce. Potem oboje rzucili się na miód i tym razem Benia patrzył, jak Fabiana odłamuje kawałki plastra i wyjada miód z wnętrza dłoni. Poszedł za jej przykładem. Zaczęli się śmiać ze swego łakomstwa – miód dodał im wigoru. Fabiana wyjęła żołnierską manierkę z wrytymi inicjałami IB. Benia domyślił się, że należała do jej męża, Ippolita Bacigalupego.

– Ormiański koniak.

Podawała mu manierkę i oboje wypili po łyku.

– Nie możemy pić za dużo – powiedział.

– Czemu nie? Zasłużyliśmy, a poza tym – wzruszyła ramionami – tutaj jest pięknie, a my żyjemy...

Wypiła drugi łyk i Benia zrobił to samo.

– Nie ma nic bardziej dekadentckiego i smakowitego niż picie do śniadania – powiedział. Była to jedna z subtelnych sentencji, które lubił wypowiadać w swoim dawnym życiu. Teraz słowa te zabrzmiały niedorzecznie.

Obok cicho rżały konie, pijąc wodę z wiadra, przyniesionego przez Benię. Słoneczniki stojące wokół na straży kiwały się i szeptały, wyciągając główki w stronę ostatnich promieni zachodzącego słońca.

– Powiedziałeś: „Muszę zaraz jechać dalej...” – zaczęła.

Benia kiwnął głową.

– Musisz wracać. Im dłużej jesteś ze mną, tym twoja sytuacja będzie trudniejsza. Nie tylko Włosi będą nas teraz szukać, ale też Niemcy i hiwisi. Kałmuccy zwiadowcy wpadną na nasz trop i zorientują się, że nie obraliśmy najkrótszej drogi do rosyjskich linii. Jedź do najbliższego chutoru... Możesz mnie obwinić o wszystko, powiesz, że groziłem ci bronią, że cię porwałem, dopuściłem się okrucieństw, brutalnie cię zniewoliłem...

– Narazam cię na większe niebezpieczeństwo? – zapytała, uświadamiając sobie, co go gnębi.

Westchnął.

– Jeśli do nich wrócisz, nikomu nie będzie się chciało ścigać jakiegoś rosyjskiego jeńca. To ciebie szukają. Nie mam dużych szans, ale sam mam większe. A ty nie musisz umierać... Proszę cię, Fabiano. Musisz żyć.

– Hojna oferta – powiedziała, patrząc mu głęboko w oczy. – Tradycyjnie tylko bogowie składają takie oferty, ale ty, zbieg, uciekający skazaniec, też ją składasz... Wspaniale.

– Mamy na to specjalne określenie: hucpa.

Wiedziała, że ma rację.

– Dobrze, pojedę.

Włożyła buty i wstała, a potem zrolowała derkę i zarzuciwszy sakwy na ramię, ruszyła w stronę Violantego.

Ich siodła, nagrzane od słońca, leżały obok siebie, między spętanymi wierzchowcami. Benia podszedł, żeby pomóc jej osiodłać konia, a wtedy Fabiana, nie zastanawiając się, co robi, upuściła derki i sakwy.

– *Arrivederci*. Jakby na zawsze – powiedziała, odwracając się do niego. – Nie, może po prostu zegnaj. Na zawsze.

X

– *Alt!* – Malamore uniósł rękę i w zapadającym zmroku przyłożył lornetkę do oczu.
– Zwiadowcy wracają.

Po jednej stronie pułkownika jechał Dirlewanger, po drugiej Montefalcone. Za nimi podążała zbieranina żołnierzy: „kłusownicy” Dirlewangera w niemieckich mundurach polowych z naszywkami SS i makabrycznymi naszyjnikami, sabaudzcy kawalerzyści w czapkach z piórami, czarne koszule, kozacy hiwisi i policjanci z Schuma. Kolumnę zamykał doktor Kapto z torbą na szyi. Dziewczynka siedziała przed nim w siodle, a Kapto przytrzymał ją lewą ręką. Malamore, włożywszy gogle dowódcy czołgu dla ochrony przed kurzem, lustrował odległy horyzont.

Zapadała noc, ale step – tak pusty wczesnym rankiem – tętnił życiem. Malamore i jego ludzie mijali szeregi niemieckich czołgów z otwartymi włazami, w których widać było twarze kierowców w goglach. Na pancerzach jechali żołnierze Wehrmachtu, chłopcy w zakurzonych mundurach, którzy machali do nich. Montefalcone zauważył, że uśmiechali się drwiąco na widok ich cudacznego oddziału przeprowadzającego „operację antypartyzancką”. Od czasu do czasu napotykali uszkodzone czołgi sowieckie. Inżynierowie Kaminskiego naprawiali T-34 z pękniętą gąsienicą, stojący teraz na lawecie, a wypalony wrak ciężkiego KW otaczały zwęglone i pomarszczone figurki wielkości dzieci. Wszędzie kręcili się zrozpaczeni i oszołomieni chłopcy. Jechali na furmankach, wyładowanych siennikami, garnkami i ikonami, pchali taczki, albo po prostu szli pieszo i prosili o wodę: „Wody dla dzieci...”.

W oddali Malamore dojrzał kałmuckich zwiadowców, żyłastych mężczyzn z twarzami Mongołów i obwisłymi wąsami. Jechali na szybkich, zabiedzonych kucykach, ubrani byli w szkarłatne bluzy, a do pleców przytroczone mieli zakrzywione szable. Zbliżali się szybko.

Kałmuccy zwiadowcy, Ałtan i Guszi, ujrzeli czekający na nich oddział Malamorego i spojrzeli na siebie. Do Włochów przyłączyli się dopiero przed miesiącem. Kiedy czołgi niemieckie sunęły przez step w kierunku ich wiosek w Kałmucji, w herbaciarni starszyzna zebrała się na naradę. Jej członkowie zgadzali się, że jeśli Niemcy dotrą do Kałmucji, będzie to oznaczać wyzwolenie od bolszewickiej władzy, która przyniosła Kałmukom zniszczenie indywidualnych gospodarstw, przymusową kolektywizację i zakaz obrządków buddyjskich, praktykowanych od czasów mongolskich. I chociaż starszyzna przestrzegała przed pochopnymi działaniami, Ałtan, znakomity jeździec i ojciec dwojga dzieci, postanowił nie czekać. Od razu przeszedł linię frontu i dołączył do faszystów. Guszi, zaledwie szesnastoletni i chudy jak trzcina, a także jego kuzyn Ubaszi przyłączyli się do niego. Zamiast pracować w kołchozie, susząc ziarno w suszarni, chcieli wrócić do ujeżdżania koni, czyli właściwego zajęcia Kałmuków od czasów Czyngis-chana, a nawet wcześniejszych. Ubaszi jednak został ranny podczas walki z batalionem karnym. Wiedzieli, że wpadł w ręce komunistów i zginął.

– Nie sami Włosi – powiedział Ałtan, dostrzegając w oddziale Malamorego różne mundury.

– Niemcy, Kozacy i Schuma – rzekł Guszi, mlaskając językiem.

Nie zdobyli informacji, których potrzebował Malamore.

– Będzie niezadowolony – westchnął Ałtan, bodąc kucyka ostrogami.

– No i? – zapytał Malamore, gdy zatrzymali się przed nim.

– Naszym zdaniem nie jechali tędy – zameldował Ałtan.

Malamore pokręcił głową i zgrzytnął zębami z irytacji.

– Dotarliśmy niemal do samej linii frontu. W pobliżu Donu.

– Czy to możliwe, żeby się przedarli?

– Możliwe, ale mało prawdopodobne – odpowiedział Ałtan. – Nie są doświadczeni jeźdźcami.

– No to gdzie są?

Zwiadowcy naradzali się przez chwilę w swoim języku. W końcu Guszi powiedział:

– Gdyby byli sprytni, w ogóle by tędy nie jechali, ale okrążyli wieś, przeczekali dzień w jakiejś stodole, a potem przejechali tędy w drugą stronę.

Malamore otarł kurz z oczu i rozłożył mapę. Kałmucy pochylili się nad nią i pokazali drogę, kiwając głowami i paplając w swoim niezrozumiałym języku.

– Rozdzielimy się na dwa oddziały i urządzimy zasadzkę – warknął Malamore, kaszląc ochryple. – Zwiadowcy mają rację. Nawet jeśli zawrócili, będą koniec końców musieli tędy przejeżdżać, a my zaczekamy na nich.

XI

Fabiana zbliżyła się do Beni, wzięła jego twarz w dłonie i dwa razy pocałowała go w usta. Przyjrzała się jego oczom, ale były zamknięte, rzęsy czarnymi kreskami rysowały się na powiekach. Czowała miód i koniak, który właśnie wypili, wdychała silny zapach jego skóry, czysty, nieskażony wonią mydła ani wody kolońskiej. Łączył się z nim zapach siana, koni i siodła. Ta mieszanka kojarzyła się jej z najszcześniejszą chwilą w życiu, chwilą największej wolności.

Benia nie zdążył podnieść siodła. Rozpięła mu koszulę i wodziła dłońmi po jego ramionach, włosach na jego chudym torsie, potem spodniach. Benia też zaczął ją rozbierać i Fabiana wyczuła jego wahanie, gdy natknął się na browninga za pasem. W końcu podjął decyzję. Przez cały czas miała broń przy sobie, a przecież nie próbowała do niego strzelać, nie próbowała wracać do swoich. Rzucił browninga na leżące na ziemi spodnie i oboje osunęli się na derkę. Czowała, jak całuje pot na jej szyi, czole, a potem, gdy jej nogi uniosły się, za kolanami. Byli tak blisko siebie, że prawa dźwięku zostały odwrócone: jej dochodziły z gardła Beni, jego z ust Fabiany.

Nigdy nie marzyła o takiej chwili, nie znała takiego pożądania, nie wyobrażała sobie nawet, że potrafi zachowywać się tak śmiało ani że ktoś może tak bezceremonialnie obchodzić się z jej ciałem. Na chwilę się zawstydziała, ale w Tajnym Królestwie Słoneczników wszystko wydawało się naturalne. Mówił do niej, opowiadał, co robi, jaka jest cudna, i pod jego dotykiem jej skóra musowała jak szampan. Czowała, jak rozpływa się z rozkoszy tam, gdzie jej nie dotykał, a jego słowa i nienazwane uczucia, mające teraz nazwę, stały się jej bliskie i drogie, tworzyły poezję, którą pragnęła deklamować na starość. Miała wrażenie, że jej ciało jest księgą, w której poezja ta została zapisana.

Kiedy nadeszła czerwona fala, poczuła dreszcz i oszłamiającą radość. Roześmiała się dźwięcznie, z głową odchyloną do tyłu, włosami wijącymi się jak węże i z otwartymi ustami, błyskającymi bielą zębów. Wyobraźcie mnie sobie: Fabiana Pellegrini, która robi takie rzeczy, doznaje takich uczuć i sprawia, że ktoś inny ich doznaje. Przed Benią był tylko Ippolito, ale jej mąż, który nigdy nie patrzył na nią w ten sposób, który irytował się i gniewał, że go za mało podnieca, winił ją o własne ułomności i bił po twarzy do krwi. Co by sobie pomyślał, gdyby mnie zobaczył w tej chwili? – zapytała się w duchu z uśmiechem – a potem zapomniała o wszystkim, bo ogarnęła ją następna fala.

Znieruchomieli, pot spływał po nich strumyczkami. Nieznośna, niemal bolesna czułość minęła i Fabiana znów zaczęła pławić się w rozkoszy. Tym razem nie czuła zawstydzienia. Zachowywała się zupełnie swobodnie i pomyślała, że zrobi wszystko, o co ją poprosi, a mimo to nie będzie czuła się winna ani brudna. Z poczuciem triumfu otarła twarz wierzchem opalanej ręki.

Po wszystkim leżeli nago w świetle księżycy, pod strażą koni i słoneczników. W ciemności ich twarze wydawały się stężale i smutne. Odgłosy strzałów przybliżyły się, choć teraz brzmiały tak samo swojsko jak pohukiwanie sów i brzęczenie pszczoł wracających do uli.

– Naprawdę chcesz, żebym odjechała? – zapytała cicho.

– Musisz. Teraz jeszcze bardziej mi zależy, żeby nic ci się nie stało. Wracaj.

– A jeśli nie chcę wrócić?

– W takim razie jesteś szalona.

– A jeśli jestem?

– A jesteś?

Poważnie zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Tak, tak, chyba przez ciebie stałam się szalona.

– To minie. Musisz wrócić, musisz zrobić wszystko, żeby przeżyć.

Westchnęła.

– Nie chcę wracać. Nie chcę być trofeum Malamorego. Nie chcę, by myślał, że jestem jego, i nie chcę wracać do dawnego życia.

– Czy nie byłaby to niska cena za pozostanie przy życiu? – Benia zawiesił głos i wziął głęboki oddech. – Czy nie przyszło ci do głowy, że to Malamore zabił twojego męża?

– Dlaczego miałby to robić?

– Żeby zdobyć ciebie, oczywiście.

Nastąpiło długie milczenie.

– To by wiele wyjaśniało – powiedziała powoli Fabiana. – Chociaż, o dziwo, nigdy o tym nie pomyślałam.

– Był tam, kiedy to się stało, prawda?

– Tuż po tym – odparła cicho. To miało sens, ale to, co zamierzała teraz zrobić, też miało sens. Nagle zrozumiała to jaśniej niż kiedykolwiek. – Nie jestem już Fabianą Bacigalupe ani Fabianą Pellegrini. Zawsze chciałam być taką kobietą jak teraz. Czyż nie wszystkie te wiersze, które czytałam, odkąd byłam młodą dziewczyną, są właśnie o tym? Nie mogę wrócić do takiej kreatury jak Malamore. Chcę ci coś powiedzieć, Beniu Golden:

nie wrócę do swoich. Jeśli jedziesz dalej, muszę jechać z tobą.

Skinał głową, a na jego twarzy widać było ulgę.

– Czy nie możemy być po prostu zakochanymi bandytami? – spytała. – Tak nas nazywam: zakochani bandyci. Nic ponadto. Choć raz, ostatni raz, we własnym świecie.

Jedli.

– Odkąd wiedziałeś, że może do tego dojść?

– Nigdy. Zawsze jestem zdziwiony. Chcesz teraz poznać historię naszej miłości?

– Każda kobieta wie, że w miłości chodzi o historię. Naszą historię. A więc ja cię wybrałam, czy ty mnie?

– Trudno, żebym cię wybrał, skoro byłem nieprzytomny – zażartował. Ogarnęła ich leniwa senność. Benia, zwykle tak czujny, stał się nieostrożny i ospały. Chciał się nacieszyć letnią nocą, gęstym, wonnym powietrzem, ciemniejącym na liliowo niebem. Leżeli razem, wciąż nago, bo nocny chłód jeszcze nie nastał. Konie stały spokojnie, machając ogonami, a mięśnie na ich piersiach drgały konwulsyjnie, odganiając natrętne muchy – i Fabiana poczuła, jak w nowo odkrytych zakamarkach jej ciała prężą się mięśnie. Nigdy nie rozumiała, dlaczego ludzie robią tyle szumu wokół seksu – wydawał się jej czynnością niezdarną i jałową, jak niezrozumiała mowa. Ale teraz, gdy czasu było tak mało, nauczyła się tej mowy w jednej chwili.

Budzili się, popijali koniak i napawali się gwiazdami, rozsypanymi na stole bankietowym nieba. Fabiana smakowała płynną słodycz, przypominającą roztopiony cukierek toffi. Alkohol rozgrzaną lawą napełnił jej żyły, buzował pod skórą i znów rozpałił w niej ogień pożądania. Jej uda jeszcze raz się uniosły i kochali się, a potem zapadli w głęboki, niemal deliryczny sen. Czuli wokół siebie drzewa i słoneczniki, ziemię, poruszającą się i pomrukującą jak oni – jakby spoczywali na plecach ogromnej, niespokojnej, oddychającej bestii.

Grzmot haubic znów się nasilił. Hitlerowskie bombowce, widoczne na tle nieba jak wielkie czarne szablony, leciały na Stalingrad. Kolumny czołgów zapowiadały swoje zbliżanie się odległym warkotem. Nagle na wschodzie, nad łukiem Donu, niebo oblało się wściekłą czerwienią, jakby zdzierano z niego skórę, odsłaniając żywe ciało.

Wtedy Fabiana rozumiała, co oznacza dla nich ta zażarta bitwa. Benia narażał życie dla jej kilku chwil szczęścia, poświęcał je dla czegoś, co było strasznie ulotne i krótkotrwałe. Powinna była wrócić do swoich. Potrafiłaby chyba przekonać Malamorego, że jest niewinna, namówić go, aby odwołał pościg. Potem mogłaby wrócić do Wenecji. A Benia? Z każdym dniem, który spędzali razem, liczba Rosjan po tej stronie Donu malała. Jeszcze trochę, a Benia nie będzie miał szans przedrzeć się do sowieckich linii. Malamore ścigał go z jej powodu i gdyby Benia wpadł w jego ręce, jako Żyd zostałby niechybnie zabity. Gdyby schwytali go z nią, byłby to wyrok śmierci dla człowieka, który przywrócił ją do życia. Ich dylemat można było rozwiązać tylko w jeden sposób. Musieli się rozstać.

– Kochany Beniu – szepnęła. – Podjęłam decyzję. Miałeś rację: muszę wrócić. Nie próbuj mnie od tego odwozić. To postanowione.

Przez długi czas nie odpowiadał. Potem westchnął, wiedząc już, że ludzie czasami giną, bo nie mają sił uciekać dalej.

– Teraz jest za ciemno na cokolwiek. Myślę, że my zakochani bandyci musimy trzymać się razem. Jakby na zawsze. A dla nas na zawsze oznacza teraz. Nikt nas tu nie znajdzie. Rano zastanowimy się, co dalej.

XII

Kałmucy zobaczyli kępę topoli, a między nimi dach chłopskiej chaty. Zatrzymali konie, zastygli w bezruchu i zaczęli nasłuchiwać. Wydało im się, że słyszą rżenie, ale nie mieli pewności. Ałtan dał znak Guszemu. Zdjęli schmeissery z ramion i bezszelestnie zsiadli z koni, wpatrując się w liliowy półmrok zapadającej nocy.

To miejsce leżało na szlaku, który obraliby Rosjanin i sanitariuszka, gdyby postanowili dotrzeć okrężną drogą do Donu i rosyjskich linii. Po rozstaniu z Malamorem zwiadowcy pogalopowali przez step, wielkim półkolem okrążając z drugiej strony siedzibę włoskiego sztabu, Radziłowo. Natknąwszy się na strumień, napoilili konie, a potem wjechali w wodę i posuwali się nią, szukając na brzegach śladów końskich kopyt. Tak jak się spodziewali, znaleźli je: prowadziły do wody. Już wiedzieli, co wymyślił Rosjanin.

– Nieźle jak na żółtodzioba – powiedział Ałtan do Gusziego, oglądając miejsce, gdzie dwa konie wyszły ze strumienia i podążyły w stronę chaty.

Przez jakiś czas nasłuchiwali, a potem przywiązali kuce, zdjęli miękkie buty i ściskając kindżały w zębach, podpełzli na czworakach bliżej chaty. Zobaczyli furtkę, płot z wikliny, białe okna. Wypatrywali koni, ale nigdzie nie było ich widać. Z komina domu nie unosił się dym.

Spojrzeli na siebie. Ałtan wzruszył ramionami i pokazał ręką do tyłu. Podnieśli się i wrócili do kucyków. Było już zupełnie ciemno. Nawet przy świetle księżyca nie mogliby niczego dojrzeć, a byli tylko we dwóch. Wiele rzeczy mogło pójść nie tak.

– Czemu się zatrzymujemy? – zapytał Guszi. – Czuję, że oni tam są.

– Na jakiej podstawie, chłopcze?

– Na podstawie tropów na ziemi i mojego przeczucia. Moglibyśmy poderznąć mu gardło, zawieźć jego uszy Włochom i zdobyć awans.

– A jak przez pomyłkę, strzelając po ciemku, zranimy ją? Klacz pułkownika! Jaki awans dostaniemy wtedy, robaczku? Awansujemy na stryczek, i tyle. – Ałtan wyjął spod siodła suszone mięso wielbłąda i poczęstował Gusziego kumysem z manierki. – Zrobimy tak. Prześpiemy się tutaj, a przed świtem złapiemy ich jak szczury.

Dzień ósmy

I

Przytulony do Fabiany, Benia spał ciężkim, prawie narkotycznym snem człowieka, który jechał konno przez cały dzień, kilka godzin kochał się z kobietą, a potem, czując się zaspokojony i bezpieczny, zasnął w dusznym, falującym od upału powietrzu. Śniło mu się, że jest znów na Kołymie. Od wybuchu wojny minął miesiąc, było lato 1941 roku.

O świcie strażnicy wpadli do baraku.

– Golden, zbieraj się, z rzeczami! *Dawaj, dawaj!* Brygady robocze wychodzą! Wracasz do kopalni złota, pieprzony sobaczy fiucie!

Benia wpadł w popłoch. Przypomniał sobie przestrogę Dżaby. Stracił protektora, co oznaczało utratę synekury w klinice, a teraz wymierzano mu karę: powrót do kopalni! Tego bał się najbardziej. W koszmarach, w snach na jawie widział, jak znów maszeruje do kopalni po ciemnej stronie księżyca. Był pewien, że czeka go tam śmierć. Codziennie się tego spodziewał i w końcu stało się.

Ciężarówka czekała już z zapuszczonym silnikiem i Benia, pełen najgorszych przeczuc, wspiął się na platformę.

– Niespodzianka! – krzyknął „Uśmiechnięty”. – Cha, cha, cha! Zobacz tę minę, szefie!

– Przepadałeś za kopalnią, co? – zakpił „Nieśmiertelny”.

– No dobra, chłopaki, wystarczy – powiedział Dżaba. – Dołącz do nas, Beniu. Mamy dobre wieści. Przenoszą nas do szpitala w Magadanie, a ty jedziesz z nami.

– Myślałem...

– Wiem, co myślałeś. Ale widzisz, życie jest jak talerz *lobio* – zakończył Dżaba i bijąc pięścią w dach szoferki, krzyknął do konwojentów: – Jazda!

Po drodze, żądni najnowszych wiadomości, wdali się w rozmowę z konwojentami. Towarzysz Mołotow poinformował ludzi sowieckich o wojnie, ogłaszając: „Nasza sprawa jest słuszna. Zwycięstwo będzie nasze”. Potem przemówienie wygłosił Stalin, zwracając się do narodu per „bracia i siostry”, a nawet „moi przyjaciele”. Musi mieć pietra, pomyślał Benia, jeśli nazywa nas „przyjaciółmi”! Radio donosiło o zwycięskich przeciwnatarciach, ale konwojenci opowiadali szeptem o klęskach i załamaniu się obrony...

Nowa kwatera Dżaby mieściła się w magadańskim szpitalu, gdzie wszyscy jego protegowani dostali pracę. Benia był nadal felczerem i sprawował pieczę nad kluczami do pokoju z lekami i artykułami medycznymi. Na zawieszce był napis: „Tylko dla personelu. Szpital magadański. KOŁYMA”.

Opuszczając Kołymę, tylko tę jedną rzecz zabrał ze sobą – na pamiątkę szczęśliwego trafu, któremu zawdzięczał życie. Ale jego praca miała swoje wady: czasami „Uśmiechnięty” albo Strizkaz domagali się morfiny i Benia musiał im ją przynosić, byle nie za dużo. Gdyby go na tym przyłapano, zostałby odesłany do kopalni złota, ale gdyby odmówił żądaniom kryminalnych, Dżaba by go zniszczył. A dopóki Dżaba był zadowolony, Benia mógł czuć się bezpiecznie.

Z frontu nadchodziły złe wiadomości. Mińsk i Smoleńsk padły. We wrześniu

Związek Sowiecki stracił Białoruś, kraje bałtyckie, Krym! Leningrad znalazł się w okrążeniu. Zeki, pacjenci i lekarze nie rozmawiali o niczym innym... Kilku umierających ożywiło się i z ogniem w pustych oczach dyskutowało o losie Rosji. Ukraina i Kijów zostały zajęte, milion żołnierzy sowieckich dostało się do niewoli. Do Odessy weszli Rumuni – i Benia modlił się o ocalenie swoich rodziców. Potem gruchnęła wieść, że hitlerowcy zbliżają się do Moskwy! Echa paniki dotarły nawet na Kołymę.

Po zakończeniu pracy w sali dla umierających Benia, nie zdejmując nawet białego kitla, pospieszył do Dżaby, który brylował w swoim „pokoju klubowym”. Dżaba i Strizkaz grali w karty, Pryszczepa śpiewał pieśń włóczęgów, a pozostali wtórowali mu jak załoga okrętu pirackiego: *Zakopali złoto, złoto, złoto...*

– O co chodzi? – zapytał Benię „Uśmiechnięty”.

– Chciałbym poprosić o coś szefa.

– W porządku. Szefie, profesor ma do ciebie sprawę.

Dżaba przywołał go ruchem ręki.

– O co chodzi?

Benia zebrał się w sobie.

– Szefie, jestem twój i nie zrobię nic bez twojego błogosławieństwa, ale Moskwa jest w niebezpieczeństwie i nadszedł czas, żebym poprosił o wcielenie mnie do batalionu karnego.

– Mówiłem, żebyś więcej mnie o to nie prosił. Pod karą śmierci! A ty nadal chcesz bić się za Sukinsyna?

„Sukinsynem” zawsze nazywano Stalina.

Benia rozejrzył się. Pryszczepa przestał śpiewać, Strizkaz odłożył karty, „Nieśmiertelny” bawił się nożem sprężynowym.

– Chyba znasz moją odpowiedź? – zapytał cicho Dżaba.

Benia kiwnął głową.

– Szefie, muszę ci coś powiedzieć – odezwał się Pryszczepa, jakimś cudem wciąż wyglądający młodo i świeżo jak poranek.

– Też ma to coś wspólnego z wojną? – Dżaba nawet na niego nie spojrzał. – Wal, chłoptasiu.

– Szefie, jestem dońskim Kozakiem, wolnym człowiekiem, człowiekiem walki.

Żyła na skroni Dżaby nabrzmiała.

– Ktoś jeszcze?

– Ja też idę – powiedział Strizkaz. – Inaczej powoli tu zdechnę.

„Uśmiechnięty” podniósł rękę.

– Ja też. Wojna to łupy, można się wzbogacić.

– A ja słyszałem, że od dziewczyn trzeba się tam opędzać – pisnął Mały Mamełka.

Dżaba prychnął pogardliwie.

– Co ty wiesz o dziewczynach, Bette Davis?

Wszyscy parsknęli śmiechem, ale kiedy ucichli, „Nieśmiertelny” zaczął znacząco otwierać i zamykać nóż. Nikt dotąd nie rzucił Dżabie takiego wyzwania.

– A gińcie sobie za Sukinsyna, jak tak bardzo chcecie – powiedział w końcu Dżaba.

– Ale ty, Golden, masz kłopot. Jesteś polityczny.

– Znam zasady, ale rzeczy, które jeszcze tydzień temu były wykluczone, dziś są już możliwe. W każdej chwili może nadejść zima, więc to moja ostatnia szansa, żeby dostać się na statek. Tylko ty możesz to załatwić, szefie. Uratowałeś mi życie. Pozwól mi je przeżyć.

Dżaba gładził się po siwej czuprynie.

– Musisz podziękować Atamanszy. Pamiętasz, jaką informację o komendancie zdobyłem od niej? Wiedziałem, że kiedyś mi się przyda, i ta chwila właśnie nadeszła. „Uśmiechnięty”, idź do adiutanta komendanta i umów mnie na dzisiaj do generała Szpigelglasa. Powiedz, że chodzi o opóźnienia w produkcji w Madiak-8. Leć!

Dżaba spojrzął na Benię.

– Widzisz, Golden – wzruszył ramionami na swój beztroski sposób – czyż życie nie jest jak talerz *lobio*?

W zagubionej na stepie kępie topoli warkot nisko lecących samolotów wyrwał Benię ze snu. Słońce jeszcze nie wzeszło, było wciąż ciemno, ale horyzont zabarwił się już na turkusowo. Dawno tak dobrze nie spał. Odwrócił się, żeby spojrzeć na Fabianę – dziewczyna przeciągała się. W nocy, zbudziwszy się na chwilę, założyli bryczesy, lecz Fabiana była bez bluzy i Benia zachłysnął się jej urodą, miodowymi oczami i poczuciem szczęścia, że w taki właśnie sposób wrócił do życia. Ale Srebrne Skarpetki grzebała kopytem ziemię, kładła uszy i przewracała oczami. Benia w jednej chwili zrozumiał, że coś jest nie tak. Palomino Fabiany też stał na sztywnych nogach i nerwowo podrygiwał.

– Kochany – powiedziała Fabiana bardzo spokojnie.

– Szybko – szepnął. – Ktoś jest w pobliżu.

Ręce im się trzęsły, gdy siodłali konie, podciągali popręgi, sprawdzali strzemiona i przytracali sakwy. Wciągnęli bluzy i dosiedli koni, które nie potrzebowały żadnej zachęty. Kiedy ruszyli w skok, Srebrne Skarpetki stanęła dęba, omal nie zrzucając Beni. W tej samej chwili ujrzeli dwa wychudzone koniki szarpiące wodze, którymi przywiązano je do drzewa.

– Kałmucy – powiedziała Fabiana. – Zwiadowcy Malamorego.

Pochyliła się nisko i odcięła kucyki. Trzasnęły strzały oddane z bardzo bliska i pociski uderzyły w ziemię tuż obok nich. Benia wyczuł dwa ludzkie cienie leżące w trawie i przed oczami mignęły mu czarne wyloty luf. Dwa kucyki wierzgnęły i wystraszone razem z Violantem i Srebrnymi Skarpetkami puściły się galopem. Benia, zlany potem, czując w skroniach bijące tętno, kurczowo trzymał się grzywy swojej klaczy. W chwili gdy zza widnokręgu wychynęło słońce, razem z Fabianą i dwoma kucami zagłębili się w wysoką stepową trawę. Kiedy zwolnili, zrozumiał, ile mieli szczęścia. Zwiadowcy wytropili ich, spali niemal tuż obok, ale żaden Kałmuk nie zaryzykowałby postrzelenia swojego kucyka. Zwierzęta spłoszyły się i poniosły, przez co Kałmucy na pewien czas zostali bez koni. Malamore i jego ludzie musieli być blisko.

II

O siódmej rano Swietłana Stalina, w szkolnym mundurku i czerwonej chustce

pionierskiej na szyi, wsiadła do packarda przed trójkątnym, złotym pałacem kremlowskim, w którym mieszkała. Klimow jak zwykle siedział obok kierowcy. Minęli Bramę Troicką i jechali przez miasto do szkoły komunalnej nr 801 imienia Iosifa Stalina.

Przed szkołą powitała ją dyrektorka, towarzysza Kapitolina Miedwiediewa, nieomal zginając się w ukłonie.

– I co? – szepnęła Marfa, kiedy wchodziły do klasy na nudną jak flaki z olejem lekcję moralności komunistycznej. Marfa wiedziała, co to znaczy być zakochaną, należeć do moskiewskiej „złotej młodzieży”, ale nawet ona nie miała pojęcia, jak to jest być córką Stalina. W ich klasie wisiał portret człowieka, którego Swieta widywała co wieczór. Podczas porannego apelu zawsze śpiewali „Żyj nam długie lata, towarzyszu Stalin”, a w czasie drugiego śniadania lub obiadu wszyscy wznosili toast „Za towarzysza Stalina”. Ale ojciec wytłumaczył jej ostatnio, że „ty nie jesteś Stalinem i nawet ja nim nie jestem. Stalin to coś znacznie więcej, Stalin to władza sowiecka!”.

Marfa trąciła łokciem Swietlanę.

– Widziałas się z nim?

– Tylko dwa razy – szepnęła Swieta, bo zaczęła się lekcja.

– Listy?

– Kilka!

– Jak ten, który mi pokazywałaś?

Swieta kiwnęła głową.

– „Chcę Cię całować, chcę czuć twój zapach, chcę czuć twój smak” – zacytowała słowa, które Lew napisał do niej w liście.

– Naprawdę to napisał? Co to znaczy, Swieto?

– Nie wiem, Marfoczka. Ale uwielbiam wszystko, co mówi, każde słowo.

– Jak całuje?

– Fantastycznie. Niebiańsko! – Swietlana stłumiła chichot. – Czerwienię się na samą myśl! Wczoraj przysłał mi książkę w prezencie. Po angielsku.

– Co? Coś nieprzyzwoitego?

– Tak. Nowa powieść Hemingwaya, *For Whom the Bell Tolls*.

– Rety! Zaczęłaś już czytać? Ja nie mogę się doczekać.

– Czytałam całą noc. Jak ojciec wszedł do pokoju, schowałam ją pod *Krótkim kursem* i nie zauważył. Jest taka romantyczna, wspaniała. Amerykański komunista Jordan walczy w Hiszpanii i zakochuje się w Marii, dużo młodszej Hiszpance, tragicznie doświadczonej przez życie.

– Skąd my to znamy!

– Właśnie. Lew to Jordan, a Maria to ja. Lew jest taki inteligentny, tak interesuje się wszystkim...

– Czy jest coś ciekawego w gazecie?

Swieta miała w tornistrze egzemplarz „Krasnoj Zwiezdy”. Wyjęła go ukradkiem i rzuciła okiem na pierwszą stronę. Był tam artykuł Lwa o zażartej bitwie w łuku Donu, która miała powstrzymać niemieckie natarcie. Zaczęła czytać i osłupiała:

Czy w Moskwie świeci słońce, na róże w Ogrodach Aleksandrowskich? Stojąc tu wśród huku armat, gdy bohaterska Armia Czerwona zмага się z hitlerowską hydrą, myślę

o naszej stolicy i wierzę, że kwitną tam kwiaty. Z twojego okna widać blanki Kremla...

Rumieniec szkarłatną falą oblał jej ciało. Swietłana zaczęła tak energicznie wachlować się egzemplarzem *Krótkiego kursu*, że aż kilkoro uczniów obejrzało się. Pod ławką podała gazetę Marfie, która rzuciła się do lektury.

– Matko Boska, Święta! Ten facet zwariował! Co powiedziała by twój ojciec! Przecież może to przeczytać!

Ale Swietłana była wniebowzięta.

– KOCHA mnie! – mówiła w upojeniu. – Zresztą, na kwiaty w Ogrodach Aleksandrowskich może patrzeć każdy. Tylko my wiemy, że chodzi o kogoś, kto mieszka na Kremlu.

– Racja. Jednak twój ojciec w to nie uwierzy, prawda?

– Nie, ale gwizdź na to! Nie mogę się doczekać, kiedy znów będziemy się z Lwem całować.

Cała klasa patrzyła teraz na dwie przyjaciółki, które zawsze siedziały z tyłu. Nauczyciel, doktor Innokentij Rimm, odpychający i pedantyczny oportunistą, zaważał się. Bał się Swietłany, a ona chętnie to wykorzystywała. Nie mógł jej kazać, żeby zamilkła, nie ośmieliłby się. Postanowił więc zbesztać Marfę.

– Pieszkowa! Nie uważasz!

– Tak, przepraszam, doktorze Rimm, już słucham.

– To dobrze! Opowiedz nam więc o poglądach Marksa na walkę klasową i rolę burżuazji w rewolucji 1848 roku.

Marfa uśmiechnęła się zniewalająco.

– No cóż, to proste...

III

– Gdzie u diabła podzieli się ci zwiadowcy? – mamrotał zirytowany Malamore. Kałmucy pewnie gdzieś zabiwakowali, ale słońce było już na niebie. Razem ze swoimi ludźmi pułkownik spędził noc w jednym z chutorów i wstał jeszcze przed świtem. Zapalił papierosa i pojechał przodem, a jego sylwetka wyglądała na tle nieba jak posąg jeźdźca na koniu. Nie miał ochoty wysłuchiwać sprośnych uwag Dirlewangera ani narzekań Montefalconego. A nikt nie chciał jechać obok doktora Kapti i jego dziewczynki.

Na błękitnym niebie nad Donem pojawiła się plama czarnego dymu z płonących magazynów paliwa i pomarańczowe błyski strzelających dział. Malamore nieomal czuł wytwarzaną przez nie falę uderzeniową. Niemcy niszczyli ostatnie rosyjskie przyczółki w łuku rzeki. Po oczyszczeniu przedpola zamierzali ruszyć przez step na Stalingrad – i być może wbić ostatni gwóźdź do trumny państwa sowieckiego. Malamore jednak wiedział, że im bliżej znajdowali się pola bitwy, tym było bardziej prawdopodobne, że Fabiana i rosyjski jeńiec zginą od ostrzału – albo jeszcze gorzej: uda im się dotrzeć do rosyjskich linii, a wtedy będą straceni na zawsze. Jak wyglądałoby życie Fabiany po dostaniu się w ręce Rosjan? Nigdy by się nie dowiedział, co się z nią stało.

Minęli posiłki złożone z żołnierzy rumuńskich i węgierskich, a potem kolumnę czołgów czekających na dostawę paliwa. Na jednym z pojazdów namalowano „Na Stalingrad!”, na innym „Od Donu do Wołgi!”, a na trzecim „Stalin kaputt!”. Młodzi

żołnierze – rękawy podwinięte, ręce opalone – siedzieli na pancerzach, paląc papierosy i pisząc listy. Zgiełk bitwy sprawiał, że myślami byli przy domu rodzinnym, ukochanych, spokojnej przeszłości.

Dirlewanger zapytał jakiegoś sierżanta, gdzie jest sztab 6 Armii, i pokazał pejczem na doktora Kaptę.

– Ten człowiek musi dostarczyć coś ważnego pułkownikowi von Schwerinowi z wywiadu 6 Armii.

– Tędy – rzekł sierżant z bawarskim akcentem. – W stronę Donu. – Zamilkł, uważnie przyglądając się Dirlewangerowi i Kapcie. – Z którego oddziału jesteście?

– Dowodzę Sonderkommando Dirlewanger podległym Einsatzgruppe D. Operacja antypartyzancka.

Sierżant uniósł brwi.

– Antypartyzancka? A co to za dziewczynka? Przecież to małe dziecko. – Jego podwładni śmiali się prostacko z Kaptę i dziecka. – To twoja córka czy tylko przyjaciółka?

Dirlewanger machnął pejczem i ruszył dalej. Uszy miał zaczerwienione.

– Przez ciebie jesteśmy pośmiewiskiem – syknął do Kaptę.

Dziewczynka spała w siodle, opierając głowę na ramieniu doktora.

– Naprzód! – zawołał Malamore, spinając Borgię ostrogami. Chwilę później byli niemal sami na stepie. – Muszą tędy przejeżdżać. Nie możemy tracić czasu.

– To pan pozwolił, żeby jakiś Żyd uciekł ze swoją przyjaciółką – wypomniał mu Dirlewanger.

– Proszę więcej o niej nie wspominać, Dirlewanger. – Malamore rzucił okiem w stronę Kaptę. – Kiedy przekazemy 6 Armii naszego przyjaciela doktora?

– W każdej chwili powinniśmy napotkać oddziały 6 Armii – zauważył Kaptę, dołączając do nich. – Śpi w czasie jazdy – powiedział wesoło, pokazując na dziewczynkę.

Na chwilę zapadło milczenie.

– Nie jestem świętoszkiem – rzekł Dirlewanger i Malamore zwrócił uwagę, że Niemiec kiwa się w siodle. Był jak zwykle podпиты. – Ale czy sądzi pan, że pruscy oficerowie, jak generał Paulus i pułkownik von Schwerin z 6 Armii, będą zachwyceni na widok człowieka, który jeździ z dzieckiem *Untermenschen* w siodle?

– Po prostu troszczę się o dziecko – odpowiedział Kaptę. – Musimy otaczać troską tych, których leczymy.

– Kałmucy wrócili – zawołał jeden z hiwisów, Bap.

Ałtan i Guszi podjechali i oddali honory wojskowe.

Malamore zsunął gogle na czoło. Jego oczy były zaledwie szparkami w spalonej słońcem twarzy.

– Spóźniliście się wiele godzin – warknął. – No więc, gdzie oni są?

Podnieceni Kałmucy nerwowo kręcili się w siodłach, a ich kucyki obracały się to w prawo, to w lewo.

– Bardzo blisko. Zaraz powinniśmy ich zobaczyć – powiedział Ałtan.

– Wytropiliśmy ich. Widzicie ten kurz? – pokazał Guszi jakiś punkt w oddali.

Malamore ściągnął cugle i podniósł lornetkę do oczu. Tak, tam ktoś był. Na stepie,

w wysokiej trawie rozmywającej się w złotym świetle, dostrzegł małe dymki kurzu: dwóch jeźdźców.

– To oni – powiedział krótko. – Montefalcone, weźmie pan drugi szwadron i zajedzie im drogę. Reszta za mną. Strzelać i szarżować tylko na mój wyraźny rozkaz. Obersturmführer, pojedzie pan ze mną.

Chciał mieć Dirlewangera przy sobie, bał się, że Niemiec zrobi Fabianie krzywdę.

Dirlewanger nie protestował. Jego ludzie załatwią się z Żydem po swojemu, nawłoką jego małżowiny na naszyjnik, jeśli zechcą (i czasem tak właśnie robili) – ale dziewczyna należała do starego Włocha; to on dowodził akcją.

Wzbijając kurz, Malamore i jego ludzie ruszyli galopem przez step. Mieli nadzieję podkraść się do jeźdźców, zanim ci się zorientują, jak blisko jest pogoń.

IV

Zakochani bandyci jechali w stronę Donu w beztroskiej nieświadomości zagrożenia. Fabiana nawet rozpuściła włosy i pędziła tak szybko, że Benia obawiał się, iż spadnie z konia. Czuł, że dziewczyna chce się nacieszyć ostatnimi wspólnymi chwilami. Nie miał złudzeń, że jego szczęśliwa passa musi się skończyć, i to niebawem.

– Tam! – pokazał. Tuż przed nimi wyrastały porośnięte lasem dońskie wzgórza, a dalej, w dolinie, majestatycznie płynęła rzeka. Benia był prawie w domu i serce zaczęło mu bić szybciej. Im bardziej jednak zbliżał się do wzgórz, tym bliżej był pola bitwy nad Donem i rozstania z Fabianą. Ona też o tym wiedziała. Uśmiechnęła się na widok wzniesień, ale potem posmutniała i Benia widział, że opadły ją przykre myśli. Cwałowali dalej, przeżywając ostatnie chwile radości.

Tuż obok w trawie plasnęła kula karabinowa. Benia obejrzał się. Przesłonięta falami rozgrzanego powietrza majaczyła w oddali grupa jeźdźców. W jadącej na przedzie zgarbionej postaci rozpoznał Malamorego z szablą w ręku. Fabiana obróciła Violantego i patrzyła na nich nieruchomo, z zapartym tchem.

– *Stronzo!* – zakląła. Benia odbezpieczył pepeszę, chwycił jej konia za uzdę i zawołał:

– Szybko!

Padające gęsto pociski rozrywały ziemię wokół nich i Srebrne Skarpetki stanęła dęba ze strachu, ale Beni udało się ją okiełznać. Przed nim Fabiana jechała pod górę, w stronę drzew.

– *Pronti a fare fuoco!* Przygotować się do strzału! – usłyszał Benia komendę Malamorego (domyślił się, że to on). Pułkownik krzyczał na swoich ludzi, żeby zaczekali i strzelali dopiero na jego rozkaz, bo mogliby trafić dziewczynę – ale jego podwładni, dwudziestu, może trzydziestu, jechali dalej, a kopyta ich koni tratowały suchą trawę. Zagłębiwszy się w cień drzew, Benia zobaczył z daleka innych jeźdźców – to drugi włoski szwadron zajeżdżał im drogę... Teraz nie było już nadziei.

Zaciskając oczy w przyplýwie panicznego strachu, Benia ścisnął klacz kolanami, ale nie wiedział, co robić: zeskoczyć z konia, strzelać czy po prostu poddać się i zginąć. Dygotał już na myśl o tym, co go czeka.

Dotknął granatów, które miał za pasem. Jeśli będzie trzeba, skończy ze sobą.

Dwa szklane koła lornetki omiatają dońskie wzgórza. Obserwator nieruchomieje i ustawia ostrość soczewek.

Widać przez nie dwóch jeźdźców galopujących po otwartym stepie. To kobieta i mężczyzna. Mężczyzna nosi mundur khaki, na głowie ma włoską furażerkę, za pasem granaty, a na ramieniu pepeszę. Jedzie na budionnowskim koniu z białymi pęcunami. Kobieta ubrana jest w zielony włoski mundur z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu, jej ciemne włosy nie są związane, rozwiewają się na wietrze, bodzie ostrogami swego palomina. Ich ruchy zdradzają desperację. Mężczyzna – starszy wiekiem i niezbyt pewnie trzymający się w siodle – raz po raz ogląda się za siebie. Można dostrzec, że kobieta, nisko pochylona, drży, zapewne ze strachu. Oboje jadą coraz wolniej.

Obserwator, leżący w trawie nieco wyżej na tym samym wzgórzu, nieopodal biura miejscowego kolchozu, przesuwając lornetkę. Uciekających ściga dwóch Kałmuków na lichych kucykach, a za nimi dość bezładna grupa jeźdźców, dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu: pułkownik Czarnych Koszul na czarnym rumaku, Niemcy z patkami SS na bluzach, rosyjscy zdrajcy w mundurach Wehrmachtu. Wśród nich jakiś mężczyzna wiezie dziewczynkę w siodle: uratował ją? Rzadki odruch serca w czasach ludzi o sercach z kamienia? Wśród tych barbarzyńców? Cóż, byłby to prawdziwy ewenement.

Patrzący widzi, jak pociski koszą trawę wokół dwojga jeźdźców. Pościg jest coraz bliżej i nagle na szczycie wzgórza pojawia się drugi szwadron Włochów. Strzelają do uciekających. Obserwator nie może oderwać oczu od dziwnej pary jeźdźców. Są atakowani przez nieprzyjaciela, a on otrzymał przecież wyraźny rozkaz od towarzysza Ponomarienki, szefa operacji partyzanckich w Moskwie: „Nękać i niszczyć wszystkie siły, środki łączności i broń wroga na tyłach 6 Armii”.

Odwraca się do ludzi leżących obok niego. Jak zawsze mówi cicho, tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Ogień ze wszystkich czterech daszek. I z moździerzy. Szybko, bo będzie za późno!

– Rozkaz, towarzyszu Elmor! – odpowiada „Uśmiechnięty” i ciężkie karabiny maszynowe Diegtiariowa-Szpagina, zwane daszkami, otwierają ogień z metalicznym terkotem, zasypując gradem ołowiu szwadron włoskich jeźdźców.

V

Fabiana zobaczyła cebulastą kopułę cerkwi, kolorowo malowane chaty i stajnie małego chutoru. Na tablicy z nazwą miejscowości było napisane: Szebinkino. Samotny spieniony koń dogonił ich, wlokąc za sobą niemieckiego jeźdźcę, któremu bluza okręciła się na głowie. Tuż za sobą Fabiana wciąż słyszała świst kul i pocisków moździerzowych. Gnali w takim popłochu, że wpadli na złamanie karku w główną ulicę chutoru, nie patrząc, co jest przed nimi.

Było południe, ale chutor zdawał się opuszczony. Na drodze leżał zdechły pies, skądś dolatywał wrzask kotów. Było parno. Fabiana czuła zapach gnijącego chmielu, winorośli, piołunu i stęchłej wody. Podniosła wzrok i zobaczyła wybuchy ciężkich pocisków zaledwie kilka kilometrów dalej, nad łukiem Donu, gdzie wrzała bitwa. Wciąż nie mogła złapać tchu i kiedy zerknęła na Benię, był blady jak płótno, ledwie trzymał się

w siodle i nie mógł opanować drżenia rąk.

Konie stanęły naraz jak wryte i próbowały zawrócić. Pośrodku ulicy stał parchaty wilk. Fabiana spojrzała w jego głodne i zdumiewająco białe ślepie. Kiedyś wilk był symbolem dzikiej drapieżności, teraz stał się jeszcze jednym prześladowanym stworzeniem. W tym świecie człowiek znacznie przewyższył wilka w okrucieństwie.

– *Ciao, bello* – powiedziała do zwierzęcia, przypominając sobie, jak Natasza z *Wojny i pokoju* zobaczyła wilka. Odszedł na sztywnych nogach – i konie, pokryte żółtą pianą, znieruchomiały.

Fabiana zdążyła osadzić Violantego, żeby złapać Benię, który ześliznął się ze swojej klaczy prosto w jej objęcia. Zabrała mu pepeszę, zawiesiła ją sobie na ramieniu i odprowadziła konie. Słyszała pobrzękiwanie uprzęży i tupot kopyt. Benia leżał na ziemi między dwoma chatami, a Fabiana rozglądała się wokół.

Zbliżała się do nich na tarantasie staruszka o woskowej twarzy, ubrana na jasnoczerwono. Ściągnęła lejce, zlazła z kozła i pokuśtykała do domu, nie przywiązując konia.

Patrząc na Benię, który kiwnął głową, Fabiana uwiązała konie i przez otwarte drzwi weszła za kobietą. Jak szybko się uczymy, my zakochani bandyci, pomyślała, zdejmując z ramienia pepeszę.

W dużej izbie starowina wkładała do miski suszone wiśnie. Fabiana zauważyła też *salo* i kaszę gryczaną.

– Jak okradniesz Afonkę, umrzesz w boleściach – zaskrzeczała starucha, nie podnosząc oczu. Fabiana przebiegła wzrokiem półki. Stały na nich słoiki pełne nasion i butelki z jakimiś mętnymi płynami. – Żyd i cudzoziemka przychodzą do domu biednej kobiety, co ją wszyscy opuścili, grożą bronią i okradają ją. Ściągniecie na siebie klątwę wodnego ducha Donu. A to kto?

Fabiana obejrzała się. Benia stał za nią i w drżącej dłoni trzymał pistolet. Fabiana chciała wyjść jak najszybciej, ale Benia nie wyglądał dobrze, a stara miała jedzenie.

– Żyd myśli mnie zabić. Ale to od Najświętszej Paniienki zależy, kiedy umrę. Zabije was piorun, stal albo trucizna – mamląa bezzębnymi ustami.

– Powiedzcie nam, matko, co mamy zrobić? – zapytał Benia, opuszczając parabellum.

– Opłuczę was, niewiernych, świętą wodą z Donu i dam wam coś na drogę.

– Nie mamy wody z Donu.

– Jest w wiadrze. Przynieś je.

Benia wniósł wiadro i starucha spojrzała na niego. Fabiana zauważyła, że jej oczy są całe w żyłkach, niebiesko-białe, pozbawione źrenic.

– Jak na ślepa, mam dobry wzrok, co? – powiedziała stara, pożółkłym paznokciem kreśląc na czole Beni znak krzyża. – Najświętsza Paniienka, która wypędza bestię z serca, udziela przebaczenia wrogowi Chrystusa. Amen! – Potem powtórzyła swój obrzęd przy Fabianie. – Widzę pole słoneczników, a między nimi dwoje ludzi się całuje, zapominając o całym świecie. Widzę dobrego doktora i szczęśliwą dziewczynkę, żydowskie dziecko, które odchodzi w dal. Jedzcie i pijcie.

– Dziękujemy, matko – rzekł Benia, jedząc łąpczywie chleb i kaszę. Fabiana nalała

obojgu wody.

– Zostawcie mi coś niecoś. Nie potrzeba mi dużo – mówiła wiedźma, gdy Fabiana zabierała żywność, marząc, żeby uciec już z tego domu. – Wyjdźcie od tyłu. Tędy – wypchnęła ich tylnymi drzwiami – a dowiecie się, że nigdy nie rzucam słów na wiatr. Idźcie!

Objuczona jedzeniem, Fabiana wyszła z chaty i wzdrygnęła się. Na piaszczystej ziemi leżał trup niemieckiego żołnierza. Otwarte usta, w których bzyczały wielkie muchy, były pełne zielonkawych wymiocin, ściekających po policzku.

VI

– Ilu mamy zabitych? – zapytał Malamore. Stał z goglami na czole, trzymając w dłoni zapalonego papierosa i klepiąc po kłębie ociekającą potem Borgię. Dostawszy się pod ciężki ostrzał, uciekli na drugą stronę wzgórza i wjechali do jakiegoś chutoru. Nie wszystkim jednak się udało.

– Sześciu – odpowiedział Montefalcone.

– I siedmiu rannych – dodał młody adiutant Malamorego, Brambilla – Dwóch zaginionych.

– *Figli di puttana!* Skurwiele! – zaklął Malamore.

Podjechali Kałmucy.

– W chutorze nikogo – zameldowali. – Ale jest jedzenie.

Malamore zauważył, że Dirlewanger ma drgawki jak narkoman, którym zresztą był. Sam Malamore przeżył wiele nieprzyjacielskich zasadzek i nawet teraz nie okazywał zdenerwowania.

– W porządku, rozstawcie czujki. Partyzanci nie mogą być daleko. Zerwijcie winogrona i jabłka. Pochowajcie zabitych i opatrzcie rannych.

Ocierając pot z czoła, Malamore poprowadził swój szwadron do chutoru. Jechał powoli, wręcz majestatycznie, garbiąc się w siodle. Kiedy dotarł do domu popa, zeskoczył z konia, usiadł na werandzie w starym wyplatanym fotelu i popadł w zadumę. Tymczasem Dirlewanger połknął kolejną tabletkę Pervitinu i zaczął chodzić tam i z powrotem, czując pulsowanie w skroniach. Montefalcone obserwował go, popijając z manierki. Obaj czekali na rozkazy. Szyby w oknach dzwoniły od wybuchów dział.

Malamore palił papierosa za papierosem i pokrzepiał się koniakiem. Partyzanci zaatakowali ich zniemacka z pozycji na pobliskim wzgórzu i pułkownik wiedział, że to jego wina. Fabiana odwróciła jego uwagę i nie spuszczał jej z oka, gdy uciekający znaleźli się blisko nich. Sprawiała wrażenie, jakby czekała na okazję, żeby uciec Rosjaninowi, który miał broń. Ale pytanie: czy to możliwe, że współdziałała z rosyjskim Żydem, nadal nie dawało mu spokoju. Czy to możliwe, żeby byli nawet... nie, to wykluczone.

Dirlewanger zaczął się bawić swoim upiornym naszyjnikiem. Oczy błyszczały mu jak szpilki z czerwoną obwódką.

– Zastrzelmy każdego napotkanego Rosjanina.

– Mają szczęście ci wieśniacy, że uciekli – odpowiedział mu zgryźliwie Montefalcone. – Może wiedzieli, że pan się zbliża.

– Panie konsulu – powiedział Brambilla od drzwi. – Kapitan Wehrmachtu chce się

z panem widzieć.

VII

Fabiana wybrała zagrodę pośrodku chutoru, daleko od chaty staruchy. Liczyła, że tutaj trudniej będzie ich znaleźć. Weszli z końmi do stodoły i zamknęli wrota. Wnętrze było wypełnione sianem. Samotna stara szkapa, pozostawiona przez właścicieli i zapewne ich ulubienica, wyglądała na bardzo zadowoloną z widoku przybyszy. Benia położył się na ziemi.

– Musisz więcej jeść – powiedziała Fabiana. Dała mu chleb, kaszę i wiśnie staruchy, a także ostatni plaster miodu. Kiedy zjedli, poczuli się lepiej, ale oboje śniali się ze zmęczenia. Było już późne popołudnie i uzgodnili, że nie zapalą lampy ani nie rozpalą ogniska, bo może być to jedyne światło w chutorze, widoczne z daleka. Benia wiedział, że byli o włos od śmierci, i decyzji o rozstaniu nie można już odkładać.

Przez długi czas nie odzywali się, świadomi, że ich prześladowcy są bardzo blisko. Konie jednak nie mogły iść dalej, a oni sami nie mieli sił włożyć nogi w strzemień, a cóż dopiero galopować. Ukryli się, ale Malamore i jego ludzie mogli wpaść do stodoły w każdej chwili. Benia nasłuchiwał końskiego rżenia, skrzypnięcia furtki, brzęku ostróg. Gdzieś na stepie zaczął wyc wilk. Co obudziło jego czujność? Benia niemal spodziewał się usłyszeć wołanie: „Wypuść sanitariuszkę. Przynajmniej ona będzie żyć!”.

W końcu westchnął i powiedział:

– Oboje wiemy, co musi teraz nastąpić.

Postanowił, że jeśli przeżyje, nigdy się nie przyzna, że kiedykolwiek znał Fabianę. Należała do faszystowskich najeźdźców walczących po stronie hitlerowców i samą ich znajomość, nie mówiąc o stosunkach cielesnych, strona sowiecka uznałaby za zdradę: oboje rozstrzelano by na miejscu. W oczach swoich rodaków Fabiana pomagała Żydowi, Rosjaninowi i komuniście, a na dodatek spała z nim. Jeśli zostaną razem, razem zginą. Nie tylko ich miłość była skazana na śmierć, lecz także oni sami, nieszczęśni kochankowie. Ich jedyną szansą było rozdzielić się, a Benia musiał usunąć ze swego życia najmniejszy ślad Fabiany.

Kiwnęła głową.

– Od jak dawna zakochani bandyci się znają? – zapytała.

– Znów zgłębiasz historię? – odpowiedział, uśmiechając się smutno. – Nie wiem.

– Nie wiesz, Il Primo? Dokładnie osiemdziesiąt sześć godzin. Czy potrzeba zbadania miłości ze wszystkich stron to różnica między mężczyzną a kobietą? Chyba tak.

Zapadał zmierzch i w stodole było zupełnie ciemno.

– *Mia adorata* – powiedział – czy nie wydaje ci się, że czasem całe lata w życiu człowieka nic nie znaczą, a potem przychodzi czas, że każda sekunda jest cenna, ważna – żyjemy tak intensywnie, że każda minuta liczy się pięciokrotnie, dziesięciokrotnie, tysiącokrotnie. I czas ten nazywamy „miłością”. Czasami jedna noc jest jak całe życie.

– Tak. Tak właśnie jest.

W oddali zaszczekał pies i Benia wstrzymał oddech. Czy faszyci otaczają już dom? Widział blask jej oczu, ciemnych teraz, odbijających gasnące światło. Raptem ogarnęło go pożądanie i wiedział, że Fabianę też. Byli związani ze sobą, odkąd pierwszy

raz się zobaczyli, odkąd Fabiana usunęła pocisk z jego ramienia. Teraz przestrzeń między nimi wydawała się poprzecinana złotymi nitkami – jak pajęczyna z kroplami rosy o świetle. Jak często zdarza się to w życiu?

Benia wyciągnął ręce do Fabiany i jej dłonie już na to czekały. Położył sobie jej palce na ustach i pocałował je. Wodząc po śladach łez płynących po jego policzkach, zaczęła płakać na głos, jak dziecko. Przez chwilę chciał ją uciszyć – mogła zdradzić ich kryjówkę prześladowcom – ale machnął ręką, przestało mu zależeć. Jej płacz był głosem życia przeżywanego intensywnie i wrażliwie w najokrutniejszych czasach. Upadła na kolana, trzymając w rękach jego twarz, całując go tymi szerokimi, lekko skrzywionymi ustami. Ich miłość była jak ostatni spazm konającego ciała, unoszącego się na fali.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – rzekła, gdy oboje znieruchomieli na krawędzi nerwowej, ulotnej karykatury snu. – O czymś z mojej przeszłości.

Zdażyła być kochanką Malamorego? – pomyślał Benia.

– Coś o moim mężu.

– Wiem. Malamore zabił go podczas tamtej potyczki.

Wyczuł w ciemności jej napięcie.

– Za dobrze o mnie myślisz – szepnęła.

– Co chcesz przez to powiedzieć, *mia cara*?

– Nie rozumiesz?

– To byłaś ty?

– Tak. Podczas tej bitwy Ippolito wpadł w panikę. Czymś go zdenerwowałam, więc uderzył mnie w twarz i przewrócił na ziemię. Kiedy upadłam, jego kabura znalazła się tuż przed moimi oczami. Chwyciłam jego berettę i strzeliłam mu prosto w serce. Nie wydał żadnego dźwięku, patrzył tylko na mnie z takim zdziwieniem i przestachem, a potem... potem umarł na moich oczach. Strzały zbliżały się, więc pobiegłam przez ogrody za domami i dotarłam do naszych żołnierzy. – Odetchnęła głęboko, dygocząc na samo wspomnienie. – Musiałam ci to powiedzieć. Żebyś wiedział, kim jestem.

Benia milczał.

– Nie powinnam była ci tego mówić. *Che stupida*.

Benia zastanawiał się nad jej wyznaniem. Co to oznacza? Skłamała? Co jeszcze ukrywa? Czy jest morderczynią? Pod aksamitem kultury i oglądy dojrzał nagle drapieżne zwierzę. Ale przecież pokochała go i ocaliła mu życie. Jej impulsywna życzliwość i odwaga budziły w nim podziw i tylko to się liczyło.

– To niczego nie zmienia – rzekł po chwili.

Czuł, jak się odprężyła.

– Jeszcze jedno, Beniu. Chciałabym, żebyś dał mi jakąś pamiątkę, która zawsze będzie przypominać mi ciebie. Abyś wiedziała, że naprawdę istniałeś i że to wszystko rzeczywiście się zdarzyło.

Zawahał się na chwilę, a potem sięgnął do kieszeni i podał Fabianie jedyną rzecz, którą miał: mały klucz ze skórzaną zawieszka z napisem: „Tylko dla personelu. Szpital magadański. KOŁYMA”.

Wzięła go i Benia usłyszał w ciemności, jak go całuje.

– Jakby na zawsze – powiedziała.

– Jakby na zawsze – powtórzył.

VIII

Po wyjściu z domu Malamore zobaczył niemieckiego kapitana i krępego porucznika, którzy przywiązywali swoje konie. Kiedy kapitan zasalutował, Malamore zauważył, że nie ma drugiej ręki. Pod szyją wisiał Krzyż Żelazny.

– Pułkowniku Malamore, pozwoli pan, że się przedstawię. Von Manteuffel, Gerhard. – Zasalutował, trzaskając obcasami. – Kapitan, oddział wywiadu, 6 Armia. Porucznik Kreutzer pozostanie na dworze.

– Proszę wejść – odpowiedział Malamore doskonałą niemczyzną. – Czekaliśmy na pana. Poproszę Dirlewangera.

– Właściwie, Herr Oberst, jeśli wybaczy pan moją śmiałość... – odpowiedział Manteuffel. – Mam rozkaz od samego generała Paulusa, żeby porozmawiać z panem w cztery oczy. Bez Dirlewangera.

Malamore nawet się nie zdziwił. Kapitan von Manteuffel, który nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia siedem lat, mówił z wytwornym akcentem i był jednym z pruskich arystokratów, nadal zappełniających wyższe szczeble Wehrmachtu. Malamore przypuszczał, że jego rozmówca pochodzi z rodziny o starych wojskowych tradycjach. Jego przodkowie walczyli pewnie pod rozkazami Fryderyka Wielkiego.

– Papierosa, panie kapitanie? – zapytał Włoch, gdy usiedli na z gruba ciosanych chłopskich zydlach.

– Z chęcią, Herr Oberst – odrzekł Manteuffel. – Przyjechałem, żeby przejąć od was sowieckiego zbiega Kaptę i jego materiały wywiadowcze. Pułkownik von Schwerin jest w polu, ale jutro przyjedzie po niego i jego mapy. Polecił mi przesłuchać Kaptę i wstępnie przejrzeć jego materiały.

– Każę go sprowadzić.

Kapto przyszedł po kilku minutach i zasalutował teatralnie, jakby przez całe życie przygotowywał się odegrania tej roli.

Manteuffel odklonił się, a potem powiedział znakomitą ruszczyzną:

– Od tej chwili odpowiadam za pana. Pułkownik von Schwerin poprosił mnie o wstępną ocenę. Jest pan gotów do wyjazdu?

Poszli we czwórkę dwa domy dalej, gdzie stał uwiązany koń Kaptę.

– Dobrze – powiedział Manteuffel. – Porucznik pomoże panu osiodłać konia. Czy jest coś jeszcze?

– Tak – odpowiedział lekarz. – Muszę obudzić dziecko, które śpi w tym domu.

– Dziecko?

Zaglądając przez uchylone drzwi, Manteuffel zobaczył małą dziewczynkę śpiącą na łóżku i wymienił spojrzenia z Malamorem.

– Kim jest ta dziewczynka? To pańska córka, doktorze?

– Nie, ale jest pod moją opieką. Podróżuje ze mną.

– Nie rozumiem...

– Jest moją pacjentką – uśmiechnął się Kapto. Kąciki jego ust uniosły się do góry, przez co usta przybrały kształt kości rzucanej psom.

– Pacjentka?

– Kiedy ją znalazłem, była ranna, a jako pediatra mam takie powiedzenie: „Musimy otaczać troską tych, których leczymy”.

Ukląkł przy łóżku i delikatnie potrząsnął śpiącą za ramię. Dziewczynka, bardzo blada, usiadła i rozejrzała się wokół swymi księżycowymi oczami.

– Herr Hauptmann – rzekł Malamore – cieszę się, że doktor Kapto jest bezpieczny pod pańską opieką. Mam na głowie wiele spraw... i muszę się przespać. Do widzenia, panie kapitanie.

Wyszli i Malamore patrzył, jak odjeżdżają. Doktor jechał w środku z dzieckiem na kolanach, a po obu stronach dwaj Niemcy.

Montefalcone i Dirlewanger czekali na niego w swojej kwaterze.

– Jeszcze ich nie znaleźliśmy – zameldował Montefalcone. – Straciliśmy wielu zabitych i jeszcze więcej rannych tylko po to, żeby odzyskać jedną sanitariuszkę. Proponuję przerwać pościg i wrócić do naszych zwykłych obowiązków.

– Jestem tutaj, żeby zwalczać partyzantów. Dlatego właśnie Reichsführer-SS skierował mnie tu z Białorusi. Posłałem po posiłki – mamrotał Dirlewanger, popijając z manierki. – Tymczasem ścigajmy tego Żyda.

– To nie jest nasze zadanie – powiedział Montefalcone do Malamorego. – Wykazali się sporą odwagą. Dziewczyna – a także Rosjanin.

– Odwaga? – uśmiechnął się drwiąco Dirlewanger. – Odważnych Żydów musimy zabić przede wszystkim. *Christus! Oberarschloch!* Gnojek nad gnojkami!

– Pościg trwa nadal – zarządził Malamore. Stał na werandzie, patrząc na gwiazdy i nasłuchując odgłosów bitwy. – Przeszukać każdy dom i każdą stodołę. Mogą być bliżej, niż nam się wydaje.

Dzień dziewiąty

I

Cichy trzask repetowanej broni wyrwał Benię ze snu. Lufa była tak blisko jego czoła, że czuł chłód metalu i zapach oliwy. Obawiał się tego przez cały czas, wyobrażał sobie tę chwilę – i w końcu stało się. Czuł jednak takie znużenie, że było mu już wszystko jedno. Niech mnie zastrzelą, pomyślał. Człowiek może uciekać tylko do pewnego momentu, nie dłużej. Bał się otworzyć oczy, spodziewając się zobaczyć łuskowatą twarz Malamorego. Czekał na strzał, wzdragając się wewnętrznie. Strzał jednak nie następował, a zamiast niego rozległ się jakiś dźwięk. Ktoś się roześmiał.

– Dzień dobry, *dieduszka!* To ja, dziadku, obudź się!

Benia usiadł i zobaczył jasnoniebieskie oczy Pryszczepy, a nad nimi blond czuprynę wyglądającą jak stóg siana. Tamten śmiał się całą gębą, rozradowany jak dziecko.

– Coś taki smutny? – zapytał Pryszczepa. – Żyjesz, Beniu, a to już coś. Zobacz, kto jest ze mną.

Benia wychylił się i ujrzał „Pajaka” Haranżę, a obok niego starego wachmistrza o cerze jak drewno tekowe, Pankę.

– Nie jesteś ranny, braciszku? – zapytał Panka. Jego małe oczka ciekawie przyglądały się Beni i opatrunkowi na jego ramieniu.

– Dostałem w ramię, ale już jest dobrze. Jestem tylko piekielnie zmęczony.

– Zmęczony? To nie pora na zmęczenie – powiedział Panka. – Nie wymawiaj nawet tego słowa. Głowa do góry! Jesteśmy blisko naszej kochanej matki rzeki, a nad Donem zawsze świeci słońce. Nie możemy tu zagotować wody, nie możemy ryzykować rozpalania ognia, ale zjedz trochę chleba i łyknij sobie tego. – Podał Beni kawałek borodinskiego chleba i manierkę z koniakiem. – Potem musimy ruszać.

– Dokąd? – zapytał Benia, szukając wzrokiem Fabiany.

Haranża przyglądał mu się chłodno, taksująco. Pryszczepa nadal się uśmiechał.

– Do domu, oczywiście.

– A gdzie to jest?

– Już ci powiedziałem – odparł Haranża, obrzucając kolegów swoim zwodniczo niewinnym spojrzeniem.

Benia szybko oprzytomniał. Kiedy wrócą do swoich – o ile wrócą – wszyscy zostaną wzięci na przesłuchanie. I jeśli Benia przyzna wtedy, że nie wie, gdzie byli Kozacy, zostaną rozstrzelani jako zdrajcy. „Pajak” przyglądał mu się bacznie, w zupełnym bezruchu, i Benia wiedział, co to oznacza. Przyczajenie się drapieżnika przed skokiem i pochwyceniem ofiary.

Każdy żołnierz walczący tego lata na stepach musiał kalkulować i dokonywać trudnych wyborów, ale sytuacja karniaków, którzy przeprawili się na drugi brzeg rzeki, była nie do pozazdroszczenia. Trzej kozaccy towarzysze Beni znaleźli się tu nie tylko po to, aby go uratować, lecz także ocalić swoją skórę, dołączając do niego albo likwidując niebezpiecznego świadka. Gdyby okoliczności tego wymagały, Haranża, człowiek,

którego obecność płoszyła konie, poderznąłby mu gardło z przyjemnością. Benia przypomniał sobie, jak ciężki, ołowiany chód „Pajaka” zamienił się w niemal taneczny krok, gdy zabijał kałmuckiego zdrajcę. Pryszczepa, bezmyślny złoty chłopak, o sprężystym chodzie i apetycie beztroskiego wilka, załatwiłby się z nim jeszcze szybciej. Tylko Panka pewnie by się zawahał.

Żołnierze, którzy zaginęli na tyłach wroga, byli uważani za zdrajców, chyba że mogli udowodnić, iż nimi nie są. Dlatego uczciwi ludzie, tacy jak rotmistrz Żurko, wylądowali w batalionach karnych. Gdyby na tych karniaków padło najmniejsze podejrzenie, po prostu dostaliby po osiem gramów ołowiu w tył głowy i nie stanęliby nawet przed sądem wojennym. Istniała jednak pewna trudność: Benia nie wiedział, gdzie jego Kozacy byli przez ostatnie kilka dni. Może przejściowo zbiegli do faszystów? Czekali, żeby zobaczyć, jak szybko Niemcy dojdą do Stalingradu i zagłębia naftowego? A może uznali, że klęska Związku Sowieckiego nie jest tak szybka, jak to się wydawało w chwili upadku Rostowa, i zmienili zamiar, zacierając za sobą ślady? Jeśli tak, to czy wiedzieli o jego tajemnicy: Fabianie?

– Chwileczkę – powiedział, podnosząc ręce. – O nic nie pytam. Walczyliśmy, zostaliśmy odcięci i odnaleźliśmy drogę do Donu.

– Zabiliśmy Mandrykę. Odzyskaliśmy wolność – to proste!

Pryszczepie wszystko wydawało się proste.

– Partyzanci będą pamiętać, że tam byliśmy. Chyba że... moglibyśmy zrobić coś jeszcze, żeby zasłużyć na darowanie kary.

Pryszczepa machnął ręką.

– Żydek zawsze się za bardzo przejmuje.

Haranza zaczął się drapać po głowie, co zawsze było u niego znakiem, że zaczyna się uspokajać.

– No to wszystko w porządku – rzekł Pryszczepa. – Cieszę się, że nasz brat Benia żyje – ale w końcu uczył się u najlepszych jeźdźców nad Donem. Ten Żydek potrafi jeździć konno, co, Panka? – Objął Benię. – Zjedźmy coś, prześpijmy się, a potem może wykąpiemy się w Donie. Kąpałeś się kiedyś w Donie, Beniu?

– Nie ma na to czasu, bracie – powiedział Panka, spluwając. – Pryszczepa, zapomniałeś, gdzie jesteśmy. Don to prawdziwy kocioł. W tej chwili fryce przetrząsają chutor, szukając nas.

– Pójdę na zwiad – rzekł Pryszczepa, który zawsze palił się do najbardziej niebezpiecznych zadań. Wyszli na dwór i Panka osiodłał Srebrne Skarpetki. Violante, palomino Fabiany, zniknął.

– Robię to dla ciebie, bracie, tylko ten jeden raz – powiedział stary Kozak. Benia uznał jego gest za wielki komplement.

Haranza ostrzył nóż i drapał się, wyluskując wszy z ubrania. W końcu Pryszczepa wrócił.

– Zbliżają się – wysapał zdyszany. – Jedziemy.

Jadąc z trzema towarzyszami w stronę Donu i rosyjskich linii, Benia wiedział to, co zrozumiał już w chwili, gdy Pryszczepa przyłożył mu lufę do głowy. Że obudził się sam, całkiem sam. Było tak, jakby jej nigdy nie spotkał.

II

Swietłana widywała ojca rano tylko podczas wakacji nad Morzem Czarnym. A teraz był w domu i stał nad nią. Właśnie szykowała się do szkoły, gdy ojciec wpadł do jej sypialni, czego nigdy nie robił.

Spojrzała mu w oczy i od razu zrozumiała, że awantura jej nie minie. Ojciec gotował się ze złości i niania, stojąca za jego plecami, była sztywna ze strachu. Swietłana nie widziała go jeszcze w takim stanie. W jej obecności prawie nigdy nie tracił panowania nad sobą, a teraz był blady i z gniewu prawie nie mógł mówić. Wymachiwał jakimiś papierami, które trzymał zwinięte w rękę.

– Ukaralem Wasilija za jego wybryki – powiedział. – Kazałem go wrzucić do kozy, bo zachowywał się jak jakiś pieprzony paniczyk! Ale twoje zachowanie jest nie mniej odrażające. To takie rzeczy robisz, kiedy nasi chłopcy giną tysiącami?

– Co masz na myśli, ojczu?

Swietłana dobrze wiedziała, o co chodzi, ale chciała zyskać na czasie.

– Nie udawaj idiotki! A więc gdzie one są? Te plugawe listy od twojego „pisarza”? Twojego tak zwanego pisarza! Gdzie są te listy?

– Nie wiem, tato...

– Oczywiście, że wiesz, nie bierz mnie za głupca. Też je czytałem. – Poklepał się po kieszeni bluzy. – Są tutaj. Co za brudy! Wiem wszystko. Nie wierzysz? To co to jest?

– Rzucił plik zapisanych pismem maszynowym kartek do nóg Swietłany, która aż podskoczyła. – No dalej, przyjrzyj się! Zobacz wszystkie swoje plugawe słowa! Podnieś i przeczytaj. No, czytaj!

III

Kiedy porucznik Brambilla przyniósł Malamoremu filiżankę kawy zbożowej, Dirlewanger przysiadł się do pułkownika. Cuchnął już sznapsem i pod wpływem krążącego w żyłach alkoholu poccił się, mrugał oczami i miał drgawki.

– Czy Montefalcone już wstał? – zapytał Malamore Brambillę.

– Tak, panie pułkowniku. Obudziłem go.

Wtedy rozległ się strzał. Malamore i Dirlewanger spojrzeli na siebie, zerwali się z miejsc i pobiegli do sąsiedniej chaty. Montefalcone, z głową złożoną na rękach, siedział całkowicie ubrany przy stole, na którym leżała jego czapka z piórami i dokumenty. W dłoni trzymał pistolet, a z rany w skroni wąską strużką ciekła krew.

– Szlag! – zaklął Dirlewanger. – Ta wojna...

Malamore pokręcił głową.

– To był bardzo marny żołnierz.

Zapalił papierosa. Brambilla stanął za nim.

– Co teraz zrobimy, panie pułkowniku? Co powiemy?

– Major zginął podczas akcji antypartyzanckiej. Po powrocie sporządzą odpowiedni raport. Pochowajcie go na podwórzu. Szybko i po cichu. – Urwał. – Brambilla?

– Tak, panie pułkowniku.

– Za godzinę ruszamy.

Odgłos pojedynczego wystrzału odbił się echem od wzgórz, ale czterech jeźdźców nie zwróciło na niego uwagi.

– Widziałem naszego starego znajomego – powiedział Pyszczepta. – Tutaj, jechał po tym wzgórzu.

Zatrzymali się wśród drzew porastających wzniesienie. W dole, w słabym świetle brzasku, widzieli ludzi Malamorego kręcących się wśród chat; ich konie stały przywiązane pod cerkwią. Dalej widać było dym podnoszący się nad łukiem Donu, skąd dobiegała narastająca wrzawa bitwy. Wybuchające pociski były teraz tak blisko, że czuli drżenie ziemi. Zapach wody i gnijących trzcin drażnił nozdrza. Dotarli do przeszkody, którą musieli pokonać.

– Haranza, pojedź przodem i rzuć okiem – polecił Panka. – Odpoczniemy tu chwilę.

Kiedy Haranza zniknął między topolami, Panka zsunął się z Almaza i żując machorkę, w roztargnieniu głąskał konia po kłębie. Benia wiedział, że Panka zastanawia się nad czymś głęboko. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że Panka odpoczywa, ale wynik jego rozmyślań miał zdecydować o ich losie. Srebrne Skarpetki skubała trawę, Panka podszedł i pogładził ją po szyi.

– Dobrze wybrałeś, bracie – powiedział do Beni. – Ja też zawsze ją kochałem. Ta dziewczyna ma pewne nogi.

Benia pocałował biały pysk Srebrnych Skarpetek. Było mu żal, że włóczy swoją klacz po polach bitew. Zasługiwała na to, żeby swobodnie hasać po stepie, wolna i szczęśliwa.

– Co robimy, wachmistrzu?

– No cóż, mój chłopcze... to bardzo proste. – Panka zachichotał nerwowo, co znaczyło, że sprawa wcale nie jest prosta. – Albo przeprawimy się przez Don tutaj, albo dołączymy do naszych na przyczółku. Tutaj musielibyśmy przepłynąć rzekę, a jest szeroka i jeśli dobrze przypominam sobie to miejsce, gdzie kiedyś złowiłem wielkiego szczupaka, nurt jest silny. Mogą zastrzelić nas w wodzie i możemy stracić konie. A jeśli zbliżymy się do naszych linii nieco dalej w górę rzeki, będzie to jak polowanie z wujkiem Prokofijem – wujcio postrzelił kiedyś w zadek mojego kuzyna Griszkę, celując do niedźwiedzia nad rzeczką Wieszenskaja. Chodzi o to, że dostaniemy się w krzyżowy ogień i nasi mogą nas zastrzelić przez pomyłkę.

– Miałem kiedyś dziewczynę, która mieszkała nad tą rzeczką – powiedział Pyszczepta. – A stary znajomy, którego widziałem zeszłej nocy, to doktor Kaptó.

– Gdzie? – zapytał ostro Beni.

– Wyjeżdżał ze wsi z dwoma frycami. Oficerami Wehrmachtu.

– A dziewczynka?

– Siedziała w siodle. – Pyszczepta odwrócił się do Beni. – Zależy ci na tym dziecku?

– Boję się o nią – powiedział Beni, ale potem przypomniał sobie proroctwo staruchy: lekarz i dziecko będą beztróska jechać po stepie.

– Jechali przez ten las.

Panka ruszał szczękami, żując machorkę, a małe oczka połyskiwały jak klejnoty

w jego mądrej twarzy.

– Kierują się chyba do kwatery 6 Armii, tylko po co?

Benia przypomniał sobie postać lekarza i zrozumiał, że torba, którą Kapto miał zawieszoną na szyi, zawierała nie lekarstwa, lecz jakieś dokumenty. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, wrócił Haranza.

– Dwaj Niemcy czekają w biurze kołchozu. A Kapto jest znowu z nimi.

– Znowu z nimi? A gdzie się podziewał?

– Skąd mam wiedzieć? Był w lesie i wrócił – odpowiedział Haranza. – Możemy załatwić całą trójkę.

– Bracia – ostrzegł Panka – nie zatrzymujemy się i nie podejmujemy zbędnego ryzyka. Na koń.

– Trójkę? – dopytywał się Benia. – Chyba czwórkę? Razem z dzieckiem.

Haranza pokręcił głową.

– Dziecka z nimi nie ma.

– Na pewno? Dwóch oficerów, lekarz. A dziewczynka?

– Powiedziałem przecież, głupi pismaku – zirytował się Haranza, przerzucając nogę nad końskim zadem i sadowiąc się w siodle. – Dziewczynki tam nie ma.

Benia wzdrygnął się i poczuł, jak przeszywa go gorący strumień gniewu. Oczywiście dziewczynki nie było. Kapto ocalił ją, zaopiekował się nią, a potem się jej pozbył. Leżała nieżywa gdzieś tam, na ziemi, i tak dopełnił się jej los. To samo mogło spotkać Fabianę, zdaną tylko na siebie. Benia przyłożył twarz do szyi Srebrnych Skarpetek i zaczął szlochać spazmatycznie. Klacz odwróciła głowę i trącała go pyskiem, łaskocząc wibryssami.

– Zobacz, co zrobiłeś – rzekł Pyszczepa, drocząc się z Haranzą.

Panka podszedł do Beni.

– No, nie przejmuj się tak, Golden. Wszyscy musimy stwardnieć, drogi chłopcze. Jesteśmy prawie u celu. – Podał Beni manierkę z koniakiem. Ten wypił zbyt duży łyk i zakrztusił się, ale trunek ukoił jego rozedrgane nerwy.

– Słuchajcie – powiedział do trzech Kozaków. – Nie mamy niczego, co moglibyśmy pokazać po naszym powrocie. Potrzebujemy łupu.

IV

– Poruczniku Kreutzer, konie są niespokojne. Proszę sprawdzić, czy zostały napojone, a może gdzieś w pobliżu wałęsa się dzikie zwierzę – powiedział kapitan von Manteuffel z wywiadu 6 Armii, siadając na ławce w biurze kołchozu. Z rosnącym podnieceniem studiował mapy sowieckiego sztabu generalnego. – Von Schwerin będzie tu jeszcze dziś wieczorem. Kreutzer, proszę przynieść jakieś papierosy i sznaps z sakw.

– *Jawohl*, Herr Hauptmann, już idę.

Biuro dyrektora gospodarstwa kolektywnego nr 23 imienia Siergieja Kirowa było spartańsko urządzone i zaniedbane: ściany ze sklejk, podłoga ze starych desek, na ścianach wyblakła fotografia Stalina i mapa wielkiego gospodarstwa nad Donem, ławka, drewniane krzesła, kanapa, na której dyrektorzy ucinali sobie drzemkę po zakrapianych obiadkach z miejscowymi aparatczykami, i palnik gazowy do gotowania

czaju.

Manteuffel czekał na pułkownika von Schwerina, który wybrał to biuro na miejsce spotkania.

– Dobrze nadaje się do tego celu – zapewnił. – Będę tam najpóźniej o północy. Proszę przygotować raport.

Doktor Kapto leżał na kanapie, paląc papierosa Bielomorkanał.

– Podobają się panu, kapitanie? – zapytał swoim precyzyjnym, aksamitnym głosem. – Przydadzą się? – A potem, po chwili milczenia: – Generał poklepie mnie po ramieniu? Lepsza byłaby jakaś nagroda, co? Przychodzi mi do głowy to i owo...

Manteuffel wciąż nie mógł się otrząsnąć po porannych wydarzeniach. Kapto wrócił ze swoim gładkim uśmiechem na twarzy, dumny z łatwości, z jaką załatwił sprawę. Kapitan wiedział, że wywiad to brudna gra, w czasie której ma się do czynienia z najróżniejszymi dziwakami i szarlatanami. Rozumiał, że trwa bezwzględna wojna z odrażającym przeciwnikiem, że Führer rozpoczął okrutną kampanię wyniszczania Żydów – mężczyzn, kobiet i dzieci – i że muszą ją prowadzić himmlerowscy „specjaliści” w rodzaju Dirlewangera, którzy byli niewiele lepsi od dzikich zwierząt i na pewno nie dostaliby zaproszenia do Schloss Manteuffel. Ale to dziecko...

Manteuffel przeprowadził z Kaptą wstępną rozmowę, aby ustalić jego wiarygodność i sposób zdobycia przezeń materiałów. Sporządził obszerne zapiski, a potem skupił się na mapach, których znaczenie pojmował coraz wyraźniej w miarę studiowania. Był świadom niebezpieczeństwa sowieckiej dezinformacji i oczywiście znał historię majora Reichela, którego samolot rozbił się na sowieckich tyłach z kompletnymi planami operacyjnymi ofensywy Führera o kryptonimie „Blau”. Stalin, ten obsesyjnie podejrzliwy chłop, uznał je za niemiecką dezinformację. Na szczęście, bo plany były autentyczne, a prowadzona zgodnie z nimi ofensywa prawdopodobnie przyniesie Niemcom ostateczne zwycięstwo. Taka zdobycz nie zawsze więc oznaczała podstęp.

Jeśli mapy doktora Kaptę były prawdziwe (a kilka ich cech, które nie mogły zostać sfalszowane, kazały Manteufflowi skłaniać się do takiego poglądu), należało je jak najszybciej zawieźć samolotem do kwatery Führera. Jeśli Manteuffel będzie miał szczęście, von Schwerin zabierze go ze sobą. Mapy, które miał teraz w rękę, mogły zmienić plany Führera dotyczące zdobycia Stalingradu i kaukaskiego zagłębia naftowego.

– Kapitanie von Manteuffel!

Był to głos tego osła Kreutzera.

– Co znowu?

– Jednego konia brak.

– Jak to możliwe? *Hornochse!* Dureń! Nie były spętane? Nie pilnował pan ich?

– Oczywiście, panie kapitanie, oczywiście. Nie rozumiem, jak to się stało...

Manteuffel wyszedł za pulchnym porucznikiem z chaty i rozejrzał się. Wokoło wzgórze, lasy: bezruch i cisza.

– Nie przywiązał ich pan należycie, *Vollidiot!* Skończony idiota! To przez pana niedbalstwo. Niech pan go szuka! Zaraz przyjdę... – Patrzył jeszcze, jak Kreutzer schodzi po schodach, trzęsąc tłustym zadem, a potem wszedł do środka zwinąć mapy. – Ten bałwan zgubił konia – powiedział do Kaptę, który usiadł i chciał coś powiedzieć, ale

Manteuffel nie czekał.

Wybiegł z biura, przeklinając porucznika:

– Kreutzer, *du Höllenhund!* Ty psie piekielny!

Nadal przeklinał, gdy natknął się na ciało porucznika, leżące między dwoma pozostałymi końmi.

– Jezu Chryste! – wykrzyknął, a kiedy podniósł wzrok, ujrzał tuż przed oczami lufę nagana. Trzymał go w ręku jasnowłosy młodzieniec w sowieckim mundurze, nucący coś pod nosem.

Przecież jutro lecę do kwatery Führera, więc dzisiaj nic mi się nie może stać, pomyślał Manteuffel. Wtem coś lśniącego i prawie błękitnego błysnęło tak szybko przed jego podbródkiem, że nieomal usłyszał syk. Dotykając dłonią gardła, zdziwił się, że jest wilgotne. Chwilę później padał już do tyłu w objęcia innego mężczyzny, który złapał go i położył na ziemi. Był pewien, że to nie przydarza się jemu, bo przecież przed sekundą był pełen życia, a i teraz wszystko sobie jasno uświadamiał. Marzył o papierosie i kieliszku sznapsa, czekało go spotkanie z pułkownikiem von Schwerinem, nie mówiąc o locie do kwatery Führera. Spojrzał w twarz mężczyzny z końską szczęką i szerokich, otwartych i bardzo czerwonych ustach praktycznie pozbawionych warg. W górze błękitniało beznadziejnie bezchmurne niebo. Zniknięcie konia powinno było obudzić jego czujność, to nie ulegało wątpliwości. Gdzieś blisko padł strzał, ale von Manteuffel nie przestraszył się; był już w innym świecie.

Haranza stwierdził, że niemiecki kapitan nie żyje. W zmętnianych oczach zabitego odbijało się słonecznikowo-modre niebo. Z pepeszą gotową do strzału Haranza podszedł do drzwi biura, ale na widok wychodzącego Panki uspokoił się.

– Czas na nas – rzekł wachmistrz.

– Naszego pisarza ani na chwilę nie można zostawić samego – śmiał się Pryszczepa. – To prawdziwa zhora. Zdaje się, że za długo przestawał z tobą, „Pająk”.

Benia wciąż trzymał parabellum nad głową doktora Kapy, któremu strzelił prosto w czoło. Teraz, gdy Kapto nie żył, Benia bał się go dotknąć. Haranza obszukał trupa. Znalazł nowy, niemiecki dowód tożsamości, w którym Kapto figurował jako oficer Schuma. Benia zabrał ze stołu mapy i notatnik Manteuffla i włożył wszystko do torby Kapy, którą przewiesił przez ramię.

Kiedy wychodzili z biura kołchozu, Panka niósł konserwy, czekoladę i amunicję, znalezione w niemieckich sakwach. Wszyscy czterej dosiedli koni. Beni drżały ręce: nie mógł uwierzyć w to, co zrobił. Z zimną krwią zastrzelił człowieka. Bez słowa, tak po prostu, teraz zaś jechał dalej, czysty i bez skazy. A jednak mała żydowska dziewczynka nie żyła. Leżała gdzieś niedaleko na gołej ziemi i Beni było jej straszliwie żal – żal jej rodziny, Fabiany i wszystkich ofiar tej okrutnej, potwornie okrutnej wojny.

– Tylko Kozak mógł obłaskawić konia, tak jak ja to zrobiłem z tym niemieckim wierzchowcem – chełpił się Pryszczepa – i tylko Kozak doński mógł im go ukraść sprzed nosa.

– Zamknij się, gaduło – warknął Haranza.

– Bracia, musimy teraz zdecydować, co dalej – powiedział Panka. – Decyzje są jak karpie w Donie!

- Śliskie i ościste – wyjaśnił Pryszczepa.
- Decydujcie, wachmistrzu – zaproponował Benia.
- Z przyjemnością. Dobrze będzie zobaczyć Don. Czuję go już, czuję naszą matkę rzekę, nasz kochany cichy Don.
- Nawet jeśli możemy w nim utonąć – zauważył Benia.
- No tak – zgodził się życzliwie Panka. – Ale nad Donem zawsze świeci słońce.

V

Zmierzali w stronę frontu. Panka jechał na czele, za nim Benia z Pryszczepą, a „Pająk” Haranza osłaniał tyły. Działa strzelały nieprzerwanie. Każdy wybuch wstrząsał powietrzem i sprawiał, że bolały ich oczy. Czołgi z warkotem sunęły naprzód, samoloty latały na małej wysokości, czarny dym wokół nich przesłaniał niebo. W nozdrzach Beni, a nawet na jego ubraniu, zawisł smród kordytu i spalin.

Zjechali ze wzgórza, przecięli równinę i w końcu go ujrzeli. Don. Przeprawili się przez rzekę zaledwie tydzień temu, ale wydawało im się, że od tamtej chwili minęły całe wieki. Benia miał wrażenie, jakby przeżył w tym czasie całe życie. Woda, spieniona przy brzegach, zdawała się parować, bo nad lśniącymi płyciznami kłębił się dym. Trawa na kredowej skarpie przeciwległego brzegu błyszczała szmaragdowo. Jechali po plaży, na której wałały się stare sieci i jakaś łódź kozackiego rybaka. Dalej w górę rzeki żarłoczne mewy dziobały zwłoki rosyjskiego żołnierza – otwarta czaszka była już pusta, bieląla nagimi kośćmi. Na wodzie leżał w połowie zatopiony prom, w który trafił niemiecki pocisk. Mewy, upasione na wojennej jacie i drapieżne, latały nad nimi z przeraźliwym krzykiem, czasami tak blisko, że Benia czuł na twarzy podmuch.

Mówili niewiele, wiedząc, że jeśli będą mieli pecha, zostaną trafieni szrapnelem i wszystko się dla nich skończy. Gdyby nawet odnaleźli rosyjskie linie, mogli zostać zastrzeleni przez wysunięte posterunki. Po prostu musieli liczyć na łut szczęścia – chociaż Panka uznał, że dońska plaża jest najlepszym miejscem, między innymi dlatego, że wartownicy będą mogli wyraźnie ich zobaczyć. W tym miejscu niebezpieczeństwo pomyłki było mniejsze.

Konie denerwowały się coraz bardziej, gryzły wędzidła, prychały, wierzgały i nie chciały iść dalej. Benia skrócił wodze i przemawiał do Srebrnych Skarpetek:

– Jestem przy tobie, mała.

Gruchnęła salwa z dział, zapewne rosyjskich, chociaż trudno było mieć pewność. Benia podskoczył w siodle, a klacz stanęła dęba. Ścisnął ją nogami, położył się na grzywie i zdołał jakoś uspokoić. Jechali dalej.

– Kto idzie? Odpowiadaj, bo będę strzelał! – doleciał głos z betonowego bunkra przed nimi.

– Wachmistrz Pantalejmon Czurielko i trzech ludzi, 2 Sztrafbat Kawalerii.

– Nigdy nie słyszałem. Jaki sztrafbat?

– 2 Sztrafbat Kawalerii. Mamy materiały wywiadowcze dla generała.

– Nic o was nie wiemy! – upierał się głos.

– Zwariowaliście, żeby jechać po plaży? – odezwał się drugi. – Mogliśmy was zastrzelić!

– Wciąż możemy was zastrzelić, ścierwa! – krzyknął pierwszy, bardziej opryskliwy głos. – Rzućcie broń, przywiążcie konie i podchodźcie z rękami do góry!

Zsiedli z koni i ruszyli piechotą. Benia obejrzał się na Srebrne Skarpetki. Zastanawiał się, czy ją jeszcze zobaczy.

– Iść powoli! Żadnych sztuczek ani szybkich ruchów, bo będziemy strzelać!

Po chwili znaleźli się w małym schronie z widokiem na rzekę. Czterech żołnierzy, nastolatków w mundurach, obszukało ich.

– Witajcie z powrotem, przyjaciele – powiedział ten bardziej uprzejmy. – Jesteście głodni?

– Wołodia, schowaj chleb, dopóki się nie dowiemy, kim oni są – upomniał go opryskliwy kolega. – Zawiadomiliśmy Organy i ci z wydziału specjalnego już czekają. Zaprowadzę was tam. Schylcie głowy.

– A co z naszymi końmi i bronią? – zapytał Pyszczepa.

– Martwcie się lepiej o siebie, dobrze wam radzę. – Wycelował do nich z karabinu. – Idźcie pierwsi. Głowy nisko i biegiem! – Pochylili się i pobiegli do drugiego bunkra, a potem do następnego. W końcu dotarli do wielkiego schronu wkopanego w zbocze wzgórza. Czekał przed nim oficer z czterema ludźmi, czekistami z wydziału specjalnego. Wszyscy mieli w rękach pepesze.

– A więc wróciliście – powiedział lejtnant Mogilczuk.

– Chwała Bogu, że nas znacie! Wiecie, kim jesteśmy! – wykrzyknął radośnie Benia. Swego czasu Mogilczuk go przesłuchiwał, ale teraz jego widok ucieszył Benię tak, jakby był on rodzicem witającym zaginione dziecko.

Kozacy padli sobie w objęcia.

– Udało nam się, bracia – mówili. Pyszczepa płakał.

– Dość tego, żołnierze! – przerwał te czułości Mogilczuk. – Tak, wiem, kim jesteście, karniacy. Nie sądziliśmy, że jeszcze was zobaczymy. Nie wiemy, gdzieście się podziewali. Musimy was sprawdzić. Na jak długo zniknęliście? Tydzień? Wystarczy, żeby zostać niemieckimi agentami. – Pokazał w kierunku pobliskiej chaty. – Jesteście aresztowani. Idźcie tam i usiądźcie. Będziemy was przesłuchiwać osobno. Odpowiadajcie na pytania szczerze, a wszystko będzie dobrze. Niech wam nawet do głowy nie przyjdzie, żeby kłamać. Skłamiecie, a będzie z wami krucho, zrozumiano? O obozie będziecie mogli tylko pomarzyć. Marsz!

Niezbyt ciepłe przyjęcie, ale tego się przecież spodziewaliśmy – powiedział sobie Benia.

Mogilczuk zaprowadził go do małej izby.

– Zacznijmy od nazwisk i jednostek, a potem dowiemy się, czy jesteście kolaborantami i zdrajcami. Karniacy, co? Nikt z was nie wrócił. Myśleliśmy, że wszyscy zginęli. – Zanotował coś i podał podoficerowi. – Jedna luka w waszych zeznaniach, a wszyscy zostanieie skróceni o głowę!

– Proszę o pozwolenie na zabranie głosu, towarzyszu lejtnancie – powiedział Benia. Mogilczuk kiwnął głową przyzwalająco.

– Mam przy sobie materiały wywiadowcze zabrane zdrajcy, którego zabiliśmy zgodnie z pierwotnym rozkazem. Uważam, że te ściśle tajne mapy powinien jak

najszybciej zobaczyć generała. Zdrajca wykradł je i przekazał Niemcom. Przed pięcioma dniami wzięliśmy też udział w zabójstwie zdrajcy Mandryki. Mamy nadzieję, że zasłużyliśmy tym na darowanie kary.

– Dajcie mi te materiały – polecił Mogilczuk.

– Chciałbym prosić o zanotowanie w moich aktach, że materiały te oddali wam karniacy Golden, Czuriełko, Pryszczepa i Haranża.

– Nie mędrkujcie mi tu, więźniu. To ja decyduję, co się znajdzie w waszych aktach. Oddajcie te papiery po dobroci, bo pożałujecie.

Dwadzieścia minut później wyższy rangą czekista, zezowaty pułkownik Spasski, studiował mapy i notatnik, słuchając relacji Beni. Wyglądało na to, że materiały zrobiły na nim większe wrażenie niż na Mogilczuku.

– W porządku – skinął głową, wzdychając głośno i mlaskając językiem. – Chyba nieźle się sprawiliście. Musimy was sprawdzić, ale wasz udział w akcji przeciwko Mandryce potwierdził towarzysz Elmor. Zameldowaliśmy już o tym wydarzeniu zwierzchnictwu.

Benia wrócił do małej izby, ale zaraz wezwano go znowu, na rozmowę z generałem nazwiskiem Czernyszew. Generał czekał na niego w towarzystwie pułkownika Spasskiego i komisarza politycznego dywizji.

– No, sztrafnik – powiedział Spasski surowo, ale z błyskiem w oku – być może zasłużyliście na darowanie kary. Wiemy, że dużo przeszliście. Dobra robota. Czekamy już tylko na decyzję przełożonych. W Stalingradzie stacjonuje generał, który wie coś o zdrajcach Mandryce i Kapcie, i przypadkiem jest na tym odcinku. Przyjdzie tu niedługo, żeby wydać ostateczną opinię o was. – Wezwał Mogilczuka: – Ich relacje się zgadzają. Myślę, że są czyści.

Generał Czernyszew wstał i uściśnął rękę Beni.

– Z radością zarekomenduję darowanie im kary. Sporządźcie odpowiednie dokumenty, towarzysze, a ja je podpiszę. Dajcie im dobrze zjeść, po sto gramów wódki i zaprowadźcie do łaźni. I na miłość boską, uwolnijcie ich od wszy!

Benia poczuł taką ulgę i radość, że nie mógł mówić. Uśmiechając się do siebie, wrócił za Mogilczukiem do chaty, w której zastał pozostałych. Po spałaszowaniu czarnego chleba, kaszy, koziego sera, a nawet paru świeżych pomidorów i wypiciu stu gramów wódki spojrzeli na siebie z triumfem. Znowu czuli się ludźmi.

– Zwolnią nas z batalionu karnego i będziemy mogli wstąpić do normalnego oddziału? – zapytał Pryszczepa.

– Chyba tak – odrzekł Benia. Generał powiedział przecież: „Z radością zarekomenduję darowanie im kary”. – Tak, tak, na pewno.

Na podłodze leżały sienniki. Haranża i Panka od razu zasnęli. Benia położył się obok i z rozkoszą poddał się ogarniającej go senności. Wiele przeżyli, ale mają to już za sobą, wreszcie mają to za sobą.

VI

Swietłana, zdruzgotana, podniosła z podłogi papiery rzucone przez ojca.

– Widzisz, co to jest? To zapisy waszych rozmów telefonicznych, twoich i twojego

tak zwanego kochanka! – Stalin wyrwał jej kartki z rąk i zaczął czytać. Dłonie mu drżały. – „Swietłana Stalina: Cześć, Lwie, marzę, żeby cię całować, czuję twój zapach, czuję dotyk twoich warg, Lwie, chcę jeszcze...”. Jak możesz mówić takie rzeczy? Brzydzę się tobą – krzyknął. – „Szapiro: Kochana Lwico, czy to ty? Ledwie słyszę twój głos. Czuję cię w swoich objęciach. Spotkamy się znowu w tym mieszkaniu. Nie będę marnował czasu na puste gadanie, będę cię całował po włosach, twoich słodkich piegach, trzymał cię za rękę i...”.

Stalin znów cisnął kartki na podłogę, a Swietłana zaczęła pochlipywać.

– Poznajesz te słowa? Lwica? Co to ma być? Nie wiesz, kim jesteś? Brudy! Gdzie się nauczyłaś takich rzeczy? O, wiem! Od swojego brata półgłówka! Posiedzi przez tydzień w kozie. A teraz oddaj mi jego listy. Na pewno schowałaś je gdzieś tutaj. Twój Szapiro nie jest nawet pisarzem. To zwykły pismak! Nie jest tym, za kogo go uważasz, zapewniam cię! Sprawdzamy go.

– Ale ja go kocham – krzyknęła Swietłana.

– Kochasz!? KOCHASZ? – wrzasnął Stalin, z nienawiścią wypluwając to słowo. Swietłana wyzywająco zadarła podbródek.

– Tak. Kocham! Kocham go!

Stalinowi zbieleły wargi. Zamierzył się i dwa razy uderzył córkę w twarz. Potem odwrócił się do niani.

– Pomyślcie tylko, do czego ona się doprowadziła. Może mam za mało zmartwień, co? Trwa wojna, walczymy o życie, a ona zajmuje się dymaniem!

– Nie, nie, nie, to nie tak! – próbowała wyjaśnić niania, załamując ręce.

– Nie tak? – powtórzył Stalin nieco spokojniejszym głosem. Znów odwrócił się do córki. – Ty durna! Nie wiesz, kim jest Lew Szapiro? Ma czterdzieści lat i bab na kopy. Jesteś dla niego nikim. Spójrz na siebie! Piegowaty rudzielec! Kto by cię chciał?

VII

– Wstawaj, Golden!

Mogilczuk wrócił. Kozacy poruszyli się na swoich siennikach.

– Też mamy iść? – zapytał Haranza.

– Wy czekacie tutaj, Kozacy – odparł Mogilczuk. – Golden, idziesz ze mną. Jak ty wyglądasz! Cały w okruchach i z tygodniowym zarostem. Umyj najpierw twarz.

Benia zrobił, co mu kazano, a potem poszedł z Mogilczukiem na stanowisko dowodzenia.

– Macie szczęście – ciągnął lejtnant. – Generał Pietrow ma na tyle wysoką rangę, że może podjąć ostateczną decyzję w sprawie całej waszej czwórki.

Benia z trudem przełknął ślinę, czując, że rozpiera go euforyczna radość. Czyżby był naprawdę bezpieczny? Nagle jak żywa stanęła mu przed oczami Fabiana. Modlił się, żeby żyła i była bezpieczna. Tyle jej zawdzięczał, a teraz musiała pozostać jego tajemnicą, tak głęboką, tak kompromitującą, że zabronił sobie nawet myśleć o niej – dopóki nie zostanie oczyszczony z podejrzeń. Nikt nie może się dowiedzieć, że spał z wrogiem.

Wprowadzono go do pustego pokoju. Usiadł przy stole i oparł głowę na rękach.

W uszach rozbrzmiewały mu cudowne słowa: „Z radością zarekomenduję darowanie im kary. Z radością zarekomenduję darowanie im kary”.

– Generał Pietrow! – zawołał Mogilczuk, salutując.

Benia wstał z bijącym sercem. Przeżył Kołymę, batalion karny i siedem dni na tyłach wroga. Teraz czekała go nagroda.

– Pamiętasz mnie, Beniu Golden?

Poznałby ten głos wszędzie. Ten głos i tę kręłą sylwetkę, lśniąca skórę koloru czekolady, palce jak serdelki połyskujące pierścieniami i wodę kolońską o zapachu goździków. Nie był to żaden frontowy generał ani nie nazywał się Pietrow. „Generał Pietrow” był to Bogdan „Byk” Kobiłow, zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych, który przed trzema laty przesłuchiwał go w więzieniu na Łubiance. Nie zapomina się nikogo, kogo widziało się w piekle. I żaden człowiek nie zapomni swego oprawcy: łączy go z nim zbyt bliska więź.

– Dużo się może zdarzyć w ciągu trzech lat, co, Golden? – powiedział Kobiłow, jak tylko zostali sami. – Dobrze cię pamiętam.

– Dziękuję – odparł Benia, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nieczęsto dziękują mi ludzie, których biłem pałką, ale to miło z twojej strony – zahuczał jowialnie, melodyjnym głosem Kobiłow. – Ale czasu jest mało, więc przystąpmy do rzeczy.

Benia modlił się, żeby Kobiłow zdecydował o darowaniu im reszty kar. Miał odpowiednie uprawnienia, był prawą ręką Berii. Kiedy w 1938 roku Beria został powołany do Moskwy, przywiózł z Gruzji swoich ludzi, z Kobiłowem na czele.

– Przystudiowałem twoje materiały – powiedział Kobiłow ze swoim twardym gruzińskim akcentem. – Jestem pod wrażeniem, że zdobyłeś te ściśle tajne dokumenty. Ale jeszcze bardziej mnie dziwi, że osobiście zlikwidowałeś tego zdrajcę Kaptę.

– My, to znaczy moi koledzy karniacy i ja, odegraliśmy również główną rolę w likwidacji zdrajcy Mandryki – podkreślił Benia.

– Główną rolę? Uważaj, żebyś nie przeszarżował, Golden. Ale mnie chodzi tylko o Kaptę. Powiedz mi najpierw, o której dokładnie godzinie go zastrzełeś i zabrałeś dokumenty?

Benia zamrugnął oczami. Nie miał żadnej pewności.

– Pomyśl, Golden.

– To było o jakiejś... dziesiątej rano.

Kobiłow spojrzął na zegarek: piąta po południu.

– Dlaczego pytacie...

– Nie denerwuj mnie dziś, Golden. Chyba że chciałbyś zarobić w gębę? Myślę, że nie. Ile czasu jechałeś stamtąd do naszych linii?

Benia próbował sobie przypomnieć.

– Niedługo. Jechaliśmy powoli. Nie wiedzieliśmy, gdzie są nasze linie. Może jakieś dwie godziny.

– Rozmawiałeś z Kaptą, zanim go zastrzełeś?

– Nie.

– Po prostu go zabiłeś?

– Tak.

– Gdzie się nauczyłeś takiej bezwzględności? Od bandytów w obozach? Od Dżaby? Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, nie potrafiłeś zabić muchy. Mógłbyś zostać czekistą! – Kibułow roześmiał się ze swego żartu, ale zaraz spoważniał. – Materiały miały być odebrane przez oficerów wywiadu niemieckiej 6 Armii. Wiedziałeś o tym?

– Tak.

– Skąd?

– Z Kaptą było dwóch oficerów.

– A, tak, przywiozłeś nawet ich dokumenty. Kapitan von Manteuffel i porucznik Kreutzer. Ich też zabiliście, prawda?

– Tak, zabił ich Kozak Haranza.

– Bardzo dobrze, Golden. Czy zanim zostali zabici, powiedzieli coś?

– Nie było mnie przy tym. Byłem z Kaptą...

– Czy wiesz może, kto miał przyjechać po te materiały? Z 6 Armii?

Benia zaniepokoił się. Dokąd zmierzają te pytania? – zachodził w głowę.

– Może Schwarzer? Nie, jakoś inaczej. Schwerin? Tak, Schwerin.

– Pułkownik Gerhard von Schwerin. Bardzo dobrze. Kiedy Schwerin miał odebrać te mapy i Kaptę? Zastanów się dobrze, Golden. Czy któryś z nich coś powiedział?

– Nie, chyba nie. Chwileczkę, tak, kiedy Pryszczeпа kradł konia, niemiecki kapitan zawołał, że Schwerin przyjedzie... później, chyba w nocy.

Kibułow uśmiechnął się do Beni uśmiechem fryzjerczyka i usiadł wygodniej na krześle. Zapalił papierosa, podał go Beni, a sam zapalił drugiego. Benia patrzył, jak „Byk” powoli się zaciąga, zamykając oczy pod czarnymi brwiami, tłustymi jak gąsienice, i wydmuchuje mu w twarz niebieski dym. Milczenie przeciągało się. Nagle Kibułow walnął pięścią w stół, aż Benia podskoczył.

– Schrzanileś operację wywiadowczą zatwierdzoną na najwyższym szczeblu, przez Instancję. Tak, Instancję. Najwyższą! Nie zasłużyłeś na darowanie kary, więźniu Golden. Zwerbowano cię do batalionu karnego wbrew regulaminowi. Prowadzimy śledztwo w tej sprawie i jeśli przeżyjesz tę rozmowę, wrócisz do kopalni złota Madiak-7.

Beni nagle zrobiło się zimno. Zimno i niedobrze.

– Boże kochany – jęknął.

– Ale nawet tam nie dojedziesz. Twój wyrok śmierci został niniejszym przywrócony ze względu na twoje zdradzieckie działania na dońskim stepie. Szykuj się, Golden, na osiem gramów, ty i trzech twoich wsiowich osłojebcy!

Benia zgiął się w pół, pewien, że zaraz zwymiotuje. Jak to się mogło stać? Za chwilę czekała go śmierć!

Kibułow jednak mówił dalej.

– Zaraz! Uszczypnij się! Jeszcze żyjesz, a ja mówię do ciebie. Co to oznacza?

– Nie wiem. Nie rozumiem.

Benia dygotał, przed oczami latały mu czerwone płatki.

Kibułow mówił teraz bardzo cicho.

– Wszystko, co ci powiem, jest tajemnicą wojskową, pamiętaj. Nie miałeś zabijać Kaptę. Był jednym z naszych agentów, szkolonym od miesięcy do tej akcji. Nie miałeś

zabierać map. Zostały sporządzone przez nasze służby kontrwywiadowcze.

– Ale Kapto był zdrajcą. Byliśmy razem w obozie. Pielęgnował mnie, ale potem dowiedziałem się, że jest pedałem. Była tam dziewczynka...

– Dziecko? Nic dziwnego. Siedział w obozie za zgwałcenie i zamordowanie dziecka.

– Ale był przecież pediatrą...

– Lekarzem? – Kobałow uśmiechnął się. – Nie, nigdy nie był lekarzem. Studiował weterynarię, ale nie miał nawet uprawnień do leczenia psów. Jego medyczne kwalifikacje to kłamstwo. Ale miał kontakty z Mandryką i białymi nacjonalistami, więc doskonale nadawał się do roli, jaką mu wyznaczyliśmy.

– Posługujecie się takimi szumowinami?

– Szumowinami jak Kapto? Tak, i takimi szumowinami jak ty, Golden. Był naszym człowiekiem! Naszym! A ty go zabiłeś! Siedziałem tu od dziesięciu dni, czekając na wiadomości od niego. A ty pojawiaasz się nie wiadomo skąd i myślisz, że oddałeś nam przysługę i mamy cię za to pogłaskać po głowie. Rozumiesz, więźniu?

– Zaczynam rozumieć...

Benia zastanowił się. Jakie było prawdopodobieństwo, że Kapto zjawi się ze swoimi mapami na tym samym odcinku co Mandryka? Nie mógł to być przypadek. Może cała szarża sztrafbatu była tylko po to, żeby Kapto się tam dostał; dlatego ośmiuset karniaków musiało zginąć. A on wszystko zniweczył.

– Boże drogi! – jęknął znowu.

– Wiesz, co powiedział Ławrientij Pawłowicz? „Jeśli znajdziecie tego, kto schrzanił tę operację, stłuczcie go na miazgę, aż mu gały wyleżą z orbit. Bijcie go tak mocno, żeby połknął swoje zęby”.

Benia trząsał się jak w febrze.

– Ale jest taka sprawa – podjął Kobałow po chwili milczenia. – Jest teraz pięć po piątej po południu. Zostawiłeś trupy Kaptę i Manteuffla około dziesiątej trzydzięci. Schwerin jest spodziewany nie wcześniej niż, powiedzmy, około północy. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Nie bardzo.

– Ty i twoje kozackie ćwoki. Zapomniałeś, Golden, kim jesteś?

– Jestem pisarzem, to wszystko. Walczyliśmy z faszystami, robiliśmy, co w naszej mocy, ale nie jestem żołnierzem. Tylko pisarzem...

– Pisarzem? Nie, nie, jesteś więźniem. Skazanym terrorystą i brytyjsko-japońskim szpiegiem, uznanym za winnego najcięższych i najbardziej haniebnych zbrodni, w tym planowania zamachu na towarzysza Stalina i innych naszych przywódców, w zмовie ze swoją kochanką, szpiegówką Saszeńką. Tak, świetnie ją pamiętam! Piękna lala.

Czyżby żyła? – pomyślał Benia.

– Jesteś terrorystą skazanym na śmierć i masz już w głowie osiem gramów. Tyle tylko, że na razie ich nie wystrzelono. Pomogłeś naszym wrogom. Jeśli będziesz stawiać jakikolwiek opór, z ciebie i twoich Kozaków w jednej chwili zostanie mokra plama. Sam to zrobię – i Kobałow cisnął swój pistolet na stół ze sklejki, jak hazardzista, który rzuca pieniądze przed grą.

Benia wzdrygnął się.

– Tak, tak – ciągnął Kobułow. – Ale istnieje inny sposób. Chcesz wiedzieć, jaki? Benia bardzo się starał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu.

– Wiesz, w co wierzymy? Słuchaj uważnie. W darowanie kary, Golden, w darowanie kary! Wiesz, co to dla ciebie znaczy?

Benia potrząsnął głową.

– Jeśli naprawisz swój błąd, może darują ci karę. Nie tylko odeślą do obozu, ale wszystko darują! Nie mogę niczego obiecać twoim dymającym osły kmiotkom. Trzeba ich jeszcze sprawdzić. Ale tobie obiecuję! Golden?

– Chcecie, żebym... – Benię znów ogarnęła panika. – Nie mogę tam wrócić! Nie mogę! Zginę tam. – Trząsał się na całym ciele, był tak przerażony, że nie mógł nawet płakać. – Nie wiecie, co tam widzieliśmy!

Kobułow znów spojrzał na zegarek, bębniąc w stół upierścienionymi palcami. W końcu stracił cierpliwość i wyrzucił Benię pięścią w twarz. Benia zobaczył przed oczami deszcz czerwonych gwiazdek i poczuł, że twarz go parzy. Dotknął warg, które pulsowały, szybko nabrzmiwając. Na czubkach palców była krew.

– Weź się w garść, Golden, i przestań się uważać nad sobą – ryknął Kobułow. – Sytuacja na froncie jest rozpaczliwa. Matka Rosja znalazła się w niebezpieczeństwie, a nasze wielkie państwo sowieckie jest zagrożone. Nie wiesz, że Niemcy zabijają Żydów? Słuchaj mnie, Golden. To tylko kilka godzin, a kiedy wrócisz, kara zostanie ci darowana.

– Nigdy nie wrócę... Nie jestem pewien, czy potrafię wykonać zadanie. To znaczy, chciałbym...

– Masz wszelkie szanse, żeby ci się udało, a twoi kozaccy kumple ci pomogą. Dostaniecie nową broń i amunicję, świeże konie. Zrobisz to, a potem wrócisz do normalnego życia, do swoich kawiarni, księgarni, dziewczyn, wszystkich tych dziewczyn, które mają słabość do pisarzy – pamiętasz dawne życie, Golden? Dobrze. A teraz zgadnij, czego chcę od ciebie.

– Chcecie, żebym wrócił i podłożył mapy?

Kobułow błysnął swymi oślepiająco białymi zębami.

– Zgadłeś! Zawołaj tych trzech owcojebców. Mogilczuk jedzie z wami. Wyruszacie za kwadrans.

– Jeszcze jedno.

– Gadaj.

– Chciałbym swojego konia, Srebrne Skarpetki.

– To wszystko? Załatwione. Twoja chabeta czeka!

VIII

– W tę stronę było łatwo – powiedział Panka, gdy po kilku godzinach dotarli do biura gospodarstwa kolektywnego nr 23 imienia Siergieja Kirowa. – Powrót będzie trudniejszy.

Za ich plecami słońce zachodziło nad Donem, światło mętniało.

Tak jak rankiem, zsiadli z koni i uwiązali je, a potem położyli się w trawie i zaczęli obserwować. Konie Niemców wciąż stały tam, gdzie je przywiązali. Słyszać było

krakanie wron; sęp siedzący na gałęzi przypominał zakapturzonego mnicha.

– Nikogo – powiedział Panka. – Twoja kolej, Beniu.

– Idź, dziadku – zawtórował Pryszczepa.

– Spełnij swój obowiązek i będziemy mogli wracać – dorzucił „Pająk”.

Milczenie.

– Haranża, chciałbym, żebyś poszedł ze mną – powiedział Benia.

– Boisz się truposzy?

Benia kiwnął głową.

– No to chodźmy – rzekł „Pająk”, przebierając palcami jak iluzjonista.

– Zaraz, zaraz – wtrącił Mogilczuk. – Ja tu wydaję rozkazy.

– A jaki jest wasz rozkaz? – westchnął Benia. Z Mogilczukiem na karku wszystko było dużo trudniejsze.

– W porządku, zaczynajmy! – rozkazał Mogilczuk.

Musieli się z nim liczyć. Gdyby udało im się wrócić, on miał decydować o ich losie.

Haranża uśmiechnął się drwiąco.

– Dobra, zaczynajmy.

Panka został na czatach, trzymając chatę na muszce pepeszy, a pozostali zbliżyli się do drzwi. Mogilczuk skradał się tak, jakby się bawił w Raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy. Haranża dał im znak.

Kiedy znaleźli się w przedpokoju, Benia ostrożnie wyjrzał zza rogu. Kapto nadal leżał na kanapie w tej samej pozycji, tyle że był bledszy, jakby zrobiony z gipsu. Wyglądał jeszcze bardziej trupio niż poprzednio.

– Nasz stary znajomy – powiedział Haranża.

– Słusznie – potwierdził Mogilczuk, próbując nadać swemu głosowi ton władczej powagi. – Sztrafnik Golden, podłóżcie dokumenty.

Benia zawahał się, nadal wzdragając się przed dotknięciem zwłok.

– No dalej, Golden – ponaglił Haranża. – Nie ugryzie cię. A może ugryzie – cha, cha!

Benia zdjął torbę z szyi, postawił ją na stole, wyjął mapy i notatnik. Rozpostarł mapy, rozłożył ołówki, otworzył notatnik na schludnych zapiskach Manteuffla. Potem wyjął dokumenty tożsamości zabitego.

– Włóż mu je do kieszeni – rozkazał Mogilczuk, ocierając czoło.

Benia zbliżył się do ciała Kaptę.

– Nie mogę – wykrztusił.

– Matko Boska! – zirytował się Haranża i wziął od niego dokumenty.

– Pamiętaj, żeby je włożyć do odpowiednich kieszeni – upomniał Mogilczuk.

– Matko Boska! – powtórzył Haranża i wsunął dokumenty do kieszeni Kaptę.

Potem, żeby popisać się przed towarzyszami, pocałował trupa w czoło, przewracając oczami jak klaun. Zwłoki powoli przesunęły się na bok.

– Załatwione – powiedział Benia z wdzięcznością w głosie.

– Sztrafnik Haranża, jak śmiecie wygłupiać się podczas czynności służbowych! – oburzył się Mogilczuk.

– Kto uwierzy, że te mapy są autentyczne, jeśli w pokoju są trzy trupy? – zapytał

Haranza i wyszedł na dwór, żeby wsunąć dokumenty do kieszeni zabitych Niemców.

– Nie pytaj, „Pająk”, nie myśl – powiedział Benia. – Jesteśmy tylko trybikami wielkiej maszyny. Tam musieli już o tym pomyśleć...

– Sztrafnik Haranza, to drugie i ostatnie ostrzeżenie! – zrzędził Mogilczuk za ich plecami. – Nie wolno wam snuć domysłów na temat tego ściśle tajnego zadania. Dotyczy to również was, sztrafnik Golden.

– Skończyliśmy, towarzyszu lejtnancie? – zapytał Panka. – Ostrzał nad Donem się nasilił, więc myślę, że trzeba wracać...

– Tak, tak, wracajmy, wachmistrzu Czurielko.

– Wracajmy, tylko się nie zesrajmy – mrugnął Haranza do Pryszczepa za plecami Mogilczuka. Pryszczepa wyszczerzył zęby.

Słońce znikło już prawie za widnokrzem, a niebo zachmurzyło się po raz pierwszy, odkąd Benia pamiętał. Powietrze nad Donem było gęste od dymu i kurzu. W oddali trwała artyleryjska kanonada. Beni było lekko na duszy. Ze zmęczenia oczy zachodziły mu mgłą, kiwał się w siodle. Pryszczepa dwa razy dał mu kuksańca w bok.

– Obudź się, dziadku.

Benia jednak znów przysnął, a gdy się ocknął, zmartwił.

W gęstniejącej szarości zobaczył, że towarzyszą mu nie Haranza i Pryszczepa, ale inni jeźdźcy. Najpierw jeden i drugi, potem coraz więcej, całe zastępy, upiorne szwadrony w szaro-czerwonym półmroku. Włoska kawaleria zmierzała na front. Benia słyszał włoskie przekleństwa i dźwięk setek poruszających się koni: skrzypienie skóry, pbrzękiwanie uprzęży. Jeźdźcy szeptali do swoich rumaków i wszędzie czuć było woń końskiego nawozu. Srebrne Skarpetki trąciła pyskiem jakiegoś włoskiego konia, a Benia zahaczył prawą ostrogą o ostrogę Włocha. Zgrzytnęła stal. Benia zeszytniał i oblał się potem, ale jakby nigdy nic patrzył prosto przed siebie. Jedno słowo, a byłoby po wszystkim, lecz jechał dalej w tłumie Włochów i Srebrne Skarpetki odnalazła w końcu drogę do koni, które znała. Czekały na nich pod drzewami.

– Dzięki Bogu! – powiedział Panka na widok Beni.

– Dzięki Srebrnym Skarpetkom! – odparł Benia.

Obrócili się w milczeniu i spojrzeli w stronę, z której przyjechali. Powietrze wokół było koloru mocnej kawy, niebo jaskrawego, poplamionego krwią szkarłatu. Przez warstwy chmur przebijały się smugi złotego słońca, tworząc świetliste schody. W jednym momencie wyglądało to jak Dzień Stworzenia, a w następnym jak zapowiedź Apokalipsy. Okolica rozbrzmiewała tętentem setek kopyt i brzękiem ostróg; na inną skalę dźwięków składały się warkot silników, chrzęst gąsienic i huk moździerzy.

Panka uniósł rękę: nie ruszać się. Nie widzą nas tutaj, czekać. Potem wskazał coś palcem. Na wzgórzu, kilkaset metrów za nimi, widać było włoskie stanowisko dowodzenia, oświetlone ostatnimi promieniami słońca. Kilka koni stało z przodu – to dowódcy patrzyli na swoje zbliżające się szwadrony. Benia wziął od Panki lornetkę, wiedząc dobrze, co w niej zobaczy: sylwetkę jeźdźca przypominającą mroczny, na wpół zawalony zamek – pułkownika Malamorego. Za nim, z ręką na grzywie Violantego, dokładnie tam, gdzie spodziewał się ją ujrzeć, siedziała w siodle Fabiana.

Swietłana z obawą szła po schodach do kremłowskiego mieszkania. Ojciec na szczęście będzie w biurze, pocieszała się w duchu. Był późny wieczór, więc powinien pracować w Kąciku. Ale u szczytu schodów zatrzymała się. Czterech umundurowanych czekistów – oczywiście znała ich nazwiska – stało pod drzwiami z pepeszami na ramionach.

– Będzie dobrze, Swietłano Iosifowna – szepnął generał Własik, a jego oddech czuć było rybą i przyprawami. Niewątpliwie jadł niedawno uchę.

– Jak długo tu jest, wujku Kola?

– Cały dzień. Nie był jeszcze nawet w Kąciku.

– Cały dzień? Ciągłe jest wściekły, wujku Kola?

– Trochę tak, ale to minie. Jak córki się zakochują, ojcowie wpadają w szal! Taka jest kolej rzeczy. Ale ty, Swieto, byłaś niegrzeczna. Gdybyś była moją córką, nie poprzestałbym na klapsie... Jest Gruzinem, a gruzińscy ojcowie sięgają po strzelbę jeszcze szybciej niż rosyjscy. A on żyje teraz w strasznym stresie. Nie pogarszaj sytuacji, Swieto. Zachowuj się mądrze. Idź.

Wziął ją pod rękę i przeprowadził przez drzwi frontowe.

W mieszkaniu powitał Swietłanę odgłos darcia papieru i zapach dymu fajkowego. W salonie stał ojciec i darł listy miłosne Szapiry, a niania przyglądała mu się z żalną miną.

Stalin podniósł wzrok i spojrzał na wchodzącą córkę.

– Nazywa się pisarzem, tak? Znalazłem jego listy i przeczytałem je. – Mówił spokojnie, drąc listy na małe kawałeczki, które rozsypywały się po stole. Prawie nie patrzył na Swietłanę. – Trwa wojna. Każda rodzina kogoś straciła. Czy masz pojęcie, co przeżywam? A ten pismak przesyła uczennicy wiadomości w swoich artykułach! Ładnie cię zabawiał ten playboy, co? Dałaś się nabrać jak głupia! Co to za pisanina? Przecież to jakiś obrzydliwy bełkot. I po co jesteś mu potrzebna, zadałaś sobie to pytanie? Tylko w jednym celu. Żeby się zbliżyć do mnie. Tak, wkręcić się bliżej mnie! A skoro już chciałaś jakiegoś brudnego pismaka, nie mogłaś przynajmniej wybrać Rosjanina? Ten to przecież Żyd. Ze wszystkich szumowin w Moskwie i wokół Wasilija musiałaś wybrać akurat Żyda. Właśnie Żyda!

Po tych słowach Stalin wyszedł z pokoju, zostawiając córkę wśród strzępów listów miłosnych od Lwa, rozsypanych na dywanie.

Chwilę po wyjściu ojca Swietłana rzuciła się w objęcia niani. Staruszka głaskała ją i całowała po głowie, uspokajając:

– No już dobrze, słoneczko, wszystko będzie dobrze.

– Skończone? – chlupała Swietłana.

– Chyba tak.

– Ukarze Lwa?

– Oczywiście, że nie. Twój ojciec nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Obiecuj mi jednak, Swietłano Iosifowna, że z nim zerwiesz. Twój ojciec jest spokojniejszy, bo mu to obiecałam. Przynieś mi!

– Oczywiście, przyrzekam – powiedziała Swietłana przez łzy. – Nigdy więcej!

X

Panka klepnął Benię w ramię i ruszyli dalej, w kierunku Donu. Jadąc przez następne pole, znów obejrżeli się za siebie. Malamore nadal stał na swoim wzgórzu, a za nim widać było Fabianę.

Na myśl, że Malamore i Fabiana są razem, Benię przeszła błyskawica bólu. W gęstniejących ciemnościach trawa, step, drzewa i szumiące pola pszeniczne zdawały się roić od ludzi i maszyn. Byli już teraz blisko rzeki i Benia widział błyski dział i pociski smugowe przecinające mrok. Niemcy, Włosi, Rumuni i Węgrzy atakowali ostatnie, oblężone pozycje rosyjskie na zachodnim brzegu Donu. Sowieckie działa prowadziły ostrzał z przeciwległego brzegu, a każdy wybuch wprawiał w wibracje ciała Beni i jego towarzyszy. Błyski rozświetlały zbocza wzgórz, eksplozje pocisków na chwilę czyniły z nocy dzień, ukazując chaty, pojazdy i biegnących ludzi, których zaraz potem znów pochłaniała ciemność. Jak my teraz wrócimy? – myślał z rozpaczą Benia.

Tuż nad nimi przeleciał z gwizdem pocisk artyleryjski. Panka odwrócił się – a wraz z nim Benia – i nagle zobaczyli, jak pocisk uderza we włoską grupę na wzgórzu. W pomarańczowej aureoli widać było wyrzuconą w powietrze postać, która wyglądała jak lalka, a potem już nic – tylko cwałujące konie, rozrzucone trupy zwierząt i palących się ludzi. Haranża i Pryszczepa wiwatowali, a Mogilczuk patrzył na straszną scenę rozszerzonymi oczami. Fabiany nigdzie nie było widać.

Zginęła, pomyślał Benia, czując, jak w tej samej chwili cząstka jego samego obumiera i ginie. Pokochali się „jakby na zawsze”, ale jego „jakby na zawsze” nigdy nie przewidywało, że to ona pierwsza odejdzie. Zawsze zakładał, że to będzie on. Widział ją zupełnie wyraźnie w chwili, gdy była najpiękniejsza, jej oczy lśniły miodowo w słońcu, i gdy kipiała oburzeniem, zadzierając podbródek i rozkładając ręce – aż jej złość wyładowywała się w beztroskim śmiechu. Patrzyła na niego, a on całował te miękkie, lekko skrzywione wargi, czuł zapach jej bursztynowej skóry, widział ciemne włosy, rozpuszczone i powiewające.

Wpatrywał się teraz w zbocze, tonące w ciemności z wyjątkiem kilku małych ognisk, gdzie Fabiana była przed zaledwie minutą, i dziwił się, że nie czuje ani nie słyszy nic, zupełnie nic, jakby zamknięto go w szklanej kapsule. Fabiany nie było już wśród żywych i Benia miał poczucie całkowitej pustki.

Panka złapał go za kołnierz i przynaglił do jazdy – wybuch pocisku stworzył im wymarzoną okazję. Beni było wszystko jedno, co się teraz z nim stanie. Był pewien, że to jego ostatnie kroki na ziemi, i nie znał strachu, nie zważał na nic, niczym się nie przejmował. Panka objaśniał Mogilczukowi, co ich czeka. Nawet w tej śmiertelnie niebezpiecznej sytuacji lejtnant oznajmił po swojemu, pompatycznie:

– Zaczynajmy, wachmistrzu.

Czołgi niemieckie miażdżyły ostatnie sowieckie pozycje w łuku Donu, więc nie mogli jechać po plaży, tak jak poprzednio. Bastion, w którym byli rano, został opuszczony, a obecność włoskiej kawalerii mogła tylko oznaczać, że lada chwila rozpocznie się szarża na rosyjskie linie. Co im pozostało? Było tylko jedno wyjście.

– Musimy rzucić się w objęcia naszej kochanej matki – powiedział Panka, spinając

Ałmaza ostrogami.

– O czym on gada? – zapytał Mogilczuk.

– Za mną! – rozkazał wachmistrz.

Ruszyli galopem. Dojechali na skraj kredowej skarpy, po czym zjechali po niej wijącą się ścieżyną, która wiodła do Donu. Tutaj ich oczom ukazała się panorama bitwy. Jak w lustrze odbijała się w wodzie wielkiej rzeki i w niebie ponad nią – tak jak błyski z luf rosyjskich dział, stojących na drugim brzegu. Naraz niebo zrobiło się ciemne. Chmury, przewalające się przez brzegi rzeki, znalazły się tuż nad nimi i one też były atramentowo czarne. Benia miał wrażenie, że znaleźli się w środku czarnego bębna.

– Idealny moment – rzekł Panka, gdy widły błyskawic uderzyły w wodę. – Don ogarnęła furia.

Konie grzebały kopytami, przestępowały z nogi na nogę, prychały.

– Nienawidzę deszczu, nienawidzę deszczu – powtarzał Haranza, okładając nahajką wierzgającego konia. Panka wjechał do wody, za nim Benia. Spienione fale omywały kopyta Srebrnych Skarpetek.

– Co dalej? – krzyknął Mogilczuk.

Pryszczepa odrzucił głowę do tyłu i zaintonował: *Zakochałem się w noc burzy nad Donem...* Czerwony wał ognia po eksplozji zbiornika paliwa na chwilę oświetlił drugi brzeg. Potem za chmurami zamigotały pomarańczowe błyski i lunął deszcz. Strugi wody chłostały ich po twarzach i karkach, parząc i oślepiając. Benia w jednej chwili przemókł do nitki. Miał wrażenie, że to koniec świata, i był tak zmęczony, że mógłby zsunąć się z konia i na miejscu wyzionąć ducha. Ale żądło bólu gwałtownie go ocuciło: to Panka uderzył go batem po rękę.

– No, dalej, dziadku! Ta burza jest zaciekle jak suka, a każdy Kozak wie, że suki nad Donem są najzacieklejsze. To nasza szansa. Tu się przeprawimy! – wołał Panka, przekrzykując ogłuszający szum deszczu, grzmot piorunów i huk dział. – Wjedź prosto do wody, nie rozglądaj się na boki. Ściągnij wodze i odmawiaj pacierze!

– Ale konie... – krzyknął Mogilczuk.

– Skróć cugle! Nic im nie będzie, drogi chłopcze – odpowiedział Panka.

– Nie umiem pływać.

– To jest Don. Na drugim brzegu świeci słońce.

Spiął Ałmaza i wjechał prosto do rzeki. Przed nimi wybuchł pocisk i Ałmaz stanął dęba, ale Panka chlasnął go batem i koń zanurzył się w wodzie.

Benia był pewien, że zginie w tej kipieli. Z Mogilczukiem popatrywali na siebie, zdrętwiali ze strachu, ocierając oczy zalewane wodą. Byli teraz moskiewskimi ziomkami, mieszczuchami, towarzyszami niedoli.

– Nie dam rady! – krzyknął Mogilczuk.

– Ani ja!

Ale Pryszczepa wjechał do rzeki galopem, wzbijając fontanny spienionej wody. Jedną rękę miał uniesioną do góry, jakby był na rodeo, i śpiewał.

Benia przytulił się do szyi Srebrnych Skarpetek i objął ją rękami. Zanurzył twarz w grzywie, przemawiając do klaczy i do Fabiany nieprzerwanym potokiem słów miłości, trwogi i gniewu. Klacz raz po raz stawała dęba, wzdragając się przed wejściem do wody,

ale z każdym skokiem zagłębiała się w niej. „Pająk” Haranza wychylił się w siodle i smagnął Srebrne Skarpetki tak mocno, że przeciął jej skórę do krwi. Wierzgając, klacz zanurzyła się najpierw po kolana, a potem po brzuch w białej pianie.

Wybuch targnął powietrzem i popchnął ich naprzód. Buty Beni, a po chwili jego bryczesy znalazły się pod wodą. Czuł, jak zimna wilgoć oblepia mu nogi. Pryszczepa jechał na przedzie, najpierw po pas, a potem po piers w wodzie i w tym momencie jego klacz zaczęła płynąć, rzucając łbem i przewracając przerażonymi ślepiami. Obok niego unosił się na swoim koniu dygoczący ze strachu Mogilczuk.

Benia obrócił się w siodle i zobaczył konia bez jeźdźca, zawrócił więc i wyjechał z powrotem na brzeg. Haranza leżał na ziemi, Benia zeskoczył z konia tuż przy nim. „Pająk” spojrział na niego swymi zaskakująco łagodnymi oczami najpierw prosząco, a po chwili wyzywająco; jego obrzmiała twarz była biała jak kreda i lśniła kroplami potu. W tym momencie Benia zobaczył rozplątany brzuch: kłębowisko sino-czerwonych wnętrzności wylało się na kamienie plaży, parując i drgając. Zbliżył twarz do twarzy „Pajaka”. Mierzyli się oczyma, jakby byli całkiem sami, dwa wilki na szerokim stepie. Gdyby „Pająk” wjechał prosto do wody z Pryszczepą, zostawiając Benię i Mogilczuka na pewną śmierć, byłby już w połowie nurtu. Biedny „Pająk”, pomyślał Benia, musi przeklinać, że nie potrafił się oprzeć swojej jedynej przyjemności: pozostaniu za nimi, aby batem zapędzić do wody Żydka i drania z tajnej policji!

Benia zdjął siodło z konia „Pajaka” i podłożył leżącemu czaprak pod głowę. Haranza chwycił go za rękę i ścisnął ją jak dziecko. Spojrzenie miał cały czas utkwione w Beni, ale w jednej chwili jego oczy zaszły mgłą, stały się martwe. To było wszystko – ułamek sekundy i Haranza stał się częścią brzegu, błota, starym wrakiem do połowy zagłębionym w piasku.

Benia odetchnął głęboko. Dosiadł Srebrnych Skarpetek, trącił ją ostrogami i zaciął nahajką Haranzy tak mocno, że wierzgając i stając dęba, klacz wjechała prosto do rzeki, obryzgując mu twarz wodnym pyłem. Po chwili znów była po brzuch w wodzie. Zanurzał się w czarną toń wśród siekającego deszczu, który padał tak gęsto, że wydawało się, jakby to sama rzeka wylewała się z koryta do góry, w stronę chmur. Woda sięgała Srebrnym Skarpetkom coraz wyżej: do piersi, zadu i kłębu, a Benia przyłgnął do jej szyi i uchwycił się grzywy. Po chwili już płynęła, wysoko zadzierając łeb i młócąc nogami pod wodą. Grube żyły na jej szyi pulsowały rytmicznie.

– Płyn, Srebrne Skarpetki, płyn, maleńka... – szeptał jej Benia do uszu. Trąciło go coś ciężkiego i aż się wzdrygnął. Klacz zaczęła wierzgać pod nim, łykała wodę, wyglądało, jakby za chwilę miała utonąć – co to było: wąż, krokodyl? Benia zobaczył ramię i siną twarz rosyjskiego żołnierza, którego prąd unosił w dół rzeki. Był tak wzdęty, że przypominał dobrze wypchaną pierzynę. Znajdowali się w połowie Donu, do obu brzegów było równie daleko. Z błyskiem i gwizdem przeleciał pocisk – brzeg zatrząsł się i eksplodował żółtym i pomarańczowym światłem. Kule z broni maszynowej rozcinały wodę, a tańczące sznury bryzgów raz po raz wyskakiwały wokół Beni.

– Głupcy, jesteśmy Rosjanami! – darł się Benia, ale nikt nie mógł go usłyszeć, bo krzyczący nie słyszał nawet sam siebie. W końcu kopyta Srebrnych Skarpetek trafiły na twardy grunt i woda spłynęła z jej sierści z głośnym szumem, rozpryskując się

na kamieniach. Byli na drugim brzegu Donu. Pociski z broni maszynowej dzwoniły tuż obok po kamieniach i Benia poczuł nagłe uderzenie. Pochylił się do przodu i objął Srebrne Skarpetki. Panka i Pryszczepa, stojący nieco dalej na brzegu, wołali do niego. Nagle klacz upadła na kolana i Benia osunął się na ziemię obok niej.

Było już zupełnie ciemno, dochodziła północ. Srebrne Skarpetki wysoko trzymała łeb, kiwając się w tę i z powrotem, a Benia leżał przy niej na kamieniach i głaskał ją po szyi, grzywie, aksamitnym pysku.

– Srebrne Skarpetki, tak bardzo cię kocham, kochana przyjaciółko, kochana przyjaciółko – szlochał. – Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś, za to, że setki razy ocaliłaś mi życie. Nikt nie miał lepszego przyjaciela i nie sądziłem... po prostu nie sądziłem...

Benia przypomniał sobie blask jej czterech srebrnych nóg wtedy, w stadninie, i migoczące gwiazdy w jej oczach. „Dobrze wybrałaś, bracie – powiedział mu wówczas Panka. – Dbaj o nią jak o żonę, szanuj ją jak matkę, karm jak córkę”. Ale Srebrne Skarpetki była dlań czymś więcej niż żona, matka i córka. Przypomniał sobie szarżę na Włochów, to, jak patrzyła, gdy kochał się z Fabianą... A teraz opuściła łeb i przez jej wielkie ciało przebiegł dreszcz. Panka i Pryszczepa ciągnęli go po brzegu, aż wszyscy trzej znaleźli się u szczytu skarpy. Leżeli i dyszeli, a konie Panki i Pryszczepy stały w pobliżu.

– Mogilczuk? – zapytał Benia.

– Gdzieś w dole rzeki. Żyje, widziałem, jak wyjeżdżał z wody.

– Srebrne Skarpetki?

– Niestety, bracie – odpowiedział Panka.

– Dostała?

Panka kiwnął głową.

– Raz, w szyję. To był świetny koń. Niewiele się takich rodzi, nawet nad Donem.

Podał Beni manierkę. Wstali chwiejnie. Benia był na wpół oszalały z rozpaczy i czuł się straszliwie samotny. Dotknął ręką brzucha i zobaczył na palcu krew.

– Dostałem – powiedział, przypominając sobie nagłe uderzenie.

Jakieś ręce chwyciły go i przytrzymały.

– Chwila – powiedział Pryszczepa. Spojrzenie miał zimne, a w drugiej ręce trzymał nóż. – Idzie po nas Mogilczuk. Zostaniemy sprawdzeni przez Czekę. Musisz za nas poręczyć. Powiedz, że przez cały ten tydzień byliśmy zawsze z tobą, bo inaczej nas rozstrzelają. Przysięgnij, Żydzie, bo poderżnę ci gardło, a potem powiemy, co trzeba, o tobie. Przysięgaj!

Benia odtrącił go. Było mu wszystko jedno, gdzie Panka i Pryszczepa byli w ciągu tych dni. Przypuszczał, że gdzieś pojechali, że wdali się w jakąś podwójną grę z hitlerowcami, ale w tej chwili był zbyt zmęczony i zły na takie rozmowy. Stracił Fabianę, Srebrne Skarpetki skończyła w jego objęciach, a teraz te głupki groziły mu, nie wiedząc, że na niczym mu już nie zależy i niczego się nie boi.

– Nie ze mną te sztuczki... Rzuć ten nóż i odsuń się! – rozkazał.

– My też wiemy, gdzie byłeś – rzucił Pryszczepa. – Nie byłeś sam. My też wiemy co nieco...

Benia osunął się na kolana. Słabość rozpełzała się po jego ciele jak robactwo, w głowie mu szumiało, ale poczucie beznadziejności i straceńcza furia pozbawiły go lęku i dodały sił. Jak śmieli grozić mu ujawnieniem jego związku z Fabianą? Wymierzył do nich z pistoletu i nie spuszczał z oka, czując rosnącą w sobie moc. Panka odmawiał swoje modlitwy, dotykając medalika, spokojny jak zawsze.

– Nigdzie się nie wybieram – powiedział.

Pryszczepa postanowił zmienić taktykę i oczarować Benię swoim niefrasobliwym bandyckim urokiem.

– Chwileczkę, braciszku Golden...

Benia nie mógł tego dłużej znieść.

– Nie jestem twoim braciszkiem – powiedział i strzelił dwa razy.

Dzień dziesiąty

I

Nieogolony i zmęczony, ale z bagażem obrazów i metafor, które zamierzał spożytkować w przyszłych artykułach, Lew Szapiro wracał do Moskwy pociągiem szpitalnym. Z maszyną do pisania na ramieniu przechodził przez kolejne wagony. Jedne były stare, jeszcze z carskich czasów, z miękkimi siedzeniami wytartymi przez pokolenia podróżnych, drugie miały twarde ławki, a trzeci rodzaj stanowiły wagony bydłące. Wszystkie były pełne rannych. Ci, którzy mogli chodzić, siedzieli na fotelach i ławkach, ale każdy cal podłogi zajmowali leżący: jedni spoczywali na gołych deskach w wagonach bydłących, postępując po każdym szarpnięciu pociągu, inni, szczęśliwcy, leżeli na noszach. Niektórzy uśmiechali się do Szapiry, gdy przez nich przestępował. Lew zauważył kilku zupełnie nieruchomych i kredowobiałych na twarzy – prawdopodobnie już nie żyli. Zawszad rozlegały się jęki, ranni wzywali lekarza, matkę, Boga. Szapiro nawykł już do takich widoków, ale mimo to były one trudne do zniesienia. Jako wytrawny reporter i obserwator w rękę miał notatnik.

– Na jakim odcinku byliście? – spytał żołnierza z bandażem na oku, siedzącego na drewnianej ławce. – Chciałbym opisać waszą historię.

– Gdzie walczyliście, co się stało? – zagadnął młodego Tatara z Kazania, który stracił rękę.

Kucał obok żołnierzy, notował, a oni widzieli, że był na froncie wśród walczących i cierpiał wraz z nimi, więc rozmawiali chętnie. Zależało im, aby ludzie sowieccy poznali ich losy. Szapiro szedł dalej, myśląc o bitwie i swojej tajemnicy, Swietłanie... Uwierzyliby, gdyby im powiedział, kim jest jego ukochana?

Patrzył na rannych podczas bitwy w łuku Donu, która skończyła się klęską. Najpierw zaatakowali Niemcy, a potem Rosjanie ruszyli do przeciwnatarcia na wszystkich odcinkach i walczyli bohatersko. Szapiro widział nawet, jak w pewnym momencie szwadron kawalerii karniaków przełamuje nieprzyjacielskie pozycje na odcinku zajmowanym przez Włochów. Hitler jednak ściągnął posiłki – oddziały niemieckie, włoskie, węgierskie, rumuńskie – i rzucił je do walki. Pod chutorem Izbuszenskij tysiąc włoskich kawalerzystów przełamało obronę sowieckiej piechoty, która rozpierchła się i uciekła. Pod Kałaczem rozgromiono oddziały sowieckiej 62 Armii. Teraz Niemcy mogli nacierać dalej – przeprawiali się już na wielkich pontonach przez Don i podchodzili do przedmieść Stalingradu.

Tymczasem Lwu kazano zameldować się w redakcji, wsiadł więc do pierwszego pociągu jadącego do Moskwy. Był podniecony, bo miał nadzieję zobaczyć Swietlanę – swoją małą Lwicę! Ponury Kreml z groźnymi czerwonymi blankami, przerażający ojciec Swiety, który żył tylko dla siebie i państwa, jej matka, która wolała śmierć od swoich dzieci, jej żaloszny, gwałtowny brat, którego przeklinano i awansowano za wysoko – tak wyglądał jej świat. Lew był zafascynowany Swietlaną. Jako mężczyznę pociągała go jej młodość, świeżość. Jako pisarza – no cóż, który pisarz nie chciałby jej poznać? Żyła przecież w centrum wydarzeń, tam, gdzie tworzone historię.

Wzruszył ramionami. Kobiety z jakiegoś powodu go lubiły i Lew wiedział, że Swietłana też go lubi – z całą namiętnością właściwą swemu wiekowi. Do licha, moskiewskie kobiety lubiły go chyba głównie dlatego, że uwielbiały kino; każda młoda aktorka chciała zdobyć rolę w filmie, a on był przecież scenarzystą: „Lowka, kochany, może napiszesz dla mnie piękną rolę w swoim nowym scenariuszu, *Stalin na Dworcu Fińskim*? A może zostałabym carycą w twoim *Piotrze Wielkim, część druga*?”

„Oczywiście – odpowiadał – może spotkamy się w Aragwi na kolacji – zamówię prywatny gabinet – albo na koktajlu w barze hotelu Metropol?”. No cóż, naturalnie był żonaty, i to od wielu lat, ale w każdej chwili mógł zginąć od pierwszej lepszej zabłąkanej kuli. Kto będzie miał mu za złe, że korzysta z życia?

Ale Swietłana to było co innego. Wydobyła z niego najlepsze cechy – przy niej stał się najwspanialszym mężczyzną, jakim kiedykolwiek mógł być. Był jej nauczycielem, bo chciała poznać literaturę i pisarskie rzemiosło. I chociaż taka młoda, nie nudziła go, jak większość nastolatek, które poznał. Była nad wiek dojrzała, i nic dziwnego. Pragnął ją chronić, wpoić jej pewność siebie, chciał, aby czuła, że jest mu droga. Był to poniekąd szalony, nie liczący się z rzeczywistością związek, lekkomyślna przygoda, która budziła w nim dreszcz podniecenia. Wojna jednak zniosła podziały społeczne i Szapiro wierzył, że gdy się skończy, nastanie większa wolność. Z drwiną myślał o sobie, że jest rycerzem, wybrankiem najbardziej samotnej dziewczyny w Rosji, ale Swietłana była naprawdę młodą damą potrzebującą pomocy, wrażliwą dziewczyną żyjącą wśród strachu, nieczułości i nudy. Miał zostać jej wybawcą, takie było jego powołanie. Uwielbiał ich rozmowy przez telefon, a listy Swiety były szalenie romantyczne. Kiedy się całowali i trzymali w objęciach, jej dotyk był taki bezpośredni, tak elektryzujący... Jak pięknie rozkwitła w ciągu tych niewielu dni. Jeśli będzie miał możliwość, zobaczy się z nią jeszcze dziś. Potem przekona naczelnego, żeby wysłał go z powrotem do Stalingradu, aby mógł pisać relacje z nadchodzącej bitwy. Gdyby Stalingrad wpadł w ręce Niemców, gdzie skończyłyby się odwrót wojsk sowieckich?

Znajomy głos wyrwał go z zamyślenia.

– Lew! To ty? – Obejrzał się na rannych żołnierzy siedzących na drewnianych ławkach i leżących na podłodze. – Lew, co tu robisz? – Przeszł się przez rannych, patrząc uważnie, gdzie stawia nogi. – Szapiro! To ja!

– Jezu! To naprawdę ty...?

Tak: na podłodze, ubrany w brudny mundur, rzeczywiście leżał Benia Golden, blady i postarzały, tak bardzo postarzały. Nie było go zaledwie dwa, może trzy lata, ale człowiek, którego zobaczył Szapiro, zdawał się mieć sto lat więcej. Lew i Benia należeli do tego samego kręgu pisarzy, aktorów i jazzmanów. Powieściopisarze Babel i Erenburg, aktor Michoels, śpiewacy jazzowi Utiesow i Rosner, aktorki filmowe Walentyna Sierowa i Sofia Zeitlin – to byli ich wspólni przyjaciele. Ale nie potrafili się też wyzbyć typowych dla pisarzy wzajemnych animozji, których podłożem była zawodowa zazdrość. Lew nazwał książkę Goldeny „przereklamowaną i cokolwiek infantylną”, a Golden szydził ze scenariusza Szapiry: „drętwy, konwencjonalny, pozostawiający wiele do życzenia”. Potem jednak Golden został aresztowany i zapadł się pod ziemię. Lew przypuszczał, że jego kolega po piórze został rozstrzelany.

Przestąpił przez dwóch chłopców, którzy dzielili go od Beni – jeden był nieprzytomny, drugi nie miał nóg – i przykucnął obok niego. Podali sobie ręce. Lew nachylił się i trzy razy pocałował Benię w policzki. Wszystkie stare urazy zepchnęła w kąć radość ze spotkania z dawno niewidzianym przyjacielem, uznanym już za zmarłego. Szapiro spojrzał na opatrunki Beni.

– Dostałem w nogę i biodro. Przez jakiś czas nie będę mógł chodzić, ale chyba wyżyję.

Był ogorzały i skurczony; tylko jego niebieskie oczy pozostały te same, pomyślał Lew. Kiedy poczęstował Benię serem i chlebem, ten zajadał z wilczym apetytem, popijając łykiem wódki i wodą z manierki.

– Wiesz, dokąd cię wiozą?

– Gospitalnaja Płoszczad'.

Plac Szpitalny. Główny szpital wojskowy w śródmieściu Moskwy.

Lew aż gwizdnął.

– Miałeś szczęście.

– Większe, niż możesz przypuszczać.

Szapiro wiedział więcej, niż Beni się wydawało, ale wszyscy w wagonie słuchali ich rozmowy, więc należało zachować ostrożność.

– Byłeś... jakiś czas poza Moskwą?

– Proścacek za granicą – odpowiedział Benia i Lew, nawykły do mówienia szyfrem z przyjaciółmi, pojął w lot. Była to aluzja do książki *Proścaczowie za granicą* Marka Twaina, który napisał kiedyś: „Pogłoski o mojej śmierci są mocno przesadzone”. A więc Benia był w łagrach. Lew znał wiele historii z tych piekielnych czeluści, ale jak Beni udało się stamtąd wydostać? Był więźniem politycznym, a mimo to został żołnierzem batalionu karnego.

– Byłeś tam, prawda? Brałeś udział w tej szaleńczej szarży kawalerii? Pisałem o niej. Dowódca był prawdziwym bohaterem... niech sobie przypomnę... Meliszko?

Benia kiwnął głową, ale Lew dostrzegł na jego twarzy smutek.

– Nie przeżył?

– Niewielu przeżyło, ale... przebiliśmy się przez włoskie linie.

– A ty jeździłeś konno? Nigdy nie miałem cię za takiego kozaka.

Benia uśmiechnął się blado.

– Radziłem sobie lepiej, niż się spodziewałem.

– Naprawdę...?

Szapiro uniósł brwi i Benia domyślił się, o co chce zapytać. Darowano mu karę czy nadal jest skazańcem?

– Nie gardzisz religią? – odpowiedział Benia. – Jak ci głupcy mogą wierzyć w maksymę *extra Christum nulla salus*?

Szapiro zrozumiał: „bez Chrystusa nie ma zbawienia”. Benia chciał powiedzieć, że znalazł zbawienie w ulaskawieniu przez sowieckiego Chrystusa, czyli Stalina. Odkupił swoje winy, przelewając krew na polu walki. Był wolny.

– Wiesz, co będziesz dalej robił?

Zauważył, że Benia walczy z sennością.

– Nie myślałem jeszcze o tym... – odpowiedział, a potem szepnął: – Chciałbym uczyć... Tak... – Zamknął oczy.

– Wydaje się, jakby od tej szarzy minęły wieki, a to przecież było zaledwie osiem dni temu – ciągnął Lew. – Łatwo ci poszło, nie nawojowałeś się zbytnio w tej wojnie, co? Osiem dni i zwolnienie z powodów zdrowotnych.

Ale Benia już spał. Lew, z oczami pełnymi łez, pochylił się i objął przyjaciela.

II

Lot był krótki, zaledwie piętnastominutowy.

Junkers 52 wylądował na pilnie strzeżonym lotnisku polowym w sosnowym lesie. Oficer ze skórzaną teczką w ręce zszedł po schodkach i wskoczył do otwartego samochodu sztabowego, który czekał przed samolotem. Po drodze nie rozmawiał z nikim, ale w myślach raz po raz powtarzał to, o czym kazano mu zameldować. Nie pierwszy raz przewoził meldunek, lecz ten był według niego najważniejszy, chciał więc uporządkować sobie wszystkie szczegóły. Kiedy samochód jechał przez las, zauważył działa przeciwlotnicze, betonowe umocnienia, zapory przeciwpancerne. Przejechali przez pierwszy punkt kontrolny, potem drugi i trzeci. Za każdym razem dokumenty oficera szczegółowo sprawdzano. System bezpieczeństwa był niezwykle szczelny, mysz nie mogłaby się prześliznąć. Jadąc szybko, minęli dwadzieścia kilka parterowych baraków z bali, nad którymi górowały ogromne betonowe bunkry, będące widoczną częścią kompleksu schronów. Zatrzymali się przed silnie strzeżonym drewnianym barakiem. Oficer był tam już kiedyś, ostrzygł się wtedy u fryzjera i wypławił w saunie. Tym razem jednak miał do załatwienia inną, znacznie pilniejszą sprawę.

Po wejściu do sąsiedniego baraku po raz czwarty pokazał dokumenty i oddał broń osobistą. W poczekalni zastał ministra i oficerów z innych frontów. Usiadł i podczas oczekiwania dwa razy wstawał, żeby przejrzeć się w lustrze. W końcu został wezwany i wszedł do niskiego drewnianego baraku. Ujrzał plecy mężczyzn pochylających się nad mapami rozłożonymi na stole i usłyszał dobrze znany, zachrypnięty gardłowy głos.

– Ich front się rozlatuje – mówił radośnie właściciel głosu. – Szybciej niż w zeszłym roku. Jak domek z kart. Są już bliscy załamania. Najważniejsze teraz zagadnienie to jakie siły i środki przydzielić Grupie Armii B i Stalingradowi. Grupa Armii A spycha wszystko przed sobą. Wiedzą panowie, co podpowiada mi intuicja, ale nowa informacja wywiadowcza może nam pomóc podjąć decyzję. Posłuchajmy co nasz informator ma do powiedzenia. Czy jest tutaj?

– Pułkownik von Schwerin? – zapytał szef sztabu generał pułkownik Halder. Na jego piersi Schwerin zauważył dwa Krzyże Żelazne z czasów pierwszej wojny światowej.

Odkaszlnął, lekko onieśmielony.

– Jestem.

W baraku panowała duchota.

– Witamy w Führerhauptquartier Werwolf, pułkowniku von Schwerin – rzekł Halder. – Proszę stanąć obok generała pułkownika von Weichsa...

Mur z pleców w mundurach polowych rozsunał się, przepuszczając gościa. Keitel

i Jodl zdawkowo skinęli głowami, a noszący okulary Weichs, dowódca Grupy Armii B i jego zwierzchnik, uściskał mu dłoń i zrobił miejsce po swojej prawej stronie przy stole z mapami.

– Mein Führer, melduje się pułkownik von Schwerin, wywiad, 6 Armia – zaszalutował nowo przybyły.

Hitler stał nachylony po przeciwnej stronie stołu, opierając się na łokciach. Nosił piaskową dwurzędową marynarkę z Żelaznym Krzyżem na piersi, czerwoną opaskę ze swastyką na ramieniu i ciemny krawat.

– Witam, pułkowniku. Mam nadzieję, że lot do Winnicy był spokojny.

– Bardzo szybki, mein Führer. Generał Paulus przesyła wyrazy uszanowania.

Hitler skwitował to krótkim ruchem głowy.

– Co pan dla nas ma?

– Plany taktyczne dla tego odcinka z sowieckiej kwatery głównej. Moim zdaniem mogą mieć one wpływ na operację „Fischreiher”. Dlatego przywiozłem je, jak tylko przestudiowałem.

Na chwilę zaległo milczenie.

– Przede wszystkim: na ile wiarygodne jest ich pochodzenie? – zapytał Halder, stojący obok Hitlera. – Czy ich brak został zauważony?

– Dokumenty należały do sowieckiego oficera sztabowego, który zginął, gdy nasze samoloty ostrzelały jego samochód. Niejaki Kapto, lekarz z batalionu karnego, był na miejscu i zabrał dokumenty, które sowiecki sztab generalny uznał za spalone w pożarze. Kapto, agitator sowiecki o długim stażu, zbiegł potem na naszą stronę. Był przyjacielem z dzieciństwa innego zbiega i antysowieckiego agitatora Mandryki, który utworzył oddział policji pomocniczej Schuma. Ów Kapto odsiadywał wyrok w obozie na Kółymie za antysowiecką agitację. To pierwsza przesłanka, która skłania nas do uznania tego materiału za prawdziwy. Kapto został przesłuchany przez mojego kolegę kapitana von Manteuffla, który zapoznał się z materiałami i był przekonany o ich znaczeniu i autentyczności. Niestety, zginął wczoraj w potyczce z partyzantami.

– Ale mapy partyzanci zostawili? – zapytał Halder.

– Tak jest, panie generale.

– Dlaczego ich nie zabrali?

– Czy to nie każe przypuszczać, że chcieli, aby trafiły do nas? – wtrącił Weichs.

– Długo się nad tym zastanawiałem – odparł Schwerin. – Najpierw kwestia pochodzenia: antysowieckość Mandryki i Kaptę nie ulega wątpliwości i została potwierdzona przez inne źródła. Gdyby miała to być sowiecka operacja wywiadowcza, nigdy nie przysłano by partyzantów, aby zabili Kaptę i moich kolegów oficerów, bo to podważyłoby wiarygodność dokumentów. A zatem moim zdaniem atak partyzancki przemawia za uznaniem materiałów za prawdziwe. Osobiście zresztą uważam, że atak przeprowadzili nie partyzanci sowieccy, ale działający na tym odcinku ukraińscy nacjonałiści, którzy nie wiedzieli o dokumentach i nie znali wszystkich okoliczności.

Hitler nerwowo bębnił palcami po zielono-beżowym stole. Halder uniósł rękę, sygnalizując, że informacje są zbyt obszerne: czy Schwerin mógłby się streszczać i wypowiedzieć swoją opinię?

– Tak... tak, moje wnioski! – odpowiedział Schwerin. – Odbyłem naradę z kolegami z Abwehry. Doszliśmy do przekonania, że plany są autentyczne i mają duże znaczenie.

Hitler, uśmiechnięty, niecierpliwy, a nawet podniecony, znów zastukał oboma palcami wskazującymi w stół.

– No, dobrze, pułkowniku, do rzeczy. Co z nich wynika?

Schwerin otworzył teczkę i wyjął plik map. Wybrał z niego jedną i rozwinął ją. Opierając podbródek na prawej dłoni, Hitler przyglądał się widocznym na mapie strzałkom i nazwom pisanym cyrylicą.

– Jest to zestaw planów sowieckiej kwatery głównej, przedstawiających warianty rozwoju sytuacji w związku z natarciem Grupy Armii A, czyli operacją „Edelweiss”, i Grupy Armii B w kierunku Stalingradu, czyli operacją „Fischreiher”... – ciągnął Schwerin.

– Tak, tak – przerwał mu Halder. – I pan uważa te plany za tak doniosłe, że chciał osobiście zreferować sprawę Führerowi.

– Tak.

– Na czym polega ich doniosłość?

– Zamieniam się w słuch – powiedział Hitler z drwiącym uśmiechem i generałowie roześmieli się.

– Według tych map jest nieprawdopodobne, aby Stalin kiedykolwiek uważał, że Stalingrad jest w niebezpieczeństwie...

– No to czeka go niespodzianka! – zawołał Hitler, znów wywołując salwę śmiechu.

– Czy mogę dokończyć, mein Führer? Plany te każą sądzić, że jeśli ruszymy na Stalingrad, Stalin będzie bronić się zaciekle. Ale tylko do pewnego momentu. Wyciągnął lekcję z naszego Blitzkriegu. Jeden z wariantów przewiduje uporządkowane wycofanie sił z miasta. Zamiast wykrwawiać swoje wojska i ryzykować okrążenie, Stalin stawi opór na nowej linii obrony, która naszym zdaniem przygotowywana jest na wschód od Stalingradu. Po okrążeniach Kijowa i Charkowa nie może sobie pozwolić na utratę swych malejących rezerw.

– To tylko jeden z kilku wariantów? – zapytał Hitler.

– Tak, mein Führer.

– Czy któryś z tych planów przewiduje obronę Stalingradu za wszelką cenę?

– Nie wprost. Ten plan jest najbardziej szczegółowy i...

Halder znów nie pozwolił mu dokończyć.

– To nie ma sensu, najmniejszego sensu. Walczą o każdą piędź ziemi, a ja czytałem o dowodzeniu przez Stalina obroną Stalingradu, wówczas nazywanego Carycynem, w czasie wojny domowej w 1918 roku. Wówczas, tak jak dziś, Stalin utworzył duże odwoły do rzucenia na skrzydła przeciwnika. Miasto nosi jego imię, jest symbolem jego prestiżu. Nigdy nie pozwoli, żeby padło! To my będziemy się wykrwawiać, to my narazamy się na okrążenie. Mein Führer...

Hitler przerwał mu zachrypniętym głosem, przecinając ręką powietrze.

– Generał pułkownik Halder jak zwykle boi się duchów. Znacznie przecenia pan rezerwy i możliwości Stalina. Jak dotychczas nie udały mu się takie złożone operacje.

Od dawna oczekuję, że Rosjanie wycofają się za Wołgę, a koniec końców za Ural. To rosyjski sposób: bić się z obłąkańczą, zwierzęcą odwagą Untermenschen, a potem wycofywać na łeb na szyję i masowo się poddawać. Tu jest to samo, panowie. Oto dowód dostarczony przez pułkownika von Schwerina i mapy tego człowieka, Kaptę. Czyż nie miałem racji w Polsce, we Francji? Intuicja słusznie podpowiedziała mi, żeby podzielić Grupę Armii Południe na A i B, a teraz mi podpowiada, żeby od razu, za wszelką cenę, zająć Stalingrad. Oto moje rozkazy. Przesunąć 4 Armię Pancerną, myśliwce i bombowce do Grupy Armii B. Generale Weichs: ma pan nacierać na Stalingrad. Za cztery tygodnie miasto będzie nasze.

– Muszę zaprotestować, mein Führer – rzekł Halder. Twarz miał zaczerwienioną, ściągniętą niepokojem. – Chciałbym wyrazić pogląd, że jest to błąd. Fatalny błąd.

Hitler pominął jego słowa milczeniem.

– Świetny raport, pułkowniku von Schwerin. Dopóki jest pan u nas, niech pan korzysta z dobrego jedzenia, sauny, a jeśli pan zechce, przed odlotem do 6 Armii może się pan wykąpać w moim basenie – chociaż muszę przyznać, że sam się w nim jeszcze nie kąpałem.

Uśmiechając się, Hitler wyciągnął rękę ponad stołem i von Schwerin uścisnął ją z szacunkiem.

III

Tuż przed trzecią po południu Swietłana Stalina i Marfa Pieszkowa wyszły ze szkoły komunalnej nr 801 imienia Iosifa Stalina. Kiedy znalazły się na ulicy, Moskwa ukazała im swoje smutne wojenne oblicze: szara, pokiereszowana, z ruinami zbombardowanych domów. Budynek stojący naprzeciwko szkoły był podziurawiony odłamkami szrapnela.

Oczy wszystkich rodziców i nauczycieli zwrócone były na Swietlanę i Marfę. Dyrektorka szkoły Kapitolina Miedwiediewa nieomal ukloniła im się, ale Swietłana była przyzwyczajona do takich hołdów, należnych córce cara. Za bramą szkoły nianie, ochroniarze i matki czekali na wychodzących uczniów. Ojców nie było, wszyscy przywódcy byli zajęci prowadzeniem wojny. Żona Herkulesa Satinowa, Tamara, ucząca w szkole języka angielskiego, wyszła z małą córeczką i Swietłana pomachała jej. Znała Satinowów z rodzinnych wakacji nad Morzem Czarnym.

– Wie już! – szepnęła do Marfy.

– O, rety! Co powiedział?

– Nikomu nie wypaplałaś, prawda?

– Oczywiście, że nie. Co powiedział?

Swietłana pokręciła głową.

– Nigdy nie widziałam ojca w takim stanie. Uderzył mnie w twarz. Podarł listy.

– Co powiedział Lew?

– Nie wie o niczym.

– Ale chyba niebawem wraca?

– Może.

– Spotkasz się z nim?

Swietłana przypomniała sobie obietnicę, którą dała niani.

– Nie, już nigdy.

Może to i lepiej, pomyślała Marfa.

– Twój ojciec... Uważaj, Swietoczka.

Doszły do rogu ulicy. W stojącej tu limuzynie Packard czekał ochroniarz Swietłany Klimow.

Kiedy dziewczęta całowały się na pożegnanie, Swietłana zerknęła na zegarek. Była dumna, że jest panią swojego losu. Mimo ustawicznej inwigilacji i bezlitosnego nadzoru ojca wciąż była sobą, miała władzę nad swoim sercem.

– Swietłana! – Klimow stał przy otwartych drzwiach samochodu.

– Chciałabym się trochę przejść... Zajrzeć do Domu Książki.

– Wolałbym, żebyś wsiadła do samochodu.

– A mógłbyś jechać za mną?

Czarny packard powoli toczył się za Swietłaną, która ruszyła Ostozenką, minęła uniwersytet i Kreml i ulicą Gorkiego doszła do swojej ulubionej księgarni. Pomachała Klimowowi – kochanemu Klimowowi, miłemu czekaście, który chciał jej pomóc, chciał, żeby poznała miłość – i zniknęła w środku. Znalazła się wśród dobrze znanych rzędów regałów, otoczona zapachem skórzanych opraw, papieru i kleju. Wodziła oczami po półkach, szukając czegoś, co mogłaby wziąć do czytania w domu – może jakaś amerykańska powieść? Nowa książka historyczna! W książkach jest tyle romantyzmu, myślała, miłośnicy książek z całego świata – Londynu, Nowego Jorku, Moskwy – tworzą sieć utkaną z wrażliwości i swobody ducha.

Zawahała się tylko chwilę, a potem ruszyła prosto przez księgarnię na zaplecze. Chciała zjechać windą na dół, gdzie rozpakowywano paczki z książkami przywożone z drukarni. Nacisnęła guzik, winda zatrzęsła się i stęknęła, ale nie ruszyła z miejsca. Swietłana zaklęła pod nosem i zbiegła po schodach na dół. Było tu chłodniej. Woń książkowego kleju i świeżo zadrukowanego papieru uderzył w nozdrza. Młody człowiek z wielkimi uszami rozpakowywał pudło z przemówieniami jej ojca. Widok ten rozśmieszył Swietłanę.

– Przepraszam, ale tu nie wolno wchodzić – powiedział młodzieniec. Miał południowy akcent, zapewne stawropolski.

Uśmiechnęła się do niego czarująco.

– Naprawdę, wyleją mnie z pracy.

– Nie wyleją. Jeśli tylko im powiem, żeby tego nie robili...

– A kim ty jesteś? Ej! Wracaj na górę!

Ale Swietłana zobaczyła już światło słoneczne w uchylonych drzwiach wyjściowych.

– Tędy będzie szybciej! – rzuciła i zbiegła po rampie w jasność dnia. Skręciła w boczną uliczkę i wyjrzała zza rogu na ulicę Gorkiego, gdzie Klimow, oparty o samochód, palił papierosa. Potem wskoczyła do tramwaju.

Była wolna. Nie na długo, ale wolna.

Benia otworzył oczy. Sprawdził bandażę i gips na biodrach i prawym udzie – na szczęście trzymały się mocno. Lubił ponadczasowe odurzenie, w jakie zapadał po zastrzyku morfiny. Leżał z głową opartą wysoko na poduszkach, więc mógł widzieć całą salę.

Wszystko tu było szare i sprane. Wszędzie stalowe łóżka, brązowe prześcieradła, poplamione koce i zapach kwasu karbolowego, środków odkażających, gorący zaduch obcych ciał, owocowa słodycz gnijącej materii i kwaśnego moczu. Chłopiec leżący dwa łóżka dalej zmarł, ale zwłok nie zdążono jeszcze wynieść. Potem morfina znów przeniosła Benię do innego świata: odwiedzał rodziców, oporządzał Srebrne Skarpetki, a później przez skłębione chmury sfrunął na step, gdzie zobaczył Tonię, Kaptę i jego dziewczynkę. Obudził się. Było mu niedobrze, w ustach czuł rdzawy posmak krwi.

Dobiegł go szmer szeptów i trzy łóżka dalej zobaczył grupę pielęgniarek i lekarzy, a wśród nich mężczyznę w generalskim mundurze. Nic nie mogło stłumić radości i uniesienia, jakie budziła w Beni świadomość, że jest wolny i darowano mu karę – ale jak zwykle zaczął go dręczyć paniczny lęk przed rozczarowaniem. Boleśnie go przecież doświadczył, i to tak niedawno. Wrócił do swoich i znów został skazany na śmierć – po tym ciosie omal się nie załamał. Ale wykonał zadanie. Po raz drugi nie widział już Kobułowa, co samo w sobie było powodem do radości; wiadomość o ułaskawieniu przyniósł mu Mogilczuk. A teraz? Teraz żył.

Generał zbliżał się, rozmawiając po drodze z każdym pacjentem. Lekarz wtrącał swoje uwagi, a leżący odpowiadali słabymi, anemicznymi głosami. Padały krótkie pytania, wyrażające zainteresowanie i troskę. „Jak się czujecie? Z jakiego oddziału? Gdzie służyliście? Front Stalingradzki?”. A potem oświadczenie, wygłaszane pospiesznie, bo przecież „musimy jeszcze obejść dziesięć sal”: „Wspaniale służyliście ojczyźnie. Życzę wam szybkiego wyzdrowienia. Niech żyje Stalin!”.

Stali przy sąsiednim łóżku, następny w kolejności był Benia. Znał już pytania na pamięć i kusiło go, żeby wyrecytować odpowiedzi jednym tchem dla oszczędzenia czasu. Naraz słyszał głos generała:

– Dajcie nam chwilę, towarzysze, znam tego pacjenta. Tak, dziękuję, siostrze, przysunę sobie krzesło.

Gruziński akcent. Benia w jednej chwili rozbudził się całkowicie.

– Benia Golden – rzekł generał pułkownik Herkules Satinow, starszy o kilka lat, ale wciąż szczupły i gibki, człowiek, dla którego władza była czymś równie naturalnym jak lęk dla żydowskiego pisarza. Kiedyś, w innym, niemal zapomnianym życiu, w domu pewnej pięknej kobiety, Benia widział Satinowa tańczącego lezginkę. W swojej bluzie stalince był wąski w pasie jak osa i niesamowicie szybko przebierał stopami. Życie, które minęło na zawsze.

W lodowatej obecności towarzysza broni wielkiego Stalina Benia, jeszcze przed sekundą niemal euforyczny, przygasł i skurczył się. Jaka niespodzianka czeka go tym razem?

– Jak się czujecie?

– Czuję się dobrze... – odparł Benia. Czas przeszły, zbytek szczerości.

– Dopóki nie zobaczyliście mnie? Znowu.

Kiedy ostatnim razem Benia widział Satinowa, generał skazywał go na śmierć, a potem na dwadzieścia pięć lat gehenny.

– To na pewno zbieg okoliczności.

– Wciąż wierzycie w zbiegi okoliczności, Golden?

– Chciałbym.

Satinow przyjrzał się Beni badawczo.

– Jestem przedstawicielem Stawki na Froncie Stalingradzkim, moim froncie.

W miarę możliwości odwiedzam rannych. – Pauza. – Wasza sprawa trafiła prosto do mnie. Kazałem obejrzeć wasze rany; kiedy spaliście, poleciłem klinice kremłowskiej przysłać lekarza, żeby was zbadał. Podpisując wasze ułaskawienie, w tym konkretnym wypadku musiałem mieć pewność.

Benia wiedział, że Satinow ma na myśli sprawę Saszeńki.

– Rozumiem i dziękuję.

– Zostaliście przedstawieni do jedyne go medalu przyznawanego karniakom: Orderu Chwały III klasy.

– Naprawdę? – zdziwił się Benia. Nigdy w życiu nie zdobył nagrody, nawet w szkole.

– Oczywiście więzień polityczny nie może go otrzymać.

Benia widywał jastrzębią twarz Satinowa w gazetach i na niezliczonych transparentach. Po drodze nad Don przejeżdżał nawet przez Satinowgrad. Jego obecność przy szpitalnym łóżku wzbudziła falę wspomnień: Satinow był zaprzyjaźniony z Saszeńką, miłością życia Beni, a mimo to Stalin przydzielił do jej sprawy właśnie Satinowa, który miał dopilnować wykonania wyroku na swojej przyjaciółce. Był to oczywiście typowo stalinowski sprawdzian lojalności. Rodzina, sentymenty, przyjaźń należały do burżuazyjnych przeżytków i Stalin lubił powtarzać, że „bolszewik nie ma rodziny oprócz partii”. Satinow ze stoickim spokojem przewodniczył procesom i wydawał wyroki. Czy odegrał w całej sprawie ponurą rolę, zadencjonował przyjaciół, nawet Saszeńkę? Czy postępował z wyjątkową surowością, żeby ocalić własną skórę? Gdyby Saszeńka żyła, Satinow wiedziałby o tym. O jakich rzeczach musiał wiedzieć...

Adiutant szepnął coś do generalskiego ucha.

– Widzę, że przysypiacie, Golden. Posłuchajcie mnie jeszcze przez chwilę. Gdyby pozwolono wam zamieszkać w Moskwie, co byście chcieli robić?

– Uczyć literatury.

– W szkole?

– Tak. A jeśli to będzie niemożliwe, mogę robić cokolwiek, zamiatać podłogi, budować czołgi, zostać barmanem albo...

– Tą gadaniną pogarszacie swój stan. Przestańcie mówić, Golden.

Satinow podniósł się. Nie powiedział do widzenia, lekko tylko skinął głową. Ale cała rozmowa była ewenementem: w państwie Stalina nikt nie pomagał powracającym zekom, a przecież Satinow to właśnie uczynił. Benia znów poczuł przypływ nadziei. Świta Satinowa – lekarze, adiutanci i ochrona osobista – zebrała się wokół generała i powiodła go do następnej sali.

Na łóżko padł cień i Benia podniósł wzrok.

– Dziadek!

Benia drgnął. Przy jego łóżku stało dwóch ludzi, wciśniętych w szpitalne bluzy i postrzępione kalessony.

– Macie wrócić na swoją salę – powiedziała siostra przełożona, sekutnica o twarzy zmił. – Wynoście się, powiedziałam! Bo zamelduję o was komitetowi partyjnemu.

– Dobrze, siostrze, tylko minutkę... prosimy!

Sposób, w jaki Pyszczepta to powiedział, i jego zbójceki uśmiech pod szopą lnianych włosów, zmiękczyły serce megiiery.

– A więc daję wam minutę, „Szybki”, i ani chwili dłużej!

– Widzisz? Ona zna nawet moje imię – powiedział z dumą Pyszczepta, mający zabandażowane ramię.

– Zachowuj się, „Szybki” – powiedziała surowo pielęgniarka i wytoczyła się z sali.

Pyszczepta przysiadł na skraju łóżka.

– Kto to był ta szyszka? – zapytał.

– Jakiś aparatczyk.

– Czego chciał? Mianować cię inspektorem kawalerii?

Pojawił się Panka – z ogorzałą twarzą i torsem, dłuższymi siwymi włosami i jeszcze bardziej potarganymi bokobrodami. Chodził o kulach, potrzaskaną nogę miał w gipsie.

– Niczego, a może nawet jeszcze mniej.

– Myślę, że dziadek Golden byłby lepszy jako inspektor snajperów – rzekł Pyszczepta i mrugnął znacząco.

Benia westchnął.

– Nigdy nie byłem zbyt dobrym jeźdźcem ani strzelcem.

– Nie bądź taki skromny – odpowiedział Panka. Jego lisie oczka jaśniały wesołością. – Okazałeś się lepszym strzelcem, niż ci się wydawało. Niech ci Pan Bóg wynagrodzi, chłopie.

Cóż to za obłąkany świat, w którym można uratować życie przyjacielom, tylko strzelając do nich? – pomyślał Benia. Ale dekret Stalina mówił jednoznacznie: karniacy mogą uzyskać darowanie kary jedynie wtedy, gdy przeleją krew. Dlatego Benia zranił towarzyszy, żeby mogli zasłużyć na ulaskawienie.

Może to z powodu ulgi na wieść, że Satinow załatwił mu darowanie kary, a może morfina przestała działać – potrzebował następnego zastrzyku, gdzie podziewała się ta pielęgniarka? – ale raptem ogarnęła Benię czarna rozpacz i coś ścisnęło go w gardle. Smutek i poczucie straty przygniotły go jak ołów: Fabiana nie żyła. Stała mu przed oczami, jak zanurza rękę w plastrze miodu, wydrapuje go i zjada jak niedźwiadek. Miłość, pomyślał, to szczegóły – katalog obrazów, chwil, dźwięków nie mających nazwy, bo słowa są niepotrzebne. Miłość to zawsze samolubstwo w swoim najrozkoszniejszym wydaniu – ale z Fabianą nie było czasu na samolubstwo. Niekiedy sama krótkotrwałość romansu nadaje mu niepokalaną czystość, która przechodzi prosto do legendy – i nic, co zdarzy się później, nie jest w stanie mu dorównać. Ale swoje nieliczne wspólne godziny przeżyli w surowszym, wyższym świecie. Nigdy nie powiedzieli sobie: „Kocham cię”; byli jedynie „zakochanymi bandytami”, to wszystko. Od samego początku

galopowali, uciekali, starali się umknąć śmierci i przeżyć. Było prawdziwym cudem, że im się to udało, przynajmniej na pewien czas. Powinien był jej powiedzieć, że ją kocha? Czy dodałoby jej to otuchy? Takie wyznanie musiałyby zabrzmieć banalnie i pusto wobec ogromu jej odwagi i poświęcenia. „Czy jesteś gdzieś tam, kochana sojuszniczko, dzielna, bardzo dzielna przyjaciółko? – wołał do niej w myślach. – Czy jesteś tam, tajemnicza marzycielko z laguny, *mia adorata*? Całuję cię! Całuję!”

Byłem z nią kiedyś, pomyślał, świadom, że płacze. Byłem z nią jakby na zawsze. Dla nas jednak na zawsze okazało się za krótkie.

V

Poskriobyszew, ponury gnom w generalskim mundurze, stanął w drzwiach Kęcika i zaanonsował:

– Przyszedł Satinow.

Stalin kiwnął ręką i Poskriobyszew odsunął się, przepuszczając gościa.

Packard Satinowa przemknął jak strzała ze szpitala na Kreml i zatrzymał się przed wejściem do Kęcika, który mieścił się w żółtym, trójkątnym budynku Senatu. Generał starał się odwiedzać rannych żołnierzy Frontu Stalingradzkiego, gdy tylko mógł, ale musiał przyznać sam przed sobą, że ostatnia wizyta miała związek z Benią Goldenem. Odegrał niechlubną rolę w sprawie Saszeńki i Goldeny, więc teraz chciał dopilnować, aby pisarz został potraktowany sprawiedliwie. Nie miał jednak serca wyznaczyć mu strasznej prawdy: decyzja o jego ułaskawieniu nie była ostateczna. W obozach siedziało miliony więźniów, których nazwisk Stalin nigdy nie poznał – ale nie byli to więźniowie polityczni ani ci z politycznych, których sprawę Stalin znał osobiście. Gdyby Satinow zataił ułaskawienie jednego z więźniów politycznych, pisarza znanego Stalinowi, wódz mógł go za to zniszczyć. Niejeden towarzysz zarobił kulkę za takie sztuczki. Nie, musi poprosić o to Stalina osobiście, chociaż Beria najprawdopodobniej będzie przeciwny. Beria nie tylko kierował siłami bezpieczeństwa i Gułagiem, ale był też zazdrosny o sympatię, jaką Stalin darzył Satinowa, wyczuwał w niej zagrożenie dla siebie. Dlatego nie tracił czasu na zajmowanie się sprawą biednego Beni Goldeny, który zapewne wróciłby prosto na Kołymę.

Satinow wszedł do pokoju i zaszalutował. Niewiele się tu zmieniło. Przy stole znów siedział Beria, a nieco dalej Wasilewski, do którego dołączył generał Georgij Żukow ze swą wydatną zuchwą i barkami tura.

– Proszę o zgodę na złożenie meldunku o sytuacji na froncie stalingradzkim – powiedział Satinow.

Stalin podniósł rękę gestem przyzwolenia.

– Budujemy umocnienia wokół Stalingradu. Niemcy wzmacniają Grupę Armii B, a konkretnie 6 Armie. Z Frontu Południowego przyszły dziś rano informacje, że nawet w tej chwili nieprzyjaciel ściągają oddziały pancerne z linii frontu, prawdopodobnie żeby przerzucić je na nasz odcinek. Podążają już przez step.

– Jak daleko są od miasta?

– Niektóre jednostki dotarły do przedmieść – odpowiedział Wasilewski.

– Jak tam generałowie na waszym froncie?

– Czujkow ma bunkier przy samej rzece i będzie walczył do końca. To twardy oficer. Muszę pochwalić jego surowość, towarzyszu Stalin, natomiast Gordowowi brakuje zdecydowania – ciągnął Satinow.

– Gordow opowiada głośno o opuszczeniu Stalingradu – wpadł mu w słowo Beria. Stalin zawiesił zimne spojrzenie na Satinowie.

– To prawda?

– Brak mu pewności siebie.

– Ale Stalingrad się obroni? Będziemy w stanie utrzymać brzeg Wołgi bez względu na wszystko? Powiedz szczerze, jak bolszewik bolszewikowi.

Wszyscy patrzyli na Satinowa i czekali. Satinow nie spieszył się, starannie rozważał szczerą odpowiedź, której stary bolszewik oczekiwał od towarzysza.

– Tak – rzekł w końcu. – Jestem pewien, że utrzymamy Stalingrad.

– Dobrze, *biczo* – pochwalił Stalin. – Jak Gordow powie to jeszcze raz, powiedz mu, żeby się odpierzył i zdzielił go w mordę.

– Albo oddaj go mnie – dodał Beria.

– Niech najpierw Satinow zajmie się Gordowem – zdecydował Stalin. Wstał i podszedł do generałów, pochylonych nad mapami.

Na widok zbliżającego się Stalina Wasilewski i Żukow wyprostowali się i zeszywnieli.

– Doprowadziliśmy do bitwy, której chcieliśmy – oświadczył wódz. – Hitler połknął haczyk, chociaż utrzymanie miasta będzie nas kosztować wiele krwi. Musimy wciągnąć Niemców w pułapkę, ale zachować siły. W całej Rosji wiemy o tym tylko my, zebrani w tym pokoju. Po wielu porażkach nadarza się wymarzona okazja. Życzę powodzenia – powiedział i podał rękę najpierw Wasilewskiemu, a potem Żukowowi. Satinow i Beria spojrzeli na siebie, niepewni, co dokładnie wódz uknuł z generałami. Stalin nikomu w ten sposób nie ścisnął rąk. – Kończcie swoje przygotowania, towarzysze.

Dwaj generałowie zasalutowali i wyszli.

– Stalingrad będzie wielką bitwą – powiedział Satinow. – Proszę o zgodę na powrót tam w charakterze stałego komisarza frontu.

Stalin zastanowił się przez chwilę, a potem skinął głową.

– Zgoda. – Odwrócił się do Berii. – Hitler przerzuca więcej oddziałów na odcinek 6 Armii. Czy to wynik tej małej sztuczki ze zbiegiem ze sztrafbatu? Czy akcja poszła zgodnie z planem?

– Tak – odpowiedział Beria. – Mapy zostały zawiezione do sztabu 6 Armii. Nie wiemy, czy dotarły do Weichsa, czy do samego Hitlera, ale natychmiast rozpoczęły się przygotowania do przetrzucenia wojsk.

– Udało się? – rzekł Stalin w zamyśleniu, niemal do siebie. – Bandyci Meliszki przysłużyli się ojczyźnie.

A więc śmierć Meliszki i jego karniaków nie poszła na marne, pomyślał.

– Towarzyszu Stalin? – odezwał się Satinow. – Jest taka drobna sprawa. Jednym z kilku karniaków, którzy zrehabilitowali się podczas tej operacji, był Benia Golden, pisarz i...

– To więzień polityczny – przerwał mu Beria – a polityczni nie mogą się

zrehabilitować.

– Za co skazany?

– Za planowanie zamachu na was, towarzyszu Stalin.

– Odeślijcie łajdaka z powrotem do łagru – polecił Stalin zmęczonym głosem. –

Jeszcze coś?

– Golden walczył dzielnie i został nawet przedstawiony do Orderu Chwały – nie dawał za wygraną Satinow.

– Polityczni nie otrzymują medali – zauważył Beria.

– Zgoda, ale Golden zrehabilitował się męstwem na polu walki, przelewając krew. Stalin otarł twarz obiema rękami i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

– Ławrientij? – zapytał Berię.

Beria rzucił swemu rywalowi triumfujące spojrzenie, a potem zmrużył oko.

– Sprawa jest chyba jasna, prawda?

VI

Zgrzytając po szynach, tramwaj przejechał obok ochroniarza i szofera Swietłany. Oparci o maskę samochodu, czekali przed wejściem do Domu Książki i palili papierosy. Patrząc, jak znikają w oddali, Swietłana zatarła ręce z radości. Pokażę im, pokażę ojcu, myślała. Uwolniłam się od nich wszystkich! Wysiadła z tramwaju i przeszła przez most, zmierzając do domu na nabrzeżu. Pojechała windą na siódme piętro i weszła do pustego mieszkania swoich kuzynów, Alliujewów.

W kuchni przy stole siedział Lew Szapiro.

– W jutrzejszej gazecie ukaże się mój nowy artykuł – powiedział, wstając. – Redaktor naczelny mnie chwali, jestem wręcz jego ulubieńcem. Stalingrad będzie największą bitwą tej wojny, jutro tam wracam z przepustkami do sztabów generała Czujkowa i Satinowa.

– A więc rano wyjeżdżasz? – Swietłana poczuła nagle, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

– Tak. Muszę jeszcze pojechać do domu i pożegnać się z dziećmi, ale chcę też wpaść do szpitala odwiedzić starego przyjaciela, który służył w batalionie karnym i odzyskał wolność.

– Ile mamy czasu?

Podszedł i wziął ją za rękę.

– Dopiero szósta. Mamy co najmniej godzinę.

Westchnęła.

– Jak cudownie być z tobą. Tak się cieszę, że nic ci nie jest. Myślałam, że może mój ojciec...

Ale Lew objął ją i zaczął całować.

– Chciał cię tylko nastraszyć i udało mu się – powiedział po dłuższej chwili. – Ale ma na głowie ważniejsze sprawy.

– To Gruzin, mój Lwie, a ty jesteś czterdziestoletnim żonatym mężczyzną.

– I dlatego będziemy bardzo ostrożni i może przez jakiś czas nie będziemy się spotykać.

– Naprawdę?

– Tak.

– Chyba masz rację – niepewnie powiedziała Swietłana. – Ale czy teraz możemy się dalej całować?

Po wielu pocałunkach Lew uśmiechnął się.

– Po wojnie wszystko będzie łatwiejsze. Nastąpi odwilż – tak w każdym razie się mówi. Ale nie martw się, moja Lwiczko. – Poglaskał ją po głowie i zajrzał w oczy. – Nic złego mi się nie stanie.

VII

– Po namyśle – rzekł Beria do Stalina i Satinowa w Kąciku – doszedłem do wniosku, że ta sprawa nie jest taka prosta. Towarzyszu Stalin, czy mogę oświadczyć, że moim zdaniem ten więzień zasługuje na ulaskawienie? Rekomenduję wydanie Goldenowi pozwolenia na pracę w Moskwie.

Satinow z trudem ukrył zdziwienie. Szybko jednak ochłonął i przejął inicjatywę.

– Towarzyszu Stalin, Golden chce uczyć literatury, a w jednej z moskiewskich szkół jest akurat wakat.

Stalin machnął ręką i usiadł za biurkiem.

– Coś wy się zbytnio ze sobą zgadzacie. Czy to czasem nie spisek przeciwko Komitetowi Centralnemu?

Rozmowa przybierała niebezpieczny obrót. Beria i Satinow mieli właśnie zaprzeczyć, gdy we drzwiach stanął Poskriobyszew.

– Towarzysz Mołotow przyszedł złożyć sprawozdanie z wizyty Churchilla.

– Towarzysz Churchill – uśmiechnął się Stalin – to nasz największy wróg. Nie ufałbym temu zatwardziałemu imperialiście. Roosevelt gra o wysokie stawki, ale Churchill wyciągnąłby ci z kieszeni kopiejkę, nawet kopiejkę. A teraz przyjeżdża się ze mną spotkać. – Umilkł, przypominając sobie przerwana rozmowę. – Daj temu pisarzowi łajdakowi posadę w takiej szkole, w jakiej chcesz, Satinow.

Satinow zrozumiał, że Stalin nie wierzy w terrorystyczną działalność Goldena. Być może nie wierzył w oskarżenia przeciwko tysiącom, nawet milionom ludzi, których skazał na wyszkę albo łagier. Ale zostali skazani, bo tak było trzeba, żeby zapewnić Związkowi Sowieckiemu bezpieczeństwo. Przerazająca myśl – ale w ten sposób działali bolszewicy: lepiej zabić dziesięć tysięcy niewinnych niż nie ukarać jednego wroga.

– Potrzebujemy dobrych nauczycieli. Zawsze możemy ich później rozstrzelać, prawda? – uśmiechnął się Stalin swoim tygrysim uśmiechem, a jego żółte oczy błysnęły. – À propos później, to co robimy wieczorem? Jakiś film? Może znów *Świat się śmieje*? U mnie? Dobra.

Beria i Satinow wyszli przez przedpokój na korytarz.

– Poparliście mnie? – zapytał Satinow po gruzińsku. – To pierwszy raz. Co wam się stało, Ławrientiju Pawłowiczu?

– Nie zamierzałem przyznawać się do żadnych błędów, ale wasz przyjaciel Golden o mały włos nie spowodował krachu całej operacji. Jeszcze chwila, a kazałbym go zastrzelić jak kuropatwę. Ale zaskoczył nas: naprawił swój błąd i ocalił dupę. – Beria

uśmiechnął się szyderczo. – Wyjątkowy wypadek.

– Tak – potwierdził Satinow – bez wątpienia.

Na krótko przed północą Stalin nakładał sobie na talerz gruzińskie danie w jadalni swojej Bliskiej Daczy w Kuncewie, zwykłego piętrowego domu pomalowanego na jasnozielono. Zapach przypraw rozchodził się po całym pokoju o wysokim suficie. Potem półmisek zaczął krążyć wokół stołu, przechodząc po kolei do rąk Satinowa, Mołotowa i Mikojana. Widząc, że Stalin chce porozmawiać z Berią na osobności, pozostali goście stanęli z tyłu i zachowywali dystans. Mieli jeszcze przed sobą seans tej kretyńskiej komedii *Świat się śmieje*, którą widzieli ze dwadzieścia razy i znali na pamięć. Stalin nucił nawet niektóre piosenki z tego filmu. Podczas projekcji Satinow starał się zawsze siadać za Stalinem. Chciał się choć trochę zdrzemnąć.

– Iosifie Wissarionowiczu – powiedział Beria – dziś po południu Swietłana wystrychnęła na dudka Klimowa i zniknęła na pewien czas. Teraz jest już z powrotem w domu.

– Znów spotyka się z tym Żydem?

– Możliwe.

– Miłość ma więcej wspólnego z nudą niż cokolwiek innego – rzekł Stalin łagodnie, ale w środku gotował się ze złości. Myślał o tym, jak on i Beria pozbywali się niewygodnych ludzi, jak wymyślali nowe sposoby wykonywania swojej „czarnej roboty”. Nie ma człowieka, nie ma problemu, mawiał Stalin. Strzał w tył głowy bywał czasami zbyt prostą metodą. Dlatego od czasu do czasu sprawę załatwiał odpowiedni zastrzyk, sfingowany wypadek samochodowy, albo włamanie, które kończyło się morderstwem. Stalin rozważał wszystkie te warianty usunięcia Szapiry, ale musiał być ostrożny, bo sprawa dotyczyła jego córki. Niemniej jednak jego duma gruzińskiego ojca została podrażniona, a bezczelny pisarzyna pozwolił sobie okazać mu lekceważenie. Większość ludzi trzęsła się przed nim ze strachu, lecz Szapiro wydawał się go nie bać. Jakąż straszną głuptaską okazała się Swietłana. Będzie musiał szybko wydać ją za męż – za jakiegoś porządnego sowieckiego młodzieńca, na przykład syna Berii, Sergo, Jurija Żdanowa albo któregoś z chłopaków Satinowa. Ale co robić tymczasem?

– Sprawdziliście tego Szapira?

– Tak.

– Brytyjski tajny agent?

– Bardzo możliwe, chociaż raczej amerykański. Lubi amerykańską literaturę. Jak mam to załatwić?

VIII

Zegary we wszystkich salach szpitalnych wybiły północ. Skończył się dziesiąty dzień Beni na wojnie. Ale mimo późnej pory Benia miał gościa.

– Jesteś moim jedynym przyjacielem i wiesz nawet, że tu jestem – powiedział.

– A nawet to, że żyjesz! – dodał Lew Szapiro. – Co zamierzasz teraz robić? Masz jakiś pomysł?

– Wieczorem odwiedziła mnie dyrektorka pewnej szkoły i zaproponowała mi pracę.

- A więc będziesz nauczycielem? Szybko poszło.
- Wstawił się za mną ktoś ważny.
- Niesamowite, mój drogi. Ale powiedz mi, jak przeżyłeś obóz?

Benia westchnął.

– Żyłem z dnia na dzień i z godziny na godzinę. Starłem się cieszyć najmniejszymi drobiazgami. Patrzyłem na gwiazdy, na księżyc i myślałem, że ci, których kocham, też może na nie patrzą. Księżycowa magia. – Przyjrzał się badawczo Szapirze. – Jesteś zakochany, Lwie. W kimś, w kim nie powinienes.

– Skąd to wiesz? Wystarczyło ci na mnie spojrzeć?

– My Galicjanie widzimy wszystkich na wylot, a wiem, jakie to niebezpieczne.

Wierz mi.

– Jak to odgadłeś? Widziałem się z nią dziś po południu, oczywiście potajemnie. Jest taka urocza, ale i bardzo mądra.

– Kto to jest? Pomyślmy. Którą najmniej odpowiednią żonę w Moskwie mógłbyś wybrać? Mołotowa?

– O, nie, ona nie jest niczyją żoną. To czyjaś córka.

Lew nachylił się do ucha Beni.

Golden podniósł do góry obie ręce.

– Nie mów. Nie chcę wiedzieć. Żadnych imion! Tego nauczyliśmy się w zonie. Moje imię Nic, nazwisko Nikt. Opowiedz mi samą historię! Uwielbiam takie rzeczy. Jak to się zaczęło?

– No cóż, któregoś dnia dostałem list od wielbicielki...

Schodząc po szpitalnych schodach, Lew Szapiro wciąż śmiał się do siebie po zakończonej rozmowie z Benią, który tak dobrze rozumiał miłosne porywy. Nagle stanął jak wryty.

W holu stał generał i kilku ludzi z enkawudowskimi naszywkami na mundurach. Lew wiedział od razu, że przyszli po niego, i co będzie dalej. Wyjedzie daleko, bardzo daleko, i na długo, albo jeszcze tej nocy umrze w celi na Łubiance. Pewnie nigdy już nie zobaczy Swietłany ani swojej żony i dzieci. Przeliczył się fatalnie.

Poklepał się po kieszeniach, udając, że czegoś zapomniał.

– O cholera, zostawiłem notes na górze... – mruknął. Obrócił się na pięcie i zaczął z powrotem wchodzić po schodach. Starł się zachowywać spokojnie, nie biec, nie krzyczeć.

Na pierwszym piętrze zapytał pielęgniarkę:

– Jest tu inna klatka schodowa?

– Tak, proszę iść prosto korytarzem.

Szedł szybko i cały czas przyspieszał kroku. Dopadł do drugiej klatki schodowej, zbiegł po schodach, ale zanim dotarł na sam dół, ukucnął i wyjrzał: faceci w mundurach NKWD byli i tutaj. Zawrócił i pobiegł do góry. Spociał się, serce waliło mu w piersi, czuł mdłości. Jezu, jak mogłem być takim głupcem? – krzyczał do siebie w duchu. Ale co można było teraz zrobić? Nie miał dokąd uciec. Mógł spróbować wrócić do domu pożegnać żonę i dzieci, ale tam też na pewno na niego czekali. Ucieczka jeszcze pogarszała sprawę. Poza tym obstawili obie klatki schodowe i windy.

Ruszył po schodach w stronę sali, w której leżał Benia, czując, jakby spadał w pustkę. Miał wyrzuty sumienia wobec rodziny. Gdyby został rozstrzelany, żona dostałaby pewnie wiadomość: „Więzień Szapiro został skazany na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności bez prawa do korespondencji”, co zwykle oznaczało, że delikwent dostał osiem gramów w tył głowy. Albo powiedziano by jej: „Artykuł 58, dwadzieścia lat” i snułaby przypuszczenia, że może jeszcze żyje, jeśli przetrwał podróż na Kołymę i nie umarł tam z wyczerpania. Tak czy owak był zgubiony.

Gdyby tylko mógł przesłać list Swietłanie... ale czasu miał tak mało...

Zatrzymał się u wylotu długiego korytarza i zobaczył ich: szli prosto w jego stronę, zaglądając do wszystkich sal. Obrócił się, ale było za późno: trzymali go za ręce.

– Lew Szapiro? – zapytał generał.

– Tak.

– Pójdziecie z nami. Na dole czeka samochód. Wiecie, kim jestem?

– Nie.

– Generał Własik, szef ochrony premiera rządu sowieckiego. Rozumiecie, co to znaczy?

Szapiro skinął głową.

– To może znaczyć wiele różnych strasznych rzeczy.

– Przygotujcie się na wszystkie.

Epilog

I

– Drodzy przyjaciele, kochani romantycy, smutni marzyciele!

Nauczyciel literatury Benia Golden rozpoczął pierwszą lekcję w szkole komunalnej nr 801 imienia Iosifa Stalina. Oparty na swojej ekstrawaganckiej lasce, wszedł na katedrę i od razu przykuł uwagę wszystkich uczniów.

Po zarozumiałych frazesach doktora Rimma, sklerotycznej paplaninie doktora Noodelmana, monotonnych banałach dyrektorki Medwiediewej uczniowie natychmiast poznali, że Golden to ktoś zupełnie inny, niepodobny do reszty nauczycieli. Krążyły już plotki o jego przeszłości, jego grzechach, udziale w wojnie – ale nikt nie wiedział nic konkretnego i miał się nigdy nie dowiedzieć. A Benia cieszył się nowym życiem, w którym mógł uczyć o Puszkinie, Tołstoju, Gorkim, klasykach rosyjskiej literatury.

Była zima, grudzień 1942 roku. Pod Stalingradem, na rosyjskim południu zasypanym teraz śniegiem i skutym lodem, zatrzasnęła się gigantyczna pułapka zastawiona przez Stalina. Niemiecka 6 Armia dogorywała powoli w sowieckim uścisku. Benia znalazł małe mieszkanie niedaleko szkoły i chociaż pierwszego dnia doświadczył wrogości doktora Rimma, który wyczuł w nim człowieka z przeszłością, miał poparcie dyrektorki, dumnej z tego, że pozyskała tak wybitnego znawcę literatury. Oczywiście wystąpiła o zgodę na zatrudnienie Goldena do Organów i Wydziału Oświaty Komitetu Centralnego, nadzorowanego przez towarzysza Satinowa. Nominacja została zatwierdzona.

Benia rozejrzał się po klasie.

– Otwórzcie książki. *Eugeniusz Oniegin* Aleksandra Puszkina. Mam nadzieję, że na zawsze zapamiętacie to, co dzisiaj przeczytamy. Czeka was wspaniała podróż, podczas której dokonacie cudownych odkryć.

Pierwszego dnia Benia dowiedział się, że w jego klasie jest uczennica nazwiskiem Stalina, siedząca w ostatniej ławce z koleżanką Pieszkową. Mógł się tylko dziwić kaprysowi losu, który człowieka z wyrokiem śmierci za planowanie zamachu na Stalina uczynił nauczycielem jego córki. Nie zwracał na nią specjalnej uwagi, ale oddając uczniom pierwsze wypracowania, umówił się z każdym na indywidualną lekcję. Ostatecznie nie miał po szkole nic szczególnego do roboty. Prowadził ciche życie i nie zamierzał być niebieskim ptakiem, jak w latach trzydziestych – zbyt drogo go to kosztowało. Cieszył się, że jest na wolności.

Podczas rozmowy z Pieszkową powiedział, że znał jej dziadka, Maksima Gorkiego, który poprawiał jego pierwsze próby literackie.

– Byłem kiedyś pisarzem – wyznał.

Potem przyszła kolej na Stalinę. Nie przypominała ojca, może była bardziej podobna do matki? Tekst wypracowania świadczył o jej inteligencji i odcytaniu. Mówił z nią szczerze, jakby była zwyczajną dziewczyną, a nie córką wodza. Zastanawiał się nad nią i bił się z myślami. Po odzyskaniu wolności stanął wobec dylematu, który mógł go uwikłać w stosunki z jej rodziną. Wiedział jednak, czym jest miłość, jej udręki

i konieczności, i starał się, aby wspomnienia jego miłości – tak naprawdę tylko dwóch – zawsze zachowały świeżość. Pierwszą dojrzałą miłością Beni był tragiczny romans z Saszeńką, a drugą owe kilka przeżytych w ciągłym pośpiechu dni, a właściwie godzin z Fabianą. Przypominał sobie ich jazdę po stepie i chwilę, w której zginęła. Była wyjątkową kobietą, a ja nie potrafiłem jej ocalić, myślał z żalem. Wszystko jedno, czy moim domem jest małe mieszkanko, czy cela więzienna, gwiazdy na moim niebie świecą tylko dzięki miłości. Choć rezygnuję z jednej prawdy po drugiej i codziennie idę na zgniłe kompromisy, zawsze coś mi zostaje. Trzymam te klejnoty w sekretnej szkatułce zamykanej na złoty klucz i przechowywanej w niedostępnym skarbcu, w ostatniej wieży fortecy mojego „ja” – i tego nigdy się nie wyrzeknę.

– Nauczycielu Golden?

Spojrzał w piwne oczy piegowatego rudzielca w szkolnym mundurku i z chustą pionierską na szyi. Co za przekleństwo być dzieckiem wielkiego człowieka, zwłaszcza takiego jak ten. Czy można jej wierzyć? Czy go nie zdradzi? Zawahał się, przytrzymując wypracowanie.

– Jeszcze coś, nauczycielu Golden? – zapytała.

Raz kozie śmierć! Oddał wypracowanie napisane okrągłym, dziewczęcym charakterem pisma.

– Dobrze piszesz – pochwalił. – Piątka z plusem. I jeszcze jedno.

– Tak?

– Znajdź jakieś odludne miejsce i zapoznaj się dokładnie z moimi uwagami.

Swietłana weszła do szkolnej toalety i uważnie, strona po stronie zaczęła wertować swoje wypracowanie. W końcu znalazła złożoną we dwoje kartkę, przypiętą spinaczem do ostatniej strony. Chwyciła ją zachłannie i rozłożyła. Był to blankiet recepty z nagłówkiem „Centralny Szpital Wojskowy”. Szpital? – zdziwiła się. Ale kiedy rozłożyła kartkę i rozpoznała charakter pisma, serce zabiło jej szybciej. Z trudem odcyfrowywała pospiesznie nabazgrane słowa, domyślając się, że były pisane hieroglifami rozpaczy...

Kochana Lwico,

Piszę ten list w pośpiechu. Na dole czekają na mnie „nasi przyjaciele”. Nie znam swego losu, ale wiem, że jadę daleko. Nie dostaniesz ode mnie wiadomości, lecz wiedz, że Cię kocham, że uczyniłaś moje życie pięknym i że będę o Tobie myślał codziennie. Będę szukał na horyzoncie twojego obrazu, figlarnego błysku twoich złotych oczu w promieniach wschodzącego słońca, zamyślanej wrażliwości twoich miękkich ust o zachodzie słońca, dobroci rysującej się w twoich brwiach w srebrnym blasku księżyca i nieskończonego bogactwa twojej duszy w świetle gwiazd. Spójrz na nie, a poczujesz, że patrzę na Ciebie.

Kochaj ludzi, wyjdź za mąż za porządnego człowieka, miej dzieci, czytaj wielką literaturę, wybieraj wartościowych przyjaciół, bądź dobra. Żyj tak, jakbym nigdy nie miał wrócić, lecz nie tak, jakbyś mnie nigdy nie znała. Żyj choćby w moim duchu i dzięki temu, jeśli nie wrócę, to, co nas łączyło, będzie dla mnie czymś bardzo drogim. A jeśli wrócę, będziesz tak samo warta naszej miłości, jak dziś.

Kiedyś, moja kochana, jeśli świat wciąż będzie istnieć, a los będzie łaskawy, wrócę do Ciebie.

Twój Lew

Zniszcz ten list. Nie zdradź człowieka, który Ci go doręczył, obiecaj mi to nade wszystko!

II

Minęły ponad dwa lata. Wojna została wygrana, a w ruinach Berlina Hitler odebrał sobie życie. Benia nigdy nie odnalazł rodziców. Musiał pogodzić się z tym, że zginęli w czasie wojny, na ulicach Odessy albo w jakimś ukraińskim jarze. Nie mógł ich zapomnieć. Przypominając sobie dzieciństwo w domu kochających rodziców, często czuł ich obecność. Nadal kochał Saszeńkę i wierzył, że żyje w którymś z niezliczonych obozów na bezkresnych pustkowiach Rosji. Rany wojenne, cielesne i duchowe, wciąż bolały. Nocami śnił o Fabianie – i Srebrnych Skarpetkach. Fabiana była już widmem, zagubionym we mgle na stepach i coraz odleglejszym. Czas i nowe wydarzenia rozpraszały wspomnienie o niej, jak słońce rozprasza mgłę. Znał ją tak krótko.

Został szanowanym członkiem grona pedagogicznego szkoły nr 801 imienia Iosifa Stalina. W wolnym czasie kolekcjonował książki, kupowane na pchlim targu; wieczorami, a także podczas przerw obiadowych kochał się z pewną nauczycielką, zachwycając się jej urodą, młodością i erotycznym temperamentem. Przede wszystkim jednak żył swoją pracą i stał się ulubionym nauczycielem wielu uczniów. Swietłana Stalina i jej koledzy z klasy ukończyli szkołę, ale wśród dzieci, których uczył, nadal było wielu synów i córek członków Politbiura i rządu. Rytm jego życia wyznaczały szkolne lekcje, przeważnie nudne, ale często przynoszące satysfakcję, a czasem nawet dramatyczne. Tak jak wszyscy przypuszczał, a przynajmniej miał nadzieję, że kwiat wolności, który rozkwitł podczas wojny, nie zwiędnie. Dzieci stały się czupurne i pewne siebie, tak różne od przedwojennego pokolenia – ale na niebie pojawiły się znaki, że dni swobody się kończą. Benia modlił się, aby trwały jak najdłużej...

Pewnego letniego ranka w 1945 roku otrzymał list. W kopercie była mała kartka z kilkoma zaledwie słowami: „Jutro od szóstej wieczorem do północy. Dworzec Jarosławski”.

Przez chwilę zastanawiał się, czy to nie wraca Saszeńka. Czyżby? Dworzec Jarosławski był stacją końcową pociągów z Dalekiego Wschodu, między innymi z Kołomy, ale chyba coś by wiedział, gdyby Saszeńka też przebywała w którymś z tamtejszych obozów? Zawsze sądził, że trafiła do jednego z północnych łagrów, lecz pociągi z Workuty kończyły bieg na innym dworcu. Bał się, że to jakaś prowokacja Organów, mająca go skompromitować. Potem jednak w zamyśleniu odwrócił kartkę i zobaczył diabelski trójząb. Już wiedział, że musi pójść na dworzec.

Żyję, myślał, w świecie stacji kolejowych, wyjazdów, powrotów i ponownych wyjazdów. Stacje były z pewnością jednym z nieodłącznych atrybutów życia Rosjan.

Nazajutrz po szkole, około szóstej wieczorem, Benia przyjechał na Dworzec Jarosławski. Budynek dworca wyróżniał się charakterystyczną wieżą w stylu neorosyjskim, wyglądającą jak mitra biskupia. Był senny letni wieczór. Benia przeszedł przez szereg peronów, ale bez trudu znalazł właściwy. Wartownicy MWD z błękitnymi epoletami i karabinami na ramionach pilnowali dworcowych zabudowań. Zajął miejsce

w owym bardzo rosyjskim tłumie osób czekających na powrót bliskich, którzy kiedyś wpadli w otchłań. Żadna prawdziwie rosyjska powieść, myślał Benia, nie byłaby kompletna bez sceny dworcowej. Rozglądając się wokół, zobaczył wynurzających się z cienia ludzi, którzy nauczyli się być prawie niewidoczni w ciągu długich lat poniżenia: blada kobieta z dziećmi, które nie pamiętały ojca; staruszka czekająca dziesięciolecia na powrót męża – ruiny człowieka, który miał przyjechać następnym pociągiem.

– Jeśli ich krewni wyglądają jak trupy, to można sobie wyobrazić, jak będą wyglądać pasażerowie.

Benia odwrócił się: przed nim stał „Uśmiechnięty”, w mundurze i czapce z daszkiem nasuniętej na oczy, i Mały Mametka, nadal wyglądający jak wyrostek. Obaj byli weteranami wojennymi, sowieckimi oficerami z medalami na piersiach – „Uśmiechnięty” kapitanem, Mametka lejtnantem. Obaj nosili nowe, stalinowsko-carskie mundury ze złotymi guzikami, wielkimi pozłacanymi naramiennikami, czerwonymi gwiazdami.

– A jednak przyszedłeś – powiedział „Uśmiechnięty”.

– Stęskniliśmy się za tobą – dodał Mametka i w jego głosie zabrzmiała groźba. Benia nie miał pojęcia, o co może im chodzić. Zastanawiał się wcześniej, na kogo właściwie czeka. Diabelski trójząb był znakiem z krainy cieni, którego nieroztropnie byłoby zlekceważyć: zapewne od Dżaby, *wora w zakonie*? Miał właśnie o to zapytać, ale „Uśmiechnięty” uniósł rękę:

– Nie pytaj. Obowiązki i nagrody, o tym zawsze mówił Dżaba, pamiętasz?

– Można powiedzieć, że witamy dawno niewidzianego przyjaciela – rzekł Mametka.

– Ponura impreza – zauważył „Uśmiechnięty”. Oparci o barierki, palili papierosa za papierosem i czekali na pociąg. Mijały godziny. „Uśmiechnięty” kupił butelkę wódki. Opróżniali ją we trójkę, zagryzając dworcowym jedzeniem: tłustymi pierożkami i wystygłymi pielmieni.

– Brałem udział w zdobywaniu Wiednia – pochwalił się Mametka. Mimo wszystkich bitew, w których uczestniczył, nie wyglądał dojrzałe, a głos miał tak samo wysoki jak dawniej. Twarz mu jednak wychudła, pomarszczyła się i zrobiła się jeszcze bardziej diabelska. Usta były zbyt czerwone i obrzmiałe, jakby za chwilę miały pęknąć.

„Uśmiechnięty” szturmował Berlin jako żołnierz wojsk Żukowa.

– Nie uwierzyłbyś, jakie mieliśmy dziewczyny. Ile dusza zapagnie – opowiadał Beni. – Dziewczyny i zegarki! Widzisz? – Podciągnął rękaw i zarechotał: na obu rękach miał po trzy szwajcarskie zegarki. – I widziałem dokładnie, gdzie spalili ciało Hitlera.

Rozmawiali o kobietach, walkach i zbrodniach, tylko o Kołymie i batalionie karnym nie wspomnieli słowem. Byli zekowie nie mówią o takich rzeczach, a już na pewno nie w barze. Tak czy inaczej Benia nie ufał dwóm kryminalistom i z coraz większą obawą myślał o tym, czego może chcieć od niego Dżaba.

Zegary wybiły pierwszą, potem drugą w nocy. Zamawiali następne butelki. Wartownicy z MWD znów zajęli stanowiska. Wreszcie, tuż po trzeciej, w kłębach pary wjechał na dworzec pociąg, otworzyły się drzwi wagonów i pasażerowie zaczęli wysiadać.

Wraz z tłumem czekających Benia, „Uśmiechnięty” i Mały Mamekta podeszli bliżej. Powracający, wynędzniali mężczyźni i zgrzybiałe kobiety o zapadniętych twarzach, szli noga za nogą, dźwigając swoje manatki w siatkach, brezentowych torbach, płóciennych tobołkach, a ich wodniste oczy przesuwwały się po tłumie. Przy wyjściu pokazywali dokumenty, otrzymywali potrzebne stemple, a potem padali w objęcia zmęczonych oczekiwaniem krewnych.

Potęźnie zbudowany mężczyzna, z tatuażami zakrywającymi część szyi, szedł różnym krokiem po peronie, zupełnie inaczej niż jego mizerni współpasażerowie. Przywitał się z „Uśmiechniętym” i Mametką, obejmując ich i poklepując: „Nieśmiertelny”. Benia niepewnie obserwował ich powściągliwą serdeczność i słuchał rozmowy prowadzonej w prawie niezrozumiałym przestępczym żargonie. Ze strachem zastanawiał się, jaki to potwór wychynie z jego przeszłości, aby zniszczyć mu obecne życie.

– Masz? – zapytał „Uśmiechnięty”.

– Jasne! – odpowiedział „Nieśmiertelny”.

– No to zobaczmy. Jest pisarz!

– Dżaba nie przyjedzie? – zapytał Benia.

– Może przyjedzie. A może jestem sam.

– Po co się na nas gapisz? Obserwuj – ofuknął Benię „Uśmiechnięty” i pokazał na pociąg. Z białych obłoków pary, jak armia podobnych do widm żołnierzy na zamglonym polu bitwy, wyłaniali się ludzie w cudzoziemskich mundurach. Benia dostrzegł grupkę Rumunów ubranych na brązowo i kilku Węgrów. Każda narodowość trzymała się razem, wszędzie zabierając ze sobą kawałek ojczyzny.

– Jeńcy wracają do kraju – wyjaśnił „Uśmiechnięty”.

– Nauczyliśmy ich, kto rządzi w zonie – mruknął „Nieśmiertelny”, paląc papierosa.

Wracają do kraju. Benia popatrzył na kryminalnych, którzy uśmiechali się drwiąco.

– Nie są jeszcze wolni – dodał „Uśmiechnięty”. – Wciąż ich pilnują. Muszą przejechać przez Moskwę na Dworzec Kijowski.

– A potem dokąd...?

– Chyba do Bukaresztu – powiedział Benia. Nie podobała mu się ta zabawa.

– Nie, do Rzymu, a może do Wenecji.

– Jak to?

– Patrz. – Mamekta pokazywał na coś palcem. – Spójrz tam, na te mundury! To Italiańcy.

„Uśmiechnięty” rozciągnął wargi w swoim metalowym uśmiechu, a Benia skrzywił się z bólu na samą myśl o własnej Italii, o swej utraconej Wenecji.

Niektórzy jeńcy zbliżali się już do wyjścia z peronu. Rzeczywiście byli to Włosi: nawet zona nie zdołała zetrzeć z nich do końca włoskiego poloru. Wspomnienie Fabiany ukłuło Benię cierniem bezbrzeżnego smutku. Chciał powiedzieć tym znękanym Włochom: „Znałem kiedyś waszą kobietę. Bardzo dobrze, choć krótko. Sanitariuszka z Wenecji? Tak, to ona! Fabiana, zginęła jeszcze w czterdziestym drugim – znaliście ją może?”. Ale nie mógł tego zrobić, bo natychmiast zostałby oskarżony o bratanie się z faszystami i kolaborację z najeźdźcami, którzy omal nie zniszczyli Rosji. Kryminalni

jednak coś wiedzieli i Benia był niespokojny. Zakiełkowało w nim straszne podejrzenie: a może ktoś się wygadał? Atmosfera w kraju znów robiła się groźna i obawiał się nowej katastrofy.

Przy wyjściu z peronu Włosi pokazali dokumenty do kontroli. Potem otoczyli ich żołnierze MWD z niebieskimi naszywkami i zaczęli prowadzić przez dworzec. Kilku Rosjan przyglądało się temu z ponurymi minami.

Jakiś starszy Włoch, smagły mężczyzna z siwą brodą, potknął się i konwojent popchnął go, tak jak się to robi z jeńcami. Benia chciał zajrzeć im w oczy, chciał, by wiedzieli, że życzy im powodzenia, że nie należy do tych, którzy ich upokarzają.

I wtedy poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił się i zobaczył kobietę z brązowymi oczami pod czapką z daszkiem. To niemożliwe, pomyślał, przecież ona nie żyje. Ale to była ona, stała parę metrów od niego i uśmiechała się. Wyglądała starzej, twarz miała wymizerowaną i bladą, skronie posrebrzone siwizną, ale pozostała sobą. Poznała go i jej niesamowicie miodowe oczy zabłysły tak promienną radością, że chciał krzyknąć: „Fabiana! Nigdy cię nie zapomniałem, codziennie myślę o tobie, wciąż o tobie śnię!”. Zaczął przepychać się do przodu, ale „Uśmiechnięty” i Mametka chwycili go za ręce tak mocno, że aż zaboląło.

– Uważaj, dumniu! – skarcił go jeden.

– Powiedz słowo, a wyrwę ci język – zagroził drugi.

– Czy to naprawdę ona? – wyszeptał Benia.

Tak, to rzeczywiście była Fabiana – machała do niego prawą ręką ze złączonymi palcami, gestem, którego nie widział od ich ostatniego dnia, gestem niedźwiadka wyjadającego miód! Łzy płynęły mu po twarzy, usta mówiły bezgłośnie trzy słowa, będące ich zaklęciem, a ona powtarzała je.

Odwróciła się, sięgnęła po coś, co było za nią, i podniosła do góry. Przez sekundę myślał, że upuściła torbę, ale potem zobaczył, że trzyma w rękach małą dziewczynkę, której jasnobłękitne oczy patrzyły wprost na niego. Wyglądała tak, jak on na fotografii z wczesnego dzieciństwa, stojącej na kominku w jego rodzinnym domu we Lwowie, a potem w Odessie.

Ale konwojenci napierali na nich.

– Ej tam, nie zatrzymywać się! Szybciej!

Fabiana stała bez ruchu. Trzymała dziecko w uniesionych rękach i pokazywała mu Benię. Usłyszał, jak ten niezapomniany głos mówi wyraźnie i gromko śpiewną włoszczyzną:

– *Aurelia, guarda quell'uomo!* Popatrz na tego człowieka! *Aurelia, mia dolce amata bambina,* spójrz na tego człowieka!

Konwojenci, zniecierpliwieni zwłoką, popychali ich i Fabiana poszła dalej, z twarzą zwróconą wciąż w jego stronę. Musiał coś powiedzieć, musiał pójść za nią, ale ręce „Uśmiechniętego”, te szpony nawykłe do trzymania i łamania, nie zwalniały uścisku i Benia nie mógł się ruszyć z miejsca. Czuł jednak, jak anioł przeszłości trzepocze nad nim skrzydłami, wzbija się w niebo, wraca do życia.

Znikały w oddali, dziewczynka nadal machała ręką, a Fabiana powtarzała ciągle ich trzy słowa: „Jakby na zawsze, jakby na zawsze”. Benia robił ręką ich głupiotki gest

niedźwiadka i Fabiana śmiała się, a lzy ciekły jej po twarzy, zasłoniętej w połowie przez małą Aurelię, która wciąż machała i uśmiechała się jego uśmiechem.

Dopiero gdy zniknęli w autobusach czekających przed dworcem, kryminalni powoli puścili Benię.

– Widzisz, „Nieśmiertelny”? Omal wszystkiego nie zepsuł – rzekł „Uśmiechnięty”.

– Popatrz tylko na niego – beczy jak baba!

– Na szczęście zdążyliśmy się napić!

– Widzieliście ją? – krzyknął Benia. – Widzieliście dziecko?

– Ciszej! – upomniał go „Uśmiechnięty”. – Co masz nam do powiedzenia?

– Dzięki, stokrotne dzięki! – Objął ich, najpierw „Uśmiechniętego”, potem Mametkę, w końcu „Nieśmiertelnego”.

– E, daj spokój – skrzywił się zde gustowany „Nieśmiertelny”, odpychając Benię.

„Uśmiechnięty” pogroził mu palcem.

– Nie zakapuj nas tylko.

Benia opamiętał się i zrozumiał grożące niebezpieczeństwo. Zrobili mu ten podarunek, ale mogło go to kosztować osiem gramów w tył głowy albo powrót na Kołymę.

– Skąd wiedzieliście?

– Byłem z partyzantami Elmora, kiedy zaatakowaliśmy szwadron kawalerii, który ścigał jakiegoś rosyjskiego żołnierza i Włoszkę na koniu – wyjaśnił „Uśmiechnięty”. – Towarzysz Elmor wydał rozkaz „Ognia z daszek!”. Ja strzelałem z jednej, a Mametka z drugiej. Podziurawiliśmy ich jak sito, a ty uciekłeś.

– Ale jak się dowiedzieliście, że ona żyje?

– To ja ją pojmałem – odpowiedział Mały Mametka. – Pocisk trafił w grupę włoskich oficerów. Większość rozerwało na strzępy, ale ona ocalała – była tylko trochę podrapana i pokaleczona. Wykończylibyśmy ją, tak jak to robiliśmy z Niemcami – nie można się było z nią zabawić – ale Elmor powiedział, że może mieć ważne informacje. Odesłaliśmy ją więc na tyły i pojechała na dwa lata do Magadanu. Była sanitariuszką, więc zgadnij, gdzie wylądowała? W szpitalu. Tam urodziła dziecko. Dżaba wszystko załatwił.

– Dżaba jest staroświecki, wierzy w dobro i zło, w lojalność – zauważył „Nieśmiertelny”.

– Diabelski trójzab?

– Wszyscy jesteśmy jego ludźmi, do końca życia – powiedział „Uśmiechnięty”. – Przysięgliśmy. Odpowiedziałeś na wezwanie, więc dostałeś nagrodę.

– A czego Dżaba chce w zamian?

– Proszę. – „Nieśmiertelny” sięgnął do płóciennej torby i podał Beni papierową teczkę. W środku był maszynopis, przepisany przez sekretarki z biura komendanta obozu. – To siódma wersja sztuki Dżaby. Chce, żebyś napisał swoje uwagi, mówi, że czeka na nie od lat i trochę utknął. Powiedział, że stracił wene, jak to się mówi, i że ty byłeś jego najlepszym nauczycielem.

– To wszystko?

– Wszystko. Na razie. Do widzenia, Golden. Mamy pełne mieszkanie zegarków

i biżuterii z pałaców i muzeów w całej Europie. Znaczy się, mamy kupę roboty – zakończył „Uśmiechnięty”.

– Ale jak moje uwagi trafią do Dżaby?

– Wyślij list – odpowiedział „Nieśmiertelny”. – On dostaje korespondencję.

Do widzenia, pisarzu.

Po rozstaniu z kryminalistami Benia przypomniał sobie coś jeszcze. Kiedy Fabiana mijala go, usłyszał cichy brzęk, odgłos metalowego przedmiotu uderzającego o kamień. Kucnął, jęknawszy cicho, bo stara rana zabolala, i na czworakach zaczął pełzać po brudnej posadzce. W końcu znalazł: klucz z zawieszka. Wstał i obracał go w rękach. Skórzana zawieszka była już stara i zniszczona, ale napis pozostał czytelny: „Tylko dla personelu. Szpital magadański. KOŁYMA”.

Uśmiechając się na myśl, że właśnie widział najpiękniejszy „personel” na ziemi, Benia wyszedł chwiejnie na opustoszałe ulice Moskwy. Był otumaniony szczęściem i tęsknotą. A więc o *to* chodziło w prorocztwie staruchy – *to* dziecko, ocalone przez zacnych lekarzy z Magadanu, widziała wtedy.

Czy nie byłoby lepiej, gdyby nigdy się nie dowiedział, że Fabiana żyje i że ma córkę, Aurelię? Nigdy nie będzie mógł jej pocałować i ta świadomość sprawiała mu palący ból. Mimo wszystko cieszył się, że wie. W jakimś dalekim mieście, może w Wenecji, Aurelia będzie patrzyła na to samo niebo, na te same gwiazdy i ten sam księżyc.

Nagle przyszła mu do głowy straszna myśl. Czy Fabiana dała Aurelii nazwisko męża? Rozumiał, że byłoby to dla jego córki najlepsze wyjście, bo uniknęłaby piętna nieślubnego pochodzenia. Potem uzmysłowił sobie, że Fabiana, która myślała o wszystkim, pomyślała i o tym: córka nosiła jego imię, bo „Aurelia” znaczy to samo, co „Golden” – i wzruszył się do głębi.

– Potraciłeś mnie, pieprzony psi kutasie – usłyszał głos „Nieśmiertelnego”. – Chcesz mi ubliżyć?

– Zostaw go – uspokajał kumpla „Uśmiechnięty”. – Mówi do siebie jak obłąkaniec i beczy jak baba.

Benia zderzył się z trójką kryminalnych przed dworcem.

– We łbie mu się pomieszało, łajzie! – zżymał się Mały Mametka.

„Uśmiechnięty” dał Beni sójkę pod zebro.

– Weź się w kupę, zasrańcu! Na razie!

Kiedy odchodzili, Benia usłyszał, jak Mametka zastanawia się, co mu się stało.

– To ta Włoszka, cymbale, a poza tym dowiedział się, że ma bachora.

– No i co z tego? – dziwił się Mametka. – Ja wszędzie mam bachory.

„Uśmiechnięty” rąbnął go w plecy.

– No jasne!

Odwrócił się i zawołał do Beni:

– Jak się nazywa twój bachor?

– Nic – odpowiedział Benia.

– Znasz imię córki?

– Tak. Nikt.

– Oto sposób na przeżycie! Wszystko jest możliwe, ale każda rzecz to tajemnica. Przeżywasz sztukę Dżaby?

– Tak – odparł Benia, uśmiechając się przez łyżki. Potem zauważył, że wciąż bawi się kluczem i zawieszka. Pod latarnią zobaczył, że na wytartej skórcie napisane są jakieś ledwie widoczne słowa. Atrament rozmazał się na miękkim materiale, ale obracając zawieszka na wszystkie strony, Benia zdołał w końcu odczytać, co napisała Fabiana:

Dałeś mi ten klucz, abym Cię pamiętała.

Teraz oddaję Ci go, bo obdarzyłeś mnie czymś cenniejszym.

Dzięki niemu będziesz nas pamiętał.

Jakby na zawsze.

Posłowie

FIKCJA I FAKTY

Książka ta jest powieścią, a główni bohaterowie: Benia, Fabiana, Dzaba, Panka, Meliszko, Kapto i wielu innych są tworem wyobraźni, tak jak cała fabuła.

Niektóre postaci, zwłaszcza Benia i Satinow, występują w dwóch poprzednich powieściach z mojego cyklu, *Saszeńka* i *Serafima*. *Czerwone niebo* to ostatnia część Moskiewskiej Trylogii, ale podobnie jak tamte stanowi samodzielny utwór. Autorowi jest szczególnie miło pisać o postaciach, które zna już jak starych przyjaciół. Jest to powieść o miłości, przetrwaniu, odwadze, życiu i śmierci w straszliwych czasach i miejscu, podczas chyba najbardziej zbrodniczego epizodu w ludzkich dziejach. Jej tematem jest także krótki, rozpaczliwy romans żołnierza i sanitariuszki; zresztą wszystkie moje powieści poświęcone są tak naprawdę udrękom i magii miłości – w rozmaitych okolicznościach. *Czerwone niebo* to oczywiście również powieść akcji, opowiadająca o kawalerzystach na rosyjskich stepach, a jedną z moich ulubionych postaci nie jest człowiek, lecz klacz, Srebrne Skarpetki.

Czytelnicy zainteresowani fabułą powieści, źródłami moich inspiracji i wielką literaturą poświęconą tym tematom nie powinni poprzestać na przeczytaniu książki. Historia batalionów karnych, Kozaków, Włochów i rosyjskich kolaborantów należy do mniej znanych rozdziałów drugiej wojny światowej, ale wielu bohaterów to postaci autentyczne, przedstawione zgodnie z prawdą historyczną: Stalin, jego córka Swietłana i syn Wasilij, jego współpracownicy Beria i Mołotow, marszałkowie Wasilewski i Żukow oraz Budionny, Kozak i hodowca słynnych koni budionnowskich. Wiele kwestii wygłoszonych przez Stalina opartych jest na jego autentycznych wypowiedziach: rzeczywiście na przykład telefonował do oficerów niskiej rangi, aby w ogniu bitwy pogrozić im i dodać zachęty. Przeróżające osobliwości stalinowskiego systemu terroru, kar i nagród, są także prawdziwe. Niektórzy najwybitniejsi generałowie sowieccy, podobnie jak jeden z bohaterów, Meliszko, zostali aresztowani i byli torturowani przez Berię, a potem trafili do obozów lub więzień. Jednak po inwazji niemieckiej z 22 czerwca 1941 roku Stalin kazał przywrócić im stopnie wojskowe i powitał ich w szeregach armii, jakby nic się nie stało.

Kozaccy bohaterowie mojej powieści, ich tradycje, pieśni i zachowania oparte są na trzech arcydziełach: *Konarmii* i *Dzienniku 1920* Izaaka Babla, które opowiadają o żydowskim pisarzu towarzyszącym kozackiej kawalerii podczas wojny domowej, oraz *Cichym Donie* Michaiła Szołochowa, rozgrywającym się wśród dońskich Kozaków w czasach pierwszej wojny światowej. Na postaciach z tych dzieł wzorowałem swoich sowieckich kawalerzystów. Jeśli chodzi o Włochów, to moim źródłem była powieść i autobiografia Maria Rigoniego Sterna *The Sergeant in the Snow* (Sierżant wśród śniegów), która zasługuje na większy rozgłos.

Swietłana naprawdę miała romans ze znacznie starszym żydowskim scenarzystą, ale w rzeczywistości doszło do niego rok później niż w powieści. Scenarzysta nazywał się Aleksiej Kapler, a nie Lew Szapiro. Faktycznie miał on czelność zwrócić się do Swietłany

w artykule prasowym, a historię ich związku oparłem częściowo na wspomnieniach Swietłany *Dwadzieścia listów do przyjaciela*. Przeprowadziłem też rozmowę z Marfą Pieszkową Berią, która występuje w powieści: naprawdę była wnuczką powieściopisarza Maksima Gorkiego i wyszła za mąż za syna Berii, Sergo, o którym również piszę w książce. Kiedy z nią rozmawiałem, nadal była piękną kobietą. Więcej o Stalinie i jego otoczeniu można dowiedzieć się z mojej książki *Stalin. Dwór czerwonego cara*.

W powieści Hitler przebywa w swojej ukraińskiej kwaterze głównej w Winnicy (kryptonim „Werwolf”). Na jego rozkaz 28 czerwca 1942 roku rozpoczęła się południowa ofensywa wojsk niemieckich, operacja „Blau”, która według planu miała się zakończyć pokonaniem Związku Sowieckiego. Nazwy chutorów są zmyślane, podobnie jak cała akcja, która się tam rozgrywa, ale bitwa w łuku Donu jest autentyczna; wojska sowieckie rzeczywiście znalazły się wówczas w krytycznej sytuacji. W obliczu niepowstrzymanego natarcia niemieckiego Stalin zarządził w swoim rozkazie nr 227 *Ani kroku wstecz!* sformowanie batalionów karnych, a przeżycia Beni jako żołnierza jednego z nich oparte są na wspomnieniach A.V. Pylcyna *Penalty Strike: The Memoirs of a Red Army Penal Company Commander* (Karniacy atakują: wspomnienia dowódcy kompanii karnej Armii Czerwonej). Korzystałem również z klasycznych już pozycji: Antony Beevor *Stalingrad* i Chris Bellamy *Wojna absolutna*. Aby przydać autentyzmu postaci sowieckiego korespondenta wojennego Lwa Szapiry przeczytałem książkę Wasilija Grossmana *Pisarz na wojnie* (pod redakcją Antony’ego Beevora i Luby Winogradowej).

Realia przerażającego piekła obozów kołymskich oparte są na wielu książkach, a przede wszystkim: *Człowiek człowiekowi wilkiem* Janusza Bardacha, który je przeżył; *Gulag Boss* (Łagierny szef) F.V. Mochulsky’ego, będącą niezwykleymi wspomnieniami strażnika obozowego, i na klasycznej monografii Anne Applebaum *Gulag*. Zainteresowani tatuażami Dżaby powinni przeczytać *Russian Criminal Tattoo* (Tatuaż rosyjskich kryminalistów) D. Baldaeva i S. Vasilieva.

Historia operacji szpiegowskiej Stalina, która miała wprowadzić Hitlera w błąd, jest całkowicie zmyślona. W książce agent Stalina ma za zadanie zwabić jeszcze więcej wojsk niemieckich w stalingradzki potrzask. W rzeczywistości Stalin dopiero później, już w trakcie bitwy, zorientował się, że pod Stalingradem można wciągnąć Niemców w pułapkę i zamknąć ich w okrążeniu. Wywiad sowiecki specjalizował się jednak w takich właśnie operacjach: pod koniec 1942 roku, gdy Sowietci rozpoczęli operację „Uran” w celu okrążenia 6 Armii pod Stalingradem, Stalin poprzez podwójnego agenta o pseudonimie „Heine” ostrzegł Niemców, że dalej na północ, wokół Rżewa, ruszy niebawem wielka ofensywa, operacja „Mars”; chodziło o to, żeby Niemcy nie wysłali posiłków wojskom oblężonym pod Stalingradem. Tym samym Stalin zdradził jedną operację, aby zapewnić sukces innej; za jego bezwzględność dziesiątki tysięcy żołnierzy sowieckich zapłaciło życiem. Pod Rżewem doszło do rzezi, ale bitwa stalingradzka została wygrana.

W czasie kampanii letniej 1942 roku po raz ostatni użyto na wielką skalę kawalerii w działaniach bojowych.

Zarówno Sowietci, jak Niemcy mieli na froncie miliony koni. Wykorzystywali je nie tylko do holowania dział i ciągnięcia taborów, ale także, ze względu na szybkość

i ruchliwość, do operacji zaczepnych na stepie. W 1940 roku Armia Czerwona dysponowała około dwudziestoma milionami koni kawaleryjskich, z których mniej więcej połowę utraciła podczas kampanii 1941 roku. Stalin miał więc w zapasie około dziesięciu milionów wierzchowców. Armia Czerwona zaczęła wojnę z czterema dywizjami kawalerii – liczącymi ogółem około 115 000 szabel – ale ogromne straty w czołgach w 1941 roku skłoniły Stalina na początku 1942 do utworzenia osiemdziesięciu siedmiu nowych dywizji kawalerii. A zatem w okresie, w którym toczy się akcja powieści, jazda sowiecka liczyła ponad pół miliona szabel, w tym wiele oddziałów kozackich. Niemcy natomiast mieli na froncie wschodnim sześć dywizji kawalerii i kilka oddziałów kawalerii SS. Sformowali też cztery pułki z Kozaków, którzy przeszli na ich stronę, oraz kałmuckie korpusy jazdy. Włosi, Rumuni i Węgrzy, których wojsko było mniej zmechanizowane niż niemieckie, też wystawili liczne oddziały kawalerii.

Latem 1942 roku siły włoskie w Rosji liczyły 235 000 ludzi. Powiększono je na rozkaz Mussoliniego, który chciał wziąć udział w podziale łupów po spodziewanym zwycięstwie Niemiec. Niewielu Włochów popierało tę eskapadę – jeśli nie liczyć specjalnych jednostek faszystowskich, Czarnych Koszul, którymi w powieści dowodzi Malamore. Mussolini rzeczywiście wymyślił dla Czarnych Koszul specjalne rzymskie rangi, takie jak „konsul”, a ich jednostki nazwano „legionami”, bo Duce miał nadzieję na zbudowanie drugiego imperium rzymskiego. W skład wojsk włoskich wchodziła 3 Dywizja Kawalerii Amedeo Duca d’Aosta z 25 000 koni. Włosi byli niezwykle dumni ze swoich słynnych pułków jazdy, takich jak Savoia Cavalleria, które rzeczywiście odniosły kilka zwycięstw. 24 sierpnia 1942 roku, pod chutorem Izbuszenskiej w pobliżu Donu, kawaleria sabaudzka przeprowadziła brawurową szarżę, jedną z ostatnich w dziejach, na pozycje sowieckiej piechoty i rozgromiła ją. Albino, jeden z włoskich koni, podczas tej szarży stracił wzrok, ale w aureoli końskiego bohatera dożył roku 1960. Ostatecznie jednak udział w tej wojnie zakończył się dla Włochów pogromem, który zachwiał faszystowskim reżimem. W bitwie pod Stalingradem wojska włoskie zostały zniszczone. 25 000 żołnierzy zginęło, 60 000 dostało się do niewoli. Ogółem ocenia się, że na froncie wschodnim straciło życie około 90 000 Włochów. Powrót wynędzniałych niedobitków przyspieszył upadek Mussoliniego, który został obalony latem 1943 roku.

Występujące w powieści postaci renegatów sowieckich, takich jak Mandryka i Kaminski, Tonia i Kapto, są wzorowane na autentycznych osobach. Tak jak Mandryka, twórca prohitlerowskiej milicji rosyjskiej Konstantin Woskobojnik został zastrzelony przez partyzantów; działo się to w styczniu 1942 roku. Jego następcą został Bronisław Kaminski, który rozbudował istniejący oddział i stworzył Rosyjską Wyzwoleńczą Armię Ludową, przekształconą później w jednostkę Waffen-SS, zwaną zwykle Brygadą Kaminskiego. Brała ona udział w mordowaniu cywilów i Żydów oraz zwalczaniu partyzantki. Kaminskiemu pozwolono rządzić niewielkim obszarem na Białorusi, tak zwaną Republiką Łokocką. Partyzanci sowieccy wielokrotnie próbowali go zabić. Brygada Kaminskiego współdziałała z różnymi jednostkami SS, specjalizującymi się w mordowaniu cywilów. Był to między innymi oddział zwyrodniałego niemieckiego oficera SS Oskara Dirlewangera, który również pojawia się w powieści ze swą karną

brygadą niemieckich kryminalistów i psychopatów. Torturowali oni i zamordowali setki tysięcy Żydów, Rosjan i Polaków. Kaminski otrzymał z rąk Himmlera Krzyż Żelazny. W 1944 roku brygady Dirlewangera i Kaminskiego wzięły udział w tłumieniu powstania warszawskiego. Kaminski, jego szef sztabu Szawykin i ich podwładni zabili setki polskich cywilów, dokonywali grabieży i byli tak niezdyscyplinowani, że pod koniec sierpnia zostali rozstrzelani na rozkaz samego Himmlera. Brygada Dirlewangera zamordowała w Warszawie dziesiątki tysięcy ludzi. W czerwcu 1945 roku Dirlewanger został aresztowany przez władze francuskie i zmarł w areszcie, prawdopodobnie zabity przez polskich strażników w służbie francuskiej. Nawet jak na morderców z SS Kaminski, Dirlewanger i ich ludzie byli wyjątkowymi potworami. Więcej o tej kwestii można dowiedzieć się ze znakomitej książki Marka Mazowera *Hitler's Empire* (Imperium Hitlera), a także z bardzo osobistej książki Rity Gabis, która usiłuje wyjaśnić rolę swego dziadka w Holokauście, *A Guest at the Shooter's Banquet* (Gość na ucztę strzelców).

Pierwowzorem postaci Toni jest podwładna Kaminskiego, dziewiętnastoletnia Antonina Makarowa, była sanitariuszka, znana z tego, że piła na umór, sypiała z niemieckimi oficerami i specjalizowała się w masowych egzekucjach (nazywała je „ścianiem pokrzyw”). Zabiła ogółem około 1500 cywilów. Pod koniec wojny sowiecka tajna policja wszczęła dochodzenie w sprawie Makarowej i nigdy nie ustała w jej poszukiwaniach, ale zbrodniarka znikła jak kamfora. Wyszła za mąż (za mężczyznę nazwiskiem Ginzburg, przypuszczalnie Żyda) i miała dwoje dzieci. Zdemaskowano ją przypadkiem dopiero ponad trzydzieści lat później, w 1978 roku. W następnym roku została rozstrzelana i była to chyba ostatnia egzekucja zbrodniarza wojennego z czasów drugiej wojny światowej.

Według różnych szacunków aż 600 000, a nawet milion obywateli sowieckich przeszło na stronę Niemców albo zgłosiło się na ochotnika do służby w ich szeregach. Ci hiwisi – od słowa *Hilfswillige*, czyli „chętni do pomocy” – wykonywali wiele zadań, od służby wartowniczej w hitlerowskich obozach po walkę na froncie. Ocenia się, że podczas bitwy pod Stalingradem 20 procent sił niemieckich stanowili byli obywatele sowieccy. Około ćwierć miliona służyło w policji pomocniczej, znanej pod niemieckim skrótem Schuma, która występuje w powieści, a w przybliżeniu 50 000 w regularnych oddziałach niemieckich. Hitler sprzeciwił się tworzeniu wojsk rosyjskich, bo uważał Słowian za *Untermenschen* („podludzi”) i bał się, że po wojnie żołnierze tych wojsk będą chcieli stworzyć silną nacjonalistyczną Rosję. Później jednak sowiecki generał Andriej Własow, wzięty przez Niemców do niewoli, otrzymał zgodę na sformowanie Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, która w ostatnim roku wojny walczyła z aliantami.

W oddziałach niemieckich i włoskich służyło około 5000 Kałmuków, często jako zwiadowcy. Co do Kozaków, to wielu walczyło z bolszewikami podczas rosyjskiej wojny domowej i nienawidziło komunistów. Pierwszą jednostkę Kozaków dońskich Niemcy sformowali w grudniu 1941 roku; ostatecznie po stronie Hitlera walczyło około 25 000 Kozaków. Używano ich podczas akcji antypartyzanckich w Rosji, a potem na Bałkanach. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że znacznie więcej Kozaków służyło w szeregach Armii Czerwonej – siedemnaście korpusów na południowych frontach w porównaniu z raptem dwoma korpusami niemieckich kolaborantów. Po wojnie kozaccy i rosyjscy

kolaboranci, którzy dostali się do brytyjskiej niewoli, zostali wydani sowieckiej tajnej policji. Część z nich rozstrzelano, a część trafiła do łagrów.

I ostatnia sprawa: władze niemieckie wydawały żołnierzom Pervitin, czyli metamfetaminę, która znosiła uczucie zmęczenia i dodawała energii do walki. Specyfik miał własności uzależniające i był często nadużywany przez żołnierzy biorących udział w masowych mordach. Tabletki Pervitinu nazywano *Stuka-Tabletten*, bo ich działanie podwyższające i obniżające nastrój porównywano do lotu bombowców nurkujących Stuka (sztukasów).

Książka ta ma być też hołdem dla niektórych moich ulubionych pisarzy. Wymieniłem już nazwiska Izaaka Babla i Michaiła Szołochowa, ale chociaż jest to bardzo rosyjska, bardzo sowiecka i na wskroś wojenna powieść, nie sposób pisać o jeźdźcach przemierzających konno spalone słońcem stepy w bezlitosnych i okrutnych czasach, nie wspominając wspaniałych westernowych arcydzieł Larry'ego McMurtry'ego, Cormaca McCarthy'ego i Elmore'a Leonarda. A więc również im składam tę książkę w hołdzie.

Podziękowania

Pragnę wyrazić ogromną wdzięczność mojej wspaniałej redaktor i wydawcy Selinie Walker za delikatną, energiczną, nieustrudzoną i wrażliwą redakcję, a także za poczucie humoru i przyjaźń, okazane przy tej i pozostałych dwóch powieściach. Dziękuję również jej asystentce Cassandrze Di Bello. Podziękowania należą się Melowi Fourowi za wspaniały projekt okładki. Dziękuję mojej znakomitej i pełnej werwy superagentce Georginie Capel i jej zespołowi: Rachel Conway i Romily Withington (które sprzedały moje powieści do dwudziestu siedmiu krajów) oraz dynamicznemu specjalście od telewizji i filmu Simonowi Shapsowi. Podziękowania zechcą też przyjąć: Lorenza Smith za wiadomości o Wenecji i Włoszech, Jonathan Foreman za wspaniałe rady edytorskie, i mój siostrzeniec major Johnny Hathaway-White za bezcenne informacje o jeździectwie i tradycjach kawaleryjskich.

Mojej kochanej mamie April Sebag-Montefiore, która swego czasu też pisała powieści, chciałbym podziękować za wymyślenie imienia dla klaczy Beni Goldeny, Srebrnych Skarpetek. W wieku dziewięćdziesięciu lat nadal jest mądra, dowcipna i zachowała żywy umysł.

Nade wszystko dziękuję Sancier, która jest żoną, matką, powieściopisarką, przyjaciółką, partnerką i *consigliere* we wszystkich sprawach – oraz dzieciom, córce Lily i synowi Sashy, którzy rozśmieszają mnie do łez i tworzą oddział naszych „muszkieterów”.

Książkę tę dedykuję Sashy.

Główne postaci

Postaci historyczne zaznaczone są asteriskiem

KOŁYMA: „ZONA”

Więźniowie obozu Madiak-7

Benia Golden, pisarz, skazany na dwadzieścia pięć lat

Dżaba Leonadze, *wor w zakonie* („honorowy bandyta”), szef, Gruzin

Ramzan Ułybnusz, „Uśmiechnięty”, czeczeński kryminalista

„Nieśmiertelny”, rosyjski kryminalista

Kuźma Pryszczepa, „Szybki”, młody kryminalista, Kozak doński

Mały Mametka, „Bette Davis”, gruziński kryminalista

Doktor Kopto, Lekarz Dzieci

Tonia (Antonina) Makarowa, jego pomocnica, pielęgniarka i sanitariuszka

Niuszka, „Króliczek”, pielęgniarka i sanitariuszka

KARNIACY

Jewgienij Meliszko, „Generał”, były więzień

Lejtnant Paweł Mogilczuk, oficer NKWD, dowódca oddziału specjalnego

Kapitan Władimir Ganakowicz, polityruk (oficer polityczny)

Rotmistrz Leonid Żurko, oficer

Wachmistrz Pantalejmon Czurielko, „Panka”, Kozak doński, weteran pierwszej wojny światowej

Haranza, „Pająk”, Kozak zaporoski

Ismail Karimow, „Koszka” („Kotek”), Uzbek

WŁOSI

Major Ippolito Bacigalupe

Fabiana Bacigalupe, pielęgniarka i sanitariuszka, jego żona

Cesare Malamore, konsul (pułkownik) Czarnych Koszul (Ochotniczej Milicji Bezpieczeństwa Narodowego)

Major hrabia Scipione di Montefalcone, oficer kawalerii sabaudzkiej

ROSYJSCY KOLABORANCI/„HIWISI”

Konstantin Mandryka, dowódca oddziału policji pomocniczej Schuma (Schutzmannschaft, „drużyny ochronnej”)

Bronisław Kaminski*, zastępca Mandryki, jeden z dowódców Schuma, później dowódca SS Sturmbrigade Kaminski (Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej), Waffen-SS Brigadeführer, odznaczony Krzyżem Żelaznym

NIEMCY

SS-Obersturmführer Oskar Dirlewanger*, gwałciciel i morderca, dowódca hitlerowskiego batalionu karnego zwanego „Brygadą Kłusowników” i Sonderkommando Dirlewanger, później SS-Oberführer, odznaczony Krzyżem Żelaznym

KREML

Iosif Stalin*, naczelny wódz, przewodniczący Państwowego Komitetu Obrony, przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, ludowy komisarz obrony, sekretarz generalny partii komunistycznej, „Naczelny”, „Instancja”

Herkules Satinow, przywódca sowiecki, członek Państwowego Komitetu Obrony, generał pułkownik

Ławrientij Beria*, szef NKWD, członek Państwowego Komitetu Obrony, komisarz generalny bezpieczeństwa państwowego

Swietłana Stalina*, córka wodza, uczennica

Wasilij Stalin*, syn wodza, pułkownik, później generał lotnictwa

Lew Szapiro, dziennikarz, scenarzysta, korespondent wojenny gazety „Krasnaja

Zwiezda” („Czerwona Gwiazda”)

Przypisy

[1] Tekst polski za: *Cichy Don*, t. II, cz. III, przeł. Wacław Rogowicz [przyp. tłum.]

[2] Tekst polski za: *Cichy Don*, t. I, cz. I, przeł. Andrzej Stawar [przyp. tłum.]

[3] Po rosyjsku *papasza* znaczy „tatuś” [przyp. tłum.]